

*Stec Ewa*

*Klub Matek Swatek.*

*Operacja Londyn*

*Moim Przyjaciółom i wszystkim tym,  
dla których świat nie kończy się na własnym podwórku  
Jerry - gdziekolwiek jesteś - dziękuję*

## ROZDZIAŁ 1

Coś było nie tak.

Kobieta w zielonym płaszczu nie potrafiła określić przyczyny tego drażniącego niepokoju, który ogarniał ją za każdym razem, kiedy opuszczała pensjonat pani Patel i wychodziła na ulicę. Szósty zmysł podpowiadał jej jednak wyraźnie, że gdzieś w tłumie czai się niebezpieczeństwo.

Znajdowała się w samym sercu Londynu, tuż przy Parlamencie, a zatłoczona ulica zdawała się wirować jej przed oczyma. Na plecach, oprócz przypadkowych kuksańców przechodniów i palących promieni słońca, cały czas czuła czyjeś spojrzenie. Parzyło bardziej niż słońce i bynajmniej nie było przypadkowe. Starła się jednak zagłuszyć instynkt, koncentrując się w tym wibrującym tłumie tylko i wyłącznie na jednym poruszającym się punkcie -wysokiej brunetce w czerwonej kurtce.

Alicja, bo tak miała na imię brunetka, przebiegła szybko przez ulicę, zgrabnie manewrując między przejeżdżającymi piętrowymi autobusami, a potem nagle zniknęła w wejściu do stacji metra. Kobieta w zielonym płaszczu podążała tuż za nią. Przed zejściem do tunelu obejrzała się jeszcze, a potem przyłożyła do ucha telefon.

- Stacja Westminster. Wchodzę - mruknęła, dołączając do tłumu zdążającego w stronę peronów.

- Jesteśmy przy St James Park, to następna stacja. Wszystko tak, jak zaplanowałyśmy - usłyszała w słuchawce. - Pamiętaj, ostatni wagon... - głos zamilkł nagle jak radio, gdy się je wyłączy.

Zasięg zniknął.

Kobieta w zielonym płaszczu schowała telefon do kieszeni i przyśpieszyła kroku. Już po chwili znalazła się przed żółtą linią odgradzającą podróżnych od krawędzi peronu. Stała teraz obok dziewczyny w czerwonej kurtce. Myśliwy, zwierzyna i... No właśnie, kto jeszcze?

Kobieta obejrzała się ponownie, ale nie zauważyła niczego podejrzanego.

Słysząc już huk zbliżającego się pociągu.

Barwny tłum zaczął przemieszczać się w stronę żółtej linii, zalewając obie kobiety jak nagły przypływ. Starsza przesunęła się o krok do przodu, stanęła przy samej krawędzi peronu. Zrobiło się jej straszliwie gorąco, a nękające ją ostatnio napady duszności wzmogły się. Rozpięła płaszcz, przeklinając menopauzę, i poprawiła swoje niesforne rude włosy, a potem spojrzała w stronę tunelu, kątem oka obserwując czerwony płaszcz. Dziewczyna mocniej chwyciła torebkę.

- Nie ma się czego bać, kochaneczko, czuwa nad tobą przeznaczenie - mruknęła pod nosem ruda i zachichotała do własnych myśli. Jej chichot zginął jednak w przeraźliwym huku pociągu, który wynurzył się właśnie z ciemnego tunelu. Wargi kobiety najpierw znieruchomiały, a potem gwałtownie opadły.

Na ramieniu poczuła żelazny uścisk. Chciała się cofnąć. Nie mogła. Pociąg był tuż przed nią. Próbowwała odwrócić głowę. Bez powodzenia. Czyjeś ręce trzymały ją jak zaciśnięte kleszcze. Czowała, że podeszwy jej butów desperacko starają wczepić się w krawędź peronu. Na próżno.

Traciła przyczepność. Zaczęła się szarpać.

Przez ułamek sekundy widziała tylko światła. Słyszała pisk hamulców.

Zadziwiające jednak, że żelazna dłoń nie popchnęła jej dalej, tylko wciągnęła z powrotem na peron, tuż za żółtą linię.

Odzyskawszy zdolność myślenia, kobieta odwróciła się gwałtownie, chcąc zidentyfikować prześladowcę, ale zobaczyła jedynie anonimowy tłum o obojętnych twarzach. Wielu twarzach. Śniadych, białych i zupełnie ciemnych. Kobiety w kolorowych sari, kurtkach i eleganckich żakietach, mężczyźni grubych, chudych, zarośniętych, w garniturach, jeansach, czapkach, klapkach, a nawet kowbojkach.

Pociąg zatrzymał się z przeraźliwym zgrzytem.

Kobieta oblizwała spierzchnięte wargi i desperacko szukała wzrokiem dziewczyny w czerwonej kurtce.

Drzwi pociągu płynnie i z cichym piskiem rozsunęły się, wyrzucając z wnętrza tłum londyńczyków, który w jednej chwili oblazł ją jak mrówki przeszkodę stojącą na swojej drodze. Nawet poczuła mrowienie.

Alicja zdołała wcisnąć się do wagonu numer trzy.

Podążająca za nią kobieta bezwolnie zrobiła krok i poczuła coś pod podeszwą buta. Spojrzała w dół. Znieruchomiała.

Pociąg odjechał. Tłum skierował się do wyjścia, pozostawiając na peronie pustkę i przejmującą ciszę.

Kobieta została sama. Cały czas wpatrywała się w leżący tuż obok jej buta przedmiot. Czarny parasol.

Na następnej stacji młody mężczyzna, w stanie wyraźnego wzburzenia, co chwilę spoglądał za siebie niespokojnie, wypatrując dwóch wariatek w średnim wieku, które od jakiegoś czasu deptały mu po piętach. Nie tylko w przerośni. Odruchowo poruszył stopą. Odszukał kobiety wzrokiem. Stały nieco z tyłu, udając

obojętność. Najwyraźniej nie zdawały sobie sprawy z faktu, że je zauważył. Jedna była wysoka i koścista z ciasno spiętymi na karku blond włosami, druga tęższa, z zaczerwienionymi policzkami, szatynka. Obie wyglądały na takie, co to nie dają sobie dmuchać w kaszę. W nic innego zresztą też nie.

Kiedy w tunelu rozbłysły światła pociągu, chłopak poczuł wyraźną ulgę. Postanowił zignorować złość i skoncentrować się na działaniu - pozbyć się towarzystwa. Zdecydowanie nie lubił tłoku.

Gdy kobiety stanęły po jego bokach, poczuł się osaczony. Ale czy dwie wariatki w średnim wieku mogą stanowić jakieś poważne zagrożenie? Wątpił.

Pociąg wjechał na stację i zatrzymał się z przeraźliwym zgrzytem.

Chłopak czekał spokojnie, dopóki nie otworzyły się drzwi. Kiedy z wagonu zaczęli wysiadać ludzie, niespodziewanie odwrócił się i udając, że nie widzi nagłej paniki, która pojawiła się na twarzy tęższej kobiety, ani że nie czuje obcasa buta tej drugiej, który po raz kolejny wbił mu się w stopę, powoli przedarł się przez tłum pasażerów i ostentacyjnie przysiadł na ławce. Poczul na sobie intensywne spojrzenia kobiet. Miał wrażenie, że te wariatki zaraz podbiegną, chwycą go pod ramię i wrzucą do wagonu - wydawały się aż tak zdesperowane. Zaczęły krążyć dokoła, jak sępy wokół padliny, która niespodziewanie ożyła.

Kiedy pociąg już miał odjeżdżać, chłopak nagle poderwał się z ławki, ruszył przed siebie i w sekundę znalazł się przy zamykających się właśnie drzwiach wagonu. Numer trzy. Wskoczył. Drzwi zasunęły się tuż za nim, przytrzaskując mu szalik. Pociąg ruszył.

Chłopak wyszarpnął szalik i uśmiechnął się pod nosem z satysfakcją. Przez chwilę patrzył jeszcze przez okno na stojące na peronie wariatki. Kimkolwiek były te stuknięte baby, miał nadzieję, że już nigdy więcej ich nie zobaczy. Nigdy.

Poruszył się. I jęknął. Dopiero teraz, kiedy opadły emocje, odczuł siłę kobiecego obcasa. Na własnej stopie. Przeklinając

w myślach, odwrócił się i utykając, zrobił parę kroków w głąb wagonu. Zatrzymał się obok tęgiego mężczyzny ze słuchawkami. Mężczyzna minął go i skierował się w stronę drzwi. Chłopak spojrzał przed siebie. I zamarł.

Tuż przed nim stała dziewczyna o bursztynowych oczach. Jej włosy, długie i kasztanowe, wysypywały się w nieładzie spod szarego beretu, dopasowana czerwona kurtka podkreślała jej smukłą sylwetkę. Na twarzy dziewczyny pojawiło się zaskoczenie, a nawet przestrasz. Zrobiła ruch, jakby chciała uciec. Szybko uświadomiła sobie jednak, że nie ma dokąd. Podniosła głowę.

- Cześć, Igor - powiedziała i poprawiła beret.

Chłopak przez chwilę milczał. Zamknął oczy, wsłuchując się w jednostajny stukot pociągu i zastanawiając się nad prawdziwością stwierdzenia „z deszczu pod rynnę”. Potem znowu na nią spojrzał, jakby chciał się upewnić, czy to naprawdę ona, czy to nie sen.

- Alicja... - odezwał się wreszcie zachrypniętym głosem, starając się uspokoić bicie serca. Nie było łatwo.

Dziewczyna roześmiała się i rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- Jeszcze mnie pamiętasz?

- Jak mógłbym zapomnieć? - odezwał się z przekąsem. - Pojawiasz się w każdym moim sennym koszmarze.

Alicja zmrużyła wyzywająco oczy. Stała tuż obok niego, wspięła się na palce. Kiedy jej usta znalazły się na wysokości jego ust, chłopak poczuł jej gorący oddech. I dreszcz. Przebiegał go zawsze, kiedy była blisko. Kiedyś.

- Tylko w koszmarze? - wyszeptała mu wprost do ucha, a potem delikatnie musnęła wargami jego policzek.

Nie odpowiedział. Nabrał powietrza do płuc, zachłystując się przy tym zapachem dziewczyny, i zamknął oczy. To, że sny z Alicją nie należały do nieprzyjemnych, a wręcz przeciwnie - do tych jak najbardziej pożądanych, stało się jasne. Nie było sensu zaprzeczać.

- Tak myślałam. - Igor usłyszał jej głos, w którym pobrzmiwała nuta zadowolenia, kobiecej satysfakcji.

Kiedy otworzył oczy, już jej przy nim nie było. Tak jak wtedy, kiedy obudził się pewnego ranka. Sam.

Stała wyprostowana przy drzwiach, patrzyła obojętnie przed siebie. Pociąg zwolnił, a potem zatrzymał się. Za szybą widać było kolejną stację.

Igor wpatrywał się w dziewczynę, przyciągała go wbrew jego woli. Trzymał się rozpaczliwie uchwyty, choć miał wrażenie, że metal parzy jego złodowaciałą dłoń. Irracjonalnie czuł, że to ostatnia deska ratunku. Żeby nie ruszyć w jej stronę. Powoli zaczęła narastać w nim złość. Myślał, że poradził już sobie z odejściem Alicji. Że na nowo nauczył się oddychać. Ale jedno spotkanie i znowu zaparła mu dech w piersiach. Dusił się.

Drzwi otworzyły się. Alicja w ostatnim momencie odwróciła jeszcze głowę w jego stronę.

- Ja też tęsknię - powiedziała cicho, a potem, zanim zdążył zareagować, wysiadła.

Drzwi się zamknęły. Pociąg ruszył dalej.



## ROZDZIAŁ 9

Kraków, kwatera główna KMS, trzy tygodnie wcześniej

Kwatera główna Klubu Matek Swatek w Galerii Krakowskiej nie zwracała niczyjej uwagi, ot, zwykłe biuro. Nikt się nie domyślał, że za drzwiami, na których widniała prosta, ale elegancka tabliczka, kryje się świetnie prosperująca firma.

Kamuflaż to podstawa.

Przebiegłość. Pospolitość. Zwyczajność. I oczywiście odpowiednio przezroczysty wiek. Najlepiej emerytalny. To były największe atuty agentek KMS. Bo kto podejrzewałby niepozorną emerytkę o udział w wojnie podchodowej, mającej na celu popchnięcie (zwykle w dosłownym tego słowa znaczeniu) nieszczęśliwej panny w ramiona królewicza z bajki, tudzież zwalenie z nóg (w wielu przypadkach także w znaczeniu dosłownym) kawalera na widok odpowiedniej panny?

Jadwiga siedziała przy swoim biurku z nogami wyciągniętymi przed siebie, wyjątkowo znudzona. Nigdy nie była typem biurowym. Raczej barowym.

- Dobra, to panią z Kielc mamy z głowy... - mówiła Danuta, mózg organizacji, i drapiąc się po plasterku antynikotynowym, przybiła na teczce opisanej „Kielce/oporny” pieczętkę „wykonane”. Rzuciła ją na stos innych kolorowych teczek z nazwami miast

i miasteczek, opatrzonych różnymi przymiotnikami. Poniewierające się dokoła małe kolorowe karteczki z uwagami uniosły się do góry jak jesienne liście.

- Wreszcie - odetchnęła głęboko Beata, wyłaniając się na chwilę zza stosu równiutko poukładanych teczek leżących na biurku. - Ten to naprawdę był oporny...

Krystyna, psychiatra i profilerka, siedziała, milcząc, nieco z boku, wpatrzona w monitor komputera. Jadwiga pomyślała, że koleżanka wygląda na dużo bardziej zmęczoną niż zwykle. Przeciągająca się depresja, z którą zmagала się od śmierci męża, pozostawiła wyraźne ślady. Jadwiga pomyślała o wakacjach. To było coś, co należało się każdej z nich po tak wyczerpującym roku. Potem spojrzała na sekretarkę Jolkę, która zaczęła zbierać się do wyjścia - wkładała swoje futrzane wdzianko pasujące do białych kozaczków. Jadwiga pomyślała, że życie jest dziwne. Kobiety takie jak Krystyna, mające charakter, figurę, urodę, która z biegiem lat stała się bardziej dojrzała, ale nie przeminęła, gubią się w szarości bezkształtnych płaszczów, a ordynarna uroda Jolki, z wiekiem coraz bardziej ordynarna, błyszczący jaśniej niż kiedykolwiek.

Te ponure rozmyślenia przerwało gwałtowne otwarcie drzwi.

Jadwiga spojrzała rozkojarzona w stronę wejścia. Do biura wtargnęła elegancka kobieta w doskonale skrojonym płaszczu i pięknej etoli z lisów. Zatrzymała się przed biurkiem Jolki, wydała z siebie dramatyczny okrzyk, a potem urwała nagle, jakby ktoś wbił jej coś w gardło. Tym kimś zapewne była Jolka. Spojrzenie miała zabójcze.

- Czy była pani umówiona? - spytała wściekle, zastępując drogę kobiecie w etoli. W końcu jej praca polegała na umawianiu spotkań, a ta tu łąduje się bez umawiania, bez pukania i do tego wrzeszczy od progu jak opętana.

Kobieta zadarła głowę i poprawiła etolę.

- Umówiona? To trzeba się umawiać, żeby dzieciom pomóc!?! - zapytała zdumiona. Jej głos stawał się z każdym wypowiedzianym słowem coraz bardziej piskliwy. - Żeby pomóc córce, mogłabym

nawet kogoś zabić, tak mi zależy! - Rzuciła sekretarce wymowne spojrzenie.

Jolka od razu straciła cały animusz. Miała już różne doświadczenia ze zdesperowaną klientelą i żadne nie było pozytywne. Zrobiła więc krok do tyłu, a potem spojrzała na zegar wiszący na ścianie i rzuciła błagalne spojrzenie Danucie. Danuta zrozumiała. Jolka miała zająć się wnukiem, bo jej córka wybierała się do znajomych, i już była spóźniona.

Danuta westchnęła, ruchem ręki pozwoliła Jolce wyjść, a sama podeszła do recepcji. Zanim jeszcze białe kozaczki Jolanty zniknęły im z oczu, nieznajoma przybrała minę męczennicy i uraczyła nią Danutę.

- Moja Ala! - rzuciła teatralnie na usprawiedliwienie i otarła łzy, których, trzeba uczciwie przyznać, za wiele nie wypłynęło.

Danuta przedstawiła się i poprowadziła kobietę w stronę kanapy znajdującej się tuż przy aneksie kuchennym, przy okazji przedstawiając siedzące przy biurkach koleżanki.

- To moje współpracowniczki: Jadwiga Kwiecień, zajmuje się przede wszystkim pracą w terenie, Krystyna Stańczyk, tworzy profile psychologiczne, oraz Beata Romantowska, księgowość.

Nieznajoma bez uśmiechu skinęła głową w stronę agentek KMS, a potem usiadła we wskazanym miejscu, na samym brzeżku kanapy, sztywna i spięta, i krytycznym spojrzeniem obrzuciła biurka. Tylko na jednym, Beaty, panował porządek.

- Przepraszam za bałagan - odchrząknęła Danuta, dostrzegłszy spojrzenie kobiety. - Miałyśmy dzisiaj spotkanie operacyjne... Ale co możemy dla pani zrobić, pani... - zawiesiła wyczekująco głos.

Kobieta z godnością poprawiła etolę.

- Nina Karolak - oświadczyła. Potem nabrała powietrza do płuc i z dna swojej przepony wydobyła świdrujący okrzyk: - Moja córka potrzebuje pomocy!

Danuta zdążyła już przyzwyczać się do różnych reakcji klientek, zwłaszcza tych, które latami czekały na ślub i wnuki. Jedne

histeryzowały, inne płakały, a jeszcze inne próbowały obrócić wszystko w żart, tak na wszelki wypadek, gdyby prawda wyszła na jaw (w końcu wynajmowanie profesjonalnych agentek w celu zeswatania dorosłych dzieci bez ich wiedzy jest raczej kontrowersyjnym posunięciem). Jednak każda matka przychodziła do KMS ze szczerym zamiarem uszcześliwienia swojego dziecka. W teatralnym zachowaniu kobiety Danuta wyczytała zatem zarówno troskę, jak i desperację.

- Co się stało? - zapytała cierpliwie, przysuwając swoje krzesło do kanapy. Usiadła blisko Niny Karolak.

Ta jęknęła, obracając nerwowo na palcu pierścionek z gigantycznym diamentem. Choć równie dobrze mogło to być szkiełko.

- Moja córka - szlochała - moja córka skończyła już trzydzieści lat i wciąż nie ma męża. Nie ma dzieci. I jest nieszczęśliwa. A ja z nią!

Danuta pokiwała głową ze współczującą miną, podsunęła pani Karolak chusteczki higieniczne i powiedziała profesjonalnym tonem:

- Proszę się uspokoić. I nie martwić. Bardzo dobrze pani zrobiła, że tu przyszła - pochwaliła ją. - Na tym przecież polega nasza praca. Na uszcześliwianiu dzieci. Bo szczęście dzieci jest naszym sukcesem, prawda? Odnajdujemy drugie połówki zawodowo. Dyskretnie. Bez poniżającej otoczki biura matrymonialnego, bez...

Przerwała, bo kobieta uniosła nagle do góry swoją wypiełgnowaną dłoń.

- Doskonale - powiedziała, wyłączając z głosu desperację, i od razu przeszła do konkretów. Wyciągnęła z torby dwie szare teczki i podała je Danucie. - Proszę otworzyć - nakazała.

Danuta machinalnie otworzyła pierwszą. Na wierzchu znajdowało się zdjęcie młodej dziewczyny, bardzo ładnej brunetki o ciemnych oczach i wyraźnie zarysowanych brwiach.

- To moja córka, Alicja - wytłumaczyła kobieta, patrząc z niecierpliwością na zegar wiszący na ścianie, a potem wskazała na

drugą teczkę. Danuta otworzyła ją. Tak jak się spodziewała, w niej również znajdowało się zdjęcie. Tym razem był to przystojny blondyn.

- To syn mojej koleżanki, Igor Andrzejewski - wyjaśniła kobieta. - Wszystko, co muszą panie wiedzieć na temat naszych dzieci, znajduje się w tych teczkach. - Widząc zdumioną minę Danuty, dodała, piskiem kryjąc widoczną nerwowość: - Wydają się dla siebie stworzeni, prawda!?

Danuta z grzeczności obejrzała fotografie, a potem odłożyła je do teczek.

- Tego nie da się określić tak po prostu, po zdjęciach... - zaczęła zniechęcająco. Zwykle starała się odwieść matki od pomysłu swatania dziecka z osobą wybraną z kręgu znajomych. Wskazywała na potrzebę kompatybilności charakterów, zgodności celów życiowych, podobieństwo marzeń...

Kobieta nie słuchała. Wyciągnęła z torby plik banknotów -gruby plik banknotów - i położyła go na stole.

- Koszty nie grają roli - powiedziała, wracając do teatralnego tonu i zachowania.

Danuta przełknęła ślinę i pokiwała głową. -Jeśli tak, to zaraz wrzucimy dane do naszego systemu PA®UJ...

- Ależ nie trzeba do żadnego systemu - przerwała jej zdecydowanym tonem kobieta. Nerwowo poprawiła etolę, a potem przesunęła długimi, przypominającymi szpony palcami plik banknotów w stronę Danuty.

- To może sprawdzimy chociaż naszą bazę danych pod kątem profilu Alicji i Igora, czy... - zaproponowała Danuta, nie patrząc na pieniądze.

- Nie - kobieta znowu jej przerwała, wyraźnie poirytowana tym, że jej argumenty nie zadziałały. - To zbędne. Nikogo lepszego panie w swojej bazie nie znajdą, bo... - Nagle zaczęła pociągać nosem i sama obsłużyła się chusteczką. - Alicja mieszka w Londynie. W Londynie!

Słowo „Londyn” brzęczało jeszcze przez chwilę w powietrzu jak natrętna mucha, a potem zapadła irytująca cisza.

Danuta spojrzała na koleżanki, które, zdumione, przestały udawać, że pracują, i z uwagą przypatrywały się kobiecie w etoli.

- W Londynie? - powtórzyła przeciągle Danuta.

Nina Karolak kiwała histerycznie głową, nie wiedząc, na którą pracownicę KMS patrzeć.

- Tak! W Londynie! Chociaż stać mnie, żeby zapewnić jej byt na poziomie, na jaki zasługuje... Ale ona się uparła... I proszę, jakie są tego konsekwencje: lata mijają, a ona tam utknęła, pracuje w jakimś pubie i teraz potrzebuje pomocy, ale jest zbyt dumna, żeby wyciągnąć rękę. I zbyt harda... - Westchnęła ciężko. Po chwili dodała z przekonaniem: - Męża potrzebuje i tyle.

- Ale Londyn to nie nasz rewir... - zaczęła Danuta, delikatnie odsuwając teczkę.

- Ale może być! - powiedziała sugestywnie kobieta i z pewną już niecierpliwością wyciągnęła kolejny plik banknotów, równie pokaźny jak poprzedni. Położyła go na stole obok pierwszego. - Proszę pomyśleć: mają panie wszystko jak na tacy, wszelkie informacje, trzeba tylko tam pojechać i zadziałać... - zawiesiła głos. Potem dokończyła konspiracyjnym szeptem: - A jak, to już panie wiedzą najlepiej, prawda?

Danuta obrzuciła niepewnym spojrzeniem siedzące w bezruchu koleżanki. Najwyraźniej się wahała.

Kobieta w etoli wyczuła zapewne wątpliwości unoszące się w powietrzu, bo postanowiła przekonać Danutę i resztę.

- Oni naprawdę do siebie pasują. Igor skończył sinologię i pracuje jako kelner w restauracji w chińskiej dzielnicy. Alicja ma wprawdzie wykształcenie średnie, ale od dziecka uwielbiała egzotyczne podróże. A teraz jest barmanką w jednym z tych londyńskich pubów.

- No proszę, to ma już coś wspólnego z Igorem - nie wytrzymała Jadwiga. - Pracują w tej samej branży.

Jeśli kobieta wyczuła ironię, to nie dała tego po sobie poznać.

- Właśnie! - Wskazała na Jadwigę. - Ta pani ma rację. Jestem przekonana, że nie zajmie to paniom dużo czasu, najlepiej byłoby załatwić wszystko w dwa tygodnie.

Danuta oniemiała.

- Dwa tygodnie!?! - wykrztusiła.

- Strasznie mi na tym zależy, na szczęściu córki, rzecz jasna. Płacę podwójną stawkę, więc mogę chyba oczekiwać, że potraktują panie moją sprawę priorytetowo. Chce, żeby to szczęście przyszło jak najszybciej. Brat Alicji się żeni i chciałabym, żeby przyjechała z kimś na jego wesele - przyznała nagle. - To z pewnością doda dziewczynie pewności siebie, a co ważniejsze, będzie miało dobry wpływ na jej młodszą siostrę...

Głuchą ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał śmiech Jadwigi, która, delikatnie mówiąc, za nic miała profesjonalne podejście do klientów.

Kobieta, wyczuwając, że nie pokazała się od najlepszej strony, postanowiła ratować sytuację. Wyciągnęła z torebki kolejny plik banknotów, i położyła go na stoliku. Tym gestem zamknęła usta nawet Jadwidze.

- Chęć, żeby Alicja odnalazła swojego... - przerwała i zamyśliła się. Wpatrzyła się w okno.

- Igora... - dodała pomocnie Danuta, patrząc na pliki pieniędzy, ale ku jej zdumieniu kobieta nie przytaknęła, tylko zasłoniła twarz dłonią i potarła oczy, bardzo delikatnie, żeby nie naruszyć doskonałego, scenicznego niemalże makijażu.

- Powiem wprost: jeśli o mnie chodzi, to właściwie tym jedynym może być każdy heteroseksualny mężczyzna w odpowiednim wieku i o miłej aparycji - powiedziała konspiracyjnym szeptem. - Oczywiście przydałby się jakiś status społeczny... i wykształcenie. .. ale najważniejsza jest miłość i szczęście Alicji - dodała z przekonaniem. - Jeśli córka wybierze Igora, to doskonale, ale jeśli nie... - obejrzała się, jakby sprawdzając, czy gdzieś w biurze nie czai się matka Igora - ... to trudno - wyszeptała. - Mnie wszystko jedno, przecież to ona będzie z nim żyć...

Siedziała jeszcze przez chwile na kanapie, jakby oczekując na oklaski, po czym wstała i niezatrzymywana przez nikogo wyszła, pozostawiając po sobie wrażenie skończonego spektaklu. A także osłupiałe agentki oraz trzy pliki banknotów.

Pierwsza obudziła się Beata.

- Londyn? - skrzywiła się. - Ja nawet nie znam angielskiego. Danuta wyciągnęła papierosa. Drżącą ręką zapaliła.

- A dlaczego nie? - zapytała zaczepnie i zaciągnęła się dymem.

- Zastanów się. - Beata podniosła się z krzesła i przechadzając się po biurze, zaczęła rzucać argumentami. - Tutaj pomagają nam monitorujące dzieci w systemie dwadzieścia cztery godziny na dobę *live* matki, mamy nasz niezawodny system PA®UJ z bazą danych, gdzie znajdują się setki zgłoszeń, znamy teren... Wypracowałyśmy swoje metody. A Londyn? To obce miasto. Nie mamy tam sieci agentek. Będziemy zdane tylko na siebie... To dżungla...

- Nie pękaj - zganiała ją Danuta.

Wstała, wzięła teczkę i podała je Krystynie, prosząc ją, by sprawdziła zgodność profilową Igora i Alicji. Potem zaczęła przekonywać koleżanki:

- Trochę optymizmu, szykuje się powrót do korzeni, pamiętacie? Początki były trudne. Wszystkiego trzeba się było dowiedzieć na własną rękę, trzeba się było nachodzić, naczekać, teraz to jesteśmy weterankami. Ale nie można stać w miejscu. Trzeba się rozwijać, szukać nowych możliwości. *Think big!* - dodała z tajemniczym uśmiechem, patrząc, jak Krystyna sprawnie wklepuje do komputera sobie tylko znane symbole i skrót, które po chwili przybrały formę cyferek.

- Co proszę? - zirytowała się Beata. Dopiero ostatnio zaczęła uczyć się angielskiego, nikt jednak nie kwapił się, żeby jej przetłumaczyć.

Przez chwilę panowała cisza.

- Chcesz przyjąć zlecenie? - zapytała zaintrygowana Jadwiga.



- Wpadło mi do głowy, że możemy się rozejrzeć w terenie. Samotnych emigrantów z Polski w Anglii jest sporo, biuro w Londynie to może być żyła złota.

Przez chwilę panowała cisza, którą zdecydowała się przerwać Jadwiga.

- W sumie mogę jechać, zawsze to nowe wyzwanie. Tylko z góry uprzedzam, że nie nadaję się do zwiedzania, zresztą w Londynie wszystko już widziałam... Aha, i chcę mieszkać w jakimś przyzwoitym hotelu - oświadczyła. - Jak byłam w Londynie paręnaście lat temu, musiałam mieszkać w tak depresyjnym miejscu, że na pewno odbiło się to na mojej psychice.

- Co było nie tak? - zainteresowała się Beata

- Cała łazienka pokryta była jakimiś rudawymi, krwawymi zaciekami... Wyglądało to jak miejsce straszliwego mordu.

- Pewnie rdza albo kamień - oceniła fachowo Beata. - Czemu nie kazałaś posprzątać? Albo sama nie posprzątałaś?

- No co ty? Miałam zacierać dowody krwawej zbrodni? Nie wiesz, że za to idzie się siedzieć? - Jadwiga parsknęła śmiechem, a potem dodała: - Poza tym Conan mnie stamtąd zabrał... - westchnęła rozmarzona.

- Nie licz na żaden luksus, to praca. Koszty trzeba obniżać -Beata przeszła do konkretów, a potem skierowała się do aneksu kuchennego, żeby zaparzyć herbatę.

Korzystając z okazji, że Beata nie patrzy, Jadwiga podniosła się gwałtownie i podrzuciła jej na biurko jakieś faktury. Żadna z koleżanek nie zareagowała. Beata uwielbiała fakturowanie tak samo jak gotowanie. Kiedy więc wróciła do biurka i z zadowoleniem zajęła się nową fakturą, Jadwiga z niewinnym uśmiechem zapytała: . - Jak tam ze zgodnością profilową, Krysiu? Alicja i Igor mają szansę na udany związek?

Krystyna wcisnęła jeszcze kilka klawiszy i uniosła głowę.

- Zaskakująco dobry wynik - odezwała się po raz pierwszy od dłuższej chwili. W jej zmęczonym głosie można było wyczuć

pewną ekscytację. - Po wprowadzeniu niezbędnego minimum informacji, które wyciągnęłam z teczek pani Karolak, wychodzi 72% zgodności profilowej - oświadczyła znad okularów. - O ile oczywiście te informacje są wiarygodne.

- Więcej niż niejedno szczęśliwe małżeństwo - westchnęła z zadumą Beata.

- Widzisz? - Danuta uśmiechnęła się do koleżanki z zadowoleniem i wyciągnęła rękę po pieniądze. - Liczy się zgodność profilowa. Londyn nie jest taki straszny. Nie mogę się doczekać! - pisnęła z entuzjazmem.

Jadwiga nic nie powiedziała. Wstała i podeszła do barku w aneksie kuchennym, wyciągnęła butelkę burbona oraz cztery kieliszki i podeszła do biurka Krystyny. Rozlała alkohol, podała koleżankom i wzniosła toast.

- Zatem za operację „Londyn”.

## ROZDZIAŁ 19

Igor Andrzejewski był diabelnie przystojny, choć niektórzy uważali, że jego uroda była raczej niebiańska. Jak inaczej wytłumaczyć bowiem fakt, że na jego widok dziewczyny tłumnie i bez wyjątku wznosiły oczy ku niebu i nabierały straszliwej ochoty, by chwalić Stwórcę pieśnią dziękczynną?

Chłopak miał posągowe ciało, bujne blond loki i jakby tego było mało, olbrzymie błękitne oczy, tak cudowne, że patrząc w nie, można było zobaczyć bramy raj. Wydawał się żywcem wyjęty z eterycznych obrazów Botticellego.

Kiedy wszedł, lekko utykając, w obręb chińskiej dzielnicy, nastąpił mały zgrzyt kulturowy, a klimat włoskiego renesansu zniknął nagle i bezpowrotnie, jakby zdmuchnięty ognistymi oddechami kołyszących się na wietrze złotych i czerwonych smoków, strażników chińskiej tradycji.

Igor z ulgą powitał azjatyckie rysy przechodniów, znajome fasady i egzotyczne napisy. Uwielbiał to miejsce - wyginające się jak smocze ciała ulice, tajemnicze zaułki oświetlone kolorowymi lampionami i neonowymi znakami, zapachy dalekowschodniej kuchni rozchodzące się dokoła i drażniące podniebienia obietnicą egzotycznych smaków. Wszystko to wraz z dymiącymi

studzienkami, charakterystycznym hałasem, a nawet walającymi się niemal wszędzie śmieciami tworzyło niepowtarzalną i poetycką atmosferę chińskiej dzielnicy.

Tego dnia jednak Igor nie był w nastroju do poetyzowania.

- Kurwa, kurwa, kurwa - mrucał co parę kroków, chcąc choć trochę ulżyć sobie w cierpieniach, ale nawet trzykrotnie wypowiedziane przekleństwo nie zmniejszyło dotkliwego bólu, który z każdym krokiem bardziej odczuwał w lewej stopie. Zatrzymał się na chwilę, poruszał palcami, a potem pokuśtykał dalej. Jeszcze wiele razy powtórzył owo magiczne zaklęcie przeciwbólowe, zanim zobaczył kres swojej wędrówki, restaurację Empress of Sechuan, Cesarzową Syczuanu, która, jak na cesarzową przystało, dumnie wypinała wielkie żółte lampiony, wabiąc przechodniów obietnicą królewskiej uczyty.

Igor z westchnieniem ulgi pociągnął za klamkę i wszedł do środka. Już od progu zawładnął nim intensywny zapach świeżych przypraw, imbiru, kardamonu, czosnku, który osiadał na podniebieniu i nie chciał odejść. Wabił go jak znajomy, trudny do zignorowania zapach kochanki. Chłopak poczuł głód.

Bardziej z przyzwyczajenia niż z ochoty mrugnął do młodej kelnerki ubranej w tradycyjne czarne qipao, zdecydowanym krokiem przeszedł koło imponującej półki z winami, minął barek i nie przyglądając się siedzącym przy stolikach gościom, szedł na dół. Nadal czuł się zamroczony spojrzeniem Alicji, otumaniony zapachem jej włosów. Zatrzymał się na chwilę na schodach i odetchnął głęboko, starając się wyrzucić z głowy obraz dziewczyny. Poruszył palcami stóp. Bolało. Zaklął i pokuśtykał dalej.

Na dole znajdowała się kolejna sala, ale Igor zaraz za schodami skręcił w lewo, minął mały korytarzyk, z którego można było wejść do toalety, i zatrzymał się przy niepozornych drzwiach z wielką tabliczką z napisem „tylko dla personelu” i mniejszą z hasłem „niezatrudnionym wstęp surowo wzbroniony”. Mogło się wydawać, że za drzwiami kryje się pomieszczenie nie większe od schowka na szczotki. Nic bardziej mylnego.

Igor pociągnął za klamkę i wszedł do środka. Pokój nie miało okna, ale był zaskakująco przestronny i wygodnie urządzone.

- *Ni hao* - przywitał młodego Chińczyka imieniem Li, który ubrany w białą koszulę i eleganckie czarne spodnie siedział na krześle z nogami na stole i oglądał wiadomości sportowe. Potem czując znowu ból w stopie, odruchowo zaklął po polsku.

Li wyłączył telewizor i parsknął śmiechem.

- To przyzwoita restauracja sycuańska, a nie jakaś speluna na polskim zadupiu - zganił go po angielsku, nie ściągając nóg ze stołu. - Zapomniałeś, jak się przeklina w chińskiej dzielnicy?

- Znalazł się purysta językowy - warknął Igor. Li dyplomatycznie przestał się odzywać.

Wprawdzie z dziada pradziada był Chińczykiem i nawet urodził się w prowincji Qinghai na północnym zachodzie Chin, ale od dziecka mieszkał w londyńskiej dzielnicy Lewisham, a jego asymilacja z rdzenną ludnością brytyjską przebiegała wyjątkowo bezboleśnie. Tym bardziej że rodzice, chcąc uchronić jedynaka przed wyobcowaniem emigranta, rozmawiali z Li tylko po angielsku, wbijając mu do głowy, że jest Brytyjczykiem i powinien być dumny ze swojej nowej ojczyzny. I Li był dumny. Do tego stopnia, że stracił nawet zdolność rozumienia języka swoich rodziców. Stał się za to jednym z najbardziej aktywnych kibiców lokalnego klubu piłkarskiego Millwall. „Chcieli, żebym się zasymilował, to się zasymilowałem”, mawiał, kiedy po meczach, w uznaniu chuligańskich zasług, dostawał od policji kolejne propozycje pracy społecznej, takie, których nie da się odrzucić, a matka krzyczała po mandaryńsku coś, czego zupełnie nie rozumiał.

Igor spojrzał na kumpla spod oka.

- Przekleństwa pomagają tylko wtedy, kiedy wymawiamy je w rodzimym języku - powiedział po chwili pojednawczo. - W obcym brzmią jak kwestia z filmów. Jedno swojskie „kurwa” i od razu czujesz się lepiej. Powtórzone trzykrotnie łagodzi ból. Nie jestem

tylko pewien, co do łagodzenia obyczajów - mruknął do siebie. Potem zwał się na krzesło i zaczął ściągać buty i skarpetki. Li przypatrywał mu się podejrzliwie.

- A ty co? Tak wcześnie i już pijany?

- Nie piję przed pracą, pamiętasz? - oświadczył z urazą Igor, sprawdzając, czy nie ma opuchlizny. Nie było, ale i tak bolało. A najbardziej bolało w piersiach. Serce. - To godzi w moje zasady.

- Ty i zasady - parsknął Li. - Pasujecie do siebie jak święty do haremu... Czemu się spóźniłeś?

- Dwie stuknięte baby napatoczyły się na mnie po drodze. Gdyby nie to, że się śpieszyłem, to bym im pokazał... - westchnął. Nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z kolegą wrażeniami po niespodziewanym spotkaniu z Alicją. Li skwitowałby pewnie całe wydarzenie jakimś chińskim przysłowiem, czymś w stylu:

„mądra pszczoła nie pije ze zwiędłego kwiecica”. - Najpierw była jedna wariatka, ale kiedy jej uciekłem, to nie wiadomo skąd pojawiła się druga. Mnożyły się jak króliki. W końcu udało mi się wywieść je w pole, ale wcześniej jedna z nich wbiła mi obcas w stopę. Li przyglądał się koledze z narastającym niezadowoleniem.

- Ty i te twoje głupie wymówki. Spóźniłeś się i tyle. - Spojrzał na zegarek. - Dobrze wiesz, że Pekinczyk nie lubi spóźnialskich. Zakładaj mundurek, bo robota czeka.

Igor westchnął. Niechętnie wstał, zrzucił kurtkę i podszedł do szafki zamykanej na kod. Wystukał odpowiednie cyferki i otworzył drzwiczki. Ze środka wyciągnął elegancki smoking, czarne buty i nieskazitelnie białą koszulę. Z westchnieniem położył wszystko na krześle i zaczął ściągać ubranie. A potem znowu westchnął.

- Wentylujesz się? - zapytał ironicznie Li. Podszedł do lustra wiszącego na drzwiach do małej łazienki, oglądał się z każdej strony, napinając mięśnie.

Igor zdławił kolejne westchnienie i przykuśtykał do kolegi. Spojrzał na jego odbicie w lustrze.

- Właściwie to dlaczego musimy zakładać do pracy smokingi, co? - Nie wytrzymał. - Jakbym miał iść na rozdanie Oscarów.

Pocę się w tym straszliwie, krępuje mi ruchy i rozum też, bo cały czuję się sztywny, no i pracuj tak...

Li, widząc w lustrze posągowe ciało kolegi, odziane jedynie w czarne majtki Calvin Klein, skulił się i wrócił do stołu.

- Co tu jest do rozumienia - wymruczał, ruszając szyją, aż coś zgrzytnęło. - Nasza praca, zresztą jak każda inna, wymaga elegancji. Powinieneś czuć się w smokingu bardziej męsko - dodał ironicznie.

- Męsko to ja się nawet bez majtek czuję. - Zauważył nieprzekonany Igor. - Kwestia psychiki. Może jakbyś sobie powtórzył kilka tysięcy razy „jestem samcem alfa, to ja tu ściskam i gniotę”, stałbyś się męski.

Li westchnął.

- Ja nie mam problemu z męskością - zaznaczył. Po chwili dodał: - Potraktuj smoking jak fartuch rzeźnika, chodzi o to, żeby się nie pobrudzić, a jednocześnie być eleganckim i nie przestraszyć klienta. Pamiętaj, że klient z większym szacunkiem podchodzi do smokingu niż do dresu...

-Ale, do cholery jasnej, to dzielnica chińska a nie Mayfair... Li stracił cierpliwość.

- Ty,! to twoje marudzenie, Igor! I notoryczne spóźnienia. W Chinach zamknęliby cię w alkowie razem z kobietami!

- Tak, proszę! Byle młode były - rozmarzył się Igor, dokonując wizualizacji alkowy pełnej młodych, ślicznych i chętnych kobiet. Bez Alicji. Chociaż z niezadowoleniem zauważył, że każda jedna młoda, śliczna i chętna miała jej niesamowite oczy.

- Myśl jak mężczyzna, a nie stara baba - przywołał go do porządku wściekły Li.

Igor nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Właśnie myślę jak mężczyzna. Alkowa pełna kobiet... Nie masz żadnych skojarzeń, nie czujesz prądu w kręgosłupie...

Li zamilkł, wizualizując ową alkowę, pełną kobiet rzecz jasna, kiedy nieoczekiwanie ponura postać wyłoniła się zza drzwi.

Był to pan Mao, stary Chińczyk ubrany w tradycyjny strój, czarne hanfu, które dopełniał wiszący przy szerokim czerwonym

pasie miecz. Mężczyzna wyglądał jak żywe wcielenie praojców swojego narodu. Przede wszystkim był jednak prawą ręką właściciela Cesarzowej Syczuanu, pana Wu, zwanego Pekińczykiem. Jego pojawienie się zwykle zwiastowało problemy.

Pan Mao najpierw obszedł całe pomieszczenie, trzymając pomarszczoną dłoń na rękojeści miecza, zupełnie jakby chciał nim kogoś przebić, potem niespodziewanie wbił potępiające spojrzenie w majtki Igora, z czego można było wnioskować, że fetyszystą raczej nie był, i przez chwilę artykułował różne gardłowe dźwięki, a wyraz twarzy miał przy tym taki, jakby każdy dźwięk wbijał mu się w podniebienie. W końcu zniknął tak, jak się pojawił - bez pożegnania i z pretensjami, pozostawiając po sobie niepokojące wrażenie. I spocone majtki.

Li obliznął spierzchnięte wargi.

- Co powiedział? - zapytał.

- Mamy przymusową audiencję u Pekińczyka. Zaraz po robocie - mruknął Igor.

Li z wściekłością spojrzął na majtki Igora.

- Świetnie! Musieliśmy podpaść! A ty co? W majtkach!

- Lepiej w majtkach niż bez - rzucił z cierpkim uśmiechem Igor, wkładając spodnie od smokingu.

Li zaczął obgryzać paznokcie. Igor spojrzął na niego przelotnie.

- Daj spokój, przecież harujemy jak woły, żyły sobie wypruwamy, normę wykonujemy... - powiedział uspokajająco, ale niepokój, jaki pozostawił po sobie pan Mao, udzielił się i jemu.

Li nie słuchał.

- Pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu Yao podpadł Pekińczykowi? - rzucił cicho, sprawdzając, czy nie ma nikogo za drzwiami.

- Ten nowy kelner? Li pokiwał głową.

- No i co z tego?

- Od tamtej pory nikt go nie widział.



## ROZDZIAŁ 25

Danuta, „wariatka”, nie odczuwała żadnego dyskomfortu z powodu obolałej stopy Igora, co najwyżej z powodu kolejnego niepowodzenia, jakie dotknęło KMS na angielskiej ziemi. Nie przejmując się zupełnie mżawką ani zimnym północnym wiatrem, przechadzała się nerwowo przed pensjonatem pani Patel i zaciągała dymem papierosowym, jakby to był gaz uspokajający. Cóż... wojna to wojna. Miała zamiar poddać się ogólnie panującemu przekonaniu, że palenie szkodzi, ale widząc zakaz palenia w każdym pubie, w każdym budynku publicznym, po prostu nie mogła zdezerterować. Nie tutaj, nie w kraju, gdzie dochodzi do jawnej dyskryminacji ludzi tylko i wyłącznie z powodu ich słabości.

Widząc zbliżającą się - zbyt wolno w zaistniałej sytuacji - Jadwigę, nie wytrzymała. Najpierw wydmuchała dym. Potem wybuchnęła.

- Jesteś nareszcie! - wrzasnęła, a wybuch poprzedzony kłębem dymu wydawał się wybuchem wielkiego wulkanu. Pył też był. Wiatr zawiął go Jadwidze prosto w oczy. - Czy ja mogę się dowiedzieć, dlaczego nie wsiadłaś za Alicją do pociągu!?! - Fakt, że ona i Beata także nie wsiadły do metra, wydał jej się bez znaczenia. - I proszę, akcja z n o w u wzięła w łeb. Wiesz, ile nas

kosztowało skierowanie Igora akurat na tamtą stację metra!? Cały dzień byliśmy krok za nim. Byliśmy jak pyłek w jego oku, jak drzazga w jego pośladku! Obcas w nowym bucie wyłamalam... -denerwowała się i na dowód podniosła nogę i zademonstrowała swój bucik z dyndającym żałośnie obcasem.

Nagle, zaintrygowana dziwnym milczeniem Jadwigi, przerwała demonstrację i obrzuciła koleżankę badawczym spojrzeniem.

- Co się dzieje?

Jadwiga oparła się o mur. Z uśmiechem na twarzy wsadziła rękę do torby i wyciągnęła z niej czarny parasol.

- Ktoś mi podrzucił w metrze - mruknęła, rzucając parasol na ziemię, jakby bała się, że wydziela jakieś toksyczne substancje.

Danuta wprawdzie nie miała problemów z wdychaniem toksycznych substancji, ale niespodziewany widok sprawił, że papieros o mały włos nie znalazł się w jej przetyku. Na szczęście zdołała go uratować. I zaciągnąć się, maskując nagłą, acz krótkotrwałą niedyspozycję głosową.

-Myślisz, że... że to ten Kowalski... - wyjąkała w końcu.

Wielokrotnie zastanawiała się, jak Jadwiga może normalnie egzystować, wiedząc, że w jej mieszkaniu myszkował mężczyzna, który nie tylko był niebezpieczny i nieuchwytny, ale w dodatku, według oficjalnych źródeł, nigdy nie istniał. Jadwiga, wchodząc zupełnie przypadkiem w jego życie, wsadziła kij w mrowisko. Czy raczej parasol.

- A kto inny? - w głosie Jadwigi czuć było wyraźną irytację.

-Zaraz... Tylko spokojnie - Danuta kręciła przecząco głową, jakby nie chciała dopuścić do siebie strasznej myśli. - Nie popadajmy w paranoję. To przecież może być tylko przypadek. Zwykły zbieg okoliczności... - mówiła, przechadzając się tam i z powrotem. - Połowa populacji Londynu nosi ze sobą każdego dnia parasol, a połowa z tej połowy ma właśnie taki: zwykły, czarny...

Zatrzymała się przed koleżanką i wpatrzyła się w nią z wyczekiwaniem. Jadwiga poruszała zeszywniałą szyją.

- Ale nie każdy właściciel czarnego parasola chce mnie wepchnąć pod pociąg - zauważyła cierpko. - A to już z czarnego parasola robi coś więcej niż tylko czarny parasol. To wyzwanie. On wie, że jestem w Londynie, i właśnie rzucił mi rękawicę, czy raczej... parasol.

- Chciał cię zabić!? \ Jadwiga wzruszyła ramionami.

- Nie sędzę - powiedziała na pozór obojętnie. - Gdyby chciał, już dawno by to zrobił. Chce mnie postraszyć.

- Po co miałyby to robić? - zapytała powątpiewająco Danuta i zmrużyła oczy.

- Nie wiem. Na pewno ma swoje chore powody, jak każdy psychopata.

- Trzeba zawiadomić policję - zdecydowała Danuta.

- Policję? Zwariowałaś? I co im powiesz? Pytanie Jadwigi pozostało bez odpowiedzi.

Danuta w duchu przyznała koleżance rację. Sprawa z Kowalskim była stara i delikatna, a jej zgłoszenie nie przyniosłoby niczego dobrego. Musiałyby przyznać się do włamania i nielegalnego zainstalowania podsłuchów w szkole podstawowej w celu inwigilacji dyrektora Kowalskiego. Wprawdzie minął już rok i nigdy nie zostało to wykryte, ale obróciło się to przeciwko nim. A już na pewno przeciwko Jadwidze.

- To... może Conan? - zawahała się.

Tak, Conan mógłby im pomóc. Był agentem wywiadu i wieloletnim kochankiem Jadwigi, mężczyzną-niewiadomą, intrygującą tajemnicą, której Jadwiga nigdy nie zdecydowała się wydobyć na światło dzienne. Conan zawsze pozostawał w mrokach nocy.

Widząc minę Jadwigi, Danuta od razu wiedziała, że nie powinna była poruszać drażliwego tematu. Spodziewała się, że Jadwiga w ogóle nie podejmie wątku, ale ku jej zdumieniu ta jednak przemówiła.

- Conan nie odzywa się do mnie od zeszłego roku, od tamtej sprawy z samochodem... - mruknęła. - Przed naszym wyjazdem

próbowałam się z nim skontaktować, ale dodzwoniłam się tylko do jego sekretarki. Powiedziała, że przekaże wiadomość... Nie mam jego bezpośredniego numeru - uprzedziła pytanie Danuty. Potem dodała ponuro: - A numer komórki zmienił.

Danuta z wyraźną desperacją spojrzała w niebo.

Wszystko się gmatwało. Nawet pogoda się zepsuła, a wielkie czarne chmury, które pojawiły się nagle nie wiadomo skąd, zasnuły niebo, nie pozostawiając światu żadnej nadziei na odrobinę słońca.

Klątwa czarnego parasola. Cóż by innego? Danuta przeniosła spojrzenie na Jadwigę i nagle znieruchomiała.

- A co ty tu właściwie robisz!? - wykrzyknęła. - Przecież Krystyna czeka na ciebie przed pubem. Alicja już pewnie dotarła do pracy.

Jadwiga wzruszyła ramionami.

- Nie wiesz, że nieszczęścia chodzą parami? - skrzywiła się. - Dziewczyna... jakby to powiedzieć... zauważyła mnie.

- Co!?! - Danuta wydmuchała dym uszami.

- Przyznaję - mruknęła niechętnie Jadwiga - nie doceniłam jej.

- Przyznaj lepiej, że przeceniłaś siebie - poprawiła ją wściekła Danuta.

- Poznał moją twarz, wpatruje się we mnie zniechęcająco... - ciągnęła Jadwiga, niezrażona wściekłością koleżanki. - Ja już nie jestem w stanie podejść bliżej bez wzbudzania podejrzeń. Pozna mnie. Jeśli teraz pojawię się w pubie, spalę całą akcję.

- Co za tydzień, ja się zabiję - jęknęła całkiem przekonująco Danuta i na znak, że mówi poważnie, zaczęła rozglądać się za jakimś odpowiednim samochodem, który mógłby ją potrącić.

- Daj spokój, przecież nic się nie stało... - Jadwiga próbowała zbagatelizować problem.

- Właśnie! A miało się stać! - upierała się koleżanka.

- Przecież Krystyna jest już na stanowisku. Damy jej sygnał. Poradzi sobie...

- Świetnie - wycedziła z pewnym trudem Danuta. - Na pewno ta jej depresja ustąpi pełnej mobilizacji w obliczu ważnego zadania. Jeśli chciałaś mnie pocieszyć, to ci nie wyszło - burknęła. Wszystkie odczuwały już efekty bezowocnego pobytu w Londynie. Stawały się nerwowe, zgorzkniałe i zmęczone. Jak stare baby. -I znowu muszę zapalić - oświadczyła zdecydowanie, spoglądając z wyrzutem na Jadwigę, bo, jakkolwiek na to patrzeć, była to jej wina. Sekundę później nowy papieros trafił do jej ust.

Jadwiga spojrzała na nią z naganą.

- Myślałam, że rzuciłaś - nie wytrzymała. - Zupełny brak konsekwencji...

- Ależ skądże znowu. Jestem bardzo konsekwentna w tym, co robię. Jestem mistrzem konsekwencji w niekonsekwencji - obróciła kota ogonem.

- Powinnaś się wstydzić.

- Palę się ze wstydu - oświadczyła butnie Danuta i sięgnęła po zapalniczkę. Nacisnęła. Nic. Jeszcze raz. Nic. Ruchem mistrza NBA wrzuciła bezużyteczny przedmiot do stojącego przed wejściem do budynku kosza.

- Może to znak? - zasugerowała niewinnym głosem Jadwiga.

- Oczywiście, że znak. Znak, że muszę kupić nową! - odparła poirytowana Danuta. - Nie masz przypadkiem zapalek?

- Nie palę. Skąd bym... - zaczęła Jadwiga, odruchowo klepiąc się po kieszeni płaszcza, ale nie skończyła. Jej uśmiech nagle stężał. Powoli sięgnęła ręką i wyciągnęła z kieszeni pudełko. Pudełko zapalek.

- Abrakadabra - parsknęła, przyglądając się jej z uwagą Danuta. - To mój szczęśliwy dzień.

Jadwiga nie odpowiedziała. Z dziwnym oporem i bardzo powoli otworzyła pudełko, jakby bojąc się, że wybuchnie, potem wyciągnęła zapalniczkę i potarła nią ostrożnie o brązowy pasek.

Danuta podsunęła papieros.

- Za dużo pijesz - rzuciła pół żartem, pół serio, widząc, jak zapalniczka drży w dłoniach Jadwigi.

Ta zgasila zapalkę i wcisnęła pudełko z powrotem do kieszeni.

- Trzeba mi było nie kupować szwedzkich ziół na urodziny. Uzależniają - mruknęła z wyraźną ulgą.

Danuta zaciągnęła się. Nie czuła zimna. Tylko zadowolenie śmierdzące dymem.

Przez chwilę stały jeszcze obok siebie w milczeniu, zanurzone każda we własnych myślach, wpatrując się podejrzliwie w przechodniów, jakby każdy z nich trzymał pod płaszczem karabin maszynowy. Albo chociaż składany tasak.

Potem Jadwiga machinalnie podniosła z ziemi czarny parasol i zamyślona obracała go przez chwilę w rękach. Zacisnęła zęby i gwałtownym ruchem wrzuciła go do kosza, płosząc przy okazji stado mokrych kruków, które poderwało się do lotu z niepokojącym krzykiem.

Ten krzyk nie mógł wróżyć niczego dobrego.

## ROZDZIAŁ 31

Krystyna starała się oddychać normalnie, ale nie mogła zaczerpnąć do płuc wystarczającej ilości powietrza. Czuła, że się dusi. Zupełnie jak karp w wannie. Stanowczo niewłaściwe środowisko naturalne, a w dodatku szanse na przeżycie równe zeru. Jednym słowem, kanał. W wypadku karpia - wanna.

- Danka, chyba zwariowałaś - dyszała ciężko do telefonu w ataku hysterii, którą sama sobie zresztą zdiagnozowała, i wpatrywała się z przerażeniem w znajdujący się po drugiej stronie ulicy pub. - Jest tam Jadwiga? Powiedz jej, że ma się tu natychmiast zjawić. Bez niej nie mam zamiaru żadnej akcji przeprowadzać, rozumiesz!? Odmawiam!

- Odmawiać to sobie możesz zdrowaśki - dowiedziała się. -A teraz weź się w garść i do roboty.

- Jestem profilerką, rozpracowuję portrety psychologiczne, nie działam sama w terenie... - przerwała, bo w słuchawce usłyszała dziwny zgrzyt.

- Co ty, Kryśka, pięć lat masz? Tłumaczę ci przecież, że Jadwiga straciła wiarygodność i może zawalić całą akcję, a poza tym jest zbyt zdenerwowana sprawą z czarnym parasolem.

- Ale ja mam depresję... - jęknęła, szukając argumentów.

- A moja okulistka zeza - przerwała jej zdecydowanie Danuta. -1 nie robi z tego faktu pokazówki, jak niektórzy. Nie rozczuła się nad sobą, tylko codziennie stawia się w pracy z uśmiechem Julii Roberts i zawsze patrzy na tego, kto siedzi obok. Kwestia podejścia.

- Ale... ja nawet nie wiem, o co tę całą Alicję zapytać.

- Możesz ją zapytać, czy lubi chińską kuchnię - zasugerowała inteligentnie koleżanka.

- Zwariowałaś!?! - parsknęła do słuchawki Krystyna, nie dostrzegając geniuszu koleżanki. - Mam wejść i zapytać, czy lubi chińskie żarcie!?

- No, nie tak od razu - zgodziła się szybko Danuta. - Możesz ją najpierw zagadnąć, czy jest z Polski, bo akcent wschodnioeuropejski. .. a potem już pójdzie... Improvizuj!

- Nie taki był plan! - broniła się Krystyna.

- Czy ty zawsze musisz mieć wszystko zaplanowane? Zadziałał spontanicznie!

- Dlatego, że planuję, wszystko mi wychodzi. Sukces to w dzie-'  
więćdziesięciu dziewięciu procentach bardzo ciężka praca poprze-  
dzona przygotowaniem... - zaczęła swój zwykły wywód, który został  
jednak brutalnie przerwany.

- To zrób sobie pięć minut przerwy i zaplanuj, że wejdiesz tam sama!  
Bez odbioru! - wrzasnęła poirytowana Danuta i w słuchawce  
zapanowała głucha cisza.

Krystyna z rezygnacją schowała telefon do kieszeni. Spojrzała  
niepewnie przed siebie, a potem - jako że innego wyjścia z sytuacji nie  
znalazła - przeszła przez ulicę. Podniosła głowę i ponuro wpatrzyła się  
w szyld wiszący nad wejściem do pubu.

The Surprise at Pimlico. Niespodzianka w Pimlico.

Zaczęła zastanawiać się, jaka niespodzianka czeka na nią w środku.  
Stała tak dokładnie pięć minut, a potem, starając się zapomnieć, że  
nienawidzi niespodzianek, pociągnęła za klamkę.



## ROZDZIAŁ 33

Jadwiga zaskakująco szybko ochłonęła po incydencie z parasolem i zaczęła na chłodno analizować sytuację. Doszła do wniosku, że jeśli jeszcze żyje, to znaczy, że zabijać jej nie zamierzają oni, on czy ktokolwiek, kto za nią podąża, a cała sprawa musi mieć jakieś głębsze podłoże. Z jej szczęściem to podłoże to na pewno grząskie piaski. Ale z dwojga złego, lepsze grząskie piaski niż wąski dół. Na trumnę.

Właściwie to była nawet zadowolona. Bo z czego tu nie być zadowoloną? W końcu żyje. A to jest najważniejsze. I wszystkie jej członki są tam, gdzie być powinny. Cieszyła się z tego niezmiernie i gratulowała sobie, że instynkt nie starzeje się jak większość jej organów, nie tępi się jak wzrok czy słuch, tylko z każdym dniem staje się coraz wrażliwszy, coraz bardziej wyczulony.

Korzystając z nieobecności Krystyny, którą z premedytacją zostawiła samą na pierwszej linii frontu, Jadwiga siedziała na swoim wąskim, twardym łóżku pokrytym kwiecistą narzutą i poddawała wnikliwym badaniom, zarówno palpacyjnym, jak i wszelakim innym, tajemnicze pudełko zapalek znalezione w kieszeni. Właściwe to nie było w nim niczego tajemniczego, wydawało się zwykłym pudełkiem zapalek z reklamą restauracji, które każdy mógł

zabrać, nawet przez roztargnienie, i zapomnieć. Pod warunkiem że był w reklamowanej restauracji. A Jadwiga nie miała jeszcze tej przyjemności.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że za tym pudełkiem zapalek kryje się Conan.

- Hispaniola - po raz setny przeczytała napis i zagryzła wargi. Szukała dowodu na to, że nie są to tylko wymysły jej bujnej

wyobraźni, jak powiedziałyby koleżanki, tylko realny dowód na to, że świat, w którym obracała się przez tyle czasu, istnieje, że alternatywna rzeczywistość, która dla reszty świata jest jedynie filmem akcji, tak naprawdę nie jest wymysłem scenarzystów.

Wysypała zapalki i podsunęła pudełko do oczu.

Na dnie zauważyła niewyraźny ślad ołówka. Poczowała uderzenie gorąca, ale nie zwróciła na nie większej uwagi. Była przyzwyczajona. Z uwagą przyglądała się zakrzywionej linii. A potem zagryzła wargi.

Siódemka. Siedem. Siódma.

Dziewiętnasta.

Z narastającym podekscytowaniem wstała i - nie wypuszczając pudełka z rąk - podeszła do okna. „Więc jednak sekretarka przekazała mu wiadomość”, pomyślała. Przez chwilę obserwowała zalaną deszczem ulicę i przemykające kolorowe parasolki, a potem znowu spojrzała na pudełko. Na jej twarzy pojawił się uśmiech - jak zawsze, kiedy trafiała na namacalny dowód istnienia Conana. Przez chwilę miała przed oczyma jego twarz, wspomnienia wróciły, chociaż nawet jego prawdziwe imię już dawno wyrzuciła z pamięci. Dla bezpieczeństwa. Dla bezpieczeństwa swojego serca.

- Tu się chowasz! - z rozmyślań wyrwał ją głos Danuty, która bez pukania wtargnęła do pokoju. - Czekamy na ciebie...

Przerwała. Przez chwilę obserwowała, jak Jadwiga szybkim ruchem zgarnia zapalki do pudełka, a potem chowa je do kieszeni.

-Proszę, proszę... Dziewczynka z zapalkami - parsknęła. Widząc jednak, że koleżanka nie podejmuje tematu, wzruszyła ramionami. - Pani Patel się niecierpliwi... - dodała.

Jadwiga kiwnęła głową.

- Wiesz, Danka - odezwała się cicho, wstając z łóżka. - Ta cała sprawa z parasolem... - zawahała się. - To był pewnie przypadek. Nie powinnaś ulegać mojej chorej wyobraźni.

Danuta obrzuciła ją badawczym spojrzeniem, a w kącikach jej ust pojawił się złośliwy uśmiezek.

- Jak chcesz, może być przypadek - zgodziła się z ociąganiem. A potem dodała: - Te zapalki, mam nadzieję, nie rozpalą w tobie na nowo ognia namiętności...

Przerwała jej Beata, która zniecierpliwiona oczekiwaniem -ostatecznie w jadalni stygł właśnie obiad - weszła za Danutą do pokoju.

- Ruszycie się w końcu? - zapytała, zerkając to na jedną, to na drugą. Jadwiga pokiwała głową.

- A co dają? - zapytała, szukając klucza.

- Curry.

- Znowu? - Skrzywiła się. - A co się stało z angielską kuchnią? I pomyśleć, że to miał być tradycyjny brytyjski B&B...

- Wbrew pozorom to curry jest obecnie jedną z najbardziej typowych brytyjskich potraw - oświadczyła Beata tonem eksperta. - A dlaczego masz takie opory przed zjedzeniem czegokolwiek, co nie nazywa się schabowy albo rosół, co?

- Nie ufam potrawom, których składników nie potrafię rozpoznać. Jem tylko sprawdzone rzeczy. Daje mi to pewność, że nie zawierają niczego, co mogłoby mnie zabić... - zawiesiła złowrogo głos.

- I co? - zapytała zaintrygowana Beata.

- Jak widzisz, jeszcze żyję. Beata roześmiała się.

- Ale co to za życie!? Nawet nie wiesz, ile tracisz! Jadwiga wzruszyła ramionami i wyciągnęła piersiówkę.

- Chcecie przed obiadem?

- Nie piję, alkohol jest zbyt kaloryczny - oświadczyła Beata.

- Ja muszę. Na trawienie - wytłumaczyła się Jadwiga, a potem nalała także Danucie do jednej ze szklanek, które stały na stole.

- Ja na nadciśnienie - mruknęła wyjaśniająco Danuta.

- No, chyba że na nadciśnienie. - Beata pokiwała głową i szybko podstawiała drugą szklankę.

Wypiły kolejkę. Przez chwilę panowała cisza.

- A miało być tak pięknie! - nie wytrzymała Danuta i spojrzała na Jadwigę z takim wyrzutem, jakby to była jej wina. - Nic nam nie wychodzi. Ja tego w ogóle nie rozumiem.

Jadwiga wzruszyła ramionami i schowała piersiówkę do kieszeni.

- A co tu jest do rozumienia? Czasami człowiek się stara i mu nie wychodzi. Proste jak koci ogon. Poza krajem nie jest już tak łatwo. A do tego w Londynie wszystko jest na opak. To terytorium obce i nieprzyjazne romantycznym zbiegom okoliczności. Myślisz, że dlaczego w tym miejscu żyje tylu singli? Bo to dżungla, chaos, tyle ludzi wokół, a nikt na nikogo nie patrzy, bo boi się, że go okradną - rozgadała się. - A popatrz na komunikację, ludzie śpieszą się, przesiadają niespodziewanie z pociągu do autobusu, z autobusu do taksówki, wskakują z roweru na rolki, z deszczu pod rynnę... I jaki tego efekt? Przeciętny Brytyjczyk dzieci ma dopiero na emeryturze. Przeznaczenie nie ma tutaj szans, nawet jeśli to my jesteśmy przeznaczeniem... - zakończyła z westchnieniem swój wywód.

Danuta odstawiła szklankę na miejsce i wstała, nabierając powietrza do płuc.

- Musi nam się udać - powiedziała ze sztucznym, ale za to szerokim uśmiechem, jakby chciała zatrzeć swoje wcześniejsze utyskiwania. - Musimy tylko coś wymyślić, wiecie, coś niestandardowego, niecodziennego... Żeby każdy zostawił na tym drugim ślad, jakieś małe ziarenko, które przy drugim spotkaniu zakiełkuje, a potem wszędzie...

- Żeby z tego od razu dzieci nie było - parsknęła Jadwiga i otworzyła drzwi.

Kiedy wszystkie znalazły się już na korytarzu, zamknęła drzwi na klucz i dodała tonem pełnym otuchy:

-Jestem przekonana, że Krystyna świetnie sobie poradzi. Potrafi oddziaływać na umysł. Kto lepiej manipuluje pacjentami niż psychiatra? Do tego jej angielski jest perfekcyjny. - Uśmiechnęła się.

Beata poczerwieniała, odbierając to jako przytyk do siebie

- Nie sztuka znać język i rozmawiać - oświadczyła, patrząc z wściekłością na koleżankę. - Sztuka go nie znać i się komunikować.

- Naprawdę myślisz, że jeśli mówisz do Anglika głośno i wyraźnie po polsku, to cię zrozumie? - mruknęła ze złośliwym uśmiechem Jadwiga.

Beata nie odpowiedziała. Wciągnęła do płuc obezwładniający zapach świeżego curry, które w tym momencie wydawało się jej lekiem na całe zło. Przynajmniej do deseru.

## ROZDZIAŁ 7

Igor od dłuższego czasu zmagał się z własnym bólem i wąskim eleganckim lakierkiem ze wzmocnieniem na czubku, który złośliwie ścisnął mu obolałe miejsce.

- Nie mogę założyć, do cholery. Wszystko przez te wariatki! -jęknął. „I przez Alicję”, dodał w myślach, dotykając mimowolnie policzka. Rzucił butem w drzwi, które uchyliły się pod wpływem uderzenia. But Igora znalazł się na korytarzu.

Li spojrział na kolegę z politowaniem, a na wypadek gdyby spojrzenie nie odniosło skutku, pokręcił głową z dezaprobatą. Potem szybko przyniósł lakierkę z powrotem. Trzymając go w ręku, podszedł do drzwi oznaczonych tabliczką „Pierwsza pomoc” i dopiero stamtąd oddał koledze. Butem.

Pociągnął za klamkę, wszedł do małego pomieszczenia i włączył światło. Pokoik nie miał okna i był tak maleńki, że ledwie mieściły się w nim kozetka, defibrylator oraz mały stolik pełen rurek, wenflonów, nici chirurgicznych, szczypców, strzykawek i środków odkażających. I lodówka pełna świeżych krwistych steków najlepszej jakości. Pekińczyk zawsze wierzył w medycynę alternatywną.

Li przykucnął i sięgnął ręką pod kozetkę. Igor przyglądał mu się przez moment, a potem jęknął z dna swojej przepony:

- Daj mi lidokainę.

- Co ty? Na małe stłuczenie? Z ciebie gorsza baba niż tamte dwie wariatki razem wzięte - zaśmiał się Li. - Mam coś lepszego.

Igor zastanawiał się chwilę, czy nie poprosić kumpla o podanie czegoś, co pomogłoby na nieznośny ból w klatce piersiowej. Ale czy można wyleczyć nieszczęśliwą miłość lekiem nasercowym?

- Stęka nie chcę, bo potem wszystkie psy za mną biegają -zastrzegł, koncentrując uwagę na stopie.

Na dźwięk słowa „stek” na twarzy Li pojawił się wyraz obrzydzenia.

- Jak możesz to w ogóle sugerować? Dobrze wiesz, że jestem wegetarianinem i coś takiego jest dla mnie nie do pomyślenia -mówił, grzebiąc w apteczce, którą znalazł pod kozetką. W końcu wyciągnął jakiś pojemnik, schował apteczkę z powrotem na miejsce i wrócił do Igora.

- To spray chłodzący - wyjaśnił z mądrą miną, wręczając koledze pojemnik. - Wymraża wszystko, nie będziesz czuł w ogóle bólu, piłkarze takich używają. Powiem ci, że używam tego do wszystkiego... - zawahał się. - Nawet jako dezodorantu.

Igor spojrział ponuro na Li, potem na pojemnik, a w końcu na własną obolałą stopę. Prysnał.

Po chwili napięte mięśnie jego twarzy rozluźniły się i wreszcie mogły odpocząć. Poruszał stopą i zadowolony tak na wszelki wypadek włożył spray do kieszeni smokingu wiszącego na oparciu krzesła.

Zadowolenie zniknęło jednak tak szybko, jakby zostało zmrożone przez magiczny spray, bo Li otworzył zamykaną na kod szafkę i wyciągnął z niej dwie kamizelki kuloodporne.

- To takie niewygodne - jęknął znowu Igor. - Jakbym chciał nosić coś takiego, to bym się do armii zaciągnął.

- Włóż, nie gadaj - zniecierpliwiał się w końcu Li. - Jak nie będziesz przestrzegał BHP w pracy, to Pekińczyk cię zamorduje.

Wiesz, jaką on ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa pracowników. Dobrze wiesz, jak jest. Teraz to możesz dostać kulkę za nic. Świat jest zły, a ludzie jak najbardziej zasługują, żeby w nim mieszkać - westchnął.

Igor chciał zaprotestować, bo na temat świata miał nieco lepsze zdanie niż Li, ale znając Pekińczyka i jego dbałość o BHP, wolał nie ryzykować. Założył kamizelkę na koszulę, a potem, już spocony, zaczął wkładać smoking. Li zrobił dokładnie to samo i z zadowoleniem przyglądał się ich odbiciu w starym lustrze. Teraz to on wyglądał na umięśnionego, a Igor na takiego, co przesadził na siłowni.

- Ile mamy zleceń? - zapytał Igor, poprawiając muszkę.

- Tylko jedno. Dansey Place. Numer sześć - odpowiedział Li, podchodząc do stołu. Przykucnął i odsunął dywanik, pod którym znajdowała się drewniana pokrywa.

Igor pomyślał chwilę, a potem otworzył szeroko oczy.

- Los Noodles Factory? Przecież Pekińczyk zawsze był zadowolony z jakości makaronu - powiedział zdumiony.

Li nie odpowiedział. Przez chwilę mocował się z pokrywą, ale nie dawał rady.

- Cholera, przyssała się... Pomóż mi - rzucił. Igor pociągnął, napinając swój doskonale ukształtowany biceps, i kłapa otworzyła się z cichym zgrzytem. Li nachylił się nad dziurą w podłodze. - Pekińczyk chce renegocjować ceny dostaw - wyjaśnił, sięgając do wnętrza skrytki. - Przestaje mu się to wszystko opłacać. Wyliczył, że produkcja makaronu nie może kosztować aż tyle, a poza tym zapewniamy Lo darmową ochronę, więc w zasadzie powinniśmy dostawać makaron za darmo, tak jak dostajemy ryż...

Podał Igorowi pistolety, które w świetle żarówek wydawały się nieszkodliwymi zabawkami. Broń była jednak prawdziwa i śmiertelnie niebezpieczna.

- Zrobiłem się głodny od tej całej gadaniny - mruknął Igor, odbierając od Li swoją broń. Ten spojrział wymownie na zegar, ale nie zaprotestował. Wyciągnął magazynki. - Skoczę tylko na



moment do kuchni - rzucił Igor, wkładając pistolet za pasek. -  
Nie wiesz, czy wieprzowinę mają świeżą? Li zrobił zde gustowaną  
minę.  
- Na pewno - pokiwał głową, przecierając pistolet chusteczką z  
butonierki. - Widziałem, jak wczoraj wieczorem przywieźli świeże  
mięso. Znaleźli nowego dostawcę.

## ROZDZIAŁ 8

Pub The Surprise at Pimlico okazał się prawdziwą niespodzianką, niekoniecznie w dobrym tego słowa znaczeniu. Jako że Pimlico należy raczej do droższych rejonów Londynu, Krystyna spodziewała się, jeśli nie ekskluzywnego, to na pewno przyzwoitego otoczenia. Bardzo się zawiodła.

Pierwsze, co uderzyło ją już w drzwiach, to nieokreślona woń starzyzny i tytoniu, na którą nakładał się zapach piwa. I kadzidełek, którymi właściciel starał się zapewne ukryć fakt, że mimo obowiązującego w całym kraju zakazu palenia w miejscach publicznych, do których bez wątpienia należało zaliczyć ów przybytek, niektórzy klienci pozwalali sobie czasami na odrobinę zapomnienia. Te nakładające się na siebie aromaty tworzyły w rezultacie trudną do określenia, ale jakże charakterystyczną woń prawdziwego londyńskiego pubu. Niskiej kategorii.

Na wprost drzwi znajdował się bar w kształcie półkola z widokiem na przestrzał na drugą salę, na którą jednak wejścia nie było. Sale wydawały się dwiema odizolowanymi od siebie komorami podłączonymi jedynie do baru-serca, który w obie strony pompował życiodajny trunek.

Krystyna rozejrzała się odruchowo. Ściany wypełnione były półkami ze starymi butelkami i bibelotami oraz obrazami, obrazkami i obrazeczkami w różnych ramach i stylach, a wszystko to odbijało się w wielkich lustrach, potęgując wrażenie chaosu. Odrapana lada wspaniale współgrała z przestarzałym wystrojem wnętrza i z wyraźnie podstarzałymi klientami, którzy wydawali się kolejnymi okazami do owej kolekcji, czy raczej zbieraniny, niepasujących do siebie przedmiotów. Klientów było trzech. Siedzieli przy stoliku pod oknem, pod lampą ze spaloną żarówką, i wpatrywali się w Krystynę jak w intruza. Pomimo mroku zauważyła ich posępny *image* i wiek tuż przedemerytalny. A także instrumenty muzyczne rozłożone obok.

Podeszła do baru. Rzuciła okiem na młodego mężczyznę, który grzebał w automacie do gier, najwyraźniej zepsutym, stojącym na drugiej sali, przy drzwiach wejściowych. Potem spojrzała w oczy Alicji, ofierze losu. Przeszło jej przez myśl, że jest kostuchą, która zamiast śmierci przynosi miłość. Choć w niektórych przypadkach oznacza to dokładnie to samo. Martwość i wypalenie.

- Dzień dobry, co podać? - zapytała dziewczyna z uprzejmym uśmiechem sprzedawcy i z wyraźnym akcentem wschodnioeuropejskim.

Krystyna odchrząknęła. Akurat na to pytanie nie była do końca przygotowana. Nerwowo wpatrzyła się w *menu*, ale literki złośliwie wirowały jej przed oczyma.

- Lubi pani chińszczyznę? - wyrwało się jej. Dziewczyna znieruchomiała i zdumionym wzrokiem wpatrzyła się w *menu*, jakby chciała zrozumieć, o co została zapytana.

- To znaczy, chciałam zapytać, czy nie podają tu państwo chińszczyzny. Przepraszam... Mój angielski nie jest najlepszy... Jestem Polką - dodała zrezygnowana, udając, że ma fatalny akcent i zwalając, jak to w życiu, na co się da. Tym razem na pochodzenie.

Oczy dziewczyny rozbliły.

- Ja też - ucieszyła się, przechodząc na język polski. - Dobry wieczór!

-Naprawdę? Cóż za zbieg okoliczności! Mam na imię Krystyna.

- A ja Alicja. - Powiedziała serdecznie dziewczyna. - Kuba, drugi barman, też jest z Polski - wskazała na chłopaka grzebiącego w automacie. Potem dodała ciekawskim tonem: - A z jakiego pani jest miasta?

- Z Krakowa - odpowiedziała ostrożnie Krystyna, zastanawiając się, czy powinna mówić prawdę. Dobrze pamiętała lekcje wywiadowcze Jadwigi. „Kłam - mówiła koleżanka, uśmiechając się przy tym przekonująco. - A jeśli oskarżą cię o kłamstwo, zrób wielkie oczy i kłam dalej. Mówią wprawdzie, że kłamstwo ma krótkie nogi, ale tak naprawdę to nie ma nóg, tylko oczy. Wielkie i wyjątkowo niewinne. Jak twoje”.

Krystyna zerknęła w wiszące na ścianie wielkie lustro, w którym czas zdążył już zatopić swoje zęby. Zobaczyła szczupłą twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i zgrabnym nosem, nadal atrakcyjną, choć już niemłodą, I oczy, wielkie i niewinne. Winne. Inne niż zwykle.

Na bladej twarzy Alicji pojawił się mocniejszy kolor.

- Niemożliwe! Ja też! To już nie może być zbieg okoliczności, to musi być przeznaczenie! - wykrzyknęła entuzjastycznie, a potem obejrzała się na drugą salę, jakby bojąc się, że wywabi stamtąd niedźwiedzia. Albo szefa. Na szczęście nikt się nie pojawił, tylko Kuba spojrzał w ich stronę znad automatu.

Krystyna gorliwie przytaknęła. Przeznaczenie, cóż by innego.

- To co podać? - zapytała już profesjonalnym tonem Alicja.

Krystyna zamówiła tylko kawę, a potem usiadła przy barze, licząc na okazję do rozmowy. I nie pomyliła się. Alicji najwyraźniej się nudziło, bo klientów było jak na lekarstwo. Zaczęły rozmawiać. Przez chwilę mówiły o Polsce i Krakowie. Krystyna zauważyła, że Alicja z sentymentem wspomina rodzinne miasto.

- Nie ma pani zamiaru wracać do Krakowa? - zaryzykowała pytanie, upijając łyk kawy. - Słyszę w pani głosie tęsknotę...

Dziewczyna nie odwzajemniła uśmiechu.

- Nie wiem - powiedziała ze smutkiem. - Wszystko wydaje się takie skomplikowane. Człowiek wyjeżdża na rok albo dwa zarobić na mieszkanie, a potem okazuje się, że minęły już cztery lata, a on dalej tkwi w tym samym miejscu. Potem coraz trudniej wrócić. Pojawiają się różne komplikacje, problemy, a trudno przecież iść do przodu, kiedy do butów klei się wszystko, na czym się stało. Najchętniej bym stąd wyjechała, gdzieś daleko, na koniec świata... - Westchnęła przeciągle, a potem zreflektowała się. - Przepraszam panią. Cóż za ironia losu, zazwyczaj to barmani wysłuchują opowieści klientów...

- Proszę się nie przejmować, jestem emerytowaną psychiatrą, podświadomie wywieram presję, manipuluję pani umysłem... - Krystyna mrugnęła okiem, czując jednocześnie ogarniającą ją złość. Znowu powiedziała więcej, niż powinna.

Alicja roześmiała się,

- Tuż za rogiem jest szpital psychiatryczny... - Skojarzyło jej się. Potem zapytała: - A pani w Londynie turystycznie?

Krystyna pokręciła przecząco głową.

- Pracuję - wyrwało jej się. Od razu pożałowała, bo ku jej przerażeniu Alicja z błyskiem w oku podjęła temat.

- Naprawdę!? Gdzie? Zapadła kłopotliwa cisza.

- A... właściwie to pracowałam - wyrzuciła z siebie spanikowana Krystyna, niemal tracąc oddech. - Właśnie mnie zwolnili. Dzisiaj! Przed godziną! Przyszłam się upić, bo teraz nie będę miała za co żyć...

- jęknęła, jak jej się wydawało zbyt teatralnie, a potem wymyśliła na poczekaniu jakąś historyjkę o pożarze domu, braku ubezpieczenia i samotnej córce z czwórką dzieci w tym właśnie momencie w lokalu komunalnym walczącą heroicznie z mrówkami gigantami. Wydawało się jej, że nikt, a już na pewno taka inteligentna dziewczyna, nie uwierzy w te brednie, ale ku jej zdumieniu Alicja załamała ręce i patrzyła na nią z tak widocznym współczuciem, że Krystyna zaczęła się rozkręcać.

- Kto by pomyślał, że lekarz i takie problemy...

- Emeryt, drogie dziecko. Emerytów to się w naszym społeczeństwie nie szanuje, a lekarzy to już w ogóle - chlipnęła Krystyna i zaczęła jej się robić żal samej siebie. - Gdyby mój mąż żył... - przerwała, widząc swoje żalosne odbicie w lustrze, i ukryła twarz w dłoniach.

Kiedy odważyła się wyrzeć zza zasłony palców, czekał na nią kieliszek wódki.

- Na koszt firmy - uśmiechnęła się pocieszająco Alicja.

Zapadła krępująca cisza, w której skrępowania nie czuli jedynie klienci, szepczący coś między sobą. Krystyna miała wrażenie, że jej płaszcz lepi się od ich spojrzeń.

- To co teraz pani robi? - zapytała w końcu Alicja.

- Muszę znaleźć nową pracę - Krystyna pociągnęła nosem i zamyśliła się głęboko.

Miała depresję. Już wiedziała, że powinna teraz siedzieć w domu i płakać, a nie na takie eskapady wyjeżdżać. Nie ma nawet czasu, żeby się zrelaksować. I pomyśleć nad przemijaniem. I śmiercią. I zapłakać nad człowieczym losem. Z tego wszystkiego wypła wódkę. Takie wstrętne to życie. Rozpija przy byle okazji. Nawet emerytów nie oszczędza.

Kiedy już chciała się podnieść i zadzwonić do Danuty z kategorycznym oświadczeniem, że wraca do domu, Alicja zerwała się gwałtownie z krzesła.

- Pani Krysiu! - zawołała entuzjastycznie. - Zaraz wracam! Tylko proszę się stąd nie ruszać.

Krystyna chciała coś powiedzieć, ale dziewczyna zdążyła już przejść pod ladą i zniknąć za drzwiami pubu, zostawiając Krystynę na pastwę podstarzałych mężczyzn, których spojrzenia nadal uwierały ją jak ciasny biustonosz. Poczowała się nieswojo. Z ciemnego kąta dobiegły ją jakieś szepty i szurania, ale nie patrzyła w tamtą stronę, zdeterminowana, by nie kusić losu.

Jak się okazało, losu kusić nie trzeba. Bez żadnego kuszenia, a mówią, że kobiety kuszą (Biedna Ewo, o niesłusznie zszarganej reputacji!), pojawił się przed nią jeden z klientów. Przeszedł ją

dreszcz. Nie wiedziała, czy to efekt wódki spożytej na pusty żołądek, ale miała wrażenie, że patrzy mu w głąb oczodołów, takie miał puste spojrzenie. Już miała powiedzieć, że nie zna angielskiego, ale zdążył się dosiąść.

- Mam na imię Pierre - przedstawił się z rażącym francuskim akcentem i uśmiechnął, a nienaturalna biel jego sztucznych zębów wydała się zupełnie sympatyczną alternatywą dla gołych dziąseł.

Krystyna skinęła lekko głową, ale nie odezwała się. Mężczyzna spojrział w kierunku kolegów, jakby dawał im znak, żeby mierzyli czas, a potem spróbował znowu.

- Pani też z Polski? Jak ta barmanka? Krystyna znowu bez słowa skinęła głową.

- Ja jestem Francuzem. - Słowo Francuz wypowiedział z nachalnością napalonego pieska. Francuskiego, rzecz jasna. - Tęsknię za ojczyzną, wie pani? - Wzniósł oczy do sufitu, a potem łypnął na nią wymownie, jakby czekając na słowa pocieszenia.

- To może powinien pan wrócić do domu - zbyła go z cierpkim uśmiechem i odwróciła się, dając mu do zrozumienia, że jest zbyt doświadczona i posunięta w latach, żeby dać się złapać na tani podryw w pubie. Zwłaszcza że psem na baby to może i był, ale trzydzieści lat wcześniej.

Z kąta usłyszała rechot. Najwyraźniej Pierre tracił u kolegów tak ciężko wypracowaną reputację pubowego Don Juana. Poczzerwieniał.

- Ma pani świętą rację - przyznał, starając się utrzymać z nią kontakt wzrokowy. - Ale życie czasami nie daje nam wyboru... Jak pani ma na imię?

- Niezainteresowana - odpowiedziała i z zadowoleniem zauważyła, że jej refleks nie zestarzał się wraz z resztą ciała. Nawet dopiła wódkę, by to uczcić.

Jeden z kompanów Pierre'a, siwy Murzyn, dostał napadu kaszlu. Chyba dusił się ze śmiechu.

Francuz spojrział na niego przelotnie i przysunął się do Krystyny.

- Psst - wyszeptał błagalnym tonem. - Proszę nii tego nie robić. Założyłem się, że postawię pani drinka. Nie chciałyby się pani napić za ich pieniądze? I ostrzegam: jeśli mnie się nie uda, oni też będą próbować, ale żeby później nie było, że nie mówiłem... A tylko ja z nich wszystkich jestem jeszcze normalny.

- Jaki pan rycerski, bardzo dziękuję za ostrzeżenie - powiedziała cierpliwie, modląc się o jakiś piorun kulisty.

Wprawdzie piorun kulisty nie zabłądził tego wieczoru do podrzędного pubu w Pimlico, ale pomoc przyszła, i to z najmniej spodziewanej strony.

- Muszę za potrzebą, ale jak wrócę, to panią przekonam... - wyszeptał Pierre, uśmiechnął się, stoczył z krzesła i nie patrząc w stronę kolegów, zniknął za drzwiami toalety. Za potrzebą. W końcu potrzebował inspiracji.

Krystyna odetchnęła głęboko i wtedy usłyszała za sobą dźwięk otwieranych drzwi. Odwróciła się z przekonaniem, że to wraca Alicja.

W drzwiach stał barczysty mężczyzna.

Na nim zawiesiła spojrzenie dłużej, niż powinna, i z pewną przyjemnością. Nie był może klasycznym przystojniakiem, ale miał w sobie coś, co stanowczo wyróżniłoby go z całej grupy atrakcyjniejszych nawet facetów. Jakiś błysk w oku, lekko ironiczny uśmiech czający się w kąciku warg. Jak ten brytyjski aktor, Jason Statham, tyle że piętnaście lat starszy i po przeszczepie włosów. Albo jak Bruce Willis. Po przeszczepie włosów.

Krystyna obserwowała mężczyznę kątem oka. Nieznajomy rozejrzał się uważnie dokoła, jakby kogoś szukał, a potem - najwyraźniej dostrzegając jej dyskretne spojrzenie - wyprostował się, podszedł do baru i usiadł krzesło dalej.

Dźwięk otwieranych drzwi przyciągnął też uwagę Kuby. Widząc, że Alicja opuściła posterunek, otrzepał ręce i podszedł do baru przyjąć zamówienie. Chłopak nie miał jeszcze trzydziestki. Jego rudawe włosy współgrały z piegowatą twarzą i niebieskimi oczyma. Wyglądał wyjątkowo swojsko. A ręce miał jak dwie łopaty.



Kuba nalał piwo, niezgrabnie podał nowo przybyłemu kufel, przyjął pieniądze i wrócił na drugą salę.

Krystyna podniosła wzrok i napotkała spojrzenie nieznajomego. A ślepiec miał zielone. Zielone jak trawa na górskich łąkach. Krystyna, nie wiedząc czemu, poczuła się zupełnie rozbrojona tym trawiastym spojrzeniem, a nawet przez ułamek sekundy ujrzała siebie w roli krowy. Zajadającej się trawą na górskich łąkach.

- Jak pani myśli, jaki akcent ma barman? - zagadnął pewny siebie, bawiąc się podkładką pod kufel.

Krystyna zamrugnęła i na wszelki wypadek odchrząknęła, żeby sprawdzić, czy nie zamuczy. W końcu w sytuacjach towarzyskich chrząkanie sprawdza się nieco lepiej niż muczenie.

- Taki sam jak mój - odpowiedziała z przekornym uśmiechem. Mężczyzna roześmiał się, rozbawiony. Zrobiło się jej bardzo zielono.

- Czyli jaki? - zapytał, rozglądając się po sali, od czasu do czasu wracając spojrzeniem do stolika, przy którym siedzieli kompani Pierre'a.

- Polski - odpowiedziała, dodając w duchu ciche „muu”.

- Ostatnio w pubach spotykam samych obcokrajowców - odezwał się znowu. - Aż zaczynam się bać o mój brytyjski akcent. - Mrugnął. - Odniosłem nawet wrażenie, że moje „r” zaczyna twardnieć.

- Może za często bywa pan w pubach - dosunęła mu. Nie spodobało się jej, że rozmawiając z nią, lustruje salę, jakby szukał alternatywy. Choć przecież powinno być jej to obojętne.

Przestał się rozglądać i zawiesiłszy na niej swoje zielone spojrzenie, roześmiał się tak głośno, że kompani Pierre'a wpatrzyli się w niego ponuro.

- Tak bardzo to widać? - zapytał kpiąco. - Naprawdę się z tym kryj? - Może kiepski z pana oszust.

- To wada czy zaleta?

- Fakt - zdążyła jeszcze powiedzieć, a potem zauważyła, że drzwi toalety otwierają się i wychodzi z niej Pierre. Spojrzał w jej stronę z wyrazem rozanielenia na twarzy, które zupełnie niespodziewanie zamieniło się w przerażenie. Krystyna zmarszczyła czoło i podejrzewając, że może to mieć coś wspólnego z siedzącym obok mężczyzną o zielonych oczach, przeniosła na niego swoje spojrzenie.

Nie pomyliła się.

Ku jej zdumieniu mężczyzna, z którym przed chwilą odbyła całkiem sympatyczną rozmowę i nawet, do czego nigdy nikomu, nawet sobie, by się nie przyznała, flirtowała, zgubił gdzieś swój zniewalający uśmiech, zerwał się z miejsca i bez wahania skierował w stronę Pierre'a. Chwycił go za wymiętą koszulę i rzucił nim

o krzesło, które złamało się pod jego ciężarem. Krystyna zerwała się z miejsca, przerażona, ale nikt inny nie reagował. Kompani Pierre'a chwycili tylko kufle, żeby podczas bójki nie uroniła się ani jedna kropla piwa, i z zaciekawieniem przyglądali się szarpaninie. Ale nie było na co patrzeć. Pierre nie reagował. Nieznajomy przyciągnął jeszcze Pierre'a do siebie, rzucił mu w twarz kilka cichych słów i posadziwszy go z powrotem na połamanym krześle, podszedł do lady. Krystyna siedziała już sztywno na miejscu

I przypatrywała mu się dyskretnie.

- Przepraszam panią - powiedział, napotkawszy jej przestraszone spojrzenie. - Musiałem wyrównać rachunek...

Pomachał jeszcze Kubie banknotem mającym zrekompensować połamane krzesło. Ten, przyzwyczajony zapewne do drobnych przepychanek, nawet nie oderwał się od pracy przy automacie. Nieznajomy położył pieniądze na ladzie, a odchodząc, spojrzał jeszcze na Krystynę tak intensywnie, że pociemniało jej w oczach. A może spaliła się kolejna żarówka? Pewnie z tego napięcia.

I wtedy wróciła Alicja, i to ciągnąc za sobą jakąś postawną, żeby nie powiedzieć przysadzistą, kobietę w wieku średnim i z antypatycznym wyrazem twarzy. Kobieta rzuciła coś ostrym

głosem do klientów, jakby winiąc ich za całe zajście, schowała pieniądze leżące na ladzie do kieszeni, a potem zrobiła grymas, który przy odrobinie wyobraźni można było nazwać uśmiechem.

Krystyna obejrzała się, ale zielonooki mężczyzna zdążył zniknąć.

Kobieta, którą przyprowadziła Alicja, wpatrywała się w Krystynę, jakby ta była małpą w zoo albo koniem na targu. Krystyna odniosła wrażenie, że zaraz sprawdzą jej uzębienie.

- O! - wysapała Alicja - To pani Krysia, o której wspomniałam. Pani Krysiu, to pani Helga, menedżer.

Krystyna odruchowo pokazała zęby, nie do końca rozumiejąc, za co spotyka ją zaszczyt poznania menedżera tego przybytku, ale czasu na zastanawianie się nie było, bo Helga zachrzakała jak świnia na tropie trufla i ku zdumieniu Krystyny, mierzając ją wzrokiem od stóp do głów, rzuciła obojętnie:

- Alicja powiedziała, że jest pani zdeterminowana i że mogłaby zacząć już jutro? - Miała bardzo mocny niemiecki akcent.

- Jutro? - powtórzyła odruchowo Krystyna, bo cała sytuacja odebrała jej zdolność kreatywnego myślenia.

Helga nie powtórzyła. Należała zapewne do tych ludzi, którzy nie powtarzają.

- A jakieś doświadczenie zawodowe pani ma? Czy pani już pracowała? - zapytała. A potem znowu zachrzakała.

- W pubie?

- Gdziekolwiek. Czy pani wie, jak pracować... - przerwała, bo zauważyła, że Krystyna przygląda się jej z miną paleontologa na wykładzie o gwiazdach. Westchnęła zatem ciężko, w końcu los menedżera do łatwych nie należy, i tonem człowieka mówiącego do przedszkolaka wyjaśniła: - Czy pani wie, że nie wolno kraść, trzeba punktualnie przychodzić, słuchać przełożonych, traktować klientów z szacunkiem, takie tam...

- Jeśli takie tam, to owszem, mam doświadczenie.

- Hmm... to może wystarczy - mruknęła niechętnie Helga. - Ma pani szczęście, bo niedawno otworzyliśmy na górze hostel,

całe piętro, i mamy problem z personelem. Dwie ostatnie panie miały za duże mniemanie o sobie. Ale tak to jest, jak się spędza tyle lat nad książkami na uniwersytecie, życia się nie zna... - Zawahała się, jakby sobie o czymś przypomniała. - A pani jakie ma wykształcenie? - zapytała nagle.

Krystyna spojrzała na Alicję. Dziewczyna stała dwa kroki za Helgą i desperacko potrząsała głową.

- Medyczne - odpowiedziała ostrożnie Krystyna. Alicja zamknęła oczy.

- Salowa? - zapytała z nadzieją kobieta. - Mamy dużo sprzątanina, zwłaszcza po meczach...

- Lekarka psychiatra. Ale emerytowana - dodała szybko. Uśmiech na twarzy Helgi zniknął.

- *Nein!* - krzyknęła i odskoczyła, jakby zobaczyła diabła - *Nein!* - A potem zaczęła krzyczeć jak nawiedzona, ze zdenerwowania wtrącając niemieckie słowa. - Wczoraj była tu jedna, która studiowała fizykę jądrową! *Die Kernphysik!* Co to w ogóle jest! ? Po co to komu!? A tydzień temu zwolniłam panią, która twierdziła, że ma doktorat z filozofii. *Die Philosophin!* Ja zwariuję!

- To ja pani pomogę! - zasugerowała sprytnie Krystyna. Helga nie dała się przekonać. I nie podeszła, jakby bała się

zarazić jakąś egzotyczną chorobą. Bo *Die Kernphysik* brzmi jak choroba. Umysłowa.

- *Nein!* Kategorycznie odmawiam zatrudniania osób z wyższym wykształceniem. Dlaczego nigdy nie przychodzą do mnie profesjonalne kelnerki albo chociaż tacy... bez zawodu? - rzuciła retoryczne pytanie. - Człowiekowi się wydaje, że taka *die Magister* - powiedziała lekceważąco - szybko się przyuczy, ale tu nie chodzi o przyuczenie! Taka od razu grymasi, świadoma praw pracowniczych! Wykształciuchy! - Chciała zniknąć na drugiej sali, czym Krystyna zupełnie się nie przejmowała, ale niespodziewanie drogę zastąpiła jej Alicja.

- Ale pani Krysia mogłaby nam pomóc - powiedziała tajemniczo.

Krystyna poczuła na sobie powątpiewające spojrzenie Helgi.

- Tak? A niby gdzie?

- W pomieszczeniu gospodarczym - odpowiedziała Alicja konspiracyjnym szeptem, ale i tak wszyscy słyszeli.

Pierre i jego kumple znieruchomieli, a na twarz Helgi znowu wrócił uśmiech. Tym razem był jednak złośliwy, wyraźnie wredny. Obróciła się na pięcie i chwyciła Krystynę za rękę. Bolało.

- Aaaa... Właściwie to... - zasyczała słodko, wróciła jej płynna mowa.

- To możemy spróbować. Widzi pani... - Zmusiła Krystynę do powstania i pociągnęła za sobą w kierunku drzwi wyjściowych. - Mamy tu pewien problem, taki nietypowy, w sam raz dla doświadczonej *die Psychiaterin*...

Wyprowadziła Krystynę z pubu. Tuż obok drugiego wejścia znajdowały się drzwi do hostelu. Helga otworzyła je, a potem pociągnęła Krystynę za sobą i zmusiła ją do wejścia na górę po stromych schodach. Po chwili znalazły się na wąskim korytarzu z kilkorgiem drzwi. Helga zatrzymała się przed tymi na samym końcu korytarza, a potrzebując zapewne oparcia, chwyciła się pod boki. A było się'za co chwycić.

- To właśnie jest pomieszczenie gospodarcze - wyszeptała cienkim głosem, zupełnie niepasującym do jej postury.

- I co w związku z tym? - odszepnęła Krystyna, podejrzliwie przyglądając się drzwiom i poddając nastrojowi grozy.

- Potrzebujemy kogoś, kto potrafi je uwolnić... - zapiszczała jeszcze cieniem Helga.

- Pomieszczenie gospodarcze? Menedżer pokiwała głową.

- A od czego? - zapytała na wszelki wypadek Krystyna. Chciała wiedzieć, co takiego przytrafiło się pomieszczeniu gospodarczemu.

- To już pani sama zdecyduje.

- A nie potrzebuje pani czasem egzorcysty?

- To ja tu zadaję pytania! - Głos Helgi nieco zgrubiał, ale po chwili znowu piszczała. - A to jest próba. Przyjmę panią na

zmywak, jeśli udowodni pani, że potrafi radzić sobie w ekstremalnych sytuacjach. Bo u nas to... to czasami jest jak na wojnie: pijani klienci, nastoletni nożownicy, bijatyki. To Londyn, a nie jakaś tam...no, wie pani... wasza polska dziura... To będzie dla pani taka próba, *Frau* Krystyna. Proszę wejść, bez względu na to, co tam pani znajdzie, musi sobie pani poradzić.

Krystyna przypatrywała się jej uważnie i niezdecydowana zrobiła krok do tyłu. Żeby potem nie żałować. Helga, zapewne w przyływie desperacji, złapała ją nagle za ramię, przyciągnęła do siebie, drugą ręką otworzyła drzwi.

Krystyna zobaczyła ciemność. A Helga wepchnęła ją do środka i odcięła źródło światła.

## ROZDZIAŁ 55

Było coś magicznego w widoku dwóch mężczyzn w smokingach idących pewnie przez mroczne ulice chińskiej dzielnicy. Ich kroki dudniące po chodniku wydawały się budzić złowrogie cienie, które wypełzały ze wszystkich zakamarków i podążały za nimi, siejąc wokół strach.

Ale mężczyźni nie bali się ani cieni, ani porywistego wiatru, który szarpał poły ich smokingów, przyglądając się tkwiącej za paskami broni. Nieliczni przechodnie, którzy znaleźli się przypadkiem na linii marszu, odsuwali się bez słowa, spuszczać wzrok.

Igor zapomniał na chwilę o spotkaniu z Alicją w metrze. Uwielbiał tę ekscytację, która ogarniała go za każdym razem, kiedy szedł na akcję - jakby wychodził z cienia, w którym tkwił całe lata. Jak gdyby w końcu wyzwolił się z roli słodkiego aniołka, bezbronego chłopca do bicia, którą wybrali dla niego w szkole koledzy. Już nie on był tym bitym i poniżanym. Teraz należał do strefy cienia, do świata, w którym to on grał pierwsze skrzypce. Nawet jeśli nie do końca umiał na nich grać.

- Mógłbym tak iść na koniec świata - westchnął i rozejrzał się dokoła z zadowoleniem. Nawet tłusty księżyc wydawał się im

sprzyjać, oświetlając drogę. - Wolność, bracie. Siła. Poczucie dominacji.

- Wszystko do czasu. W końcu udomowi cię jakaś kobieta i będziesz sobie dominował co najwyżej w sypialni, jeśli ci na to pozwoli... - zarechotał Li, strzepując z włosów krople deszczu.

Przed oczyma Igora natychmiast pojawił się obraz Alicji. W sypialni.

- Phi - postarał się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej lekceważąco i rzucił ukradkowe spojrzenie na Li. Na szczęście ten nie zauważył targających przyjaciół emocji.

- Phikaj sobie, ile chcesz. Nie wiesz, że bez żony ciężko żyć? - zakpił tylko. - Zapytaj swojej matki.

- Nie muszę pytać. Już to słyszałem - powiedział ponuro Igor. - Za każdym razem, gdy wracam do domu, matka sprasza na obiad panny i wciska mi kity, że to znajome. A te laski patrzą na mnie jak w obrazek, rozumiesz? Jak na targu niewolników, z tą różnicą, że ja nie chcę kupić, a mi wciskają. - Westchnął. - A ja wiem, że matka nie jest w stanie znaleźć mi tej, której szukam... Tej, która pojedzie ze mną na koniec świata...

- Ty to romantyk jesteś - zarechotał Li.

Igor wzruszył ramionami i poprawił tkwiącą za paskiem broń.

-Taka moja słowiańska natura... A twoja matka? Też cię swata?

- U mnie jest gorzej, bracie. Mnie już dawno wyswatali. Igor ze zdziwienia zgubił rytm i potknął się o własny but.

- Naprawdę?

- Zapomniałeś, że w Chinach tradycyjnie to rodzice zawierają kontrakt ślubny dla swoich dzieci? Zwłaszcza na takim zadupiu jak Qinghai. Tam czas zatrzymał się stulecia temu. Zaręczyli mnie z tą... Jiang - przypomniał sobie. - Mieliśmy wtedy po pięć lat. Na szczęście ojciec zdecydował o wyjeździe. Gdyby nie to, byłbym teraz jej mężem i rolnikiem w Qinghai jak mój dziadek i pradziadek.



I znając swoje możliwości, miałbym już pewnie z szóstką dzieci. To właśnie o tej Jiang moja matka tak ciągle nadaje. Chce, żebym wypełnił złożone przez nich przyrzeczenie i się ożenił. Tyle dobrze, że jak się złości, to przestawia się na mandaryński i nic z tego nie rozumiem.

- Nie chcesz wrócić do Chin?

- Żartujesz? To koniec świata! - Westchnął i zadrżał. - Tutaj to jest prawdziwe życie. Marzenia mogę mieć i mówić co chcę. I szacunek wzbudzam, zwłaszcza kiedy mam na sobie smoking. -Poprawił muszkę.

Skręcili w wąską alejkę.

- Ja bym od razu pojechał do Chin - rzucił Igor i podniósł wzrok na przyklepioną do muru tabliczkę z nazwą ulicy. Dansey Place. Nagle zatęsknił za wolnością, którą utracił, podpisując kontrakt z Pekinczykiem. Spłacił wprawdzie wszystkie hazardowe długi, które zaciągnął przed śmiercią jego ojciec, i mógł wysyłać chorej i niestabilnej emocjonalnie matce spore sumy pieniędzy, ale jego plany i marzenia musiały poczekać. - Chiny są fascynujące.. - dodał tęsknym głosem.

- Masz obsesję - mruknął niechętnie Li, przeskakując przez puszki, które przesuwiał po chodniku wiatr. - Chiny są daleko. A Qinghai to koniec świata.

Zatrzymali się.

Światło księżyca wydawało się tutaj nie dochodzić, jakby blokowane przez wysokie budynki i gęstość nocy. Nie wspominając o smrodzie. Powoli zanurzyli się w mrok i zbliżyli do drzwi jednego z budynków. Na białej odrapanej ścianie przywieszona była tablica z napisem „Los Noodle Factory”.

- Dzisiaj twoja kolej - wyszeptał Li i chwytając za broń, wskazał wymownie na drzwi.

Igor spojrzał na Li jak na umysłowo chorego.

- Zwariowałeś? - odszepnął i wyciągnął przed siebie nogę. -Mam kontuzję. Jeszcze by umarli ze śmiechu, a Pekinczyk nie lubi trupów. Ty wyważaj.

Li wyobraził sobie zapewne komiczną scenę, bo nie wytrzymał i zachichotał, co z kolei nie spodobało się Igorowi. Żarty przeszkadzały mu w koncentracji.

- Czego zęby szczerzysz? - zapytał w końcu.

Li wyszczerzył się jeszcze bardziej. Wyglądał jak młody wilczek, który demonstruje kły.

- Człowiek bez uśmiechniętej twarzy nie powinien otwierać sklepu - wyszeptał.

A potem odbezpieczył broń i jednym kopniakiem otworzył drzwi.

## ROZDZIAŁ 10

Krystyna nie ruszała się. Stała oparta o drzwi, najwyraźniej blokowane z drugiej strony przez Helgę, bo nie dało się ich otworzyć, i czuła, jak narasta w niej strach. W pomieszczeniu było przeraźliwie ciemno. I przeraźliwie cicho. Chociaż, co ze zgrozą sobie uświadomiła, powoli zaczęły dochodzić do niej trudne do zidentyfikowania odgłosy. Wyczuła ręką ścianę, oparła się i cały czas po omacku szukała włącznika światła. Nie znalazła. Wyciągnęła zatem rękę przed siebie, żeby oswoić ciemność, i natrafiła na coś. Coś zmaterializowało się w ciemnościach. Wyczuła żywe ciało. Wierzgnęło jak koń. I w dodatku zarżało.

Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Czeeeeego tu szuuuuukasz? - usłyszała tuż przy uchu czyjś chrapliwy głos, zwielokrotniony echem, jakby ściany też były przeciwko niej.

Tym razem znieruchomiała nie dlatego, że głos mówił po angielsku z rodzimym akcentem, ale dlatego, że był znajomy.

- Janina? Klara Widząca? - zapytała po polsku, odzyskawszy siły w szczękach.

Głos i pogłos umilkły jednocześnie.

- Ktoś ty i skąd mnie znasz? - głos także przerzucił się na polski. Pogłos zamilkł. Najwyraźniej nie znał polskiego.

- Nie poznajesz mnie? To ja, Krystyna. Pracowałyśmy razem w Krakowie, pamiętasz?

Zapadła cisza. A potem Krystyna poczuła na sobie przeraźliwie zimne palce. W pierwszym odruchu pomyślała, że kobieta chce zweryfikować dotykowo jej tożsamość, jak to pewnie robią stuknięte wróżki w ciemnościach, ale po chwili palce przeniosły się dalej i usłyszała nagły klik. Oślepiło ją światło.

Gdy odzyskała wzrok, zobaczyła przed sobą *Madame* Klarę Widzącą, dla znajomych Janinę. Wróżkę. A do tego była konsultantką KMS do spraw astrologicznych.

Krystyna zauważyła, że kobieta schudła i zmizerniała, a jej oczy, zgaszone i nieobecne, wydawały się jeszcze bardziej mętne niż zazwyczaj. Zapewne z powodu bombardujących wróżkę wizji śmierci, które nawiedzały ją za każdym razem, kiedy stykała się z ludźmi z podejrzaną aurą. Przez dłuższy czas Janina leczyła się u Krystyny. Leczenie najwyraźniej nie dało pożądaných rezultatów. Zresztą trudno się dziwić, skoro terapia nie została zakończona. Janina zniknęła nagle z Krakowa, jakiś rok temu, nie zostawiając nowego adresu.

A teraz stała tuż przed Krystyną ze słoikiem w ręku. To pewnie słoik dawał pogłos.

- No, faktycznie Krystyna we własnej osobie. Całe szczęście, że reszty bandy nie przyprowadziłaś - *Madame* Klara wzdrygnęła się z niechęcią. - Co ty tu robisz? Emeryturę ci odebrali?

- Skąd! Mamy w Londynie zlecenie. A ty?

- Szczęściara - mruknęła. - Ja to nigdy nie dostałam emerytury. Ja miałam misję i proszę, jak na niej wyszłam: teraz muszę dorabiać na emigracji... W dzisiejszych czasach nie docenia się prawdziwego altruizmu...

- Altruizmu? - zdziwiła się Krystyna. - Przecież za horoskopy, które robiłaś dla KMS, brałaś jak za zboże...

Wróżka nabrała powietrza w płuca, oburzona, ale potem najwyraźniej przypomniała sobie o czymś i teatralnie zasłoniła dłonią oczy.

- Wiem! I wstydzę się tego! Ale żeby przetrwać, człowiek często robi najgorsze z możliwych rzeczy, świństwa nawet... A potem zawsze cię znajdą i wypomną... - Obdarzyła Krystynę spojrzeniem pełnym urazy, potem odwróciła się i podeszła do stolika, na którym leżały karty i stała szklanka wody. Usiadła na krześle i zrobiła zapraszający gest ręką.

Krystyna zdecydowała się podejść. Wzięła drugie krzesło stojące pod ścianą i postawiła je obok stolika. Usiadła.

- Dlaczego uciekłaś? Nikomu nic nie powiedziałaś. Nawet wy-mówienia nie złożyłaś...

Wróżka wyduła usta.

- Jak to dlaczego? - zirytowała się. - Oczywiście dla pieniędzy. Wszystko straciłam: reputację, dom, kulę... Komornik wszystko przejął, nawet moją reputację!

- Zaraz, zaraz... - wtrąciła się Krystyna. - Kulę to mi wysłałaś pocztą przed zniknięciem. Pamiętasz? Stoi u mnie na komodzie.

Wróżka nie słyszała. Najwyraźniej jej myśli krzyczały głośnie.

- Kota mojego kochanego, Pechowca, musiałam zastawić, żeby bilet kupić!

- Co? - Krystyna ze zgrozą wpatrzyła się we wróżkę. - Zastawiłaś Pechowca!?

- Tak! I ledwie mi starczyło, chociaż to bardzo rzadki kot -potwierdziła, zde gustowana zapewne ceną zastawu i globalnym kryzysem. - Wyjątkowy... - Widząc minę Krystyny, dodała jednak pocieszająco: - Nie przejmuj się, wróci. Umówiłam się z nim na wiosnę...

Przez chwilę panowała cisza. Potem Krystyna, przypomniawszy sobie o swojej misji i czekającej za drzwiami Heldze, postanowiła rozwiązać problem.

- A co ty właściwie robisz zamknięta w tym składziku? - zapytała, ale jeśli liczyła na konkretną odpowiedź, to grubo się pomyliła. Wróżka przybrała poważny wyraz twarzy i przysunęła Krystynie szklankę z wodą.

- Kontroluję sytuację spirytystyczną na świecie - oznajmiła tonem sekretarza generalnego ONZ.

- W pomieszczeniu gospodarczym? - zdołała wyjąkać Krystyna.

- Zauważyłam, że akurat w tym miejscu dają mi spokój i mogę pomyśleć. To taka oaza. Bunkier. One tu nie docierają...

Krystyna przełknęła ślinę.

- Kto?

- Jak to kto? Nie widziałaś? - spojrzała na nią jak na ślepa. - To wszystko przez tych facetów na dole. Oni są bardziej zombie niż ludźmi...

- Ale co ty mówisz, wydają się zupełnie normalni. Wróżka nie słuchała.

- Ciągłe trupy za nimi chodzą. I to parami. A czasami to nawet czwórkami. A odkąd pracuję w tym cholernym budynku, to mi się pogorszyło. Aura nie ta. Teraz to mi się wydaje, że każdy z tych facetów, co na dole ciągle przesiadują, ciągnie za sobą tabun takich...

- Trupów!?

- Cieni. Śmierć cieniem się kładzie, nie wiesz? Ty myślisz, że czemu ciągle palą te kadzidełka?

- Żeby nie było czuć dymu papierosowego? - ujawniła swoją teorię Krystyna. - Za pozwolenie na palenie w pubach są straszne kary...

- Nie! To tylko po to, żeby nie było czuć fetoru umarłych - obwieściła straszonym głosem Klara. - A ta sadystyczna menedżer robi wszystko, co tamci chcą. Bo sama też taka jest. Wszyscy to zombie, wampiry wysysające dobrą energię. Gdybym tylko kota ze sobą miała, to bym kazała mu ich poszcząć, ale tak... - westchnęła ciężko. - Samej mi nie wypada, prawda?

Krystyna oblizwała spierzchnięte usta i gorliwie przytaknęła.

- Opowiadasz im te wszystkie rzeczy?

- Jakie rzeczy? - Janina odsłoniła w niewinnym uśmiechu swoje krzywe zęby, które zapewne na zawsze odebrały radość istnienia niejednemu ortodoncie. - Wróżka prawdę powie...

- Prawda, nieprawda, ale ta biedna Helga wygląda, jakby nie spała przez ciebie po nocach - powiedziała łagodnie Krystyna.

Wróżka pokiwała głową z wyraźnym zadowoleniem.

- Gdybym ci powiedziała to co jej, też byś nie spała - oświadczyła z przekonaniem i zadowoleniem *Madame Klara*. - A poza tym to szczerą prawdą! Hans, znajomy Niemiec z Krakowa, który dał mi adres Helgi, powiedział, że ona na pewno da mi pracę, jak tylko jej przypomnę, co on zrobił dla niej w lecie siedemdziesiątego piątego w Berlinie... I dała - powiedziała znaczącym tonem.

Krystyna zmarszczyła czoło i w ostatnim momencie powstrzymała się od zapytania o to, co to było.

- Przestań ludzi straszyć - zdenerwowała się. Potem dodała nieco łagodniej: - Twoja misja, żeby oświecić ludzkość, jest z góry skazana na niepowodzenie. Ludzie nie chcą znać prawdy. Chcą usłyszeć rzeczy pozytywnie motywujące do życia - mówiła z przekonaniem.

- Może masz rację, Krystyna, normalni ludzie nie rozumieją mojej wyjątkowości... - wymruczała Klara, rozkojarzona. - Ale ci na dole tak! Dlatego się boją. Bo wiedzą, że mam rację...

Krystynie udało się przekonać *Madame Klarę*, że kontrolowanie sytuacji spirytystycznej na świecie z pomieszczenia gospodarczego Helgi nie przynosi rezultatów. Zasugerowała również, że wróżka powinna brać leki, bo ma ostry nawrót choroby. Co do choroby Klara nie była w stu procentach przekonana, ale doszła do wniosku, że ludzie nie są warci jej czasu, i postanowiła odpocząć. A że odpowiednie lekarstwa pozytywnie wpływają na nastrój, zgodziła się pójść do lekarza. Obiecała, że następnego dnia po pracy uda się do pobliskiego szpitala psychiatrycznego. Znała już zresztą większość pacjentów oddziału otwartego. Większość lekarzy też.

Krystyna dostała zatem pracę.

Helga nie wyglądała na zachwyconą perspektywą zatrudnienia kolejnego wykształciucha, ale fakt, że Krystyna potrafiła rozwiązać tak poważny problem, przesądził o angażu. Na razie na próbę i bez umowy, rzecz jasna.

Kiedy Helga zniknęła w niewiadomym miejscu, zapewne by rozkoszować się w samotności rozwiązaniem problemu i wyzwoleniem pomieszczenia gospodarczego, Alicja pogratulowała Krystynie i przy okazji przedstawiła jej Kubę, który właśnie skończył pracę i wychodził do domu.

- Ta wróżka ma dziwny wpływ na ludzi, wie pani? Wszyscy się jej boją - opowiadał, wkładając kurtkę. - Podobno wyczytała Heldze z kart jakieś kryminalne fakty z jej przeszłości i zagroziła, że powie jej jeszcze więcej. Najwyraźniej Helga ma się czego bać, bo nie chciała wzywać policji. Zresztą... - Kuba rozejrzał się i ściszył głos. - Tutaj nie lubi się mundurowych. Stali bywalcy mawiają, że mundurowi komplikują życie, a przecież życie jest już wystarczająco skomplikowane.

-To w ogóle podejrzanе miejsce - wtrąciła Alicja, dyskretnie wskazując w stronę siedzących przy stoliku pod oknem mężczyzn. - Zwróciła pani uwagę na tamtych trzech?

Krystyna nie musiała się odwracać. Wiedziała, że chodzi o Pierre'a i jego kumpli. Pokiwała głową, a Alicja przysunęła się bliżej i zaczęła szeptać:

- Znam się na ludziach, potrafię wyczuć, kiedy ktoś udaje kogoś innego. - Widząc przerażoną minę Krystyny, uśmiechnęła się i zmieniła ton. - Ale proszę się nimi nie przejmować. Oni uważają to miejsce za święte, a tych, co im usługują, za kapłanów. Celebrują tu życie. Nie wiem, z czego żyją i za co piją, ale przychodzą tu od lat. Stworzyli nawet zespół, Impass. Grają co jakiś czas *Uve*, bo Helga uważa, że przyciągają tym swoim graniem klientów, ale według mnie przyciągają tylko świrów. - Wskazała na jednego. - Widzi pani tego w czapce? Tego, co rzuca lotkami? To Fiodor, Rosjanin. Ten Murzyn, Nigeryjczyk, ma na imię Chuks i jest bardzo miły. Tamten trzeci to Francuz, nazywają go Pierre. Obleśny typ.



- Przesadzasz, Alicja. - Kuba wzruszył ramionami. - To normalni faceci, którym nie powiodło się w życiu. Żaden nie ma domu ani rodziny, do których mógłby co wieczór wracać...

- Bywają tu głównie obcokrajowcy? - zaciekała się Krystyna.

- Skąd! Sami Brytyjczycy. - Alicja roześmiała się. - Natura-lizowani oczywiście. To pub emigrantów, pani Krysiu. Zresztą nic w tym dziwnego, jedna trzecia mieszkańców Londynu to emigranci. - Rozejrzała się dokoła. - Czasami mam wrażenie, że większość siedzi tutaj.

Mężczyźni, jakby wyczuwając, że są tematem rozmów, gapili się na nich. Nawet ten, który rzucał lotkami do tarczy, robił to ze wzrokiem wbitym w Krystynę. I zawsze trafiał.

- Na początku byłam przekonana, że planują jakieś zamachy - ciągnęła Alicja. - Tu w Londynie wszyscy są przeczuleni na punkcie terrorystów. Chociaż u mnie to chyba jakieś nerwowe, bo ostatnio to mi się nawet wydawało, że jakaś baba za mną łązi. Wyobraża sobie pani? Wszystko przez tę wróżkę - mruknęła.

Krystyna postanowiła nie drażnić tematu.

- Dziękuję - powiedziała szybko. - Gdyby nie twoja pomoc... Dziewczyna machnęła ręką.

- Wie pani, ja też byłam kiedyś w takiej sytuacji. Byłam sama, nie miałam pracy. I ludzie mi pomogli. To jest ważne. Wsparcie. A gdzie pani mieszka? - zapytała nagle.

- W pensjonacie - odpowiedziała bez zastanowienia Krystyna.

- Naprawdę!? Ależ... pani Krysiu, pani musi wydawać więcej, niż zarabia! Trzeba pani znaleźć pokój!

Alicja zrobiła wielkie oczy i spojrzała oszołomiona na Kubę. Chłopak pokiwał twierdząco głową, wkładając czapkę.

- Nie pomyślałam o tym - miauknęła Krystyna.

Alicja patrzyła na nią przez chwilę, a potem uśmiechnęła się. Postanowiła zapewne przeprowadzić przez emigracyjne piekło zagubioną kobietę w trudnym wieku.

- Wprawdzie tu na górze jest hostel, ale towarzystwo niekoniecznie dla pani, i nocleg też kosztuje. Jeśli pani chce, może pani

zatrzymać się u mnie, dopóki pani nie znajdzie jakiegoś taniego pokoju...

Krystyna zaniemówiła. Nagle poczuła się winna, że wykorzystuje sytuację. Nie miała dziurawego sumienia jak Jadwiga. Cierpiała raczej na wieczne poczucie winy. Alicja, zdając się nie dostrzegać uczuć, które musiały malować się na twarzy Krystyny, mówiła dalej

- ... Normalnie nikomu tego nie proponuję, bo nie jestem taka naiwna jak niektórzy, ale pani przecież z tego samego miasta co ja, a poza tym będziemy razem pracować.

- Ale ja nie mogę... - zaczęła Krystyna szlachetnie. - Nie chcę cię wykorzystywać...

- Nikt tutaj nikogo nie wykorzystuje - oświadczyła z mocą Alicja. I dodała ciszej: - Z wyjątkiem Helgi. Proszę spokojnie jechać do pensjonatu po rzeczy, a potem przyjechać do mnie. Ja wszystko przygotuję, muszę tylko porozmawiać z moją współlokatorką. Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam, bo Justyna była tutaj, kiedy rozmawiała pani z wróżką. Znowu zatrasnęła klucze. - Ciężko westchnęła. - Ciągłe coś się jej przytrafia: a to zatrasnie klucze, a to zgubi telefon albo kartę, i przyłazi tu, denerwując wszystkich...

- Kim jest?

- Tego nikt nie wie. Ukrywa się - wtrącił żartobliwie Kuba. I dodał konspiracyjnym szeptem: - Pod makijażem.

- Justyna pracuje na stoisku Chanel w centrum handlowym, ale zamiast malować klientki, całymi dniami maluje siebie - wyjaśniała Alicja, pisząc jednocześnie na serwetce swój adres. - Mieszkamy razem od niedawna. Jej poprzednia współlokatorka miała załamanie nerwowe i wróciła do kraju. Sama mam wątpliwości, czy wytrzymam z nią do końca umowy - jęknęła.

- Nie przesadzaj. - Kuba wzruszył ramionami i chwycił plecak. - Wydaje się całkiem miła.

Krystyna zauważyła, że na jego piegowatej twarzy pojawił się słaby rumieniec.

- Facetowi każda piękna dziewczyna wydaje się miła - parsknęła Alicja, oddając jednak sprawiedliwość urodzie Justyny.

- Naprawdę? Bardzo ciekawa teoria. Muszę się z nią przespać. -Kuba mrugnął do Krystyny, pożegnał się i wyszedł.

Alicja podała Krystynie serwetkę z adresem. Krystyna wzięła serwetkę, chociaż adres znała na pamięć.

Przez chwilę patrzyła na Alicję z prawdziwym rozczeniem.

- Wiesz, dziecko - odezwała się, ładując serwetkę do kieszeni. -Dzięki tobie odzyskuję wiarę w człowieka.

Wyszła, myśląc intensywnie nad życzliwością Alicji. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, żeby z twarzy dziewczyny zniknął smutek. Z doświadczenia wiedziała, że najlepiej ów smutek ściera mężczyzna. Pocałunkiem.

## ROZDZIAŁ 11

Pensjonat pani Patel miał być tańszą alternatywą tradycyjnych B&B, oferujących wyspiarski klimat, ale jak to zwykle bywa, uczeń przerósł mistrza: pani Patel tak bardzo starała się stworzyć turystom klimat brytyjski, że przedobrzyła. Od nadmiaru kwiatków na tapetach, dywanach, obrusach i obrazkach już po kilku godzinach czuło się zajadłą nienawiść do flory i florystów. Nie wspominając o twórcach owego kwiecistego designu. O ile wystrój wewnątrz wpisywał się, i to aż za bardzo, w klimat wyspiarski, to podawane przez panią Patel posiłki nawiązywały raczej do tradycji kolonialnych.

Danuta, Beata i Jadwiga siedziały przy stoliku nakrytym różanym obrusem, bombardowane indyjskimi piosenkami płynącymi z radia ustawionego niemal na cały regulator, i z ponurymi minami grzebały w curry. Chicken tikka masala pachniało wprawdzie znakomicie, ale jakoś żadna nie kwapiła się do jedzenia. Żadna nie czuła głodu. Jadwiga zdążyła uraczyć je kilkoma opowieściami z młodości o agentce Hindusce, która przewoziła mikrofilmy pod przyklejoną między oczyma *bindi* i podawała swoim gościom curry doprawione akonityną. Teraz patrzyły spode łba na panią Patel parującą w różowym sari, która - jak twierdziła

Jadwiga - mogłaby być siostrą bliźniaczką tamtej, taka była podobna. Wtedy pojawiła się Krystyna. Cała rozpromieniona i bez najmniejszych oznak depresji. Ba! nie wyglądała nawet jakby przeszła menopauzę. Zaróżowiona, zupełnie jak absolwentka po swoim pierwszym *interview*, zakomunikowała, że dostała pracę. Zasiadła do stołu, wygłodniała, i za nic mając opowieści o truciznach i hollywoodzkiej Macie Hari, rzuciła się na doskonałe curry pani Patel.

I zaczęła opowiadać.

Jej opowieść zrobiła piorunujące wrażenie. Nawet Jadwiga zjadła curry, Beata zdążyła już dołożyć sobie trzecią porcję. Z talerza Danuty.

- Lokal jest podejrzany, mnóstwo dziwnych typów, a w środku tego wszystkiego Alicja. Żal mi jej, utknęła w takim miejscu - skończyła opowiadać Krystyna. Popijając wodę, dodała: - Pomyślałam, że prześpię się u niej parę nocy, a potem w ramach wdzięczności zaproszę ją do restauracji, w której pracuje Igor. Nie trzeba będzie posuwać się do drastycznych metod, sama przyjdzie. To, co się tam wydarzy, będzie już zależało tylko od nas. Co wy na to?

Danuta poklepała Krystynę po ramieniu.

- Wiedziałam! Nie miałam żadnych wątpliwości co do tego, że sobie poradzisz! Od jutra wszystko pójdzie jak po maśle, zobaczycie! Kilka dni i wracamy do domu!!!

- Fiu, fiu... Nieodkryta gwiazda wywiadu - mruknęła z uznaniem Jadwiga.

Krystyna z zadowoleniem przyjęła aplauz.

- To się nazywa znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze - powiedziała skromnie. - Nigdy nie zgadniecie, kogo spotkałam. Naszą jedyną, niepowtarzalną *Madame* Klarę Widzącą -wypaliła znienacka, podejrzewając, że może to wywołać wielkie poruszenie.

I wywołało.

- Co ona tu robi!?! - wykrztusiła Jadwiga, dławiąc się curry.
  - Cóż... Chwilowo pracuje i mieszka w hostelu nad pubem *Niespodzianka*, gdzie pracuje Alicja.
  - Proszę, niespodzianka w *Niespodziance*, kto pisze takie scenariusze? - parsknęła Jadwiga.
- Krystyna wzruszyła ramionami. Wytarła usta serwetką i wstała od stołu.
- Muszę iść. Wezmę tylko kilka rzeczy, nie chcę zjawić się za późno - powiedziała z widocznym podekscytowaniem. Jej pierwsza samodzielna akcja w terenie i jaki sukces!
- Jadwiga również podniosła się z krzesła.
- Ja też wychodzę.
  - A ty dokąd? - zdumiała się Danuta.
  - Mam jeszcze coś do załatwienia - oświadczyła enigmatycznie Jadwiga.

## ROZDZIAŁ 12

R.S. Hispaniola, zacumowana przy Victoria Embankment, okazała się starym promem pasażerskim przerobionym już w latach siedemdziesiątych na elegancką restaurację.

Jadwiga zatrzymała się tuż przed zadaszoną białą rampą, która prowadziła na pokład, i jeszcze raz spojrzała na pudełko zapalek. Potem odwróciła się. Po drugiej stronie ulicy w równym szeregu majaczyły tyły okazałych budynków rządowych skupionych wokół Whitehall, od której odchodziła słynna Downing Street. Bliskość ministerstw, a przede wszystkim pracujących w nich ludzi: polityków, wojskowych, urzędników, samotnych sekretarek, dawała Hispanioli strategiczne znaczenie. Jadwiga rozumiała zainteresowanie wywiadu miejscami takimi jak to.

Przeniosła spojrzenie na rzekę. Tamiza stawiała czoło zimnemu wiatrowi, a rozchwiane światła statku oświetlały wzburzoną, ciemną wodę. Statek jednak, dobrze zakotwiczony, nieczuły na siłę wiatru, kołysał się prawie niewyczuwalnym jednostajnym ruchem.

Odsunęła z twarzy kosmyk rudych włosów, którymi zabawiał się porywisty wiatr, i po wąskim pomoście ruszyła przed siebie. Idąc, przypominała sobie, że cierpi na chorobę morską. Musiała

przeplukać gardło. Kiedy, wymawiając sobie od słabych i podatnych na nałogi zdesperowanych rozbitków życiowych, znalazła się przed samym wejściem, z boku wynurzył się starszy już mężczyzna z bujną blond czupryną i w czarnym kelnerskim wdzianku. Wyrzucił za burtę niedopałek i przytrzymał jej drzwi.

Weszła do małego przedsionka prowadzącego do baru i sali restauracyjnej, którą widać było przez przeszklone drzwi.

- Stolik dla jednej osoby? - zapytał kelner.

- Gdybym miała jeść sama, wybrałabym klub samotnych serc - mruknęła, wchodząc do środka i skanując uważnie stoliki w sali restauracyjnej. Nikogo interesującego nie zauważyła.

- Oczywiście, *madame*. Zatem stolik dla dwojga? - skłonił się.

- Troje to byłoby za dużo, nie uważa pan?

Nie pytał więcej, najwyraźniej przyzwyczajony do różnorodnych humorów klientów, i już bez zbędnych uprzejmości zaprowadził ją do stolika znajdującego się tuż przy oknie, dokładnie na wprost słynnego diabelskiego koła, londyńskiego oka, które żarzyło się w ciemnościach niespokojnym światłem.

- Mam nadzieję, że ten stolik zaspokoi pani oczekiwania - powiedział, wskazując ręką widoki. - Rozumiem, że poczeka pani z...

- Wódkę. Podwójną - przerwała mu, rozkojarzona. Kelner ukłonił się i odszedł w stronę baru.

Jadwiga westchnęła ciężko i poczuła, jak napięcie ostatnich dni wbija ją w fotel. Teraz pozostało jej czekać i mieć nadzieję, że teoria, którą dorobiła sobie do siódemki, jest prawdziwa, i że za chwilę zjawi się pierwszy agent Rzeczypospolitej. Z chłopięcym urokiem pocałuje ją w dłoń i przeprosi za prawie roczne milczenie. I za spóźnienie.

Była rozdrażniona. Wpadła w sentymentalny nastrój, ale, jak się pocieszała, kiedy wpaść, jeśli nie w momencie takim jak ten - czekając na mężczyznę swojego życia, z którym życia nie przeżyła. Conan. Akceptowała fakt, że nie należy do facetów, którzy co noc całują na dobranoc tę samą kobietę. Nigdy nie była na tyle głupia, żeby wierzyć, że go zmieni. Kochała go jednak. I nienawidziła



jednocześnie. Całe życie starała się od niego uwolnić, ale wystarczał jeden telefon, enigmatyczna wiadomość, pudełko zapalek, i serce biło jej żywiej, a kolory na twarzy stawały się wyrazistsze. Linia między miłością a nienawiścią w jej przypadku była bardzo cienka i bardzo napięta. A pasja równie często szewska jak miłosna.

Zatopiona w myślach nawet nie zauważyła, że kelner przyniósł jej wódkę. Kiedy w końcu dostrzegła kieliszek, machinalnie podniosła go do ust, cały czas ściskając w drugiej dłoni pudełko i zastanawiając się nad swoją egzystencją. Wypiła duszkiem wódkę - w końcu rozmyślenia egzystencjalne wymagają odpowiedniej oprawy - i podniosła wzrok.

Patrzyło na nią, błyszcząc niespokojnym, złowrogim światłem, londyńskie oko. Nawet wielki, jaskrawy księżyc wydawał się przy nim wyblakły. Przełknęła ślinę. Ogarnęło ją przecucie, że po drugiej stronie Tamizy czai się zło. Jakby rzeka była magiczną linią, której nie wolno przekraczać.

Zadrzała, podświadomie czując paraliżujący strach. Odsunęła kieliszek, rzuciła na stół pudełko zapalek i odwróciła się. Wtedy złapała czyjeś spojrzenie. Kelnera. Przyglądał się jej uważnie, obsługując jakiś stolik.

Po chwili podszedł, przynosząc *menu*, o które nie prosiła, i kolejną wódkę.

- Jadwiga? - zapytał niespodziewanie, wskazując pudełko leżące obok kieliszka.

Pokiwała bez słowa głową.

- Agent Friend. Brytyjski kontakt Conana - wymruczał i podał jej kartę. - Polecamy chicken tikka masala. - Wskazał pozycję, a potem z uprzejmym uśmiechem zaczął tłumaczyć: - Po zejściu z Hispanioli skieruje się pani w prawo i pójdzie prosto, aż do Blackfriars Bridge. Przejdzie pani na drugą stronę ulicy, dojdzie do przejścia podziemnego. Zejdzie pani schodami - mówił monotonicznie i wskazywał na kartę, jakby opisywał potrawy. - Na wprost schodów zobaczy pani dwoje drzwiczek. Górne będą

otwarte... - Uśmiechnął się obojętnie, a potem przeszedł na angielski i zapytał już głośniejszym głosem: - To co podać? Jadwiga przełknęła ślinę.

- Nie jestem głodna - odpowiedziała z trudem.

- Doskonale. Rachunek zatem? - zapytał, a kiedy pokiwała głową, zrobił zapraszający gest w stronę baru.

Jadwiga wstała i podążyła za nim. Kiedy doszła do siebie, znowu rozejrzała się dokoła. Złapała przelotne spojrzenia faceta w kowbojkach, tlenionej podpitej blondynki podrywającej przystojnego kelnera i dwójki młodych Hindusów.

Roztargniona schowała kartę i spojrzała na rachunek.

- Zamówiłam podwójną wódkę - powiedziała. - A policzył mi pan za jedną.

Uklonił się.

- Mamy promocję dla nowych klientów, żeby znowu nas odwiedzili...

- ostatnie słowa zaakcentował. - Jutro. Godzinę później.

Jadwiga, zupełnie nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, przeszła przez pomost z powrotem na ciemną ulicę. Zatrzymała się na chwilę. Postawiła kołnierz i niezdecydowana spojrzała w prawo. Reflektory mijających ją samochodów oświetlały widoczne w oddali budynki i mosty. Szybkim krokiem przebiegła przez ulicę i skierowała się w prawo. Szła obok parku ciągnącego się wzdłuż szeregu potężnych budynków, czując, jak popycha ją wiejący znad rzeki porywisty wiatr.

W pewnej chwili, wiedzona instynktem, odwróciła się. Dostrzegła niewyraźną postać. Niewiele myśląc, przyspieszyła kroku. Drzewa, podświetlone przez latarnie, rzucały na chodnik poskręcane, długie cienie, zupełnie jak ręce trzymające parasole. Dopiero jakaś gałązka, która smagnęła ją po policzku, pozwoliła jej ułożyć myśli w spójny i logiczny ciąg.

Zwolniła, chcąc uspokoić oddech. Znajdowała się tuż obok majestatycznego budynku z wielkimi białymi kolumnami i z obszernymi

wnękami przy wejściu. Nie zastanawiając się, skręciła do budynku i przykleiła się do wnęki. Ból w piersiach i błyski przed oczami uświadomiły jej, że żelazna kondycja, z której zawsze była taka dumna, wyraźnie zardzewiała. Człowiek zauważył, że się starzeje, w najmniej odpowiednim momencie. I zawsze go to zaskakuje.

Policzyła do dziesięciu i delikatnie wychyliła głowę. Nic. Poczekała jeszcze chwilę. Niewyraźna sylwetka minęła budynek spokojnym krokiem, nie odwracając się nawet w jej stronę. Kiedy światła przejeżdżającego samochodu rozświetliły mrok, Jadwiga rozpoznała mężczyznę w kowbojkach, którego widziała na Hispanioli. Najwyraźniej także skończył drinka i wracał do domu.

Po chwili Jadwiga wyłoniła się z mroku i wróciła na chodnik. Szła za mężczyzną przez jakiś czas. Kiedy dotarł do skrzyżowania, przeszedł przez ulicę i wkrótce zniknął na moście. Dopiero wtedy Jadwiga wyszła z cienia. Na rogu Victoria Embankment i Blackfriars Bridge zatrzymała się jeszcze i dyskretnie rozejrzała. Niczego podejrzanego nie zauważyła, znalazła wejście do tunelu i zaczęła schodzić po schodach. Zatrzymała się na ostatnim schodku i z lękiem spojrzała w głąb mrocznego korytarza rozjaśnionego zaledwie słabo żarzącymi się neonowymi światełkami. Wyłożony białymi kafłami i podtrzymywany na całej długości krwistoczerwoną metalową konstrukcją, budził jednoznaczne skojarzenia. Z prosektorium. Czerwień na białych kafłach. Niepokojący kontrast. Na wprost schodów rzeczywiście znajdowały się drzwi. W pierwszym momencie odniosła wrażenie, że to drzwi do jakiegoś pomieszczenia, ale po chwili zorientowała się, że drzwi są podzielone, za nimi musiały znajdować się kable i przełączniki świateł. Podeszła bliżej i powoli wyciągnęła rękę. Bez wahania nacisnęła na klamkę i drzwiczki otworzyły się z niepokojącym zgrzytem, który w ciszy tunelu zabrzmiał jak odbezpieczana broń.

Conana w środku nie było.

Zobaczyła za to małą wnękę pełną pajęczyn i wystających kolorowych drutów i kabli. Pod tym kłębowiskiem przewodów znajdował się pakunek owinięty szarym papierem.

Nagle dudnienie kroków.

Bez zastanowienia sięgnęła po paczkę i wrzuciła ją do torby. Zamknęła drzwiczki. Dudnienie kroków słyszała nawet w głowie. Kiedy chaotycznie udawała, że szuka czegoś w torbie, z tunelu powoli wynurzył się mężczyzna. Zbliżając się, rósł, stawał się coraz większy. Zwolnił tuż koło niej. Minał ją obojętnie, jakby była wystrojem wnętrza. Cóż... kobieta menopauzalna, przezroczysta, szara. Zlewa się z tłem. Trafia do niepamięci.

Jadwiga oparła się o mur, oddychała ciężko. Wyciągnęła z kieszeni piersiówkę i pociągnęła spory łyk.

Myślała o pakunku, który schowała do torby.

Jego ciężar był jej wyjątkowo dobrze znany.

W mgnieniu oka Jadwiga znalazła się z powrotem na Hispanioli. Agent Friend na jej widok od razu stracił obojętny wyraz twarzy. Bez słowa podszedł do niej i chwyciwszy ją za ramię, wyprowadził na zewnątrz.

- Co pani robi? - syknął wściekły, rozglądając się dokoła, jakby w ciemnościach nocy roiło się od latających szpiegowskich mini-urządzeń w kształcie moskitów. - Opanuj się, kobieto! Teraz będę musiał wszystkim powiedzieć, że jest pani moją żoną! - na samą myśl aż go odrzuciło.

Jadwiga wyszarpnęła z torby paczkę i rzuciła w niego z irytacją.

- Co to ma znaczyć!?

Zgiął się pod siłą uderzenia. Powoli odwinął papier i zerknął do środka, a zobaczywszy pistolet, skrzywił się i szybko oddał jej zawiniątko.

- Skąd ja mam wiedzieć? Może Conan chce panią prosić o przysługę?

- powiedział ironicznie i rozłożył ręce.

- A co? Jego aktualna sekretarka jest za młoda, żeby umrzeć? Dlaczego jeszcze się ze mną nie skontaktował!? O co wam chodzi!?

- Na miłość boską, ciszej - syknął wyraźnie zdenerwowany, rozglądając się uważnie dokoła.

Jadwiga także się rozejrzała i odetchnęła głęboko, starając się uspokoić nerwy. Spojrzała na Tamizę - wydawała się czarną wzburzoną wstęgą zlewającą się z mrokiem, przedzielaną tylko gdzieś tam przez oświetlone mosty, paski zawieszane na horyzoncie.

- Proszę posłuchać, jestem tylko skrzynką kontaktową - powiedział Friend. - Nie chcę być martwym punktem. Mam własne zadania. W centrali kazali mi panią zidentyfikować i przekazać wiadomość... Proszę przyjść jutro, dokładnie godzinę później niż dzisiaj. Trzeba być nieprzewidywalnym, dla własnego i naszego bezpieczeństwa, w końcu rutyna zabija. - Spojrzał jeszcze na Jadwigę, a potem niecierpliwym ruchem ręki dał jej do zrozumienia, żeby już sobie poszła. Bo tu się pracuje.

## ROZDZIAŁ 13

Odsapnąwszy nieco po kolejnej udanej akcji, chłopcy poprawili smokingi i muszki, przetarli lakierki chusteczkami higienicznymi, a potem w milczeniu wspięli się po stromych drewnianych schodach na piętro restauracji. Zatrzymały ich kuloodporne drzwi prowadzące do biura pana Wu, właściciela Cesarzowej Syczuanu, zwanego powszechnie Pekińczykiem. Z powodu pochodzenia, bo z wyglądu przypominał raczej bulteriera.

O Pekińczyku mówiło się wiele rzeczy, przede wszystkim, że jest mądry i pomaga w potrzebie, że jego ramię jest znacznie dłuższe niż ramię sprawiedliwości i że należy do mafijnej triady. Igor nigdy tak naprawdę nie zastanawiał się nad tymi opowieściami. Był świadom, że interesy Pekińczyka są ryzykowne i podejrzane i że on sam, zobowiązując się do posłuszeństwa, część tego ryzyka wziął na siebie. Ale Pekińczyk pomógł mu spłacić wszystkie długi ojca, a teraz płaci mu więcej, niż można by oczekiwać, tylko dlatego, żeby mógł utrzymać matkę w Polsce. Igor był mu za to wdzięczny, chociaż ta wdzięczność była okupiona wieloma godzinami gorzkich rozmyślań. I z wątpienia.

Chłopcy nie zdążyli zapukać.

Kuloodporne drzwi biura pana Wu otworzyły się gwałtownie i na korytarz jak rozdrażniony tygrys wyskoczył pan Mao w swoim nieśmiertelnym czarnym hanfu. Nie zwracając na nich uwagi, zbiegł po schodach i wybiegł na ulicę. Igor i Li, zdziwieni nieco gwałtownością jego wyjścia, wymienili spojrzenia i z pewnym wahaniem weszli.

W biurze panował niepokojący mrok. Pekińczyk, w nienagannym smokingu, stał przy oknie, wpatrując się w ciemność nocy. Nie odwrócił się, kiedy weszli. Stanęli zatem pod ścianą, tuż koło drzwi, i w milczeniu czekali na jego słowa. Igor dyskretnie rozglądał się dokoła. Rzadko tu bywał. Zazwyczaj Pekińczyk osobiście zjawiał się w restauracji i tam ganił, ostrzegał tudzież chwalił i rozdawał bonusy. Albo kopniaki.

Wystrój był minimalistyczny. Wielkie mahoniowe biurko, półka z segregatorami pełnymi danych dłużników, takich jak Igor, i kilka krzeseł stanowiły właściwie całe wyposażenie pomieszczenia. I sztalugi, co ze zdziwieniem zauważył Igor. Musiały być nowym nabytkiem. Na nich znajdował się zakryty szmatą obraz.

Li też zwrócił na nie uwagę, bo nachylił się do milczącego Igora i wyszeptał ledwie słyszalnie:

- To on maluje?

Igor uciszył go kuksańcem. Szept wybudził jednak z rozmyślań Pekińczyka. Mężczyzna odwrócił się, ukazując stroskaną twarz, na której ospa zostawiła straszliwe dziury. Skinął im głową.

- Muszę z wami porozmawiać - zaczął uroczystą przemowę. W przeciwieństwie do pana Mao, który używał jedynie mandaryńskiego, ewentualnie dialektu z rodzimej prowincji, Pekińczyk mówił tylko w języku urzędowym chińskiej dzielnicy, po angielsku. - Przez wiele lat chronilem interesy chińskiej dzielnicy - powiedział i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu. - Zawsze pomagałem ludziom, płaciłem ich długi, budowałem pagody i fundowałem pogrzeby. Czasy się jednak zmieniły. Interesy idą fatalnie, coraz trudniej negocjować ceny, do tego policja...

Coraz więcej mnie kosztuje, żeby pilnowali własnego nosa - westchnął. - Niedługo nie będzie mnie stać, żeby pomagać potrzebującym. Wyliczyłem, że płacę tylu ludziom, że to przestaje mieć sens. A teraz nadszedł kryzys i muszę przedsięwziąć drastyczne środki, żeby przetrwać.

Igor odniósł wrażenie, że zaraz go zwolnią z powodu cięć w budżecie. Aż poluzował kołnierzyk, tak się spocił.

Pekińczyk jeszcze przez jakiś czas krążył po pokoju, nie odzywając się, a chłopcy, nie wiedząc, do czego zmierza, wsłuchiwali się w skrzypienie desek i zastanawiali, czy pusty odgłos tuż obok biurka oznacza schron w podłodze, czy sejf.

W końcu pan Wu podszedł do tajemniczych sztalug i ściągnął szmatę. Ich oczom ukazał się obraz.

- Podoba się wam? - zapytał.

Kiedy pierwszy szok minął, Li zachichotał bezwiednie.

- Sam pan to namalował? - wyrwało mu się. Pekińczyk spojrzał na niego pobłaźliwie.

- Chciałbym... - powiedział, udając, że nie słyszy ironii. - To dzieło sztuki. Mówię o oryginale, bo to oczywiście kopia. Picasso, *Martwa natura z serem* - wyjaśnił. - Piękny prawda? Kazałem sobie namalować, żeby upamiętnić tę wiekopomną chwilę.

Li przestał się śmiać i od razu przeszedł do konkretów.

- To znaczy jaką?

Igor bez słowa wpatrywał się w obraz, chcąc zobaczyć owo inspirujące piękno, ale jedyne, co osiągnął, to stan rozbawienia. Chciało mu się śmiać. Jak głupiemu do sera.

- Od dłuższego czasu śledzę aukcje dzieł sztuki - mówił dalej Pekińczyk. - Picasso jest niezwykle łakomym kąskiem dla ko-j lekcjonerów... Chcę, żebyście go dla mnie zdobyli - powiedział,] jakby zlecał im zwykły napad na sklepik za rogiem. '

Igor momentalnie spoważniał. Po tonie Pekińczyka poznał, że to propozycja nie do odrzucenia.

Pan Wu mówił dalej, obojętnie, jakby dyktował menu na niedzielny lunch.



- Obraz znajduje się w domu przy Chester Square i należy do niejakiego Archibalda Nelsona, którego ojcem jest lord Nelson, wybitny negocjator naszego rządu. W przyszłą sobotę otwierają się ciekawe możliwości nabycia obrazu. Okazuje się, że lord Nelson organizuje w swojej okazałej rezydencji w Holland Park przyjęcie, o czym piszą zresztą wszystkie szmatławce. Nie wyobrażam sobie, żeby jego jedyny syn, Archibald, się na tym przyjęciu nie pojawił...

Li odchrząknął.

- Ale... takie obrazy są zapewne dobrze chronione - odważył się zauważyć.

Pekińczyk tylko wzruszył ramionami.

- Firmy ubezpieczeniowe chcą, żebyśmy tak właśnie myśleli. Rzeczywistość jest dużo bardziej różowa. Zazwyczaj prywatni właściciele mają zaledwie zwykły alarm - przerwał na chwilę. - Musicie także wiedzieć, że pan Mao i ja nie zgadzamy się w kwestii Picassa. Próbowałem mu wytłumaczyć, że ryzyko jest marginalne, ale jemu nie chodzi o ryzyko. Uważa, że wyjście poza chińską dzielnicę i rozpoczęcie nowej działalności nie przyniesie niczego dobrego, że wszystko powinno zostać tak, jak jest. Pan Mao nie lubi zmian. Ja jednak uważam, że nasza szansa na przetrwanie to przebranzowić się.

Li i na tę okazję miał odpowiednie przysłowie.

- Kiedy wieją wiatry zmian, jedni budują mury, inni wiatraki -zacytował.

Pekińczyk pokiwał z zadowoleniem głową i nawet klasnął.

- Właśnie. Cieszę się, że myślicie podobnie jak ja. Zdecydowałem, że zaczniemy od tego właśnie obrazu. - Wskazał na płótno. - To będzie symbol naszego wspólnego sukcesu. Oczywiście, jeśli wam się uda. W zamian umorzę wasze długi. I dorzucę tłustą sumkę. Potem porozmawiamy o rozwinięciu interesów. Dobrze by było wziąć kogoś do pomocy, kogoś, kto z czasem nauczyłby was tego i owego... - zamilkł, jakby sobie o czymś przypomniał.

Kiedy podszedł blisko, Igor odniósł wrażenie, że ślady po ospie na jego twarzy nabrały złowrogiej głębi.

- Zadanie miał wykonać dla mnie wasz kolega Yao, ale niestety boleśnie mnie zawiódł... Wziął zaliczkę i zniknął. Teraz nie mam wyboru... - Jego głos stał się nagle nieprzyjemny. - Czy zawiedziecie mnie tak jak Yao?

Igor przełknął ślinę.

- Nie zawiedziemy pana, panie Wu - powiedział cicho.

## ROZDZIAŁ 83

Krystyna drżącą ręką nacisnęła dzwonek do drzwi znajdujących się pomiędzy sklepem charytatywnym należącym do Cancer Research a antykwariatem. Muzułmanin sprzedający kebabyhalal w budce naprzeciwko wpatrywał się w nią intensywnie, pewnie chciał ją zahipnotyzować, żeby kupiła, ale nie skusiła się. Domofon zatrzeszczał i drzwi zostały otwarte.

Szybko weszła do środka. Taszcząc swoją torbę podróżną, rozejrzała się dokoła, a po krótkim wahaniu weszła schodami na górę, gdzie zobaczyła niebieskie drzwi. Otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. Usłyszała też głos. Mówił w rodzimym języku, ale jego ton był tak opryskliwy, że nadawał mu obce brzmienie.

- No proszę, najbardziej wyczekiwany gość wieczoru.

W drzwiach zobaczyła dziewczynę - młodą, wysoką i piękną blondynkę o pełnych, idealnie wykrojonych ustach. Spojrzenie miała jednak brzydkie. Krystyna odniosła wrażenie, że ten paskudny wzrok wypycha ją na zewnątrz. Świadoma jednak swojej misji dzielnie stała w miejscu. Na wszelki wypadek trzymając się framugi. Na szczęście nieprzyjemne uczucie zaczęło wyraźnie słabnąć, a w końcu zniknęło, i dziewczyna niecierpliwym gestem zaprosiła ją do środka.

Cóż było robić? Krystyna rozejrzała się jeszcze dokoła, chwyciła torbę i weszła.

- Dzień dobry. Właśnie... - Żadnej reakcji. - A... Alicja jest? -zapytała.

- Wyszła tylko do Hindusa, do sklepu za rogiem - mruknęła enigmatycznie dziewczyna, przyglądając się Krystynie natarczywie, bez żadnych oporów. - Ubzdurała sobie, że pani dawno polskich produktów nie jadła, i postanowiła zrobić pani niespodziankę. Nie żeby mi kiedykolwiek takie niespodzianki robiła... -Westchnęła teatralnie i wreszcie się przedstawiła: - Justyna jestem.

- Miło mi. - Krystyna się uśmiechnęła, ale dziewczyna nie była zainteresowana wymianą grzeczności. Nie odwzajemniła uśmiechu. Najwyraźniej nie była zachwycona dziką lokatorką, i to w dodatku w tym wieku, może nie matuzalemowym, ale matczynym na pewno. .

- Myślałam, że jest pani młodsza - powiedziała tylko, jakby usprawiedliwiając swoje zachowanie.

- Cóż... zawsze wyglądałam poważnie jak na swój wiek... - zaczęła Krystyna, ale widząc powątpiewający wzrok Justyny, urwała.

Dziewczyna, niezachęcającym gestem każąc jej iść za sobą, ruszyła w kierunku kolejnych drzwi. Jak się okazało, kuchennych. Kuchnia była duża, z wielkim stołem i podstawowym wyposażeniem.

- Proszę się rozgościć. Później rozłożę pani materac - poinformowała sucho.

Krystyna roześmiała się.

- Na stole!?! - zażartowała.

- Pod - uściśliła Justyna, żeby nie było nieporozumień. Nagle Krystyna zateśkniła do własnego łóżka - z miękkim

materacem i atlasową pościelą, najlepszą na zmarszczki i wspomnienia, którymi żyła.

Przez długą chwilę panowała krępująca cisza, którą Krystyna zdecydowała się przerwać. Położyła torbę na podłodze, ściągnęła płaszcz i usiadła na krześle. A potem poprosiła o wodę.

- Długo tu mieszkasz? - zapytała, żeby coś powiedzieć.

- W Londynie ze dwa lata. - Justyna wzruszyła ramionami, podając jej szklankę. - W tym mieszkaniu pół roku. Wynajęłam je z koleżanką, ale koleżanka postanowiła wrócić do Polski. Nie wytrzymała tempa, wie pani? Dobrze, że znalazła się Alicja, bo musiałabym się wyprowadzić...

- Ty też masz zamiar wracać?

- Jeszcze nie wiem. Nie znalazłam jeszcze tego, po co tu przyjechałam.

- Mężczyzny? - Krystyna uśmiechnęła się. Justyna spojrzała na nią krzywo.

- Pani też należy do tych, co to uważają, że dziewczyna, gdy tylko osiągnie pełnoletność, powinna jak najszybciej zmienić stan cywilny i rodzić słodkie bobaski? - skrzywiła się.

- Nie, skąd! - Krystyna potrząsnęła głową. - Ja tylko zażartowałam... Nie słuchała.

- Ależ nie musi pani nic mówić, pani ma mentalność mojej matki. Ona cały czas nadaje, że powinnam znaleźć sobie jakiegoś bogatego biznesmena, że nie po to mnie tak rozpieszczała i nie po to taka ładna się urodziłam, żebym teraz sama na siebie harowała. .. - Justyna spojrzała na Krystynę swoimi wielkimi kocimi oczyma i dodała z zadumą: - A czy to tak trudno zrozumieć, że ja chcę od życia czegoś więcej niż właściciela ubojni?

Na szczęście jej wynurzenia przerwał dźwięk otwieranych drzwi. Krystyna poczuła nagłe uderzenie gorąca, ale wyjątkowo się tym nie przejęła. Rozpięła tylko sweter i spojrzała w stronę korytarza, z którego po chwili wyłoniła się Alicja Karolak - ładna, samotna i bez nałogów, nieświadoma tego, że od tygodnia poluje na nią przeznaczenie. Zaróżowiona po spacerze wyglądała niezwykle atrakcyjnie. Aż Justyna odruchowo wygięła wargi.

- Trafiła pani? Cieszę się - Alicja zaszczębiotała radośnie, zupełnie nie przejmując się kwaśną miną współlokatorki. Położyła na stole reklamówkę i ściągnęła beret i kurtkę, umyła ręce

i zaczęła przygotowywać kolację. Już po chwili kuchnię wypełnił zapach smażonej kiełbasy i pierogów.

- Pachnie domem, prawda? - powiedziała z tęsknotą w głosie.

- Pachnie kiełbasą - sprostowała Justyna, zerkając ze zniecierpliwieniem na patelnię.

Alicja roześmiała się, a dołeczki w jej policzkach zrobiły się zadziorne.

Krystyna wyszła na chwilę do łazienki, a kiedy wróciła, wszystko było gotowe.

Usiadła nieco spięta, dziękując Alicji, która z troskliwą miną nałożyła jej porcję.

- Proszę opowiedzieć coś o sobie. Ma pani rodzinę? Dlaczego pani tu jest? - zapytała zaczepnie Justyna, nabijając na widelec pieroga.

Alicja spojrzała na Justynę z wyrazem twarzy mówiącym „nie poruszaj drażliwych tematów”, ale ta nie dała się zbić z tropu. Twarda sztuka.

Odpowiedziała miną „o co ci chodzi?” a na głos oświadczyła:

- Ja z tą panią mam w jednym domu mieszkać... A jak mnie zabije? Czasem do emigracji różne rzeczy ludzi zmuszają, może ma kryminalną przeszłość. Musimy się lepiej poznać.

Krystyna poczerwieniała i zrobiła wielkie oczy, ale na szczęście nic nie musiała mówić, bo Alicja pisnęła z oburzenia, że takie straszne rzeczy opowiada, i szybko wyjaśniła sprawę pożaru, córki na utrzymaniu i czwórki jej dzieci, aż Krystyna zdumiała się, że wszystko zapamiętała.

Potem znowu zapanowała cisza, przerywana odgłosami jedzenia.

- Rozumiem, że męża pani nie ma - Justyna nie odpuszczała.

- Miałam.

Justyna pokiwała głową z miną wszystkowiedzącą.

- Zostawił panią? - Wywróciła oczami. Krystyna zakrztusiła się.

- Umarł - dokonała szybkiej weryfikacji.

Na twarzy Justyny pojawiło się współczucie. Bardzo chciała powiedzieć coś miłego, coś na miejscu.

- Jeden porządny - wymyśliła w końcu.

Krystyna nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Po chwili jednak zauważyła, że nie ona jedna śmieje się przez łzy. Alicja płakała.

Krystyna, zaskoczona nagłym wybuchem dziewczyny, wymieniła z Justyną zdziwione spojrzenia (z tym że w spojrzeniu Justyny więcej było zniecierpliwienia niż troski), wstała i podeszła do Alicji.

- Dziecko, co się stało? - zapytała łagodnym głosem, obejmując ją ramieniem.

- Nie potrafię od tego uciec. Codziennie wstaję, robię to, co do mnie należy, żyję, śmieję się, płaczę... Ale w moim życiu brakuje sensu. Wszystko wydaje się takie puste... To nie chce odejść! - wyrzucała z siebie potoki słów.

- Co!? - zdenerwowała się Krystyna.

Justyna, wyczuwając przez swoją grubą skórę powagę sytuacji, przestała jeść.

Alicja wytarła nos, uspokoiła się nagle i zrezygnowana oparła się o ścianę. Otarła łzy, a potem zaczęła mówić:

- Wszystko zaczęło się dwa miesiące temu...

## ROZDZIAŁ 15

Igor i Li wrócili do pomieszczenia dla personelu i przez długi czas siedzieli w milczeniu, wpatrując się dramatycznie w wyłączony telewizor. Żaden z nich nie miał odwagi rozpocząć dyskusji. W końcu Igor wstał i zaczął rozlewać wino ryżowe, które tradycyjnie jako podziękowanie za trud i serce włożone w pracę pan Wu zostawiał na wieczór dla swoich pracowników. Zastanawiał się przy tym nad propozycją Pekińczyka i jej konsekwencjami. Myślał o emigracji, o swoim życiu, w którym nic nie potoczyło się tak, jak planował, o marzeniach, które się nie ziściły. Przyjechał do Londynu, żeby spłacić hazardowe długi ojca. Ojciec umarł i okazało się, że długów jest znacznie, znacznie więcej i że matka nie jest w stanie zatroszczyć się nawet o własne zdrowie. Wtedy, będąc u kresu wytrzymałości, spotkał w pubie Li, który zafascynowany Polakiem znającym mandaryński o niebo lepiej od niego, rodowitego Chińczyka, zaprowadził go do pana Wu. A ten postanowił pomóc nieznanemu w potrzebie. Ale nie ma nic za darmo... A Pekińczyk na pewno nie miał natury miłosiernego samarytanina. Jedyne chrześcijańskie określenie, którym można go było opisać, to „ojciec chrzestny”.

Igor westchnął. Zatęsknił za wolnością. Za normalnym życiem - bez strachu i oglądania się za siebie.



Zdecydował. Jeśli dzięki akcji z Picassem zdobędzie wolność i pieniądze na urzeczywistnienie marzeń, to to zrobi, ukradnie obraz. Tym bardziej że wyjazd wydawał mu się jedynym sposobem, by uwolnić się wreszcie od wspomnień i marzeń o Alicji.

Zdeterminowany do działania spojrzął na Li. I mimowolnie zachichotał.

- Rozluźnij się, wtedy wszystko łatwiej wychodzi - parsknął, nie mogąc opanować uśmiechu na widok głębokiej zadumy na twarzy kumpla. - Lepiej wypijmy. - Wręczył mu kieliszek.

- Za co ty chcesz pić? - odezwał się w końcu Li, przymykając oczy.

- Za marzenia. Te niespełnione... Niech się wreszcie spełnią.

- Marzenia marzeniami, ale widziałeś to... coś? Przecież to wstyd kraść, a co dopiero wieszac na ścianie!

- Nie przesadzaj! To sztuka... - powiedział, wzniosłszy kieliszek.

Ale Li nie słuchał. Gwałtownym ruchem odstawił wino i poluzował muszkę.

- Jeszcze żeby goła sztuka, to rozumiem - mówił, a na jego twarzy wciąż widać było prawdziwe niedowierzanie, wręcz szok. -Goła baba na płótnie to sztuka, sam pewnie oglądałbym coś takiego z zadumą, ba! to nawet trzeba oglądać z zadumą, bo jeśli taki Picasso namalował golasa, to miał w tym jakiś wyższy cel, trzeba ten sens wydobyć, to nie jest pornografia, bo Picasso nie jest przecież zboczonym erotomanem tylko mistrzem.

Igor wybuchnął śmiechem.

- Zapewniam cię, te gołe, które namalował, to są dopiero straszne.

- Dobra, ale kawałek gołej dupy, zwłaszcza kobiecej, potrafi natchnąć do wielkich rzeczy, nawet jeśli jest czystą abstrakcją i wystaje z jakiejś głowy czy oka, ale... ser?

- Ser czy goła dupa, jakie to ma znaczenie? Picasso wart jest fortunę. A dla nas oznacza spełnienie marzeń...

Li zerwał się z krzesła z prawdziwym przerażeniem.

- Zwariowałaś!? Mnie na taki skok nie namówisz! Tacy bogaci i wpływowi goście mają liczne zabezpieczenia, alarmy i nikt mnie nie przekona, że jest inaczej. Poza tym to Picasso! Ryzyko jest zbyt duże - skończył z zaciętym wyrazem twarzy.

Igor westchnął. Po chwili postanowił spróbować innego podejścia. Na litość.

- Słuchaj, Li, ja już mam dość wyważania drzwi i całego tego rozbijania się - jęknął z żalnością w głosie. - Ten palec w prawej nodze, który sobie wybiłem w zeszłym miesiącu, nadal mnie boli. Nie wspominając o kolanie. To jest bardzo urazowa robota i bynajmniej nie szczyt moich ambicji. Chcę w końcu zacząć normalnie żyć, bez strachu, że mogę nie dożyć do rana... - umilkł. - Musisz mi pomóc. Bez ciebie sobie nie poradzę. Jesteśmy drużyną, pamiętasz? Jak Jaś i Małgosia, jak Flip i Flap... Jesteśmy tandemem: ja ciągnę, ty pchasz. Ty wyglądasz jak Chińczyk, a ja mówię po mandaryńsku...

Przez chwilę panowała cisza. Li kiwał się na krześle, nie wydawał się przekonany. Nagle pisnął i gwałtownie sięgnął ręką do kieszeni swojego smokingu wiszącego na oparciu krzesła. Triumfalnie wyciągnął ciasteczko z wróżbą.

- Gwizdnąłem z wytwórni makaronu - przyznał ze skruszoną miną. - Były w tym wielkim słoju na ladzie, który przestrelilem, wychodząc. Chińskie ciasteczka pełne są mądrości przodków. Uwielbiam je - oświadczył uroczyście, a potem przełamał ciastko na pół i wyciągnął papierowy rulonik. - Zobaczymy, co mi pradiadki radzą.

Spojrzał na karteczkę i od razu go odrzuciło.

- Nie znoszę tych robaczków! Brrr... Im dłużej na nie patrzę, tym większe mam wrażenie, że zaraz zaczną się ruszać, obleżą mnie, a potem zjedzą. Kto wymyślił te znaki? Na pewno jakiś socjopata...

- Powinieneś popracować nad językiem ojczystym. Kiedyś będziesz chciał odwiedzić dziadków w Chinach... - zaczął ze śmiechem Igor, biorąc od Li karteczkę.

- Błąd chwili staje się troską całego życia - przeczytał.

## ROZDZIAŁ 91

Jadwiga wróciła do pensjonatu późno, przytłoczona wydarzeniami ostatnich godzin i pakunkiem, który ciążył jej w torbie jak bryła betonu przyczepiona do nogi ofiary mafii.

Koleżanki spały już, bo spod ich drzwi nie wylała się żadna smuga światła, poszła więc prosto do swojego pokoju. Ściągnęła płaszcz. Z cichym westchnieniem otworzyła torbę i wyciągnęła pistolet. Zimno metalu wywołało w niej nieprzyjemny dreszcz. Schowała pistolet pod poduszkę, a potem umyła się szybko w wannie koloru zgniłej brzoskwini. Starła się zrozumieć sens istnienia dwóch kranów, jednego z gorącą, drugiego z zimną wodą, ale zabrakło jej wyobraźni i położyła się do łóżka.

Była wykończona psychicznie i fizycznie. Miała nadzieję, że szybko zaśnie, ale przewracała się tylko z boku na bok, bo bezsenność uparcie nie chciała zniknąć.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że wpakowała się w taką kabałę. Chociaż takie właśnie jest życie - nieprzewidywalne i wybuchowe, ale dzięki temu ekscytujące. Miłość, zazdrość, nienawiść, wybór... czym są, jeśli nie pułapkami życia? Nawet macierzyństwo wydawało się jej jedną z takich pułapek. Nie wspominając o małżeństwie. Bo każdy związek jest tykającą bombą. A tylko niektóre to niewypały.

Kiedy w końcu rozum zaczął przegrywać ze zmęczeniem, do jej pogrążającego się w niebycie umysłu dobiegł jakiś hałas. Zerwała się, hiperprzytomna, i usiadła na łóżku. Usłyszała kroki na korytarzu. Poczwała, że sztywnieją jej palce, a krew zastyga w żyłach.

Sen rozprysnął się jak spadająca szklanka.

Szmer przy drzwiach.

Wstała. Łóżko zaskrzypiało. Szmer ucichł.

Przez chwilę stała, znokautowana przez strach. Sięgnęła pod poduszkę. Zimno metalu otrzeźwiło jej myśli. Na palcach podeszła do drzwi.

Ktoś bardzo ostrożnie grzebał w zamku.

Odbezpieczyła broń i stanęła za drzwiami.

Klamka poruszyła się i po chwili drzwi zaczęły otwierać się z cichym zgrzytem. Jadwiga policzyła do trzech. Przełknęła ślinę.

Kiedy drzwi zostały otwarte, wyskoczyła nagle zza framugi i przyłożyła intruzowi lufę do skroni, wrzeszcząc przy tym strasznym głosem, zarezerwowanym tylko i wyłącznie dla psychopatycznych Kowalskich.

- Ręce do góry, bo strzelam!

Drugą ręką włączyła światło, oślepiając mężczyznę. A właściwie kobietę, bo od razu dało się zidentyfikować intruza jako Krystynę. Która wyglądała, jakby miała zemdleć.

Jadwiga oparła się o ścianę, czując, że potrzebuje czegoś na wzmocnienie.

- Krystyna!? Co ty tu robisz!? - wydyszała w końcu. - Miałaś spać u Alicji!

Krystyna także doszła do siebie. Zaczęła piszczeć, a Jadwiga nie pozostała jej dłużna. Zaczęły bitwę na epitety i wyzwiska, ale na szczęście - kiedy już tragedia wisiała w powietrzu— drzwi znowu się otworzyły i do pokoju wpadły Beata i Danuta w szlafrokach i papilotach. Nieprzygotowany na ten widok mógł paść trupem, na szczęście Jadwiga miała mocne nerwy. A Krystyna niejedno w życiu widziała. W końcu była lekarzem.

- Kobiety, czy wyście powariowały!? Druga w nocy jest... -zaczęła poirytowana Danuta, ale po chwili umilkła. Wpatrywała się w pistolet, który Jadwiga nadal trzymała w dłoniach.

Beata cofnęła się o krok i w geście przerażenia zasłoniła głowę rękami.

- Jadwiga! - syknęła Danuta, poprawiając szlafrok. - Skąd masz broń!?

- Jak to „skąd“!? Zawsze miałam - mruknęła Jadwiga i wróciła do łóżka. Zwaliała się na nie bezwładnie, a broń wcisnęła pod poduszkę.

Beata chciała wykrzyczeć coś o odpowiedzialności i dojrzałości umysłowej, a przede wszystkim psychicznej, cokolwiek to znaczy, ale nie było jej to dane. Zaskoczył ją radosny pisk Krystyny, która musiała już dojść do siebie po nagłej napaści, bo podskakiwała jak mały szczeniak na widok swojego pana. Kipiała wręcz z podekscytowania. Wydawało się, że zaraz całe to rozentuzjasmowanie wyleje się z niej jak lava z wulkanu.

- Ja wszystko wiem! - obwieściła triumfalnie, siadając na swoim łóżku. - Wiem, dlaczego ciągle nie udaje nam się zetknąć Igora z Alicją! \_

Koleżanki popatrzyły podejrzliwie po sobie, a potem podeszły bliżej. Tylko Jadwiga została na miejscu, zanurzona w niewesołych rozmyślaniach.

- Dlaczego? - zaryzykowała pytanie Danuta.

- To przeznaczenie - oświadczyła z uroczystym przekonaniem Krystyna. - Nie są sobie przeznaczeni.

- Kochana, ty jesteś przeznaczeniem! Pamiętasz? - Uśmiechnęła się wyrozumiale Danuta.

Beata nie zamierzała być taktowna. W końcu o drugiej w nocy trudno zachować dystans.

- Co to za bzdury? - parsknęła.

Twarz Krystyny rozjaśniła się w uśmiechu.

- Alicja jest zakochana! - wyjawiała. - Wszystko mi powiedziała! - Położyła się na łóżku w płaszczu i butach i wpatrywała się

w sufit. - Opowiadała, że to było jak grom z jasnego nieba. Dwa miesiące temu stała za barem, a tu podchodzi do niej on, księżę z bajki... - westchnęła rozmarzona.

- I co? Poprosił ją o rękę? - zakpiła Danuta.

- Nie. O piwo.

- Jak romantycznie! - Beata zachichotała. - A potem co?

- Zapłacił i wrócił do swojej dziewczyny, teraz już byłej, bo go niedawno rzuciła! - wykrzyknęła Krystyna. A potem dodała: - Mogłybyśmy spróbować ich zeswatać!

Danuta usiadła na krześle. Nie miała zachwyconej miny.

- To Polak? - zapytała po chwili z jawną niechęcią w głosie.

- Anglik

- Gdzie pracuje?

Krystyna wzruszyła ramionami.

- Nie pracuje. Szuka sensu istnienia - oświadczyła poetycko. Danuta wpatrzyła się w nią z niedowierzaniem.

- No to ciężkie życie ma... - mruknęła. I dodała z sarkazmem: - A kto go utrzymuje? Takie naiwne panny jak Alicja?

- Skąd! - Krystyna ożywiła się. - To arystokracja, stare pieniądze. Chłopak nazywa się Archibald Renfrew Nelson - wymówiła uroczyście. - Jego ojciec to lord Nelson, jeden z doradców premiera, podobno jest negocjatorem rządu. Wyobrażacie sobie, co taka partia oznaczałaby dla Alicji!

Danuta aż się zakrztusiła.

- Archibalda, syna lorda kocha? Wzruszające. Cóż za piękna emigracyjna *love story*!

- Właśnie! - wykrzyknęła rozgorączkowana Krystyna. - To naprawdę było wzruszające, jak opowiadała o swojej nieszczęśliwej miłości. Mówiła nawet, że jej się śniło, że tańczy z nim w balowej sukni aż do rana... - Krystyna paplała, nie zwracając uwagi na to, że Beata i Danuta wpatrują się w nią, jakby mówiła którymś z dialektów chińskich. Zupełnie niezrażona brakiem odzewu ze strony koleżanek dodała: - I tak sobie pomyślałam, jak fantastycznie byłoby...

- Co? - z twarzy Danuty zniknął pobłażliwy uśmiešek.

- Gdybyśmy raz zamieniły się w prawdziwe dobre wróżki i spełniły sen Kopciuszka...

Głucha cisza, jaka zapadła, zdawała się wręcz krzyczeć,

- No co?

- Krystyna... - zaczęła Danuta i sięgnęła po papierosa. Wiedząc, że w pensjonacie nie wolno palić, wsadziła tylko papieros w usta. - Zobowiązaliśmy się, że znajdziemy jej odpowiedniego mężczyznę.

- Może to jest dla niej odpowiedni mężczyzna. -Nie.

- Skąd wiesz?

- Przeczucie? - parsknęła ironicznie Danuta. - Zastanów się! To syn arystokraty, lorda, tacy nie wiążą się z emigrantkami pracującymi w pubach. Może tego nie rozumiesz, bo wychowałyśmy się w świecie, w którym wszyscy mieli być równi, ale tutaj podział na klasy społeczne od zawsze istniał. To niemożliwe!

- Właśnie - wtrąciła się Beata. - To się nazywa mezalians.

- Ale ona go kocha - stwierdziła naiwnie Krystyna, choć z jej twarzy zniknął już rozanielony uśmiech.

- Życie to nie bajka - oświadczyła Danuta. - Czy ty myślisz, że nasza Alicja jest Kopciuszkiem? Pamiętaj, dla kogo pracujesz, nie wolno ci się angażować emocjonalnie po stronie dzieci. I pomyśl nad realnością tego, co sugerujesz.

Krystyna nie słuchała. Wpatrywała się w Danutę, starając się przekonać ją, że przecież to ma sens.

- Z naszą pomocą... -Nie!

- Jest nieszczęśliwa!

- Prawie go nie zna! - krzyknęła poirytowana Danuta. - Pozna kogoś innego, to jej przejdzie. Jak tym kobietom zakochanym w aktorach czy piosenkarzach... Będzie łatwiej znaleźć jej kogoś do pocieszenia i na pocieszenie... Najlepiej Igora. Jest odpowiedni i mamy jego pełny profil. Mają duże szanse na stworzenie udanego związku, pamiętasz?

Jadwiga leżała na łóżku, przyglądając się tej walce koleżanek na słowa. Argumenty Danuty były jak najbardziej racjonalne. Ale nic tak nie nakręcało Jadwigi jak słowo „niemożliwe”. Dlatego właśnie odezwała się:

- Ja bym jej pomogła.

Danuta o mało nie padła trupem. Tego nie spodziewała się w swoich najgorszych snach.

- Ty się Jadwiga lecz! - Chwyciła się za serce. - Tylko bardzo cię proszę, nie u Krystyny. Zmień psychiatrę, bo twój psychiatra właśnie ma załamanie nerwowe!

Jadwiga z największym spokojem obserwowwała wzburzoną koleżankę.

- Dlaczego tak desperacko upierasz się przy Igorze?

- Bo nie mam lepszej alternatywy - oświadczyła teatralnie Danuta.

- Archibald Renfrew Nelson - wtrąciła szybko Krystyna.

- Nie! - zawyła Danuta, zasłaniając oczy dłonią.

- Miłość niemożliwa zwykle działa - mruknęła niezobowiązująco Jadwiga, oglądając swoje paznokcie. - Zawsze to, co wydaje nam się niemożliwe, jest dla nas atrakcyjniejsze... Może ten Archibald to typ mężczyzny poszukującego Kopciuszka?

- Właśnie! - Na twarz Krystyny wróciła nadzieja. Wstała i usiadła na łóżku obok Jadwigi. - Poza tym pomóżmy jej tak od serca, spontanicznie.

- Serca? - zaśmiała się straszonym głosem Danuta. - My nie możemy mieć serca, pamiętasz? Jesteś narzędziem przeznaczenia, tyle że nie ślepym! Ty wiesz, jakie to szczęście dla rodziców? Tam, gdzie działa ślepy los, nie do końca jest wesoło. Dzieci, zapatrzone, rozkochane, pijane miłością, nie potrafią myśleć racjonalnie i już po nich. Ty masz za zadanie rozkochać dziecko w odpowiedniej osobie. A nie w jakimś Archibaldzie Renfrew Nelsonie!

- To wyzwanie - stwierdziła z uśmiechem Jadwiga. - Nigdy nie chciałaś stać się prawdziwą dobrą matką chrzestną? Każda miłość



powinna mieć szansę. To będzie bajka dwudziestego pierwszego wieku o emigracyjnym Kopciuszku. I to z happy endem.

Danuta kręciła histerycznie głową, nie przyjmując żadnych argumentów. Nagle na twarzy Jadwigi pojawił się chytry uśmieszek.

- To załóżmy się - powiedziała spokojnie, jakby nie słyszała zgrzytania zębów Danuty, które ścierały się ze złości. - Jeśli Alicja pojawi się na przyjęciu, zaproszona przez Archibalda, wtedy premię noworoczną dostajemy my. Jeśli nie, zrobimy wszystko, żeby spotkała tego cherubinka z chińskiej dzielnicy.

Zapadła cisza. Bardzo wymowna cisza.

- Czy to etyczne, zakładać się, kto się z kim zwiąże... - zaczęła Krystyna, ale zamilkła pod wpływem wzroku Jadwigi.

- Doskonale! - Danuta wyciągnęła drżącą z wściekłości rękę. - Beata, na którego konia stawiasz? Na przebojowego cherubinka czy księcia z bajki?

- Oczywiście, że na przebojowego cherubinka. W prawdziwym życiu bajki pozostają tylko bajkami.

Oczy Jadwigi zabłyśły z podekscytowania. Wyciągnęła rękę. Zakład został zawarty.

## ROZDZIAŁ 98

Igor obudził się z poczuciem, że coś jest nie w porządku. Gwałtownie odrzucił kołdrę, usiadł na łóżku i spojrzał na budzik stojący na nocnym stoliku. Fluorescencyjne wskazówki zatrzymały się na wpół do drugiej. Przetarł oczy. Przez chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się uważnie w otaczające go zewsząd ciemności, ale niczego podejrzanego nie dostrzegł. Jednak uczucie niepokoju nie mijało. Z każdą wolno mijającą sekundą narastało. Igor postanowił je zignorować i napić się wody.

Wstał. Nie zapalając światła, podreptał do kuchni. Zauważył pełzające za nim po ścianach dziwne cienie. Przemyślił twarz, napełnił szklankę wodą i jednym haustem wypił zawartość. Podeszedł do okna, przez które do pomieszczenia wpadało blade światło ulicznej latarni.

Wróciły do niego obrazy minionego dnia. Wirowały mu przed oczami w szalonym tańcu. Przypomniawszy sobie pracowników wytwórni makaronu Lo przypatrujących mu się z nieskrywaną wrogością. Pomyślał, że prędzej czy później zbuntują się przeciwko Pekińczykowi. To tylko kwestia czasu. Nagle z kalejdoskopu wspo-

mnień i wizji wyłonił się pan Mao w hanfu i z nieproporcjonalnie dużym mieczem, którym wymachiwał groźnie *Martwej naturze z serem*.

A potem zjawiała się Alicja. I już nie chciała odejść... Poprawiała włosy koloru kasztanów rozsypujące się niesfornie wokół jej bladej twarzy. Patrzyła na niego wielkimi ciemnymi oczyma, w których tyle razy widział szczęście...

Wtedy się ocknął. Usłyszał wyraźny szmer. Ktoś był w przedpokoju. Igor odwrócił się gwałtownie, obezwładniony strachem. Z mroku wyłaniała się postać. Znajoma postać. Jakby obraz z jego głowy nagle się urzeczywistnił. Alicja.

- Jak tu weszłaś? - zdołał jedynie wyjąkać, zastanawiając się, czy nie śni na jawie. Ręce drżały mu mocno, jak wtedy, kiedy pierwszy raz trzymał w ręku pistolet. Nie, bardziej... Jak wtedy, kiedy pierwszy raz trzymał w ramionach Alicję.

Dziewczyna zabrzęczała kluczami - najwyraźniej zapomniała je oddać, kiedy się wyprowadziła - i nie odrywając od Igora wzroku, położyła je na stole.

- Po to przyszłaś? - zapytał cicho. , Nie odpowiedziała.

Podeszła do niego. Blisko. Bardzo blisko.

I znowu poczuł jej zapach. Niepowtarzalny. Tak jak ona. Zapach, który go obezwładniał. Ze świadomością porażki zamknął oczy. Żeby nie zahipnotyzowała go swoim spojrzeniem. Bo chwila nieuwagi i znowu przywłaszczy sobie jego serce. Chociaż tak naprawdę nigdy mu go nie oddała. Tak jak kluczy.

- Przepraszam - usłyszał szept i jednocześnie poczuł ciepło jej oddechu.

Otworzył oczy. Zauważył, że jej twarz jest zapuchnięta od płaczu.

Stała przed nim tak, jak to sobie wielokrotnie wyobrażał. Załamana, nieszczęśliwa, pokorna.

Wreszcie nadszedł ten moment. Moment triumfu. Teraz weźmie ją pod ramię i z zimnym uśmiechem wyrzuci za drzwi. Ze swojego serca. Na zawsze.

Chwycił ją mocno. Strasznie mocno. Chciał krzyknąć. Chciał, żeby cierpiała.

A ona wtuliła się w niego jak zbłąkany szczeniak. A potem zaczęła go całować.

## ROZDZIAŁ 101

Krystyna z trudem podniosła powieki. Pewnie przez wory pod oczami, które musiały przypominać worki ziemniaków, takie były nabite i ciężkie.

Po wielokrotnym trzepotaniu rzęsami udało jej się wreszcie pozbyć mgły, zza której wyłoniły się dwie ruchome kolumny. Sięgnęła po okulary. Okazało się, że owe kolumny to wyjątkowo długie i zgrabne nogi Justyny, która - odziana jedynie w czarne bokserki! - snuła się po kuchni, ziewając co chwila jak mała w upalne popołudnie. Trzeba przyznać, że wyjątkowo atrakcyjna mała.

Krystyna poruszyła się. Coś strzeliło jej pod prawą łopatką. Noga jej ścierpła. Musiała usiąść.

Wyjrzała zatem spod stołu i spojrzała do góry, bo kolumny stanęły tuż obok niej.

- Dzień dobry - powiedziała i niespodzianie chwyciła jedną kolumnę za kostkę, ale jak się okazało, cielesne kolumny poczucia humoru nie posiadają, bo Justyna wydała przeciągły krzyk. Zaraz potem na szczęście ucichła. Przyciskała jedynie do swojego kształtnego, wręcz modelowego, i nagiego biustu białe dłonie o długich palcach.

- Jezus! Maria! Ale mnie pani przestraszyła! Ładnie to tak wyłaniać się spod stołu jak jakaś zjawa!? Mogłam zawału dostać, tak się przestraszyłam!

- Przepraszam, następnym razem zastukam łańcuchami - odpowiedziała z radosnym uśmiechem Krystyna i wygramoliła się spod stołu akurat w chwili, kiedy do kuchni weszła Alicja, w pełni ubrana. Strój Justyny nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. Zapewne była przyzwyczajona.

Przywitała się ciepło z Krystyną, a potem westchnęła, wywracając oczyma:

- Justyna ma niewyparzoną gębę. Przepraszam, nie ostrzegłam pani. „Wygląda, jakby nie spała całą noc”, pomyślała Krystyna, przyglądając się Alicji dyskretnie. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że musi pomóc dziewczynie zdobyć ukochanego mężczyznę.

Justyna nie przejmowała się żalonym wyglądem współlokatorki.

- Lepiej zaparz kawę! - rzuciła w stronę Alicji. - Jestem wykończona! Widziała pani moje cienie pod oczami? - zapytała, przenosząc wzrok na Krystynę. - To dlatego, że w tym domu nie da się spać!

- Naprawdę? Dlaczego? - zdumiała się Krystyna, siadając przy stole. Alicja wzruszyła tylko ramionami i włączyła ekspres. Zapatrzyła się w okno. Dzień zapowiadał się szary i nieciekawym.

- Wszystko przez was! - oświadczyła Justyna. - Tu jest jak w poczekalni na dworcu, dlatego nie mogłam spać. W mojej pracy wymaga się odpowiedniego image'u, a jeśli się nie wyśpię, to mam tak zapuchnięte oczy, że trudno z nimi cokolwiek zrobić... Gdzie to się panie szwendały po nocy?

- Musiałam się przejść - rzuciła enigmatycznie Alicja. Wydawała się nieobecna. Błądziła wzrokiem gdzieś w przestwo-

rzach za oknem, a na jej zazwyczaj bladych policzkach kwitły rumieńce.

Krystyna zaczęła się zastanawiać, dokąd zawędrowała w nocy Alicja. Nie doszła jednak do żadnych wniosków, bo jej rozmyślania zostały przerwane przez Justynę, która z hałasem odsunęła krzesło, usiadła i zaczęła smarować masłem kromki chleba. Gotowa do kolejnej bitwy słownej.

- Jak tam sprawy z królewiczem? - rzuciła złośliwie w stronę Alicji. - Masz jakiś plan?

Rumieńce Alicji pogłębiły się.

- Przeczekam tę miłość i mi przejdzie. Na chcę mieć złamanego serca - powiedziała cicho, nie patrząc na nikogo. Myślami była daleko.

- Chyba paznokci - wtrąciła Justyna, odruchowo lustrując własne. - Szanse na dopchnięcie się do księcia są nikłe. Krystyna spojrzała z zamyśleniem na Justynę.

- Nie wierzysz, że Kopciuszek może złowić księcia? - zapytała przekornie.

Ta oderwała wzrok od paznokci i wzruszyła ramionami.

- Jestem racjonalistką. Nie wierzę w książąt z bajki. Najwyżej w żaby, które na zawsze pozostają żabami. Bo są żabami. Ale może po prostu za wcześnie wstałam. Nienawidzę tak wcześnie wstawać.

- Justyna ma rację. - Alicja pociągnęła nosem. Nalała kawę do filiżanek, podała współlokatorce i usiadła przy stole. - Chciałam was przeprosić, że tak się wczoraj rozkleiłam - dodała. - Tylko, że on gdzieś tu... - Stuknęła się w pierś. - Utknął, jak ość...

- To też jakieś doświadczenie, że mężczyzna może czasami stanąć ością w gardle - zauważyła Justyna, ale na twarzy Alicji nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Jakby nie usłyszała zaczepki.

- Tylko, że on nie chce odejść... - wyszeptała. - A ja nie mogę oddychać... Walczyłam z tą miłością i przegrałam...

- Ty go naprawdę kochasz - uśmiechnęła się Krystyna, podnosząc do ust filiżankę.

- Tak - wyszeptała Alicja, jakby sama się sobie dziwiąc. - Nigdy nie przestałam, chociaż myślałam, że to już za mną, że nie będę musiała brać odpowiedzialności za czyjeś szczęście... - Potarła oczy, a potem wyszeptała niespodziewanie. - Igor...

Krystyna zadławiła się kawą.

- Kto? - zapytała. Wytarła usta kawałkiem papierowego ręcznika.

- Jak to kto? Archibald! - jęknęła Alicja, wpatrując się w Krystynę szeroko otwartymi oczami. - Archibald!

Krystyna odetchnęła z ulgą. Obiecała sobie, że przy najbliższej okazji odpocznie. „Jestem tak zmęczona i przejęta tym wszystkim, że mam omamy słuchowe”, pomyślała.

- Ale skończmy z tymi bzdurami - powiedziała Alicja zdecydowanie i upiła łyk kawy. - Jutro wieczorem idę do Royal Albert Hall. Przyjechał balet Bolszoj! - zakomunikowała. Humor jej się wyraźnie poprawił.

Na twarzy Krystyny pojawiło się najpierw zamyślenie, a potem zadowolenie. Royal Albert Hall wydał jej się idealnym miejscem, w którym królewicz spotyka swoją dziewczynę.

- Tylko dwa przedstawienia mają, dzisiaj i jutro - ciągnęła Alicja. - Wprawdzie wszystkie bilety zostały wyprzedane na pniu, ale mam koleżankę, która jest tam garderobianą i wpuści mnie tylnym wejściem... - Znowu zmieniła ton na żałobny: - Bo tak to już jest, tutaj należę do tych, co tylnym wejściem wchodzi... Ja wierzyłam naiwnie, że miłość jest ponad wszelkimi różnicami, nawet społecznymi. Widzi pani, co mi socjalizm zrobił? - zdenerwowała się nagle. - Wpędził mnie w przekonanie, że mogę związać się z lordem i że to nic takiego! Socjaliści i im podobni kazali mi wierzyć w równość! Nie ma równości. Zawsze są równiejsi. Jest podział. Był, jest i zawsze będzie. Bo on nie dla mnie! - jęknęła teatralnie, chwytając się za serce. - Archibald! Archibald!



## ROZDZIAŁ 105

Jadwiga z nieznacznym opóźnieniem dotarła na Vauxhall Bridge, gdzie jeszcze poprzedniej nocy umówiła się z Krystyną.

- Gdzieś ty była!? Kwitnę tu już pół godziny! - powitał ją zniecierpliwiony okrzyk Krystyny, którego zresztą się spodziewała.

Jadwiga skrzywiła usta w ironicznym grymasie i mruknęła:

- Chyba przekwitasz. - Widząc jednak nagłą czerwień na policzkach koleżanki, dodała pośpiesznie: - No co? To akurat nie moja wina... to proza życia. Nobla za prozę powinno dostać, nie uważasz? W poezji za to jest beznadziejne... - Zrobiła mądrą minę, podniosła kołnierz, chroniąc się przed wiatrem, i zapytała z niewinnym uśmiechem: - A co u ciebie? Bo znowu ubrałaś się jak na pogrzeb.

- Miałam nadzieję, że to właśnie dzisiaj będzie ten dzień - odezwała się morderczo Krystyna, obciągając swój szary płaszcz. I dodała z wyraźną wymówką w głosie: - A ty wciąż żyjesz.

Jadwiga uśmiechnęła się radośnie (w końcu miała się z czego cieszyć) i zaproponowała:

- Chodź, postawię ci kawę. Wezmę na wynos i przejdziemy się.

Podeszły do budki z gorącymi napojami. Potem, każda z kubkiem parującego płynu, zaczęły wędrówkę wzdłuż Tamizy, w milczeniu chłonąc aromat świeżej kawy i niepowtarzalną atmosferę londyńskiego nabrzeża.

Pierwsza ciszę przerwała Krystyna.

- Myślisz o tym... Kowalskim? - zapytała. Jadwiga wzruszyła ramionami.

- Nieee... Staram skupić się na tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Trzeba sprawnie załatwić naszej Alicji i Archibaldowi niecodzienność w tym nieromantycznym świecie. - Jadwiga spojrzała na motorówkę, która, przedzierając się przez fale, strzelała w ich stronę seriami drobnych kropli. - Przekopalam internet i gazety. Okazuje się, że Archibald to niezłe ziółko. Szczególnie cenią go w „Hello”, mam wrażenie, że do tych kompromitujących zdjęć, które publikują, sam pozuje... Wyczytałam też, że tatuś i mamusia Nelson na przyjęciu w swojej rezydencji w Holland Park będą odnawiać przysięgę małżeńską - prychnęła. - Kto by pomyślał, że lord jest taki oddany żonie, zwłaszcza po skandalu erotycznym sprzed trzech lat i sekstaśmą. Ten filmik był nawet na YouTube... A ty? Dowiedziałaś się czegoś interesującego?

- Archibald mieszka samiuteńki w pięknym domu przy Chester Square.

- To już wiem, przeczytałam w jakimś szmatławcu. - Jadwiga machnęła ręką. - Przeznaczenie zawsze cię znajdzie, pod warunkiem że zna adres... A ta dziewczyna, z którą mieszka Alicja? Może by się nam do czegoś przydała?

- Justyna? Nie mają dobrych stosunków - parsknęła Krystyna. - To taka siostra Kopciuszka, z tą różnicą, że nie jest brzydka. A do tego jest strasznie wygadana, nie owija w bawełnę nawet własnego tyłka. Typ zbyt pewnej siebie modelki. Lepiej jej w to nie mieszać, bo a nuż będzie chciała uwieść księcia.

- Jak to się teraz role odwróciły, nie? - Jadwiga pokręciła z zadumą głową. - Kiedyś to Kopciuszki były ładne, a teraz złe siostry w niczym im nie ustępują.

- Bo tu nie chodzi o urodę, przy dzisiejszych możliwościach chirurgicznych i brat Kopciuszką mógłby być śliczną siostrą. - Krystyna wzruszyła ramionami. - Kopciuszkę przegrywają ze złymi siostrami nie dlatego, że siostry stały się nagle ładniejsze, ale dlatego, że są i zawsze były bardziej obrotne, przebojowe, przedsiębiorcze... W dzisiejszych czasach nie ma miejsca na nieśmiałość. Dlatego tak mi żal Alicji. Jest tyle fajnych dziewcząt, które odpuszczają sobie królewicza i wdychają po kątach, podczas kiedy złe siostry owijają sobie takiego wokół biustu. - Westchnęła. - No ale jest jeszcze coś - powiedziała, przełykając kawę. - Balet Bolszoj jest w Londynie.

- To ma być interesujące?

- To najlepszy balet na świecie. Alicja wybiera się na Bolszoj jutro wieczorem. Występują w Royal Albert Hall. Biletów od dawna już nie ma, ale Alicja wejdzie po znajomości. Mogłybyśmy jakoś ściągnąć w jej pobliżu Archibalda. Pomyśl, Royal Albert Hall! Czyż to nie brzmi dumnie? Zupełnie jak miejsce, w którym arystokraci spotykają swoje drugie połówki. Gdybyśmy tak miały bilety... - rozmarzyła się.

Jadwiga zmrużyła oczy. Przystanęły obok stoiska z gazetami.

- No... brzmi nieźle - przyznała, robiąc szybki przegląd prasy. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle znieruchomiała. - A to co? - wyjąkała.

Przez chwilę stały przed stojakiem pełnym kolorowych gazet, wpatrując się w najświeższy numer „Hello” z takim zdumieniem, że facet sprzedający gazety także stanął obok i zaczął patrzeć.

Jadwiga odstraszyła faceta jednym spojrzeniem, a potem pstryknęła palcami gazetę, czy raczej nos lorda Nelsona, którego zdjęcie ozdabiała pierwszą stronę. Wraz z nagłówkiem: „Przyjęcie w Holland Park przesunięte na najbliższą sobotę! Powody zmian, lista gości i szczegóły ceremonii odnowienia przysięgi małżeńskiej lorda i lady Nelson na stronie trzeciej”.

- Ale... w sobotę, pojutrze!?! - wyjąkała Krystyna.

- Życie pełne jest niespodziewanych zwrotów akcji, prawda?  
-powiedziała cierpko Jadwiga. - Wygląda na to, że Royal Albert Hall jest naszą ostatnią szansą.

- Pod warunkiem że zjawią się tam oboje - mruknęła zrezygnowana Krystyna. - To niemożliwe...

Jadwiga nie słuchała.

- Musimy wziąć się do roboty. Zrobię obchód, ocenię sytuację i dam ci znać. Może wymyślimy coś oryginalnego. Wprawdzie terminy zabijają kreatywność, ale mamy jeszcze dwa dni...

Urwała.

Z naprzeciwka zbliżał się ku nim mężczyzna. W kowbojkach. Przypomniała sobie, że widziała te kowbojki wczoraj na Hispanioli. A potem ogarnął ją paniczny strach. Skojarzyła, że widziała je jeszcze gdzieś. Na stacji metra Westminster.

Odwróciła się szybko do Krystyny. Mżawka zrobiła się nagle przeraźliwie zimna.

- Muszę lecieć - powiedziała, czując, że nawet język jej zesztyniał. I już jej nie było.

## ROZDZIAŁ 109

Krystyna, nie przejmując się zupełnie dziwnym zachowaniem Jadwigi - zresztą przywykła do niego przez lata przyjaźni - dotarła do swojego nowego miejsca pracy. Zastanawiała się całą drogę, czy także i dzisiaj uda jej się spotkać jakiegoś interesującego mężczyznę. Doszła do wniosku, że wpadanie na interesujących mężczyzn w pewnym wieku jest bardzo wskazane. Zamiast hormonów. Kiedy jednak, przechodząc przez ulicę, o mało nie wpadła pod motocykl, przestała myśleć, bo - jak się okazało - samo zaledwie myślenie o interesujących facetach w tym wieku może zabić.

Ale i tak z niespodziewaną lekkością na duszy pociągnęła za klamkę drzwi pubu.

Weszła. Powitali ją faceci, na których miała nadzieję nigdy nie wpaść. Stali przy zasłoniętym brudną żaluzją oknie, każdy ze swoją zabawką, i występowali. Na żywo. Choć *Madame Klara* stwierdziłaby zapewne, że zombie na żywo nie występują. Krystyna przystanęła na chwilę, wsłuchując się w brzmienie instrumentów. Wpatrzyła się w grających mężczyzn, którzy zdawali się nie zwracać na nią żadnej uwagi. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Pierre uderzał w perkusję z taką pasją, jakby chciał dotkliwie

pobić talerze, Fiodor zasuwał na gitarze elektrycznej, jakby muzyka odebrała mu połowę wagi i lat. Po chwili dołączył do nich Chuks. Na flecie. Przypominał Pana grającego na fletni. Kiedy Pierre zaczął śpiewać, Krystynie odebrało zdolność ruchu. Facet był niepozorny, drobny nawet, ale głos miał jak dzwon, który rozdzwonił się z taką siłą, że zagłuszył jej myśli. Psychedeliczna muzyka wydawała się wciągać ją do innego świata, w którym królował mrok i niepokój, potęgowany przez spojrzenie zimnych oczu śpiewającego mężczyzny. Zadrżała. Wydawał się patrzeć na nią, przez nią, w głąb jej duszy. Zamknęła oczy. Z przerażeniem poczuła, jakby po wielu latach wyciągania ludzi z dołków sama znalazła się na dnie. Na dnie szaleństwa. W głowie dudniły jej pojedyncze słowa piosenki, zwielokrotnione uderzeniami serca i perkusji Pierre'a: *You'd better run, youd better take cover... Lepiej uciekaj. Lepiej się schowaj...*

Kiedy już miała wrażenie, że traci grunt pod nogami, a dźwięki unoszą ją do góry i wciągają jak tornado, poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Otworzyła oczy.

Na ziemię sprowadził ją Kuba. Mówił coś do niej, ale nie słyszała, oszołomiona muzyką. Wtedy chwycił ją za ramię i zaczął wciągać do męskiej toalety. Chciała krzyknąć, ale żadne słowa nie wychodziły jej z ust. Dźwięki muzyki pozbawiały ją siły, pchały w otchłań. Męskiej toalety.

Na szczęście toaleta okazała się zaledwie początkiem. A właściwie przejściem łączącym dwie sale, dwa światy.

- *Men at work* - powiedział Kuba, kiedy znaleźli się po drugiej stronie.  
- Nie lubią, jak się im przeszkadza. Ale muszę przyznać, że *Down under*, śpiewają naprawdę genialnie. Zresztą śpiewają dużo podobnych piosenek, wie pani, taki emigracyjny blues.

- Emigracyjny? Dla mnie to było jak zawodzenie zombie.  
- Wzdrygnęła się.

- Rozmawiała pani ze stukniętą wrózką, to pewnie dlatego.  
- Uśmiechnął się. - Są specyficzni, ale nieszkodliwi. Szkoda tylko, że nie są bardziej komunikatywni.

- Właśnie! Gdzie się podziało „gdzie słyszysz śpiew, tam idź, tam dobre serca mają”?

Kuba roześmiał się i na jego piegowatej, sympatycznej twarzy pojawiły się dołeczki. Otworzył usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale nie wy dobył z siebie żadnego dźwięku. Muzyka nagle stała się nieskładna, a Pierre zaczął fałszować. Po chwili wszystko umilkło. Krystyna obejrzała się, zaniepokojona nagłą ciszą. Zobaczyła... Justynę.

Dziewczyna, ubrana w chabrową bluzkę z duuużym dekoltem i minispódniczkę, a raczej mniej niż mini, kroczyła powoli przez pierwszą salę. W powietrzu czuć było napięcie, które zwykle wytwarza się, kiedy w pobliżu mężczyzn pojawia się piękna kobieta.

A Justyna, znudzona powszechną uwagą, majestatycznie podeszła do baru - pociągając za sobą męskie spojrzenia.

- Elo - rzuciła w stronę Kuby tonem królowej pozdrawiającej poddanego i zaszczękała z zimna zębami..

Kuba skinął jej obojętnie głową jakby zjawiskowo piękne i na wpół rozebrane dziewczyny były dla niego chlebem powszednim i odwrócił się. Sięgnął po szmatkę i zaczął ścierać bar. Justyna westchnęła i przeniosła spojrzenie na Krystynę. Nie zdążyła jednak wytłumaczyć, gdzie zgubiła płaszcz i dół spódnicy, bo drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna w czerwonych sandałach, a za nim Alicja dźwigająca pudło z kuflami. Alicja podeszła do lady, położyła pudło i wydeła usta, widząc współlokatorkę zmarzniętą do szpiku kości.

- A ty co znowu? - rzuciła mało przyjemnym tonem.

Justyna znieruchomiała, a na jej perfekcyjnie umalowanej twarzy pojawił się grymas gniewu. Chociaż właściwie nic nie powinno było się pojawić. Jak się okazuje, niedoskonałości natury emocjonalnej nie ukryje nawet doskonale kryjący fluid Chanel.

- Wyszłam tylko po mleko i zatrasnęłam klucz - oświadczyła z powagą Justyna, patrząc na Kubę, który zajęty był wyciąganiem kufla ze zmywarki i nie zwracał na nią uwagi.

- Już piąty raz w tym miesiącu zatrasnęłaś klucz. Może zacznij go sobie wieszać na szyi - parsknęła Alicja, sięgając do kieszeni

płaszcz wiszącego na oparciu krzesła. Wyjęła swój klucz i podała go Justynie.

- Rano zwykle mam zaćmienia umysłu.

- Popołudniami też ci się zdarzają - mruknęła złośliwie Alicja.

- Ale tylko wtedy, kiedy za późno wstanę. - Odpowiedź Justyny wywołała cichy chichot Kuby.

Dziewczyna znieruchomiała, jakby zaskoczona i jednocześnie oczarowana jego reakcją, a potem wyprostowała się, zabrała klucz i zadowolona zniknęła za drzwiami. Muzyka znowu zaczęła rozbrzmiewać, ale brakowało jej wcześniejszej mocy.

Alicja spojrzała na Krystynę.

- Pani Krysiu - wyszeptała, kiedy Kuba zajął się obsługiwaniem faceta w czerwonych sandałach, wyglądającego na pacjenta oddziału otwartego pobliskiego psychiatryka - przepraszam panią za te sceny z Justyną. Nie dogadujemy się najlepiej, ona jest strasznie... roszczeniowa. Chyba muszę się wyprowadzić, bo ona nawet świętego doprowadziłaby do mordy.

- Jest zagubiona i młoda - próbowała złagodzić spięcia Krystyna. - Szuka własnej drogi.

- Szuka zaczepki - przerwała jej twardo Alicja. Ale potem jej głos złagodniał: - Wie pani... - Rozejrzała się dokoła. - Nie chciałam przy niej mówić, ale znowu miałam ten sen.

- O królewiczu z twarzą Archibalda?

- Właśnie - potwierdziła zażenowana. Upewniwszy się, że nikt nie słyszy, dodała z rezygnacją: - To nie jest normalne. Pewnie mam jakąś obsesję. Wezmę wolne popołudnie, a może nawet kilka dni urlopu. - Westchnęła i wręczyła Krystynie gazetę. - Proszę popatrzeć, nawet w gazetach o nich piszą. I o przyjęciu. Nie mogę się uwolnić. Czy to się da jakoś wyleczyć?

Krystyna rozłożyła „Hello” i jeszcze raz rzuciła okiem na wiadomość.

- A! *Frau* Krystyna! - Zza drzwi wyłoniła się Helga. Kiedy zobaczyła w rękach Krystyny rozłożoną gazetę, z jej ust wyrwał się okrzyk wzburzenia. Wyciągnęła oskarżająco palec. - *Nein!*



*Nein! Frau Krystyna! Nein!* U nas pracy nie zaczyna się od kawki i wiadomości, pani doktor złe przyzwyczajenia ma. My w pracy zaczynamy od pracy, na rozgrzewkę. Potem przyśpieszamy tak, że robota pali się nam w rękach. A na zakończenie delektujemy się pracą. Na razie gazetka do kosza, a pani niech sprawdzi, czy ta Klara robi, co do niej należy, będzie pani za nią odpowiedzialna. - Potem łypnęła jeszcze na Alicję. - A tobie co? Do roboty. Jak chcesz wziąć wolne, to musisz przyśpieszyć już teraz. Chodź na górę, trzeba pokoje przygotować! *Rauss!*

To powiedziawszy, ruszyła w kierunku drzwi wyjściowych, zupełnie nie przejmując się desperacją wypisaną na bladej twarzy Alicji. Krystyna uśmiechnęła się do dziewczyny, starając się dodać jej otuchy, a potem obie potulnie podążyły za Helgą.

Kiedy po stromych schodach dotarły na górę, Helga zniknęła już w długim korytarzu. Zatrzymała się przed uchylonymi drzwiami. Przez szparę widać było wróżkę Klarę Widzącą, siedzącą ponuro na łóżku. Przy niej leżały poszwy.

- Proszę ją skontrolować, miała zmienić pościel - poleciła szeptem Helga. - Umówiłam się z nią, że może zostać do końca tygodnia, oczywiście pod warunkiem że będzie pracować. I ma zakaz wchodzenia do pomieszczenia gospodarczego. - Skrzywiła lekko usta i wznosząc do góry wzrok, jakby prosząc o rozgrzeszenie, dodała cicho: - Dlaczego ja taka miękka jestem?

Jeśli liczyła na wdzięczność, gorzko się rozczarowała. Klara niespodziewanie podniosła głowę i utkwiała w niej swoje straszne spojrzenie. Zupełnie jakby słyszała jej wywody. Helga zbladła i zamilkła.

Wróżka przemówiła:

- Dlaczego ja wszystkim potrafię doradzić, przepowiedzieć przyszłość, jasno i wyraźnie, tylko sama tkwię w tej swojej beznadziejności jak w gównie? - spytała retorycznie bliżej nieokreślonego odbiorcę. Po polsku. - Moje życie to kanał z płynącym gównem, a jak już widzę nad sobą jakąś studzienkę i to światełko, migające na górze życie, to potem się okazuje, że kratka zamknięta

i muszę płynąć dalej... A wiadomo, co mnie czeka za zakrętem: kolejny ściek i kolejne spadające na głowę ekskrementy. I w takich wypadkach myślę sobie, że ludzie mają rację, ja naprawdę gówno widzę. Ale potem słabość mija i płynę dalej. I znowu światelko widzę. - Westchnęła. - A ludzie? To, czego nie rozumieją, biorą za oznakę szaleństwa. Frustracja. Taką nagrodę za moją służbę ludzkości dostaję! Szkoda słów... - Spojrzała z wyrzutem na stojącą w drzwiach Helgę, która uśmiechnęła się niepewnie. Po chwili konsternacji, blada jak trup, odwróciła się na pięcie. Słysząc było tylko tupot jej szybkich kroków, kiedy zbiegała na dół.

## ROZDZIAŁ 115

Igor obudził się dopiero przed południem. Przez chwilę leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, wsłuchując się w rytmiczne uderzanie kropeł deszczu o parapet.

Czuł, że Alicji już nie ma.

Zniknęła. Tak jak wtedy.

Odrzucił kołdrę i usiadł na łóżku. Przez chwilę wpatrywał się smętnie przed siebie, jakby szukając śladów jej obecności, jakiegokolwiek dowodu na to, że nocna wizyta nie była tylko wytworem jego wyobraźni. Nie znalazłszy go w sypialni, wstał i powłókł się do kuchni. Jego uwagę przykuły leżące na stole klucze. „Przynajmniej klucze odzyskałem”, pomyślał. Już nigdy więcej nie da się zaskoczyć we śnie, bezbronny i nagi.

Postanowił zebrać się w garść. Skoncentrować na pracy.

Wziął zimny prysznic. Długo stał z głową opartą o kafelki, walcząc z gęsią skórką i wspomnieniami o Alicji, smaku jej skóry, zapachu włosów. Kiedy poczuł się nieco lepiej, ubrał się i pognął na spotkanie z Li. Po drodze wstąpił jeszcze do sklepu spożywczego SeeWoo.

Kiedy dotarł do Cesarzowej Syczuanu, Li siedział już w pomieszczeniu dla personelu - wyprostowany, z zamkniętymi

oczyma. Wydawał się medytować. Igor przywitał się. Nie widząc żadnej reakcji ze strony kolegi, wzruszył tylko ramionami. Wziął jego apatię za ciąg dalszy sprawy z wróżbą i refleksji nad przyszłością. A tych poganiać nie należy. Opuścił zatem koledze konwersację, położył na stole reklamówkę i wyciągnął z torby ser, kapustę pekińską, chleb. Zabrał się do przygotowywania lunchu.

- Znudziły ci się pyszności z naszej kuchni? - odezwał się niespodziewanie Li.

Igor spojrział na niego znad deski do krojenia, starając się nie dostrzegać w jego tonie sarkazmu.

- Jakoś ostatnio mięso mi nie służy - mruknął, smarując chleb masłem. - Postanowiłem też rzucić wyzwanie tradycji, bo u nas w Polsce jak nie ma mięsa na obiad, to nie ma obiadu. W każdym razie chcę spróbować wegetarianizmu. Właściwie to nie powinno być dla mnie trudne, bo ja naprawdę lubię zwierzęta...

- Lubisz zwierzęta? - zdziwił się Li.

- Co w tym dziwnego?

- Zwierzęta są okropne - oświadczył zde gustowany Li. - Nawet takie małe, takie robale różne mnie obrzydają.

- To dlaczego jesteś wegetarianinem?

- Przecież ci mówię: nie znoszę zwierząt. Nawet jak są żywe. Na samą myśl, że miałbym zjeść padlinę, mdli mnie. - Wzdrygnął się. Przypomniał sobie o czymś bardziej istotnym, zamachał rękami i szybko dodał: - To nie jest ważne. Mamy inny problem. Ktoś za tobą łązi - wyszeptał uroczyście.

Igor znieruchomiał z kanapką tuż przed ustami.

- Co ty? Widzenia masz?

- Po wróżbie w ciasteczku zrobiłem się nerwowy i postanowiłem się rozejrzeć. Wtedy zauważyłem te dwie baby...

Igor ugryzł kanapkę.

- A młode chociaż?

- Taka poważna sprawa, a ty jak zwykle... - odburknął Li, wyciągając sobie bez pytania kawałek pekińskiej z kanapki

Igora. - Stare były, stare jak moja matka. Oglądały cię przez lunetkę - upierał się.

Igor nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Widząc jednak wściekłość na twarzy kolegi, przybrał, jeśli nie poważną, to na pewno zamyśloną minę.

- Może się im spodobałem, może to sekturystki, a może najzwyczajniej w świecie patrzyły w gwiazdy? - próbował wymyślić jakiś racjonalny powód.

- Gwiazdy... - Li rzucił mu spojrzenie pełne politowania. - Upewnij się tylko, żebyś nie został jedną z tych spadających gwiazd. To mogą być tajniacy - dodał. - Może wreszcie wzięli się za Pekinczyka? Albo powstała konkurencyjna agencja ochroniarska, o której nie mamy pojęcia? Pan Wu ma wielu wrogów, a my też powoli stajemy się sławni...

Igor przestał się śmiać. Z trudem przełknął kawałek chleba.

- Myślisz, że zlikwidowali nasz policyjny parasol ochronny? - wyszeptał.

Li spojrzał na niego z powagą.

- Wszystko się kiedyś kończy. Nie zdziwiłbym się, gdyby na naszych policjantów zostali napuszczeni jacyś z zewnątrz. Zastanawiałem się nad tym wszystkim i doszedłem do wniosku, że masz rację z tym Picassem. To dla nas ostatnia szansa, żeby się stąd wyrwać. Rąbnijmy obraz i zmywajmy się z chińskiej dzielnicy, nawet jeśli gwiazdy nam nie sprzyjają. Nic tu po nas. Chińszczyzna stanowczo mi się przejadła. Tobie widzę też.

Igor myślał. Zastanawiał się nad słowami Li, ale nadal nie dostrzegał zagrożenia.

- To zrobimy tak... - powiedział w końcu, chcąc uspokoić kolegę. - Jeśli te baby naprawdę istnieją, tak jak mówisz, wtedy rozdzielimy się. Ty pójdziesz sam na wizję lokalną, a ja będę je obserwował. Spotkamy się tutaj po południu i będziemy zastanawiać, co dalej... Ale... dwie stare baby tajniakami?

- Widziałeś kiedyś lepszy kamuflaż? - Li spojrzał na niego z przekonaniem. Potem dodał ironicznie: - Chyba że szukają ci żony...

- Bardzo śmieszne - parsknął Igor. Li bynajmniej nie było do śmiechu.

- Zacząłem się zastanawiać, czy nie mają czegoś wspólnego ze zniknięciem Yao... - powiedział, zawieszając złowrogo głos.

## ROZDZIAŁ 119

Beata i Danuta nie miały dobrego dnia. Pierwszą dręczył głód, drugą nałóg. Stały nieopodal Cesarzowej Syczuanu, tuż przy małym sklepiku ze zdrową żywnością SeeWoo, w którym nie tak dawno zrobił zakupy Igor, i obserwowały wejście do restauracji, wyraźnie poirytowane. Zastanawiały się gorączkowo, co w zaistniałej sytuacji należałoby uczynić, bo co jak co, ale ze schizmy nic dobrego jeszcze nie wyszło. A od schizmy do schizy niedaleko.

- Jak one mogą nam to robić? A gdzie lojalność? Gdzie konsekwencja? I to Krystyna, która zawsze podchodziła do życia, jakby miało instrukcję obsługi, z odpowiednim przygotowaniem - denerwowała się Danuta. Lunetka w pokrowcu ciążyła jej na plecach jak teleskop Hubblea. Zaczynała żałować, że ją zabrała, ale zrobiła to tylko i wyłącznie po to, żeby wkurzyć Jadwigę.

-To pewnie efekt uboczny depresji albo ta... no... choroba dwubiegunowa! W zeszłym tygodniu miała depresję, a teraz ma fazę maniackalną! To oczywiste - postawiła diagnozę Beata, wygłodzonym wzrokiem wpatrując się w ułożone na wystawie produkty spożywcze opisane dziwnymi robaczkami. Aż się chciało ratować jedzeniem. Przed robaczkami.

Danuta nie słuchała.

- Książę z bajki, też mi coś - mruzczała wściekle. - Menopauzalne zapalenie mózgu, jak Boga kocham... Syn lorda... Też mi znalazły alternatywę dla naszego ślicznego Igorka z Zielonej Góry...

Przerwała, bo śliczny Igorek wyszedł właśnie z Cesarzowej Syczuanu w towarzystwie jakiegoś młodego Azjaty i rozglądając się nerwowo dokoła, skierował w ich stronę.

- Idzie! - syknęła z podekscytowaniem Beata, a potem tylko po to, żeby nie zwracać na siebie uwagi, weszła do sklepu. Danuta została przed sklepem i tylko po to, żeby zająć czymś ręce, wyciągnęła papierosa, a potem odruchowo wsadziła go sobie w usta. Jako że ręce nadal pozostały bez zajęcia, wyciągnęła zapalki.

Mężczyźni powoli przeszli obok.

Kiedy Beata wyskoczyła w końcu ze sklepu z batonikiem dietetycznym, Danuta zgasła obcasem papieros i obie bez słowa, powoli podążyły za mężczyznami, którzy sztywno kroczyli przed siebie.

- Po co za nim idziemy? - Beata wybrała niefortunny moment na rozważanie słuszności stawianych właśnie kroków. - Przecież teraz to powinniśmy się chyba rozdzielić. Jedna z nas będzie musiała wyrwać Alicję ze szponów Krystyny, a to nie będzie łatwe. Ona ma zdolności manipulacyjne, jak każdy psychiatra, użyła ich na Jadwidze.

Mężczyźni zatrzymali się nieopodal, przy budce z chińszczyzną, i kupili jedną porcję na wynos, a potem skierowali się do pobliskiego ogródka. Na piwo.

Danuta i Beata stanęły po drugiej stronie ulicy i podparły szary mur.

- Muszą mieć parszywe jedzenie w tej knajpie, skoro pracownicy jedzą na mieście - zauważyła Beata.

Danuta nie reagowała. Lustrowała uważnie towarzyszącego Igorowi Azjatę.

- Ten Chińczyk wydaje mi się jakiś znajomy - mruknęła. - Czy to nie ten sam, który plątał się za nami od rana?



Beata machnęła lekceważąco ręką.

-Wpadasz w paranoję. Zastanów się: po co jakiś Chińczyk miałby za nami łązić? Zresztą oni wszyscy wydają się tacy sami.

- Masz rację, za dużo ostatnio z Jadwigą przebywałam - rozluźniła się Danuta. - A co do podobieństwa, to też masz rację. Tak sobie myślę, że nie tylko Chińczycy wydają się do siebie podobni, ale nawet tutaj, w londyńskiej chińskiej dzielnicy, atmosfera jest zupełnie taka sama jak w dzielnicy chińskiej w Nowym Jorku. Byłam tam dwa lata temu - zaczęła opowiadać, a widząc, że młody Azjata wstaje i odchodzi, zabierając ze sobą pudełko z chińszczyzną, ale zostawiając im Igora, oparła się zadowolona o mur. - Tyle że tutaj mówią po chińsku z angielskim akcentem, a tam mówili z amerykańskim...

- W Chinach też pewnie jest tak samo. - Beata z mądrą miną wzruszyła ramionami. - Ale tam pewnie mówią bez akcentu.

Igor nie odchodził od stolika. Pomimo chłodu i lekkiej mżawki siedział - jakby zeszywniały - przy małym piwie i nie ruszał się.

- Chodź, napijemy się czegoś... - powiedziała, wykorzystując sytuację, Danuta. - Poobserwujemy go, może wpadnie nam coś do głowy.

Już po chwili siedziały przy stoliku, w niewielkiej odległości od Igora.

- Jakiś bladziutki, nie uważasz? - mruknęła Beata. - Pewnie nie dba o siebie, oszczędza najedzeniu.

- Potrzebna mu troskliwa dziewczyna, taka jak Alicja... - odparła Danuta, a dostrzegłszy kelnera, przywołała go ręką i spojrzała na Beatę. - Chcesz spróbować zamówić?

Beata westchnęła niepewnie.

- Jak to jest, że wy wszystkie przyswoiłyście angielski tylko ja nie? - wyrwało się jej.

-No wiesz... - pocieszała ją cierpliwie Danuta - ... Kryśka robiła jakieś badania w Cambridge, Jadwiga... kto ją tam wie, co tu robiła, lepiej nie wiedzieć, a ja miałam epizod jako stewardesa, tylko ty nie musiałaś...

- Gotować też nie musiałam, ale gotowałam! Boże, co ci faceci robią z kobiet! - westchnęła zdegustowana.

- Kury domowe - podpowiedziała pomocnie Danuta, a potem spojrzała wymownie na Beatę, bo pojawił się kelner, gotowy przyjąć zamówienie. - Zamawiaj - syknęła. - Po angielsku.

Beata stchórzyła. Przez chwilę milczała, wpatrując się z przerażeniem w młodego człowieka, a potem powiedziała po polsku, ale za to głośno i wyraźnie cyzelując słowa, tak że nawet głuchy nie miałby problemów ze zrozumieniem:

- Prooszę heerbaaatę. - A potem podniosła dłoń i wystawiając dwa palce, dodała: - Dwa razy.

- Już się robi - odparł kelner, także po polsku, i zaraz zniknął. Danutę zamurowało.

- Widzisz, nie sztuką jest się dogadać, jak się zna język, sztuką jest się dogadać, jak się go nie zna - oświadczyła z zadowoloną miną Beata. - A jak wam to mówię, to nie chcecie przyznać mi racji.

## ROZDZIAŁ 123

Dokładnie o wpół do pierwszej, kiedy wskazówki Big Bena rozciągały się leniwie przez całą tarczę, wskazując porę lunchu, facet w kowbojkach został znokautowany olbrzymim fallusem.

Właściwie wszystko zaczęło się niewinnie i Jadwiga, przekonana o swej umiejętności rozplływania się we mgle, nie miała najmniejszego zamiaru uciekać się do przemocy fizycznej. Mgły jednak nie było nawet na lekarstwo, a co dopiero w ilościach potrzebnych do rozplłynięcia się, a zadyszka powoli stawała się nie do zniesienia.

Jadwiga zaczęła zatem gorączkowo zastanawiać się nad alternatywą dla mgły. Myślała intensywnie, przebiegając przez różne ulice i wsiadając do autobusów piętrowych i zwykłych (oznaczonych cyframi i literkami, a nawet kombinacją obu), mieszając się z tłumem i wybiegając niespodziewanie z zatłoczonych sklepów. Tylko do metra nie odważyła się zejść.

Kiedy, pocąc się i dysząc, traciła już nadzieję na wyjście z sytuacji obronną ręką, doznała objawienia. Tuż przed zatłoczonym centrum Trocadero przy Leicester Square.

Zobaczyła znak.

Muzeum seksu.

Jako że nic nie dekoncentruje faceta tak jak seks - co jest prawdą powszechnie znaną i wykorzystywaną w przeróżnych dziedzinach życia, począwszy od reklamy, a na polityce skończywszy - Jadwiga postanowiła to perfidnie wykorzystać, chociaż wykorzystywanie czyjejś słabości zawsze uważała za zagranie poniżej pasa.

Wniknęła do środka. On za nią.

Warunki do pracy od razu okazały się ekstremalnie trudne, a miejsce stanowczo nieodpowiednie dla ludzi o słabych nerwach. Ale Jadwiga do takich nie należała, chociaż trzeba uczciwie przyznać, że przez moment i ona się zdekoncentrowała, bo fallusy mieniły się jej w oczach jak stalaktyty w jaskini Raj. Już po chwili wzięła się jednak w garść i dzielnie przedzierała się przez tę świątynię rozpusty, wpatrując mimowolnie w przeróżne i niezmiernie interesujące rzeczy, jakie można zobaczyć tylko w muzeum seksu.

Za sobą słyszała stukot kowbojek, które - dałaby sobie głowę uciąć - stukały coraz bardziej nerwowo i chaotycznie, jakby nie wiedziały, w którą stronę się skierować. Potem zastygły przy jęczącej ekspozycji - z pewnością wyjątkowo interesującej. Wprawdzie Jadwiga nie miała okazji zerknąć, ale dźwięki, które stamtąd dochodziły, wskazywały na wyjątkowe walory edukacyjne eksponatów. Jadwiga wykorzystała ten długo wyczekiwany moment dekoncentracji i dała nura za urządzenie opisane jako „klapsomierz”, przy którym stał zalotny manekin płci żeńskiej, wypinający pośladki w dalekiej od przyzwoitości bieliźnie. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że mężczyźni w kowbojkach najwyraźniej wypięte pośladki bardzo się spodobały.

Spojrzał z szaleństwem w oczach.

I znowu ją zauważył. Wtedy - przypomniawszy sobie zapewne, po co w ogóle wszedł do muzeum - utkwiał w Jadwidze wściekle spojrzenie. I już go od niej nie oderwał. Wydawał się skrajnie wyczerpany, ale widocznie nienawiść dodawała mu sił. Zaczął iść

w stronę Jadwigi, trzymając ręce w kieszeni płaszcza, a jego wielka twarz spływająca potem nie dawała żadnej nadziei na przetrwanie spotkania.

Jadwiga w przyływie desperacji, chwyciła w dłoń pejczyk przyczepiony do klapsomierza i nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu, klepnęła w pośladki stojącego obok postawnego mężczyznę w stroju marynarza. Stanowczo przeżył je lepiej niż manekin. Marynarz pisnął i spojrzał. W oczach miał groźbę powolnej śmierci. Jadwiga, nie czekając na spełnienie obietnicy, szybko wcisnęła pejczyk zaskoczonemu facetowi w kowbojkach, a potem zrobiła swoją popisową niewinną babciną minę i oburzona wskazała palcem bezczelnego typa. Facet w kowbojkach zbladł i wypuścił z dłoni pejczyk. Marynarz się wściekł. Wyprężył, tym razem nie jędrne pośladki, ale całkiem foremne bicepsy, i podszedł blisko - tak blisko, że klata podbił tamtemu nos. Facet w kowbojkach, widząc, że jego bary wyglądają przy tamtych na zaniedbane, rozejrzał się w poszukiwaniu broni, a potem z wyzywającym uśmiechem chwycił w dłoń jeden z eksponatów, którym był wielki plastikowy fallus.

Marynarz poczerwieniał. Przez chwilę się wahał, w końcu nie co dzień wyzywał na pojedynek faceta z fallusem w dłoni, ale bardzo szybko odzyskał refleks. Wyrwał z ekspozycji drugi eksponat, nieco większy, i cóż... udowodnił starą prawdę, że rozmiar ma znaczenie.

Jadwiga z uśmiechem na ustach wyszła na zatłoczoną ulicę.

Korzystając z okazji, że znajduje się tuż przy wejściu do chińskiej dzielnicy, postanowiła odszukać obrażone koleżanki. Przeszła, rozglądając się, obok Cesarzowej Syczuanu i wkrótce zobaczyła je siedzące w opustoszałym ogródku, przy dwóch prawie pustych filiżankach herbaty. Wpatrywały się w chmury.

Jadwiga podeszła i stanęła tuż za nimi. Na wszelki wypadek także spojrzała w górę, ale że niczego ciekawego nie było widać, chrząknęła. Koleżanki podskoczyły przestraszone, a na widok Jadwigi najwyraźniej się wściekły.

- Proszę, proszę, jaki ten świat mały - powiedziała hieżrażona lodowatym milczeniem powitania Jadwiga. Dosiadła się nieproszona.

- Co tu robisz? To nasz teren - wysyczała po chwili konsternacji Danuta, wskazując nieznacznie na siedzącego przy stoliku Igora.

Jadwiga omiotła spojrzeniem ogródek i od razu zrozumiała fascynację koleżanek niebiosami. Na jej twarzy pojawił się zadziorny uśmiezek.

- A od kiedy? - zapytała, przyglądając się dyskretnie anielskiej twarzy Igora.

- Od kiedy zdecydowałam się pomóc Krystynie w jej idiotycznych planach. Co tu robisz!?

- Idę na obchód.

- Zgubiłaś się, szukając skrótu? - dogadała jej złośliwie Beata.

- Naprawdę nie wiem, co ci odbiło - odezwała się Danuta. - Krystyna to jeszcze rozumiem, ma depresję i coś jej się mogło pomieszać, ale ty? Gruboskórna, pozbawiona wrażliwości była sekretarka wywiadu?

- Auć! - Jadwiga skrzywiła się. - Bolało... - Zaraz potem dodała jednak pocieszająco: - Ale tylko trochę. Muszę przyznać, że jestem dumna z tego, że moja wrażliwa natura zdołała przebić się przez pancierz. Pomyślałam sobie: jak by było pięknie, gdyby chociaż raz miłość niemożliwa miała jakąś szansę... Tak *a propos*, to chciałam wam tylko powiedzieć, że... - Zabębniła palcami po stole. - Okazało się, że przyjęcie jest przesunięte na tę sobotę. Nasz zakład wprawdzie dotyczył przyjęcia, ale miało się odbyć za dwa tygodnie.

Danuta i Beata spojrzały po sobie zaskoczone, a potem niespodziewanie i nie umówiwszy się, zapiszczały z radości, co Jadwiga przyjęła z niewzruszonym spokojem.

- Miało być do przyjęcia, będzie do przyjęcia - oświadczyła nielitościwie Danuta i zatarła ręce. - Doskonale! Pomyśl o tym,

Jadwiga. Nawet szczęście wam nie sprzyja. Porzućcie ten szalony plan od razu, to zapomnimy o zakładzie i premia będzie do podziału na cztery... - zawiesiła głos i wpatrzyła się w Jadwigę wyczekująco.

Ta nie odzywała się przez chwilę.

- Nie - powiedziała w końcu.

- Jeśli myślisz, że uda wam się rozkochać królewicza w Kopciuszku w ciągu dwóch dni, to oficjalnie można stwierdzić twoją niepoczytalność - syknęła wściekła Beata. - Tracimy tylko przez was czas i pieniądze!

- Beata, poczytaj sobie menu, to ci się lepiej zrobi - docięła jej ze słodkim uśmiechem Jadwiga i wskazała na kartę leżącą na stole.

Beata poderwała się z krzesła, ale na szczęście zanim doszło do rękoczynów, wtrąciła się Danuta.

- Dość - powiedziała wyjątkowo spokojnie. I nawet się uśmiechnęła. - Chcesz, proszę bardzo. My nie mamy zamiaru nawet palcem kiwnąć. I żeby ci pokazać, jak mało robimy sobie z waszych starań, jedziemy na wycieczkę - oświadczyła i uśmiechnęła się do przypatrującego się im Igora, wręczając Jadwidze lunetę. - Wrócimy w sobotę, jak to wszystko do was dotrze i będzie można z wami znowu rozsądnie porozmawiać. Wtedy zaczniemy wspólną akcję. Na sobotę wieczór zarezerwuję stolik w Cesarzowej Sycuanu i Krystyna doprowadzi tam Alicję...

Jadwiga przytuliła lunetkę jak do starego przyjaciela.

- Dokąd się wybieracie? - zapytała obojętnie, nie wstając z miejsca.

- Jak to dokąd? - zdumiała się teatralnie Danuta, patrząc na Beatę wymownie. - Beata, powiedz jej!

Beata spojrzała z podekscytowaniem na koleżankę.

- Do Chawton - wypaliła, patrząc na Danutę, jakby spodziewała się wybuchu entuzjazmu. Nie zauważywszy odpowiedniej reakcji ze strony koleżanki, zawołała: - Nie mogę się już doczekać!

- Co takiego jest w Chawton?

- Jak to co? - oburzyła się Beata. - Dom Jane Austen! Tej od *Dumy i uprzedzenia*, jakbyś nie wiedziała.

Jadwiga zaczęła się śmiać.

- Nie jesteście za stare na pana Darcy'ego? - zapytała pobłaźliwie.

- Nikt nie jest za stary na pana Darcy'ego! - oburzyła się Beata - Poza tym tu chodzi o ideę...

- Mam gdzieś ideę. Wolę faceta z krwi i kości. Wy, romantyczki od siedmiu boleści, wszystkie wierzycie, że kładziecie się spać z panem Darcym, a budzicie się z facetem, któremu daleko do ideału... I nie możecie się z tym pogodzić.

- Nie to, co ty - wysyczała nagle Danuta. - Ty zasypiasz z Bondem, przepraszam bardzo, z Conanem, ale budzisz się sama. Nie wiadomo, co komu na lepsze wychodzi...

Jadwiga podniosła się. Przełknęła gorzką pigułkę. W powietrzu słyhać był wojenne fanfary.

- No, to do soboty! - Uśmiechnęła się słodko. - Spotkajmy się przed mieszkaniem Alicji, powiedzmy... koło szóstej. Zobaczycie, jak nasz Kopciuszek wyrusza na bal! - rzuciła na odchodnym.

Danuta i Beata obserwowały, jak znika za zakrętem. Wymieniły spojrzenia, podniosły wysoko głowy i opuściły swój posterunek, pozostawiając przebojowego cherubinka bez opieki przeznaczenia.



## ROZDZIAŁ 129

Igor poczuł wielką ulgę. Kiedy nieznajome kobiety, w których rozpoznał wariatki z metra, zniknęły, utwierdził się jedynie w przekonaniu, że muszą mieć nie po kolei w głowach. Na wszelki wypadek wrócił do mieszkania, po drodze przyglądając się uważnie przechodniom. Nikt jednak nie wydał mu się podejrzany.

Otwierając drzwi wejściowe, rozejrzał się jeszcze, ale nie dostrzegł niczego niepokojącego. Wszedł do środka, starannie zamknął drzwi na klucz i podszedł do okna. Skryty za zasłoną przez chwilę obserwował okolicę. Nic zaskakującego. Codzienny gwar chińskiej dzielnicy.

Igor uspokoił się, rozluźnił. Ściągnął kurtkę. Nalał do kubka wody z kranu, wypił ją duszkiem i uśmiechnął się do siebie.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

Wrócił irracjonalny strach. Igor rozejrzał się odruchowo dokoła, jakby szukając drogi ucieczki, ale mieszkał za wysoko, żeby wyskoczyć przez okno, a na schowek w podłodze, taki jak u Pe-kińczyka, nie mógł sobie pozwolić. Mysiej dziury nie było.

Znowu pukanie. Igor gorączkowo zastanawiał się, czy to policja.

Na palcach podszedł do drzwi i spojrział przez wizjer.

Ujrzał Alicję. Zmartwiał.

Znowu poczuł w sercu piekący ból, jakby ktoś dotknął niezabliźnionej rany. Zapukała znowu.

Czuł, jak narasta w nim złość. Obiecując sobie, że tym razem Alicja nie zamknie mu ust pocałunkiem, otworzył.

- Dlaczego mnie nachodzisz? - wyrzucił z siebie. Nie zabrzmiało to tak, jak planował. Złość niespodziewanie i wbrew jego woli ustąpiła rezygnacji.

Alicja spuściła głowę, kasztanowe włosy zasłoniły jej twarz.

- Nie wiem - wyszeptała. - Ja... - nie dokończyła. - Wpuścisz mnie? - zapytała za to błagalnym tonem.

Igor wzruszył ramionami, udając obojętność. Odsunął się od drzwi, żeby zrobić jej przejście.

Weszła. Po chwili oboje znaleźli się w pokoju. Igor oparł się o framugę i czekał.

Alicja rozejrzała się, jakby oceniając zmiany, jakie zaszły w mieszkaniu i w życiu Igora przez te kilka miesięcy od jej odejścia. Potem zrobiła kilka niezdecydowanych kroków w stronę okna. Zatrzymała się przy półce, którą kupili wspólnie. W srebrnej ramce nadal znajdowało się jej zdjęcie.

Igor zeszywniał.

- Zapomniałem o nim - wyjaśnił szybko. - Możesz sobie zabrać - dodał, wściekły, że zdjęcia nie wyrzucił. A powinien był.

Alicja potrząsnęła przecząco głową i odłożyła ramkę.

- I tak nie mogę na siebie patrzeć - wyszeptała ze smutnym uśmiechem i usiadła na kanapie.

Igor poczuł się bardzo zmęczony.

- Po co przyszłaś? - zapytał po chwili. Uśmiech Alicji rozmazały łzy.

- Przepraszam, że wczoraj...

Igor przełknął ślinę. Milczał. Obiecał sobie, że nie da się manipulować.

- Kiedy wpadliśmy na siebie w metrze, dotarło do mnie, jak bardzo za tobą tęsknię... Nie mogłam znaleźć sobie miejsca - zaczęła opowiadać.  
- Uśmiechałam się, pracowałam, niby wszystko było w porządku, ale nie mogłam dojść ze sobą do ładu. Dopiero w nocy, leżąc w łóżku, uświadomiłam sobie, że bez ciebie mojemu życiu brakuje koloru, smaku... Musiałam przyjść, żeby nie zwariować. Wczoraj chciałam porozmawiać. Naprawdę. Poniosło mnie...

Poczuł się bezbronny wobec takiej deklaracji. Jak mały kotek, którego wielki brytan zapędził w ślepy zaułek. A raczej, paradoksalnie, jak wielki brytan zapędzony przez kotka w ślepy zaułek.

Przez chwilę wahał się, ale w końcu podszedł i usiadł obok niej na kanapie.

- Dlaczego odeszłaś? - zapytał cicho, ale stanowczo, nie pozwalając jej odwrócić spojrzenia. Chwycił ją za rękę. — Nad ranem, bez słowa wyjaśnienia...

- Nie chciałam cię budzić. Musiałam wrócić, mam gościa... -zaczęła się tłumaczyć.

- Nie chodzi mi o wczoraj - rzucił ostro. - Powiedz mi, dlaczego mnie zostawiłaś. Coś, co mnie przekona. Niezgodność charakterów to jakaś bzdura. Z nikim nie byłem tak szczęśliwy jak z tobą. - „I nie będę...”, dodał w myślach.

- Ja też - wyszeptała.

- Więc dlaczego? - chwycił jej drugą dłoń. Była lodowata. -Dlaczego?

- Przestraszyłam się. - Na jej twarzy pojawił się bolesny cień. Zaczęła drżeć.

- Czego się przestraszyłaś? - powiedział łagodnie. - Przyniosłem ci tylko pierścionek.

Nie odpowiedziała.

- Wiem, że nie jesteś z tych, co marzą o białej sukni, welonie i gromadce dzieci... Zresztą gdybyś była, to bym ci się nigdy nie oświadczył... - dodał.

Alicja uśmiechnęła się lekko, słysząc te słowa.

- Nie o to chodzi. Uświadomiłam sobie, że... że to pierwszy etap - wydusiła w końcu długo skrywaną prawdę. Wyszarpnęła dłonie z jego uścisku i ukryła w nich twarz.

Igor zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem - powiedział szczerze.

- To pierwszy etap, żeby... stać się nimi.

Igor chciał powtórzyć, że nie rozumie i że właściwie już mu to obojętne, bo pierścionek oddał, ale nagle uświadomił sobie, że wie, o co jej chodzi. Mówiła o rodzicach.

Alicja szeptała dalej, jej szept był niewyraźny, zduszony przez płacz.

- Patrzyłam na nich przez całe dzieciństwo, patrzyłam na nich ze strachem, chowając się pod łóżkiem. Bili się i wyzywali, a ja obiecywałam sobie, że nigdy nikogo nie pokocham aż tak, żeby związać się z nim na stałe. Codziennosc zabija miłość, Igor. Powoli wchłania ją i wypływa z siebie, nawet nie namiastkę miłości, ale jej zupełne przeciwieństwo. Z codzienności rodzi się nienawiść, jakiej nie jesteśmy w stanie jeszcze sobie wyobrazić... - odkryła twarz. W oczach nadal miała przerażenie małej dziewczynki patrzącej spod łóżka na okropieństwa życia we dwoje.

- Nie w każdym związku tak jest - próbował ją przekonać.

- Pokaż mi jeden, jeden, w którym ludzie po latach bycia razem nadal się kochają.

Nie odpowiedział. W myślach szukał przykładu. Nie znalazł. W końcu pochylił się nad Alicją i odgarnął jej włosy z twarzy. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nam się uda - powiedział z przeświadczeniem, jakie daje jedynie silne uczucie. - My to nie oni.

- My to właśnie oni - wyszeptała z bezbrzeżnym smutkiem. - Tyle że dwadzieścia lat wcześniej.

## ROZDZIAŁ 133

Chester Square był jednym z typowych dla bogatego Londynu placyków otoczonych podobnymi do siebie, eleganckimi domami, które - jak panny w białych sukienkach na balu debiutantek - otaczały (zupełnie jak kawalera) mały park. Jak się okazało, do parku miały dostęp tylko wybrane osoby. Umieszczony na ogrodzeniu napis głosił bowiem, że z parku korzystać mogą jedynie właściciele okolicznych domów. Chociaż na ławce widocznej przez metalowe ogrodzenie siedziało dwóch zakapturzonych mężczyzn, którzy niekoniecznie wyglądali na bogatych. Jadwiga należała do tych osób, które nie patrzą stereotypowo na ludzi, bo jedną z najważniejszych rzeczy, jakich nauczyła się w życiu, było to, że pozory mylą. Rzuciła zatem przelotne spojrzenie zajętych sobą chłopcom, których w myślach nazwała pieszczotliwie dresiarzami, i spokojnie minęła okazały dom Archibalda Nelsona, przypatrując się z ciekawością czarnym lśniącem drzwiom, przywodzącym jej na myśl najsłynniejsze chyba drzwi Anglii, te przy Downing Street.

Kiedy się obróciła, zobaczyła, że zza kolumny wyłonił się jakiś młody mężczyzna o azjatyckich rysach, trzymający w jednej ręce pudełko z chińszczyzną, a w drugiej telefon. Jadwiga obojętnie omiotła go wzrokiem, a potem - w poszukiwaniu jakiegoś pola

do działania - zaczęła obchodzić park. Niestety jedynym polem, jakie znalazła, było pole dla wyobraźni, bo miejsce nie sprzyjało jej planom. Powoli obeszła park dokoła i kiedy znowu zbliżała się do rezydencji Nelsona, zauważyła, że Azjata nadal tam stoi. I wpatruje się w drzwi. Spojrzał na nią, zatrzymując wzrok na lunetce, którą dźwigała, a potem - jakby była dla niego bodźcem do działania - ruszył prosto do wejścia.

Jadwiga zbliżyła się do bramki, lustrując dyskretnie dostawcę chińszczyzny, który zdążył już wejść po schodach na podest i stał, gapiąc się na czarne drzwi. Po chwili jednak zaskoczył i wyciągnął rękę, ale nie wiedzieć czemu, znowu ją opuścił.

I wtedy drzwi, jakby nie mogąc wytrzymać napięcia, same się otworzyły, przez co dostawca spiął się straszliwie, nieprzygotowany na takie niespodzianki. Strach najwyraźniej odebrał mu siły, bo musiał podeprzeć się o barierkę. W drzwiach pojawiła się starsza kobieta z konewką. I pies. Wyglądał jednak raczej jak koń. Jadwiga nie знаła się na psich rasach, ale jej kuzynka miała kiedyś takiego samego, od razu zatem rozpoznała doga błękitnego.

Dostawca najwyraźniej miał problemy z identyfikacją nie tyle samej rasy, co rodzaju zwierzęcia, bo widząc je, najpierw podskoczył jak wytrenowany tyczkarz, a potem o mało nie zemdlął.

- Przepraszam, jeśli pana przestraszył, ale to bardzo łagodny piesek...  
- Kobieta załamała rękę, widząc przesadną reakcję Azjaty. - Wody? - zapytała z troską.

Młodzieniec najwyraźniej doszedł już do siebie, ale był zły, że dał się zaskoczyć.

- Piesek!?! W Chinach to się psy zjada! - warknął w przyпіływie złości. Spojrzał na pudełko. Kobieta także spojrzała. - *Take away?* - wyjąkał w końcu głosem ściskanej w rękach żaby.

Kobieta przestała się uśmiechać, zostawiła konewkę, na wypadek gdyby mężczyzna potrzebował jednak wody, kazała mu poczekać i zniknęła w środku, zabierając ze sobą psa. Chińczyk stał z pudełkiem, wierząc się, jakby miał owsiki albo coś jeszcze gorszego, a potem niespodziewanie zrobił parę kroków do

przodu, rozejrzał się i wszedł do środka. Jadwiga zmrużyła oczy ze zdumienia, ale chłopak wrócił na miejsce równie szybko, jak zniknął, zdyszany i spocony. Kiedy znowu pojawiła się kobieta, twierdząc, że nikt chińszczyzny nie zamawiał, chłopak bez słowa uklonił się i odszedł.

Jadwiga przyglądała mu się, gdy odchodził, zaintrygowana, ale potem postanowiła przypilnować własnych spraw i zainstalować się w parku, żeby mieć więcej swobody w obserwacji domu. Przy okazji chciała odpocząć po jakże ciężkim dniu. A nawet jeszcze nie dotarła na Hispaniolę.

Zastanawiając się, czy da radę otworzyć bramkę wsuwką, pociągnęła za klamkę i bramka sama się otworzyła. Chwaląc zatem własne szczęście, póki sprzyjało, szybko weszła do środka.

Park nie był wielki, ale przyjemny, a świadomość przebywania w miejscu niedostępnym dla zwykłych śmiertelników, w dodatku znajdującym się w ekskluzywnej części Londynu, dodawała mu jeszcze uroku. Nie tracąc czasu, Jadwiga zaczęła rozglądać się za odpowiednim miejscem do obserwacji. Najbardziej nadająca się do tego ławka zajęta była jednak przez dwóch dresiarzy. Przez chwilę Jadwiga przyglądała się im, oceniając sytuację, a potem podeszła bliżej i zatrzymała się tuż koło ławki. Uśmiechnęła się do nich serdecznie (bo lubiła rozmawiać z nieznanymi), przy okazji przypatrując się im uważnie. Jeden, pomimo młodego wieku, zdążył już dorobić się złotych implantów i takiegoż łańcucha na szyi. Drugi miał na ręce trzy zegarki. Było widać, bo podwinał rękaw, a poza tym wszystkie trzy były złote i wyjątkowo błyszcząły w słabych promieniach słońca, którym udało przebić się przez chmury.

Na widok starszej kobiety chłopcy zamilkli i wytrzeszczyli oczy, czym Jadwiga bynajmniej się nie przejęła przyzwyczajona do różnorodnych reakcji. Skinęła im tylko głową na powitanie, a potem usiadła obok, przesunawszy w ich stronę dużą torbę leżącą na ławce. Chłopcy zaczęli przypatrywać się sobie, bo taka impertynencja w głowie im się nie mieściła, i dobrą chwilę zajęło im

otrząśnięcie się z szoku, jako że kobiety w pewnym wieku raczej się do nich nie dosiadają. Jednemu ze zdziwienia nawet opadł kaptur. Spodnie nie musiały, bo już od dawna wisiały mu w kroku.

- *Yo, matka...* - rzucił zaczepnie przez zęby ten od zegarków, kiedy już wrócił mu głos.

Jadwiga uśmiechnęła się radośnie i zaczęła wyciągać lunetę.

- *Yo, synek* - rzuciła tak naturalnie, jakby witała się z dobrym znajomym. I wcale nie wydawała się zdekoncentrowana. Wręcz przeciwnie.

Jeśli się zmieszał, nie dał tego po sobie poznać. Otworzył szeroko torbę. Cała wypełniona była błyszczącymi złotymi zegarkami. Wyglądały na autentyczne podroby.

- Chcesz kupić zegarek?

- Wszystkie na sprzedaż? - zapytała z grzeczności i otworzyła szeroko swoją torebkę. Tak szeroko, żeby nie mieli wąpliwości, że w jej torbie znajduje się pistolet.

Nastąpiła gwałtowna wymiana spojrzeń. Chłopcy postanowili zmienić podejście i zaczęli się szeroko uśmiechać. Bo - jak powszechnie wiadomo - broń niespotykane łagodzi obyczaje. Zwłaszcza obyczaje tego, w którego stronę jest wymierzona.

- Nie. To nasze zabawki. Na własny użytek - uśmiechał się ten od torby.

Jadwiga wskazała na swoje rzeczy.

- To też zabawki. Na własny użytek. Gorliwie pokiwali głowami.

- A pani z policji? - zapytał ten od zegarków, przytrzymując Jadwidze usłużnie futerał na lunetkę.

Uśmiechnęła się, ale nie potwierdziła. Zaprzeczyć też nie zaprzeczyła, pozostawiając chłopcom przestrzeń do wyobraźni. Chłopcy najwyraźniej nie lubili przestrzeni, bo ten od zegarków powoli wstał i chciał odłożyć futerał na ławkę, ale jedno spojrzenie Jadwigi usadziło go na miejscu.

- Nie boicie się kamer? - zapytała od niechcienia, przystawiając lunetkę do oka.



- My się nie mamy czego bać, a poza tym... tu nie ma kamer.

- Nie? - zdumiała się. - Myślałam, że miejsca takie jak to, gdzie mieszkają bogaci i wpływowi ludzie, naszpikowane są kamerami.

- Bo są. Ale tam... widzi pani? - Wskazał ręką na przeciwległy bok placu. - Tam jest ambasada Kolumbii, a oni nie lubią kamer. Podobno dogadali się z lordem Nelsonem, którego syn mieszka tam... - Wyciągnął rękę w stronę, gdzie patrzyła Jadwiga - właśnie tam, gdzie pani patrzy.

- Taaak? - zainteresowała się Jadwiga.

- To w obopólnym interesie. Młody Nelson tak dobrze się ostatnio bawi, że jego ojciec boi się kompromitujących zdjęć. Władza wiele może.

Jadwiga pokiwała głową, a potem zobaczyła, że drzwi się otwierają i pojawił się w nich mężczyzna.

- Jest nasz *enfant terrible* - mrugnęła z narastającą ekscytacją i przyłożyła lunetkę do oka. A potem zmarszczyła czoło. - Co jest?

Bo o ile z odległości, w jakiej siedziała, na gołe oko mężczyzna mógł ujść za młodszego, to na uzbrojone - żadną miarą. Był wprawdzie dobrze zbudowany, ale na twarzy widać już było przeżyte lata. Co najmniej tak długie jak jej.

- Myślałam, że Archibald Nelson jest młodszy - powiedziała do dresiarzy, oczekując jakiegoś pomocnego komentarza.

Spojrzeli we wskazanym kierunku.

- To nie Nelson, to jego szofer - powiedział ten ze złotymi zębami. - Mieszka z nim od jakiegoś czasu.

- Znacie rodzinę Nelsonów?

- Pewnie. Moja matka jest kucharką w domu obok. - Wzruszył ramionami. - A myśli pani, że skąd mamy klucz do parku?

- Myślałam, że znaleźliście. - Uśmiechnęła się niewinnie i wróciła do obserwacji.

Przyglądała się mężczyźnie dłuższą chwilę. Zszedł po schodach na chodnik, stanął koło czarnego mercedesa i czekał.

- Szofer? - mruknęła.

- Młody Nelson *jeździł* po pijanemu, to teraz go pilnują - zakpił złotousty, a raczej złotozębny. - W rezydencji, gdzie pracuje moja matka, ciągle obgadują Nelsonów. Mówią, że może i lord Nelson jest wybitnym politykiem, ale ojcem marnym i dba tylko o własne interesy. A jego własny interes jest taki, żeby nie stracić wizerunku dobrego ojca i żeby Archie jakiejś strasznej głupoty nie strzelił albo w nieodpowiedniej dziewczynie się nie zakochał... Rozumie pani. Archie jest w okolicy kimś w rodzaju gwiazdy, wie pani? To nie chodzi o pieniądze, tylko o sławę, o media... A piszą o nim chętnie. Nikt wśród arystokratów nie wykręca takich numerów, zwłaszcza z rodzin osób udzielających się politycznie. Kiedyś to go nawet chcieli porwać. - Zachichotał. Spojrzał na stojącego przy samochodzie mężczyznę i powiedział: - Ale ten szofer wydaje się przyzwoity. I stary Nelson musi mu ufać, jeśli powierzył mu swojego synka...

- Przyzwoity to jest Archie - wtrącił się ten od zegarków. - Nawet święty. Gdyby ode mnie najfajniejsze laski odganiał, to bym zamordował. Zastanów się, czy facet, który broni Archiemu dostępu do radości życia, może być przyzwoity? Podobno nawet przekupili dziewczynę Archiego, żeby go zostawiła. Nie była odpowiednia.

- Ja i tak uważam, że ten szofer to porządny gość - zaciętrzewił się złotozębny. - Zawsze zbiera kupy po swoim psie. Zauważyłem, że jak zapomni worków, to wraca po nie do domu, a potem szuka tego gówna... Dla mnie to ważne, bo białe adidasy trudno wyczyścić, jak się w co wdepnie, a ja spędzam w tym parku dużo czasu. Facet tu zawsze, dzień w dzień, czy śnieg, czy deszcz, o siódmej rano i o dziesiątej wieczorem tego psa wyprowadza. I zawsze po nim sprząta. Taki facet to unikat!

- Normalnie jak gówno konia na biegunach! - Kumpel wpatrywał się w niego zdumiony. - Zwariowałaś? Gościa oceniasz po tym, że psie gówna zbiera? Przecież to jego zafajdany obowiązek! To nie ma nic wspólnego z moralnością! Mylisz pojęcia.

- Niby tak, ale czy facet, który wraca na miejsce zdarzenia, może być nieporządny?

- Może nie być porządny, ale na przykład ekologiczny.

- A co, psy mają toksyczne gówna!? - zaperzył się obrońca szofera. - Gdyby był ekologiczny, toby gówien nie zbierał, bo worki są nieekologiczne.

- Może kupuje biodegradowalne, a może zbiera i pański ogródek nawozi!

- Znalazł się ekolog!

Chłopcy zaczęli się szarpać i o mało nie doszło do bijatyki, na szczęście Jadwiga ostentacyjnie otworzyła torebkę.

Znieruchomieli. Jadwiga znowu wpatrzyła się w czarne drzwi. Wreszcie ponownie się rozwarły i po schodach zszedł, a raczej zwłókł się, młody mężczyzna ze smętnym wyrazem twarzy. Był w czarnym płaszczu, który wściekle kontrastował z jego bladą arystokratyczną cerą. I z różową koszulką polo wystającą spod płaszcza. Mężczyzna stanął zrezygnowany przed czarnym mercedesem, a szofer otworzył mu drzwi i pomógł wsiąść do środka. Po chwili samochód opuścił Chester Square.

Jadwiga już miała schować lunetę z powrotem do futerału, kiedy w jej kadrze znalazł się Azjata z pudełkiem. Znowu podszedł pod doiri Archibalda. Jadwiga zmarszczyła czoło. Coś jej tu nie pasowało. Jakiś mały szczegół wydawał się na siłę doczepiony do otaczającego świata. Ale potem przypomniała sobie, że to przecież ona jest tym drobnym szczegółem. I wróciła do rzeczywistości.

Spojrzała na siedzących przy niej chłopców, potem na rezydencję i na jej zmęczonej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Wpadł jej do głowy szatański plan.

## ROZDZIAŁ 26

Kiedy Janina *vel Madame* Klara Widząca skończyła wreszcie wypełnianie swoich obowiązków i wpadła w fazę otępienia, Krystyna zdecydowała się zostawić ją sam na sam z duchami i dającymi pogłos słoikami i zeszła na dół, żeby pomóc Kubie, bo Alicja wyszła jakiś czas temu, wzięwszy kilka dni wolnego. Pub był pusty, jeśli nie liczyć siedzących w pierwszej sali trójki stałych bywalców, którzy zakończyli muzykowanie i teraz z czystym sumieniem oddawali się przyjemnościom życia. W drugiej sali siedział facet w czerwonych sandałach, ale był tak wciśnięty w kąt, że w pierwszej chwili go nie zauważyła.

Krystyna weszła za bar, wymieniła z Kubą kilka zdań na temat pogody i fatalnego ostatnio nastroju Alicji, a potem zaczęła opróżniać zmywarkę.

- A nie można by tak wymienić tych spalonych żarówek? - zasugerowała, wskazując na mrok ogarniający bar od strony pierwszej sali. - Od razu zrobiłoby się jakoś sympatyczniej. Jestem przekonana, że zaczęliby tutaj wreszcie przychodzić normalni klienci...

- Żarówki specjalnie wykrecono - wytłumaczył Kuba. - Nasi stali bywalcy nie lubią światła. I zwykłych klientów też nie. Proszę

mnie źle nie zrozumieć, to całkiem... - zawahał się - sympatyczni ludzie, ale mają swoje dziwne przyzwyczajenia. - Potem, zmieniając temat, zapytał: - A pani już długo w Londynie? Krystyna pokręciła przecząco głową.

- Dopiero przyjechałam - powiedziała, odkładając kufle na półkę. - Ale niedługo będę wracać...

Uśmiechnął się z powątpiewaniem i zaczął wycierać ładę.

- Też tak mówiłem. Dwa lata, powiedziałem sobie. Zarobię na wpłatę na mieszkanie, na samochód i wracam do domu. To było pięć lat temu... - Uśmiechnął się z niedowierzaniem. - A teraz nie mam do kogo wracać. Żona mnie zostawiła. Cała ta emigracja strasznie ją zestresowała - powiedział, ironizując. - Miała szczęście, bo pocieszył ją przyjaciel. Wyszła za niego w zeszłym roku. Ja dalej szukam swojego szczęścia.

Krystyna zagryzła wargi.

- Przykro mi... - zaczęła, ale wzruszył jedynie ramionami. Sam już się nie wzruszał z tego powodu.

- Żonglując marzeniami, można nieźle dostać po głowie - skwitował, odkładając szmatę.

- Dlaczego dalej tu pracujesz?

- Wszędzie można się czegoś nauczyć, prawda? A gdzie lepiej nauczyć się, jak nie należy żyć, jeśli nie w podupadłym pubie uczęszczanym przez nieudaczników, świrów i emigrantów. Paradoksalnie perspektywa zmywaka uczy pokory, daje motywację, siłę... - Roześmiał się i dodał zagadkowo: - Ale już niedługo... Londyn to świat wielkich możliwości. Mam swoje plany - zdradził szeptem.

- A marzenia?

- Nie, zostały mi tylko plany - powiedział. - Marzenia to niebezpieczna rzecz. Tu w Londynie wszystkie ulice brukowane są marzeniami. Kiedyś to pani zrozumie. Ludzie przywożą tutaj głowy pełne marzeń o sukcesie. Wydaje im się, że pieniądze na ulicy leżą. Ale tak naprawdę to nie pieniądze leżą na ulicach, tylko marzenia. Zdeptane, zapomniane, brudne. - Westchnął. - Każdy

emigrant powie to pani. Radzę wyrobić sobie odporność na marzenia i uważać na ludzi. - Krystyna spojrzała ukradkiem na siedzących w kącie mężczyzn zapatrzonych w kufle, a Kuba uśmiechnął się. - I proszę szybko wracać do domu. Szkoda pani do takiej roboty, bo tu praca ciężka, a pani ma takie zadbane i nie-przyzwyczajone do pracy fizycznej ręce.

Jeśli miał nadzieję, że ją zniechęci, to mu się udało.

- Boże, co ja tu robię - jęknęła mimowolnie, patrząc na swoje dłonie. - Przecież mnie tu w ogóle nie powinno być!

- Jak każdego z nas, pani Krysiu - powiedział smutno. - Jak każdego z nas.

## ROZDZIAŁ 143

Igor dotarł do Cesarzowej Syczuanu dość późno. Dowiedziawszy się od kelnerki, że Li nie wrócił jeszcze z Chester Square, usiadł przy barze. Niecierpliwie wpatrywał się w drzwi wejściowe. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie widział młodych egzotycznych kelnerek, których wdziękami jeszcze tak niedawno starał się rozpalic wyobraźnię.

Myśli zajęte miał Alicją.

Kiedy wychodził, spała na kanapie - wykończona płaczem, histerią i Bóg wie czym jeszcze. Igor nigdy nie mógł zrozumieć kobiecych napadów histerii. Dla niego - i dałby głowę, że dla większości facetów na kuli ziemskiej, a nawet tych wysłanych w kosmos - sprawy były proste, oczywiste, przejrzyste. Zamiast histeryzować, trzeba zadać sobie jedno pytanie: „Czy chcesz z nią być?”. Jeśli odpowiedź jest twierdząca, to o czym tu dumać? Kobiety komplikowały wszystko. Alicja nie była wyjątkiem. Chciałaby, ale się boi. Chciałaby, lecz jest tyle „ale”, że wpada w panikę za każdym razem, gdy o tym myśli.

- Trudno jest być kobietą - mruknął do siebie z przekonaniem. Zastanawiał się, czy Alicja poczeka na niego w mieszkaniu. Miał dobre przeczucia. Na tyle dobre, że uśmiechnął się do siebie. Jego

anielski uśmiech tak rozproszył przechodzącą kelnerkę, że oblała się zupą.

Kiedy w drzwiach pojawił się Li, Igor wrócił do rzeczywistości, która i tak zawsze wydawała mu się snem, i głośnym okrzykiem pomógł zlokalizować koledze miejsce swojego pobytu.

- I jak tam wizja lokalna!?! - zawołał.

- Ciszej - syknął Li i usiadł obok. Zamówił piwo Tiger i rozejrzał się dokoła. - Udało mi się wniknąć do przedpokoju i zlokalizować alarm. Nawet zrobiłem zdjęcie - mówił z niejaką dumą, pokazując Igorowi telefon. - To powinno nam pomóc.

- Co to za alarm? - zapytał Igor, mrużąc oczy.

- Nie wiem, nie znam się na alarmach. Jest jednak pewien poważny problem... - Spojrzał na kolegę nerwowo. - Widziałem tam psa - wypalił z takim przerażeniem na twarzy, jakby właśnie przeparadowało przed nim stado krwiożerczych tygrysów, a każdy z kawałkiem ludzkiego mięsa w pysku.

- Jaka rasa? - zainteresował się Igor.

- Czy to ważne? - skrzywił się Li. - Nie znam się na psach. Taki strasznie duży, nie wiem, cztery łapy miał i ogon. Jak ja nienawidzę psów. - Wzdrygnął się.

- Z psem sobie poradzę - obiecał Igor. - Bardziej martwię się alarmem. - Przeczesał palcami swoje jasne loki. - Znasz kogoś odpowiedniego? Najlepiej z samochodem.

Na twarz Li wrócił uśmiech.

- Właśnie miałem ci mówić, że mogę takiego znać... To znajomy z trybun. Wspieramy ten sam klub.

- Aha... ten szalikowiec?

- Szalikowiec!?! - oburzył się Li. - Nie obrażaj go! To jakbyś nazwał ojca chrzestnego kieszonkowcem. Ma doświadczenie, siedział dwa lata za napad z bronią i włamanie. Potem był już w branży spalony i musiał zająć się sprzedażą krewetek.

- Krewetek?

- No... - Li zachichotał. - A to dopiero dopust boży. Ma alergię na owoce morza.



- Skąd wiesz?

- Kiedyś zjadł jedną krewetkę, jak oblewaliśmy jego dyplom mechanika, i wtedy w knajpie... - Westchnął. - To było straszne. Od tamtej pory nazywamy go Krewetka. Pośmiertnie taką ksywę dostał, ale w pełni na nią zasłużył.

Igor wpatrzył się w kolegę.

- To on nie żyje!?

- Nie. Żyje. Nie zawsze pośmiertnie znaczy, że nie żyje.

- Nie? - Igor zmarszczył brwi.

- Nie. Tożsamość musiał zmienić ze względów bezpieczeństwa. Nawet na pogrzebie, psia krew, tajniacy sprawdzali, czy w trumnie nieboszczyk leży. Żadnego poszanowania dla uczuć rodziny. - Li tak się zbulwersował brakiem wrażliwości policjantów, że aż splunął, wprawiając w konsternację kilku klientów.

- I leżał? - zapytał Igor, nie będąc pewnym, czy chce wiedzieć.

- Leżał. Cały poskręcany, napuchnięty i cuchnący, jakby mu jelito, to grube, rozerwało, no wiesz, te klimaty. Atmosfera nie najzdrowsza w każdym razie... - Skrzywił się na samo wspomnienie. - Ale nie pytałem, skąd trupa wzięli. Zresztą nie ma o czym gadać. W każdym razie Andy teraz nazywa się Barry i jest taksówkarzem.

- Myślałem, że krewetki sprzedaje.

- Bo sprzedawał. A potem znowu umarł. Na zawał. - Lee mrugnął okiem. - Tylko jak miał ten zawał, to akurat przechodził przez ulicę i cóż... też nie dało się ciała rozpoznać.

Igor milczał przez chwilę. Potem pokiwał głową i stwierdziwszy zapewne, że nie warto znać wszystkich szczegółów, powiedział:

- Nieważne. Czyli Andy...

- Barry Krewetka - uściślił Lee.

- Barry ma taksówkę.

- Właśnie. Czarną, a do tego legalną. Tylko on nie lubi, jak się go nazywa po imieniu. Ksywa Krewetka spodobała mu się, bo on ma takie ironiczne podejście do siebie, wiesz? I jako Barry ma czystą kartotekę. Zadzwoń do niego, może się zgodzi. Mielibyśmy

problem z głowy. - Przepłukał gardło piwem. Przypomniawszy sobie o wydarzeniach poranka, zapytał: - A co z tymi babami? Nie widziałem ich przed restauracją... Igor nie czekał, aż skończy.

- Poszły! - Roześmiał się tak radośnie, że aż dwie kelnerki podeszły jednocześnie i skłaniając głowy, zapytały, czy czasem czegoś sobie nie życzy.

- Nie rozumiem - burknął Li, odsyłając ruchem ręki kelnerki. - Tak po prostu? Przecież sam mówiłeś, że to te, które o mało ci nogi nie uszkodziły.

Igor odprowadził wzrokiem obie kelnerki naraz, aż mu się oczy rozjechały.

- Tak po prostu - potwierdził, mrugając oczami. - One tylko na kogoś czekały. Tamta trzecia przyszła, porozmawiały... Pokłóciły się. Nawet chciałem podejść i zacząć podsłuchiwać, aie strasznie głośno było, a one szeptały między sobą, jakby którąś głowa bolała. To nie mogą być żadne służby. - Igor z pełnym przekonaniem pokręcił głową. - Nie zachowywały się jak profesjonalistki. Zresztą jestem przekonany, że to wariatki.

- Czekaj, a tamta trzecia? - Li coś tknęło. - Jak wyglądała?

- Taka zwyczajna kobieta w średnim wieku. Zielony płaszcz miała. Dały jej jakiś futerał... - zamilkł gwałtownie, bo na twarzy Li pojawiło się prawdziwe przerażenie.

- Zielony płaszcz? Czarny futerał!? Zaraz się rozchoruję - jęknął, chwytając się za żołądek. Zerwał się z krzesła. - Wszędzie te baby, to nie jest normalne, to musi być jakiś zmasowany atak służb. - Widząc zdziwione spojrzenie Igora, wrzasnął: - Widziałem ją w czasie wizji lokalnej! To na pewno policja!

Igor zbladł i czując na sobie spojrzenia klientów, pociągnął histeryzującego Li z powrotem na krzesło.

- Myślisz, że dostały cynk o obrazie? - wyszeptał. Li rozejrzał się dokoła.

- Kto wie? Może Yao poszedł na współpracę? - jęknął. - Musimy powiedzieć Pekińczykowi.

Przez chwilę panowała cisza.

- Kradzież to jedno, ale nie mam zamiaru brać na sumienie czyjegoś życia... - syknął Igor. Ogarnął go strach. Nie chciał, żeby wszystko się skomplikowało, i to akurat teraz, kiedy zamierzał zakończyć współpracę z Pekińczykiem. I kiedy znowu w jego życiu zjawiała się Alicja. - Jeśli mu o tym powiemy, sprzątnie kobiety bez zastanowienia, znasz go... Lepiej tego nie róbmy.

- Pekińczyk obciąża własne sumienie - wysyczał Li, zwalając winę na winnego. - Czy ci się to podoba, czy nie, idę do Pekińczyka, a ty dla własnego bezpieczeństwa powinieneś pójść ze mną.

## ROZDZIAŁ 148

Autokar był prawie pusty, jakby w dzisiejszych czasach nikt już nie jeździł do Chawton w Hampshire.

Beata z zadowoleniem wpatrywała się w foldery, które zdążyła zabrać z punktu informacyjnego, i odkąd wsiadły do autokaru, nie przestawała mówić.

- Fantastycznie, prawda? - stwierdziła na koniec, czekając na najmniejszy komentarz. Danuta kiwała głową, ale na jej twarzy nie było widać żadnych cieplejszych emocji. Wyglądała przez okno pogrążona we własnych niewesołych myślach.

Beata odłożyła folder i ponownie spróbowała zagaić rozmowę.

- A ty wiesz, że Karolinka, ta od mojej sąsiadki, na kolejne studia się zapisała? Jakby jej to miało pomóc, a przecież to tylko facetów odstrasza. Faceci boją się wyedukowanych kobiet. Mogłaby to zrobić już po ślubie, prawda? A mówiłam jej matce... - przerwała, bo Danuta nadal gapiła się tępo w okno i nie wyglądało na to, żeby usłyszała choć jedno słowo z tego, o czym mówiła koleżanka. Beata wzruszyła ramionami i wyciągnęła z torebki podręczne lusterko. W końcu nikt nie lubi gadać sam do siebie.

- Patrz, chyba mi się zmarszczki od wczoraj pogłębiły, no nie? -jęknęła po chwili do lusterka. - Popatrz! - Nie wytrzymała i szturchnęła koleżankę.

-Skąd - odpowiedziała roztargniona Danuta, bo czego się nie robi dla przyjaciół. - Tylko pomarszczyłaś się przez pościel, strasznie twarda.

Beata uśmiechnęła się promiennie.

- Naprawdę?

- Nie! - Danuta nie wytrzymała. Chociaż wszystko tak świetnie szło. - Co ty myślisz, że w tym wieku pościel robi jakąkolwiek różnicę!? Ciesz się tym, co masz, bo za rok będzie gorzej!

Beata spojrzała z urazą na koleżankę.

- Ktoś jest nie w sosie - mruknęła do siebie, chowając lusterko z powrotem do torebki.

- A jak mam być w sosie, skoro w organizacji doszło do rozłamu, a ja zamiast doprowadzić akcję do końca, jadę na angielską wieś!

- To był twój pomysł - przypomniała jej Beata. - Myślisz, że wyjazd w takim momencie to był błąd?

- Nie wiem. Ale i tak mam zamiar jechać, bo jak się nie rozerwę, to rozerwie mnie.

Przez chwilę Beacie udało się nie odezwać.

- Myślisz, że im się uda? - nie wytrzymała. To jeszcze bardziej zirytowało Danutę.

- Daj spokój! Szansa, że nasza Alicja zostanie zaproszona na przyjęcie do rezydencji lorda Nelsona, jest równa zeru. To Igor jest dla niej.

Beata solidarnie kiwała głową, ale znowu nie wytrzymała.

- Dlaczego?

- Bo według naszego niezawodnego systemu PA®UJ mają całkiem niezłe rokowania.

- Może myślimy zbyt stereotypowo? - odezwała się bez zastanowienia Beata. Ale zaraz pożałowała.

- Wiesz co, Beata? - zirytowała się Danuta. - Za dużo gadasz!

- Tak!? To mogę się w ogóle nie odzywać - obraziła się Beata.

Potem obie panie odwróciły się w przeciwne strony i wpatrując się w mijające za oknem malownicze łąki, poprzedzielane kamiennymi murkami, pogrążyły się w ponurych rozmyślaniach i w nie najlepszych nastrojach, w których pozostały już do końca swojej podróży do Chawton w hrabstwie Hampshire. I z powrotem.

## ROZDZIAŁ 151

Krystyna stała na krześle i z pudełek leżących na ładzie wyciągała paczki orzeszków oraz chipsów i układała je na półce wiszącej przy suficie. Jako że to zajęcie nie było zbyt obciążające psychicznie, bujała w obłokach, z dala od świata i czasu. Dla relaksu wizualizowała siebie na plaży. Oczywiście przed trzydziestu laty. W bikini wydzierganym na szydełku. To były czasy. Zamknęła oczy. Pamiętała te spojrzenia...

- Chciałem wyrazić swoje uznanie - sprowadził ją na ziemię męski głos.

Spojrzała w stronę głosu. Tuż przed ladą zobaczyła jednego ze stałych klientów, który z wyraźnym zadowoleniem lustrował ją z góry na dół, czy raczej z dołu do góry, skupiając się w głównej mierze na dole, który właściwie był na górze. Krystyna zeskoczyła z krzesła, czując ulgę, że nie ma na sobie tamtego dzierganego bikini.

- Wszyscy jesteśmy wdzięczni, że pozbyła się pani tej wiedźmy. Ona wykorzystywała naszą ufność - mówił tonem rozdzierającym serce, jakby był staruszkiem, którego okradła pielęgniarka z opieki społecznej. - Wie pani... - Nachylił się i konspiracyjnym szeptem rzucił: - Po tym wszystkim, co wygadywała, nasz

kolega Pierre zaczął... - Przełknął ślinę, a na jego twarzy pojawiło się przerażenie. - On zaczął chodzić do kościoła. Ja pomyślałem, że najpierw wypróbuję psychoterapię. - Uśmiechnął się. Miała wrażenie, że dwie złote plomby w przednich zębach mrugnęły do niej. - Dużego guinnessa proszę. I może pani też postawię jednego. W ramach wdzięczności.

Wargi Krystyny zadrgały w niekontrolowanym odruchu. Spojrzała na stół, przy którym siedziało dwóch pozostałych mężczyzn, wspomniany Pierre i Nigeryjczyk Chuks. Przypatrywali się im zza kufli z wyraźnym wyczekiwaniem.

- Bo inni też będą chcieli, a tylko pan jest tu normalny? - zapytała ironicznie.

- Z ust mi to pani wyjęła.

- Niestety, pracuję - powiedziała i zaczęła nalewać piwo. Piwo się spieniło. Nie wiadomo, czy z czystej przekory, czy ze złości, że nie dała go sobie postawić, zaczęło wylewać się z kufła wprost na ladę. Nie zrobiło to na mężczyźnie żadnego wrażenia. Wziął kufel i sam sobie nalał, a potem rozłożył ręce w geście niemocy.

- Nigdy nie miałem powodzenia u płci przeciwnej, zdążyłem się przyzwyczaić. Nie to co Pierre. - Zachichotał i wskazał dyskretnie na kolegę. A potem konfidencjonalnym szeptem dodał: - Jeszcze się boczy, ale w końcu mu przejdzie. Tylko trzeba mu dać trochę więcej czasu, wie pani? On ma wyjątkowo duże ego, jak wieża Eiffla. Chyba w końcu dotarło do niego, że się zestarzał. - Widząc zdumioną minę Krystyny, wytłumaczył: - Jest pani pierwszą kobietą, która nie chciała, żeby Pierre postawił jej wódkę.

Zapłacił za piwo, ale nie oszczędził, tylko rozsiadł się wygodniej.

- Fiodor jestem - przedstawił się. - Tylko proszę im nie wspominać, że szukam terapeuty.

- A szuka pan? - Nie odpowiedział. - Jest pan z Rosji? - Pokiwał głową. - Długo pan tu mieszka? - zadała sztandarowe pytanie zadawane emigrantom.

On też nie był oryginalny.



- Za długo. - Westchnął, a na jego twarzy pojawił się melancholijny uśmiech. Oczy mu się zaszkliły. - A końca nie widać. Tęsknota mnie zżera jak robale zdechłego syberyjskiego lisa -oświadczył obrazowo.

- To dlaczego pan nie wraca? - zapytała.

Nigeryjczyk wstał od stolika, zostawiając Pierre'a samego i podszedł do nich ze swoim kuflem. Usiadł koło Fiodora i zaczął przysłuchiwać się rozmowie.

- Dopiero pani przyjechała, prawda? - powiedział domyślnie Fiodor, nie patrząc na kolegę. - Jeśli zostanie tu pani parę lat, to zrozumie, że najtrudniej jest wrócić do domu. Dawni przyjaciele stali się obcymi ludźmi, dzieci dorosły, zagajniki rozrosły się w lasy, a łąki wypełniono blokowiskami. Tam, skąd wyjechałem, nie mogę już wrócić.

Chuks westchnął ciężko i dorzucił swoje trzy grosze.

- Żyjemy w zawieszeniu, wie pani? Wszędzie czujemy się jak w domu, chociaż właściwie to chyba już nigdzie nie mamy domu. Jesteśmy nomadami, a w tym pubie mamy swoją przystań - dodał poetycko.

- Dobrze powiedziane! - Zachwycił się Fiodor i klepnął kolegę po ramieniu. - Jesteśmy życiowymi rozbitkami, czekającymi na statek do domu, a on spóźnia się już dwudziesty rok... - zadeklamował, ocierając łzę.

Krystyna patrzyła na dwóch potężnych mężczyzn łkających na wspomnienie ojczyzny.

- Próbowaliście leczenia? - zapytała głosem terapeuty. - To brzmi jak syndrom emigranta.

- Na to nie ma lekarstwa - powiedział Fiodor. Zauważywszy Helgę, która weszła właśnie na drugą salę, zawołał głośniej: -Prawda, Helga!?! Dla nas nie ma już lekarstwa!

Helga obrzuciła go tylko ponurym spojrzeniem i pokazała palec w niedwuznacznym geście. Potem obojętnie poszła dalej.

- Proszę na nią uważać, Krystyno - rzucił Chuks, robiąc komiczną minę. - Helga nie dość, że nie ma poczucia humoru,

to jest niezrównoważona psychicznie. Nazywamy ją Zabójczą Helgą. Należy do tych kobiet, co potrafią zabić mężczyznę od środka, tak żeby śladów nie było, a potem wszystkim wmówić, że to zawał i wylewać nad trumną krokodylę łzy - stwierdził z westchnieniem. - To się nazywa morderstwo doskonałe... - Spojrzał na Krystynę. Zauważywszy jej zaniepokojony wzrok, dorzucił szybko: -Tak naprawdę nazywamy ją Zabójczą, bo ma zabójcze spojrzenie.

- Nie. - Machnął ręką Fiodor. - Ona po prostu nienawidzi pięknych kobiet. - Zapatrzył się pijanym wzrokiem na Krystynę.

Na szczęście wtedy pojawił się Kuba, przynosząc pudła z kufłami. Słyszając ostatnią uwagę Fiodora, lojalnie wstawił się za swoją pracodawczynią.

- Przy waszych chamskich uwagach i Claudia Schiffer miałyby kompleksy - rzucił i zaczął wyładować kufle na ladę.

Jego słowa wywołały ożywioną rozmowę na męskie tematy, która - jak to zwykle z takimi dyskusjami bywa - pełna były kobiet i ich atutów. Krystyna nie miała zamiaru tego słuchać. Pozbierała puste pudła, poskładała je i wyszła na zewnątrz.

Odetchnęła zimnym powietrzem. Przez chwilę stała, wpatrując się w oświetloną ulicę, potem zaniósła kartony do kosza, na makulaturę, a pozostałe śmieci wrzuciła do kontenera. Skończywszy, odwróciła się. I znieruchomiała.

Do kontenera przyszpiliło ją zabójcze spojrzenie. Zabójczej Helgi.

Krystyna przełknęła ślinę. Nie wiedzieć czemu poczuła się zagrożona. Chociaż nie było racjonalnego powodu. Ale z racjonalnymi powodami człowiek sobie zazwyczaj radzi. Z irracjonalnymi nie. Bo są irracjonalne.

- *Frau* Krystyna - usłyszała syczenie, które zbliżało się niebezpiecznie szybko. Po chwili kobieta była tuż obok niej. Bardzo blisko. Za blisko.

Krystyna cofnęła się, ale napotkała opór kontenera. Zamknęła oczy, przygotowując się na nieznaną. Już czuła na sobie zimny oddech.

- *Wurst* - usłyszała.

Najpierw pomyślała, że to jakieś niemieckie zaklęcie. Otworzyła oczy.

- Słucham? - wyjąkała.

- *Wurst* - powtórzyła Helga, a potem poprawiła swoje siwiejące już warkocze i pociągnęła nosem, jakby była psem gończym. - Kiełbasa. Salami Rennfahrer. Szynka szwarcwaldzka, westfalska... Tęsknię za niemieckimi wędlinami. W moich snach nawet aniołki mają kiełbasiane aureolki! - Oblizła się. - Mówię to pani w zaufaniu, bo wiem, że pani rozumie takie rzeczy.

Krystynę ogarnęło nagle przemożne pragnienie, żeby znaleźć się na innej planecie.

- Rozumiem? - zapytała drżącym głosem, zastanawiając się, dlaczego ma rozumieć aniołki z kiełbasianymi aureolkami.

- Czy to normalne? Pytam panią jako specjalistę. Pani nie będzie się przecież śmiać, prawda? - Przypatrywała się uważnie Krystynie. A kiedy ta gorliwie kiwała głową, myśląc o śmierci, dodała: - Jeśli nie, to ja chcę się leczyć. Zauważyłam, jak sobie pani poradziła z tą wiedźmą. I z tymi wszystkimi świrniętymi. Nawet gruby Fiodor Ignie do pani, chociaż, proszę mi wierzyć, to jest strasznie niebezpieczny człowiek - powiedziała z głębokim przekonaniem i z wyraźną dezaprobatą. - Niezrównoważony psychicznie...

## ROZDZIAŁ 30

Igor stał w biurze Pekińczyka, gdzie przetaczała się właśnie burza z piorunami, i przeklinał dzień, w którym wprowadził się do chińskiej dzielnicy. Pan Wu krzyczał tak ostrym tonem, że mógłby podciąć sobie gardło. Pan Mao nie był mu dłużny. Zazwyczaj opanowany i małomówny (mao-mówny, jak nazywał go Igor), tym razem wyrzucał z siebie słowa z piorunującą mocą, aż dziw, że nikogo jeszcze nie zabiły. Ta wymiana zdań nie wróżyła niczego dobrego.

- O czym tak debatują? - usłyszał szept Li, który stał tuż obok i wydawał się ogłuszony potęgą niezrozumiałych dla niego dźwięków.

Igor rzucił mu wściekle spojrzenie i przysunął się do niego.

- Wszystko przez ciebie. Mówiłem, że to nie jest dobry pomysł - syknął. - Pan Mao przeklina właśnie Pekińczyka i wszystkich jego przodków aż do osiemnastego pokolenia.

Li zbladł jeszcze bardziej.

- Aż tak źle? - wyszeptał ledwie słyszalnie. Igor nadstawił ucha, a potem odszepnął:

- Aż tak. Teraz Pekińczyk krzyczy, że pan Mao nie rozumie, że pieniądze trzeba zarabiać. Nie spadną z nieba. Pan

Mao... - przerwał, bo stary Chińczyk splunął na podłogę i ryknął coś przeraźliwie. - Pan Mao zaklął... Uważa, że to zdrada zasad. Na początku ustalili, że nigdy nie wyjdą poza granice chińskiej dzielnicy. Mao podejrzewa, że Pekinczyk sabotuje organizację dla własnego zysku. Teraz wykrzykuje niewybredne rzeczy o starych wścibskich babach i plewach społeczeństwa... I że sztuka cywilizacji zachodniej powinna zostać zmieciona z powierzchni ziemi... Cisza.

Igor przerwał i zaskoczony uniósł wzrok. Zobaczył nad sobą błysk metalu i usłyszał kwiknięcie Li, który zapewne miał to samo widzenie.

Igor poczuł niebywałą słabość w nogach, bo przez głowę przeszła mu myśl o dekapitacji. Potem zacisnął powieki, myśląc, że głowę to on już dawno stracił. Dla Alicji.

Usłyszał trzask i huk.

Odruchowo chwycił się za głowę. Była na miejscu. Otworzył oczy.

Pan Mao stał z dymiącym, chciałoby się powiedzieć, mieczem. Dokonał właśnie rytualnego mordy na dziele sztuki zachodniej, choć martwa natura martwa była z założenia i od samego początku, a roztrzaskane sztalugi *made in China*.

Pekinczyk krzyknął coś zza pleców pana Mao, ale ten nawet się nie odwrócił, tylko wybiegł wzburzony i trzasnął drzwiami.

Długą chwilę panowała cisza. Igor, zszokowany, wpatrywał się w rozcięte płótno.

- Cóż... - mruknął w końcu pan Wu, przestawiając się na angielski. - Jak widzicie, Picasso nadal wzbudza wiele kontrowersji... Ale my przekonamy pana Mao, że Picasso to świetny interes, prawda? - Uśmiechnął się nagle tak bez troski, jakby pana Mao nigdy w biurze nie było. - Mam dla was wieści. Czytałem w gazecie, że lord Nelson w ostatnim momencie zmienił termin przyjęcia. Przygotujcie się już na sobotę.

Igor zapomniał o dekapitacji i dla odmiany pomyślał o dezercji.

- Na sobotę? Ale... ale to już pojutrze - wyjąkał.

- To lepiej od razu bierzcie się do roboty - zasugerował Pekińczyk. - Wyślę jednego z moich ludzi, żeby załatwił klucz. Z resztą musicie poradzić sobie sami.

- A te baby? - zapytał jeszcze Li.

- Nie słyszałeś? - Pekińczyk spojrzał na niego lodowato. - Pan Mao powiedział, że się nimi zajmie. I nie chcę już żadnych pomyłek. Bo na wasz temat też porozmawiam z panem Mao.

## ROZDZIAŁ 159

Punktualnie o ósmej wieczorem Jadwiga znalazła się przed Hispaniolą. Przed wejściem rozejrzała się uważnie, sprawdzając, czy nie podążają za nią jakieś cienie, zwłaszcza w kowbojkach. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, dokonała abordażu.

Tym razem oprócz poznanego wcześniej kelnera, powitały ją także dźwięki pianina, na którym grał młody chłopak.

- Stolik dla dwojga? - zapytał kelner z obrażoną miną.
- Usiądę przy barze - oświadczyła spokojnie.
- Ależ proszę bardzo, klient nasz pan. - Kelner wskazał jej ostentacyjnie drogę. - Zresztą tam właśnie bym panią posadził.
- Naprawdę? Dlaczego? Skłonił się.
- Widzi pani, ludzie są jak restauracje, w których jedzą... - powiedział poetycko, wskazując ręką siedzących klientów, potem spojrzał na Jadwigę i jego wargi zacisnęły się nieprzyjemnie. - A pani za barem wygląda tak, jakby się tam urodziła.

Nie będąc do końca pewną, czy ma się roześmiać, czy obrazić, nie skomentowała, tylko usadowiła się na wysokim krześle i poprosiła o wódkę.

Przez chwilę rozglądała się wyczekująco dokoła, ale nikogo znajomego oprócz obrażonego kelnera nie zauważyła. Skupiła

się zatem na boskim pianiście, który nie tylko był przystojny, ale w dodatku nieziemsko grał. *Zaczęła* się relaksować. Relaks muzyką, a może muzykiem?

- Jeszcze jedną? - usłyszała. Odwróciła się.

Kelner-agent stał przed nią i wskazywał na pusty kieliszek. Przytaknęła powoli.

- Lubi pan ten statek? - zapytała, chcąc zagać rozmowę.

- Hispaniola to wyjątkowe miejsce - mruknął, rozglądając się dokoła - daje wiele możliwości. Chociaż czasami - wpadł w sentymentalny ton - czuję się, jakbym cierpiał na chroniczną chorobę morską. I muszę zalewać robaczka.

Jadwiga spojrzała na niego z sympatią. Ona też musiała zalewać robaczka. A ten dalej wżerał się w wątrobę.

- A pani kim właściwie jest? Dalej pracuje pani w branży? -zapytał, nie patrząc na nią.

Odruchowo pokiwała głową, wpatrując się w pianistę.

- W jakim sektorze?

- Prywatnym - odpowiedziała wymijająco.

- Wywiad gospodarczy? - Zmrużył oczy i nachylił się nieco, jakby oczekiwał więcej szczegółów.

Jadwiga także się nachyliła, a potem wyszeptała:

- Matrymonialny.

Odskoczył od niej, a potem wściekle wysyczał:

- Matrymonialny czy nie, to może powinniśmy mimo wszystko przypomnieć sobie zasady, co?

Zasady.

Jadwiga utkwiała w nim wzrok.

- O co panu chodzi?

- Skontaktowałem się z centralą, bo coś mi nie pasowało. Nikt nie chciał w ogóle ze mną gadać, dopiero kumpel wyjaśnił mi nieoficjalnie, że nasz wielki „agent” - gestem dorobił do słowa cudzysłów - prywatne sprawy załatwia na moim terenie, i to bynajmniej nie z oficjalnie zatrudnioną agentką. Najpierw



nie chciałem wierzyć, bo, z całym szacunkiem, ale nie jest pani stereotypową dziewczyną... kobietą agenta - poprawił się z cieniem uśmiechu. - Potem przypomniałem sobie, że kobiety są jak alkohol, pod każdą postacią potrafią faceta do obłądu doprowadzić. - Westchnął ciężko. Widząc, że Jadwiga nie do końca współczuje męskiemu gatunkowi, zamilkł na chwilę, a potem machnął ręką. - Przepraszam, problemy osobiste... Zresztą nieważne. Chodzi o to, że nie wolno łączyć interesów publicznych z prywatnymi - mówił, zgrzytając zębami. - To nieprofesjonalne, prawda? To szkodzi!

- Chce mi pan coś przekazać? - przerwała mu zaniepokojona.

- Przychodząc tu, naraża pani na niebezpieczeństwo mnie i moją przykrywkę - wyrzucił z siebie cicho. - Rozumiem już, że nasz „wielki” troszczy się o panią, z jakiegoś powodu dał pani broń. - Spojrzał na nią nieprzyjemnie. - Ale to, że grozi pani jakieś niebezpieczeństwo, według moich informacji nie jest związane z narodowym interesem.

- Gdzie on jest? - przerwała mu Jadwiga.

- W Londynie - rzucił krótko. Widząc, że ta informacja nie satysfakcjonuje Jadwigi, dodał ciszej: - Z misją związaną z narodowym interesem.

Jadwiga odruchowo podniosła kieliszek do ust. Miała nadzieję, że Conan przyjechał za nią, specjalnie dla niej, ale oczywiście jest tylko kwiatkiem do butonierki. Przywiedła różę.

- Kumpel mi zdradził, oczywiście nieoficjalnie - zaznaczył cicho kelner - że werbują rosyjskie baletnice. Występy to najlepsza okazja do rekrutacji agentek, chyba że to one werbują naszych, ale tego nigdy nikt nie wie...

- Mówi pan o Bolszoi!? - zapytała Jadwiga z nagłą ekscytacją. - O występie Bolszoi w Royal Albert Hall!?

- Skąd pani wie? - zdumiał się.

- Jestem fanką rosyjskiego baletu! Otworzył szeroko oczy.

- Nie wygląda pani...

- Pozory mylą - powiedziała. A potem z prawdziwym dramatyzmem w głosie jęknęła: - A mógłby mi pan załatwić bilet? Błagam pana!

Friend otworzył oczy szeroko ze zdumienia, potem rozdziawił usta, chcąc zaoponować i wyzwać Jadwigę od bezczelnych, ale zamiast tego pokiwał głową i uśmiechnął się, jakby dokonał epokowego odkrycia.

- Zgoda. - Zmrużył oczy i podał jej rachunek. - Załatwię bilet i zostawię go pani jutro w skrzynce kontaktowej.

Jadwiga oniemiała.

- Naprawdę!?! - Ucieszyła się, jakby rzeczywiście była fanką rosyjskiego baletu. A nie była.

- Tak. Ale musi pani coś dla mnie zrobić... - Wpatrzył się w nią hipnotyzująco. - Jeśli spotka pani Conana albo on wypatrzy panią w tłumie, tak... romantycznie, wtedy bardzo proszę już tu więcej nie przychodzić.

- Chce pan się mnie pozbyć? - Z uśmiechem zapłaciła i zostawiała mu spory napiwek.

Nie skomentował. Z poczucia obowiązku dodał jedynie:

- Jeśli do spotkania z Conanem nie dojdzie, bo przypadku nie da się ustawić, wtedy proszę tu jutro przyjść. - Westchnął. - Godzinę później.

Jadwiga skinęła głową. Rozmyślając o tym, jak to niektórzy nic na temat ustawianych przypadków nie wiedzą, wyszła. .

## ROZDZIAŁ 163

Gwiazdy świeciły niemrawo, jakby nie miały siły świecić. Ale kto patrzy w gwiazdy, kiedy na niebie wisi olbrzymi i doskonale okrągły księżyc?

Krystyna stała pod wielkim drzewem w prywatnym parku przy Chester Square i świetnie rozumiała zmęczenie gwiazdnej materii. Ze znużenia i znudzenia kiwała się to do tyłu, to do przodu, rozmyślając nad wyjściem z sytuacji. Nie do końca rozumiała, co Jadwiga chce o tej porze obserwować. Ufała jednak wywiadowczym instynktom koleżanki, aczkolwiek uparty brak elastyczności co do miejsca, w którym miała na nią czekać, wywoływał w niej pewien sprzeciw. Bo czy to ważne, czy będzie stać pod wielkim drzewem z prawej strony środkowej ławki, czy z lewej przy małym drzewie dziesięć metrów dalej? Najwyraźniej miało to olbrzymie znaczenie. Krystyna zatem stała. I czekała. Coraz bardziej jednak skłaniała się ku opcji opuszczenia posterunku. Próbowała skontaktować się z Jadwigą, ale, jak na złość, ta miała wyłączoną komórkę.

Kiedy Krystyna przekroczyła już swoją granicę cierpliwości i ruszyła w stronę bramki, zauważyła, że dwie zakapturzone postaci grzecznie do tej pory siedzące na ławce wpatrzyły się w nią jak wilki w ofiarę. Jakby nagle poczuły zew. Krwi.

Zwolniła.

Najpierw się przestraszyła, ale zaraz potem podeszła do sprawy zdroworozsądkowo i przypomniała sobie, że przecież jest w jednym z tych bezpiecznych miejsc w Londynie, gdzie domy kosztują wiele milionów. Drugie podejście było już bardziej psychologiczne i polegało na uświadomieniu sobie, że podejrzanie wyglądające postaci to też ludzie. A każdy, nawet ciemny dres, ma w sobie jakąś, jeśli nie różową, to na pewno jasną stronę. A poza tym kto chciałby skrzywdzić niewinną kobietę w średnim wieku bez widocznych oznak bogactwa?

Kiedy uświadomiła sobie te racjonalne prawdy, zakapturzeni od razu odwrócili od niej wzrok i skupili się na jakiejś postaci, która wyszła nagle zza drzew na asfaltową alejkę.

Krystyna uśmiechnęła się zadowolona. Siła umysłu.

Ale potem uśmiech zamarł jej na ustach.

Zakapturzeni znowu na nią spojrzeli, potem zeskoczyli z ławki i ruszyli w jej stronę, jakby chcąc ją przekonać, że ta ciemna strona dresu zajmuje w nich więcej miejsca. Tak jak ciemna strona mocy.

Czując suchość w gardle, skuliła się i zaczęła przesuwac w stronę bramki. Potem wyprostowała się, bo przypomniała sobie, że nie wolno okazywać strachu. Bardzo szybko przekonała się jednak o błędach owej teorii, bo pomimo tego, że głowę miała uniesioną tak, że czuła jak drobne krople deszczu wpadają jej do nosa, jeden z dresów splunął tuż przed nią (choć dość nieudolnie - napluł sobie na bluzę), a drugi zagroził jej drogę.

Pierwszy odkaszlnął i powiedział coś niechlujnym językiem. Nie zrozumiała.

- Słucham? - zapytała drżącym głosem. Powtórzył.

Gorączkowo nadstawiła ucha, okazując dobrą wolę i bardzo starając się zrozumieć.

- Pyta pan o godzinę? - zaryzykowała.

Cała scena zaczynała się przedłużać, słychać było kroki na alejce.

Zakapturzeni wymienili między sobą nerwowe spojrzenia.

- Torebka - rzucił w końcu wyraźnie i głośno. Krystyna przełknęła ślinę.

- Torebka - powtórzył jeszcze głośniejsze, a jego złoty ząb błysnął w świetle latarni jak nóż. Najwyraźniej wczuł się w rolę.

- Ładna, prawda? Ale taniutka była - wydyszała i zrobiła krok do tyłu.

- Torebka! - krzyknął ten drugi i chwycił za pasek. Krystyna zaczęła szarpać.

- Hej! - usłyszała nagle. - Zostawcie panią!

Spojrzeli w stronę głosu. .. ;.

Zza drzew wyłonił się pies, przypominający raczej konia. Zamarła, w końcu pies wyglądający jak koń i mówiący ludzkim głosem to zjawisko unikatowe, ale na szczęście po chwili zauważyła postawnego mężczyznę w szarym płaszczu. W miarę jak się zbliżał, oczy Krystyny robiły się coraz bardziej okrągłe. Kiedy zatrzymał się i światło latarni w pełni oświetliło jego postawną sylwetkę, Krystyna zupełnie oniemiała i z tego wszystkiego puściła torebkę. Poznała zielonookiego mężczyznę, z którym flirtowała w pubie.

Zakapturzony też się zdziwił. Trzymał torebkę w dwóch palcach, jakby sam jej właściwie nie chciał. I nie do końca wiedział, co z nią zrobić.

- Spadaj! - Roześmiał się nieprzyjemnie, bo tak wypadało. Nieznajomy jeszcze bardziej się przybliżył.

- Powiedziałem: zostawcie panią - powtórzył, nie patrząc na Krystynę.

Pies także się zbliżył. A potem oddalił. I znowu zbliżył. I oddalił.

- Szukasz guza? - zapytał ten, który trzymał torebkę, a potem spojrzał wymownie na kolegę złotozębnego, jakby oczekiwał pomocy. Nie zdążył jej uzyskać.

Mężczyzna rzucił się niespodziewanie na chłopaka. Dwa ciała zwały się na ścieżkę.

Krystyna osłupiała. Zakapturzony ze złotymi zębami zbaraniał. Pies znowu się przybliżył.

Krystyna chciała krzyczeć, wzywać pomocy, ale straciła głos. Pies spojrzał na księżyc i zawył.

- Zostaw go, bo na policję zgłoszę! - wyrzucił z siebie wściekle ten ze złotym zębem, patrząc, jak nieznajomy potrząsa jego kolegą.

Podniósł szybko torebkę, która zapodziała się walczącym, i rzucił nią w Krystynę, która wydyszała krótkie „dziękuję”.

Ale zakapturzeni dyszelili bardziej. Zwierzęcym gniewem zapewne. Tylko pies nie dyszał. Westchnął za to wyjątkowo ludzko i się otrząsnął.

Krystyna spojrzała na psa. Pies nie zaszczycił jej żadnym spojrzeniem. Patrzył nieruchomo przed siebie. W końcu podskoczył i podniósł nogę. Odwróciła głowę, ale i tak zawiało moczem. Najwyraźniej stała na zawietrznej. Psie szczęście.

Potem psisko położyło się na chodniku i ignorując całe towarzystwo, zasnęło.

Nieznajomy podniósł się z ziemi.

- Nasikał na mnie! - wściekał się poturbowany zakapturzony, nadal leżąc.

Przez chwilę wszyscy przyglądali się zwierzęciu. A potem mężczyzna wrzasnął strasznym głosem:

- Jazda mi stąd! Następnym razem, jak któregoś spotkam, to tak załatwię, że...

Pies łypnął na pana spojrzeniem pełnym oburzenia, że ten nie daje mu spać.

Chłopak przeczołgał się trochę na czworakach, a potem zerwał się na równe nogi i nie oglądając się na nic, biegiem ruszył do furtki. Drugi pobiegł za nim. Wkrótce zniknęli za rogiem.

Krystyna utkwiała przerażony wzrok w zielonookim.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał z niepokojem, przyglądając się bladej Krystynie. Jeśli ją poznał, to nie zdradził tego po sobie.

Krystyna pokiwała głową, ale nie była w stanie się odezwać. Ani oderwać spojrzenia od szmaragdowych oczu nieznanego. Czuła, jak narasta w niej histeria, zupełnie jak szok powypadkowy. I jak zwykle dopadła ją w najmniej dogodnym momencie.

Zaczęła ryczeć.

Mężczyzna zgłupiał.

A potem runął jej prosto pod nogi. Bez ostrzeżenia.

Zduśiła w sobie chęć ucieczki i rzuciła się na kolana, zupełnie nie przejmując się mokrą nawierzchnią. Poczuli się jak sanitariuszka na wojnie. A on chwycił jej ramię. I ścisnął. Z bólu.

- Co się stało!?

- Postrzał - jęknął.

- Boże święty, gdzie!?! - Krystyna drżącymi rękami rozpięła mu płaszcz i zaczęła przeszukiwać muskulaturę, chcąc znaleźć ślady krwi. A było co przeszukiwać... Taka rozległa klata, że aż zadyszki dostała. Już miała roztargać mu koszulę, kiedy dotarło do niej, że mężczyzna się nie rusza. Jego zielone oczy wpatrywały się w nią intensywnie.

- Co pani robi? - wyszeptał, oddychając nierównomiernie. Przełknęła ślinę.

- Szukam rany postrzałowej... Wywrócił oczyma.

- Kręgosłup - podpowiedział.

- Proszę się nie ruszać. Zadzwoń po karetkę.

- Postrzał w kręgosłupie, cholera! - wycedził.

Krystyna wyczuła nagłe oziębienie w jego głosie. A może była to wina zimnego asfaltu?

- Zapominam o tym - przyznał się mężczyzna z cierpiącą miną. - Wydaje mi się, że mogę tyle co kiedyś. Za dużo tyłków w życiu skopałem i teraz pokutuję - mruknął, patrząc na nią spod oka. Wyraźnie nie spodobał mu się fakt, że nieznaną atrakcyjną kobietą jest świadkiem jego słabości.

- Dlaczego ich pan psem nie poszczuł? - zapytała, przyglądając mu się dyskretnie.

Mężczyzna zaczął się śmiać. Jego brzuch trząsał się straszliwie, a on sam jęczał, roniąc łzy. Trudno było zgadnąć, czy były to łzy bólu, czy śmiechu.

- Morim miałem go poszczuć? Pani chce mnie zabić! - wyrzucił z siebie z wysiłkiem.

- Ale... ja przepraszam - mówiła chaotycznie Krystyna. - Nie wiedziałam, że rozśmieszysz pana własny pies. A co mu jest? - zapytała po chwili.

Przestał się śmiać.

- Mori źle znosi pełnię - powiedział, wskazując na niebo. - Wtedy traci zupełnie panowanie nad sobą. Wpatruje się w gwiazdy, płacze, obsikuje wszystko, co się rusza, ma różne zaburzenia... To chyba jakaś psychoza.

- Nie słyszałam, żeby psy chorowały na psychozę - powiedziała z przekonaniem.

- Pani jest weterynarzem?

- Nie. Psychiatrą - oświadczyła.

- To jest pani jak najbardziej kompetentną osobą do zaaplikowania mi leków. W kieszeni. - Kiedy podała mu tabletkę, zapytał: - A co pani tutaj robi tak późno, i to sama? Stanowi pani zagrożenie dla samej siebie. I dla takich jak ja - warknął, próbując się podnieść. Rozruszał już nieco bolące miejsce. Za to pogorszył mu się humor.

- Dla takich jak pan? - Krystyna podniosła się z kolan i założyła ręce, bo musiała coś z nimi zrobić. Nie chciała, żeby zauważył, że drżą. Taka była wściekła. - To znaczy? Pseudobohaterów, którym się wydaje, że są wszechmocni? Nie pomyślał pan, że rzucanie się na młodzieniaszka jest niebezpieczne i głupie!? A gdyby wyciągnął broń? - zrugła go, jakby był małym dzieckiem. - Poza tym nikt panu nie kazał mnie ratować.

- To taki instynkt. Wie pani, mężczyźni mają zakodowane, że słaba płeć, więc trzeba pomóc. Staram się, pomimo straszliwego bólu, zwrócić pani uwagę na niebezpieczeństwo, grzecznie wytłumaczyć...



- Cóż za grzeczność! Z epoki kamienia łupanego. Pana miejscem stanowczo jest jaskinia - wyrwało jej się.

- Chyba coś się pani pomyliło. W jaskiniach siedziałyście wy, kobiety, i wszystko było w porządku, dopóki nie pozwolono wam z nich wyjść!

Krystyna o mało nie zadławiła się powietrzem, taka była zbulwersowana. Rozejrzała się i na ulicy, tuż przy parku, zauważyła taksówkę, z której ktoś właśnie wysiadał. Bez słowa zostawiła faceta i rzuciła się do bramy. W ostatnim momencie zatrzymała taksówkarza i kazała mu poczekać. Wróciła do parku, podbiegła do zgiętego wpół bohatera, któremu najwyraźniej po lekach zrobiło się nieco lepiej, i szarpnęła go gwałtownie za ramię. Tak gwałtownie, że mu się pogorszyło. A potem przez przypadek ścisnęła za pas. I pociągnęła za sobą.

- Boli? - zapytała bez współczucia. - Przepraszam. - A potem szarpnęła mocniej.

- Ale ma pani charakterek - jęknął. - Taki, który zabija. Zastanawia mnie, jak mąż z panią wytrzyma?

- Tak jak z panem żona - oświadczyła poirytowana. Była wściekłą na niego i wściekła na siebie.

- Jestem rozwodnikiem.

- A ja wdową - przebiła go oświadczeniem.

Zapadła niezręczna cisza. Oboje wrócili do rzeczywistości. W twardym stylu.

- Przykro mi... - zaczął zmieszany, ale Krystyna bynajmniej nie miała zamiaru pozwolić mu skończyć.

- A mnie nie - wycodziła przez zaciśnięte usta. - To znaczy, co do pana to mi nie przykro. Nie zasłużył pan. To znaczy może i zasłużył, ale zaraz to stracił. A teraz... O, taksówka!

- Ale... - zaczął, ale Krystyna nie słuchała.

Taksówkarz wysiadł już z samochodu i otworzył drzwi. Chciał pomóc mężczyźnie wsiąść, bo Krystyna puściła go, mając cichą nadzieję, że znowu zwali się na chodnik, ale leki działały. Za to pies bez wahania wszedł do samochodu, jakby to j ego podwożono.

- Za psa będzie dodatkowa opłata - powiedział taksówkarz, starając się nie ściągać na siebie uwagi strasznej bestii, która z gracją miłego kotka ułożyła się na kanapie i nie spuszczając oka z księżycy, zaczęła wyć. - Jaki adres?

Nieznajomy z uporem na twarzy stał w miejscu.

- Proszę wsiadać - wściekła się Krystyna. - Taksówka jest na mój koszt. Chcę mieć czyste sumienie i żadnych długów wdzięczności.

Mężczyzna patrzył przez chwilę na Krystynę, potem na taksówkarza, który usiadł już za kierownicą. A potem spojrział na zawodzącego psa.

Wsiadł.

- Lepiej pani? - zapytał ponuro Krystynę. Ta pokiwała głową i wyciągnęła portfel.

- Ile? - zapytała taksówkarza.

- Jaki adres? - taksówkarz zwrócił się do pasażera.

- Chester Square numer 47 - usłyszał.

Krystyna znieruchomiała. Wpatrzyła się w mężczyznę i nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Tak straszna, że cały kolor odpłynął jej z twarzy. Księżyc w pełni, bandyci, kobieta w potrzebie i on - bohater... Sytuacja jak z podręcznika operacyjnego KMS!

Taksówkarz wyjrzał przez okno, a potem odwrócił się do mężczyzny z głupim wyrazem twarzy.

- Ale... to tutaj.

Krystyna spojrzała na dom i na policzkach poczuła palący rumieniec, jakby dostała w twarz. Od losu.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się w diabolicznym uśmiechu.

- Już jesteśmy? Jest pan nieoceniony - powiedział z przesadnym entuzjazmem. - Ta pani płaci. Mori, wychodzimy.

## ROZDZIAŁ 171

Po burzy, która przetoczyła się przez biuro Pekińczyka, Igor i Li zamknęli się w pomieszczeniu socjalnym Cesarzowej Syczuanu i długo jeszcze rozmawiali o sobotniej akcji. Wprawdzie problemami, które mogły wyniknąć z pojawienia się starszych kobiet, miał się zająć pan Mao, a klucz do domu przy Chester Square obiecał załatwić Pekińczyk, przyśpieszenie akcji „Picasso” wymagało dodatkowych ustaleń i wprowadziło mężczyzn w stan rozdrażnienia podszytego strachem. Pożegnali się, ustalając, że następnego dnia wybiorą się do Barry'ego Krewetki i jeśli będzie trzeba, przekupią go dodatkowym procentem ze swojej doli.

Igor dotarł do swojego mieszkania dopiero przed dwudziestą drugą. Przekręcając klucz w zamku, nie miał żadnych wątpliwości, że Alicja już dawno wyszła. Kiedy jednak uderzył go dochodzący z kuchni zapach krewetek po syczuańsku, które zwykli przyrządzać razem w sobotnie wieczory, obudziła się w nim nadzieja. Po burzy zawsze wychodzi słońce.

Wciągnął do płuc smakowity zapach i wszedł do kuchni.

I zobaczył swoje słońce.

Alicja, ubrana w jego koszulę, stała boso obok kuchenki i wrzucała do dymiącego woka poszatowaną kapustę pekińską. Pomyślał, że jest jak czarodziejka dorzucająca składniki do magicznej mikstury. Elixiru miłości, którego aromat zwała z nóg.

- Pokrój papryczki - rzuciła zamiast powitania i posłała mu uwodzicielskie spojrzenie.

To był znak, że wróciła, żeby zostać.

Powiesił kurtkę na oparciu krzesła, stanął za Alicją i nie mówiąc ani słowa, przytulił ją mocno do siebie. Kobieta, którą kochał, wróciła i gotowała jego ulubione danie. Czy można wyobrazić sobie większe szczęście?

- Papryczki - przypomniała mu Alicja, dźgając go żartobliwie drewnianą łyżką.

Igor umył ręce i zabrał się do krojenia.

Zapytał ją, gdzie teraz pracuje. Wrzucając do woka starty imbir i czosnek, zaczęła mówić o pracy w pubie w Pimlico. Igor zamknął oczy. Poczul ulgę, że Alicja przestała się narażać. Przypomniał sobie chwilę, gdy zobaczył ją po raz pierwszy - w biurze pana Wu. Pekińczyk przedstawił ich sobie, śmiejąc się, że Igor ma absolutny węch i potrafi wywąchać ładną dziewczynę z odległości kilometra. Tak było. Nikt nie wiedział, że tamtego wieczoru, kiedy poznał Alicję, stracił swój dar.

- Słuchasz mnie? - Z zamyślenia wyrwał go jej głos. Otworzył oczy. Stała przed nim, uśmiechając się ironicznie.

- Z facetami zawsze tak samo. A potem mają pretensje, że się czegoś nie powiedziało - parsknęła, wymachując mu przed nosem drewnianą łyżką.

- Ależ ja cię słucham...

- To co powiedziałam?

- Że chcesz się do mnie wprowadzić? - zapytał, chwytając ją za nadgarstek i przyciągając do siebie.

- Powiedziałam: wrzuc papryczki - oświadczyła, jakby nie usłyszała jego słów, i sprawnie uwolniła się z uścisku.

- Tak jest! - Zasalutował. Z kobietą z drewnianą łyżką nie ma co dyskutować.

Alicja wrzuciła krewetki na patelnię. Przyprawiła je czosnkiem, cytryną i pietruszką. Opowiadała o współlokatorce z urodą modelki, która powinna wygrać konkurs na najbardziej denerwującą osobę świata. Igor przysłuchiwał się tej paplaninie, czując, jak bardzo brakowało mu głosu Alicji i jej codziennej obecności. Otworzył wino, które przyniosła, i zajął się nakrywaniem do stołu. Zapalił świece. Alicja przełożyła kapustę pekińską z przyprawami do miski, dorzuciła krewetki i postawiła danie na stole.

Usiedli.

- Nie jadłam tego, odkąd... - zaczęła Alicja, nakładając krewetki na talerz, ale urwała w pół zdania.

Zapanowało milczenie. Ich radość przygasła nagle, stłumiona przez bolesne wspomnienia. Igor chwycił butelkę.

- Ja też nie - powiedział, rozlewając wino do kieliszków. Potem nałożył także sobie i rzucił jej uważne spojrzenie. - Ale znowu może być tak jak kiedyś... - odważył się dodać.

Spoważniała.

- To nie jest dobry moment na takie decyzje. - Zaczęła grzebać widelcem w kapuście.

Igor poczuł, że krewetka, którą właśnie przeżuwa, staje mu w gardle. Powinien się był domyślić i spodziewać, że życie Alicji zmieniło się przez tych kilka miesięcy. Trudno oczekiwać, żeby nagle rzuciła wszystko i wprowadziła się do niego z powrotem. Może nawet pojawił się ktoś inny?

- Czy kiedyś będzie? - zapytał tylko cicho, czując ukłucie w sercu.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, muszę jeszcze coś załatwić. ...  
- przerwała. Dostrzegł na jej twarzy strach, który szybko ukryła pod uśmiechem.

- Co załatwić? - zaniepokoił się. Pochyliła się nad talerzem
  - Niedokończoną sprawę. Nic szczególnego - powiedziała cicho.
- Coś w jej głosie mówiło mu, że jest wręcz przeciwnie.

## ROZDZIAŁ 175

Krystyna szła przed siebie, wściekła do granic możliwości, nie wiedząc nawet, czy idzie w dobrą stronę. Nie przeszkadzał jej ani porywisty wiatr, ani chłód, a jedyne, na co miała ochotę, to dokonanie mordu. Na Jadwidze.

Nagle usłyszała głośny tupot, a kiedy odwróciła się i zobaczyła .za sobą zdyszana Jadwigę, na jej twarzy pojawił się złowrogi uśmiech. Już miała rzucić się na koleżankę i dokonać mordu, kiedy ta niespodziewanie zaczęła klaskać. Morderczy uśmiech Krystyny stężał. Nie może przecież zaatakować stukniętej. To nieetyczne zabijać psychicznie chorą. W końcu jest psychiatrą.

Jadwiga, zupełnie nie przejmując się wrogą postawą koleżanki, podeszła bliżej.

- Ale scena! - zawołała zadowolona. - Krysiu, powinni ci dać Oskara! Chociaż miałam nadzieję, że facet przynajmniej odprowadzi cię do domu...

- Czyś ty do reszty zwariowała? Jak mogłaś! - wrzasnęła Krystyna. - Powinnaś się wstydzić!

- Popatrz, spiekłam raczka - odpowiedziała Jadwiga, przyglądając się rozhisteryzowanej Krystynie. - Zaraz... Tylko mi nie

mów, że myślałaś, że los ci zesłał... - Zaczęła się śmiać. Między jednym a drugim spazmem dokończyła: - Wybawiciela.

Krystyna nie śmiała się. Wpatrywała się za to w koleżankę i czuła, jak jej soczewki puchną, naczynka pękają i że zaraz krew ją zaleje. Opanowała się jednak. W końcu jest psychiatrą. Kto, jeśli nie ona?

- Kim byli ci zakapturzeni bandyci!?! - wycedziła, jednym ruchem zrywając z szyi apaszkę. W ostatnim momencie zagłuszyła krzyzącą w głowie myśl: „zaduś cholera”.

Jadwiga otworzyła szeroko oczy.

- Jacy bandyci? - zapytała zbulwersowana. - Przecież to sympatyczne dzieciaki, które chciały pomóc - mruknęła, nieszczerze mając ochotę na tłumaczenia. - Wszystko było pod kontrolą. Umówiłam się z nimi, żeby...

- Żeby co? Żeby mnie nie zabili!?! - Krystyna nie wytrzymała.

- Nie dramatyzuj, tylko słuchaj. Wszystko ci wyjaśnię. Mamy misję. I nie mamy czasu.

Krystyna milczała. Przybrała pozę wyczekującą i utkwiała pozornie obojętne spojrzenie w księżycu.

- Wyobraź sobie, że Archibald Renfrew Nelson został wtrącony do lochu... - rozpoczęła Jadwiga.

- Bredzisz - nie wytrzymała Krystyna i zrezygnowana usiadła na kamiennym murku.

Jadwiga nie zwróciła na nią uwagi, zajęta roztaczaniem swojej wizji.

- ... I dostępu do niego broni cerber, tyle że dużo przystojniejszy od oryginału - powiedziała z naciskiem na „przystojniejszy”. - W każdym razie cerber pilnuje go i na lordowskie polecenie każdej panience zagląda w drzewo genealogiczne. Nic dziwnego, że nasz Archibald nieco nadużywa alkoholu, też bym nadużywała.

- Nadużywasz - nie omieszkała wtrącić Krystyna. Jadwiga zamilkła, jakby wybita z rytmu, a potem spojrzała nieprzytomnie na Krystynę.



- Cholera! - krzyknęła, stukając się ostentacyjnie po uchu. - Tuż przed wyjazdem wymieniłam baterię i już przerywa... O czym to ja mówiłam? W każdym razie cerber strzeże Archibalda jak oka w głowie. Ale tenże cerber może być dla nas nieocenionym sprzymierzeńcem... - zawiesiła głos, chcąc jeszcze bardziej podnieść napięcie.

Krystyna utkwiała w Jadwidze cierpkie spojrzenie.

- Spotkałam go w pubie - mruknęła, psując przyjaciółce występ.

Teatralny wyraz zniknął z twarzy Jadwigi.

- Naprawdę? - zdumiała się i usiadła koło Krystyny. - Rozpoznał cię?

- Nie wiem. Ale ja go poznałam.

- Właściwie to nawet byłoby lepiej, gdyby cię rozpoznał, nie uważasz? Nabierze zaufania.

Krystynie opadły ręce.

- Nie rozumiem.

- Zaraz wyjaśniam. Widzisz... On myśli, że cię uratował. Czuje się bohaterem, no wiesz... Każdy facet lubi być bohaterem, to już wiemy z doświadczenia, prawda? Jestem przekonana, że teraz mogłabyś z łatwością... oswoić go dla naszych celów.

- Że co!?! - Zdumienie Krystyny nie miało granic. - Poczekaj, żebym dobrze zrozumiała: chcesz, żebym poderwała faceta w celach manipulacji!?

- Ależ skąd! - Jadwiga spojrzała na nią zbulwersowana. - Po prostu się z nim zaprzyjaźnij, a ja będę pociągać za sznurki.

- Mam być sznurkiem? - warknęła Krystyna.

- Skąd! Masz być księżniczką z bajki. To chyba nie jest wielki problem? Zawsze przychodziło ci to naturalnie.

Krystyna roześmiała się szczerze rozbawiona. A potem przestała się śmiać.

- Co ty sobie myślisz!?! Że ja jestem dziewczyną Bonda!?! - wykrzyknęła wściekle. - Jeśli tak, to pomyśl jeszcze raz. Kobieto, ja jestem na emeryturze...

- Wcześniejszej...
  - Jakie to ma znaczenie!? Jestem przezroczystą kobietą menopauzalną!
  - Przezroczystość nie świadczy o wieku, tylko o osobowości. Wykorzystaj swoją kobiecość.
- Krystyna pokręciła z niedowierzaniem głową i wstała. Zaczęła iść przed siebie. Za sobą słyszała kroki Jadwigi, która dała jej chwilę na ochłonięcie, a potem dogoniła ją i znowu zaczęła przekonywać.
- Sama chciałaś pomóc Alicji - zaczęła łagodnym tonem. - Ja ci tylko podsuwam sposób. Uratował cię, możesz go zaprosić na drinka. To naturalna kolej rzeczy. Facet jest całkiem niezły. Wątpię, by naraziło cię to na jakieś cierpienie.
  - To szowinistyczny dupek!
  - To typowy facet. Wydziela tyle testosteronu, że kobietom, które mają szczęście się o niego otrzeć, włosy na nogach szybciej rosną. Nie żebym ci takiego szczęścia życzyła, ale... Wierz mi, gdybym miała twoją urodę, takie wielkie i tak błękitne ślepia, sama bym się koło niego zakręciła, ale niestety Bozia inne zalety dała.
  - Ciekawe jakie? - burknęła Krystyna, ale Jadwiga nie zwróciła uwagi na zaczepkę.
  - Byłabyś świetną agentką jaskółką. Mówię ci, jesteś do tego stworzona!
  - Jaskółką? - Krystyna rzuciła koleżance zaciekawione spojrzenie.
  - Tak w wywiadzie określa się te najpiękniejsze, najinteligentniejsze agentki, działające w sekcji „seksjonage”. Oczywiście bez podtekstów, to komplement - wyjaśniła Jadwiga.
  - Zwariowałaś - wyrzuciła z siebie. - Jestem na to za stara, rozumiesz!?
- Jadwiga skrzywiła się z niesmakiem.
- To społeczeństwo chce, żebyśmy myślały, że jesteśmy za stare na cokolwiek, że nadajemy się tylko i wyłącznie do bawienia

wnuków. Ale głęboko w sercu czujesz, że jest inaczej. Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wtedy, kiedy miałyśmy po dwadzieścia lat. Może i mamy więcej zmarszczek i doświadczeń, ale potrafimy jeszcze niezłe namieszać. Tylko młodzi tego nie rozumieją... -Westchnęła i dodała przekonująco: - Zdziwiłabyś się, ile agentek jaskółek umiera na służbie nie z powodu postrzału, ale ze starości.

- Jasne. Padają jak muchy - mruknęła Krystyna. Na twarzy Jadwigi pojawił się ironiczny uśmiezek.

- Jesteś po pięćdziesiątce, wielkie rzeczy. Nie jesteś sama. Zresztą on też jest w grupie pięćdziesiąt plus. Gdyby był młodszy, sama bym spróbowała, rozumiesz... - Mrugnęła. Widząc jednak, że Krystynie nie jest do śmiechu, dodała z powagą, a nawet jakoś uroczyście: - Szczęście Alicji zależy od nas, a agentura wpływu jest najskuteczniejszą formą wywiadu. Dowiemy się czegoś więcej o Archibaidzie, to zwiększy nasze szanse. Potraktuj to jak eksperyment. Zaczepisz szofera, powiesz, jak bardzo jesteś mu wdzięczna, wpatrzysz się w niego swoimi wielkimi błękitnymi oczyma...

- Może nie zauważyłaś, ale między nami nie było porozumienia, tylko spięcie.

- Właśnie! Spięcie było, a to ważniejsze od porozumienia! Iskrzyło tak, że bałam się podejść, żeby mnie nie poraziło.

- Insynuujesz coś!? - syknęła wściekła Krystyna. Jadwiga zrobiła wielkie oczy.

- Ja? Insynuuję? Ja takiego słowa nie znam, a gdybym nawet znała, w życiu nie byłabym do tego zdolna. Ja zawsze prosto z mostu walę. Tak zdrowo. Nawet jeśli potem nie można się pod tym mostem pozbierać... Poza tym może będziesz musiała poradzić sobie sama... - Zmieniła nagle ton na agonalny, tak że Krystyna spojrzała na nią zaniepokojona. - Mam na głowie niedokończoną sprawę...

Krystyna nie odpowiedziała. Szła powoli, a stukot obcasów na betonowym chodniku brzmiał złowrogo, jak dźwięk bębnow. Przed egzekucją.

- Kowalski? - zapytała tylko.

Jadwiga pokiwała głową.

- Może powinnaś wrócić do domu - zasugerowała z lękiem Krystyna. Stały już pod drzwiami budynku, w którym mieszkała Alicja.

- Nie mogę całe życie bać się własnego cienia - mruknęła Jadwiga. Potem, widząc przerażenie na twarzy koleżanki, dodała: -Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze. Tylko popracuj nad zleceniem. I nad swoim wyglądem. Pamiętaj, że w pracy jaskółki wygląd to połowa sukcesu. Załóż koniecznie tę czerwoną sukienkę, którą wzięłaś na wypadek wizyty w operze.

- Nie idę do opery - odpowiedziała Krystyna. - Co najwyżej do pubu.

- Idziesz na polowanie, a na polowaniu najważniejszy jest odpowiedni ekwipunek - upierała się Jadwiga, wracając do swojego figlarnego tonu. - Rybak musi zabrać wędkę z odpowiednio świeżym robaczkiem, myśliwy strzelbę naładowaną odpowiednią amunicją, a kobieta odpowiednią sukienkę. O bieliźnie możesz zapomnieć... - Znów mruknęła.

Krystyna nie miała ochoty na żarty. Zaczynała się bać. - A ty?

- Powiem tylko, że pracuję nad dojściem do Bolszoi, ale nie pytaj o nic. To *top secret* - powiedziała tajemniczo. - Spotkamy się jutro. Nie przejmuj się niczym i pamiętaj, że ci pomogę.

- Naprawdę? - upewniła się Krystyna.

Na twarzy Jadwigi pojawił się zwykły ironiczny uśmiešek.

- Oczywiście. W końcu jedna jaskółka wiosny nie czyni - rzuciła. Zrobiła parę kroków i zanim Krystyna zdołała się pożegnać, zniknęła nagle, jakby zwał ją z chodnika porywisty wiatr.

Jadwiga, powłócząc nogami ze zmęczenia, ale w gruncie rzeczy zadowolona, bo w ciągu jednego dnia zdążyła zgubić, i to w bardzo kreatywny sposób, podejrzanego typu, załatwić bezpośrednio dojście do królewicza i namówić oporną przyjaciółkę

do wzniesienia się na wyżyny sztuki wywiadowczej, dotarła do pensjonatu pani Patel tuż przed północą. W oknach było ciemno, co nie zdziwiło Jadwigi, bo pani Patel chodziła spać z kurami, a Danuta z Beatą wyjechały na wycieczkę do Chawton, ale napełniło ją lękiem.

Poczuła się nagle bardzo samotna.

Z rezygnacją otworzyła drzwi wejściowe i zanurzyła się w ciemnościach korytarza. Krzycząca cisza w jej uszach nie dawała się zagłuszyć. Jadwiga wyciągnęła rękę, żeby włączyć światło, ale rozmyśliła się. Lubiła czasami poruszać się w ciemnościach, ćwicząc zmysły i zdolność kontrolowania strachu, bo przecież w ciszy i mroku strachy przybierają namacalną postać.

Im głębiej zanurzała się w ciemność, tym większe ogarniało ją przeświadczenie, że coś jest nie tak. Wydawało się jej, że zza niewyraźnych konturów mebli i obrazów wyłaniają się ku niej ręce z parasolami - jak w tych koszmarach sennych, które nawiedzały ją od dłuższego czasu. Powoli weszła po schodach wyłożonych miękką granatową wykładziną, która w ciemnościach wydawała się czarna jak smoła. Tylko żółty szlaczek wił się przez środek niczym atakujący wąż. Kiedy minęła pokój koleżanek, poczucie niepokoju wzmogło się. Zatrzymała się kilka kroków przed swoimi drzwiami. Spojrzała na trzymany w ręku klucz. Na drzwi.

Wtedy niespodziewanie blade, ledwie widoczne światło mignęło jej w szparze pod drzwiami. I znikło równie szybko, jak się pojawiło.

Zesztywniała. Odwróciła się i sama nie wiedząc kiedy, znalazła się z powrotem na ulicy. Zachłysnęła się zimnym powietrzem listopadowej nocy. Ruszyła szybkim krokiem, nie oglądała się za siebie. Śmierci lepiej nie patrzeć w oczy. Po co drażnić szarżującego byka? Trzeba wykonać unik ratujący życie.

A potem zadać cios.

## ROZDZIAŁ 35

Krystyna przewracała się z boku na bok przez całą noc. Długo nie mogła oderwać się od rzeczywistości, odciąć sznurka, który przytrzymał ją, jakby była balonikiem napełnionym helem, i nie pozwalał odlecieć. Kiedy w końcu zerwała się i podryfowała ku nicości, zadzwonił budzik. I spadła na ziemię.

Podniosła ciężkie, zmęczone walką z bezsennością powieki, i z ulgą wyłoniła się spod stołu, z trudem rozprostowując kości. Krótką chwilę przechadzała się nerwowo po kuchni, a potem podjęła ostateczną decyzję. Zapoluje.

- Co pani tak wcześniej wstała? - przestraszył ją zaspany głos. Justyna oderwała się od framugi i weszła do kuchni.

- Muszę gdzieś wyjść, a ty? - odpowiedziała enigmatycznie Krystyna pogrążona we własnych myślach. Nie mogła uwierzyć, że właśnie wyciąga z torby podróżnej czerwoną sukienkę. Na polowanie. Ale w końcu wybór przynęty zależy od zwierzyny.

- Dzisiaj wcześniej zaczynam pracę, muszę się przygotować - ziewnęła w odpowiedzi Justyna, przypatrując się krzątaniu Krystyny ze znudzoną miną. - A ta sukienka to po co? Idzie pani na poranną randkę?

- Trzeba o siebie dbać, nie tylko przed randką, ale codziennie, nawet na emeryturze - oświadczyła, o mało nie dławiąc się tym banałem.

Justyna gładko przełknęła banał. Potem wzruszyła ramionami i włączyła czajnik.

- Ma pani rację - powiedziała z przekonaniem. Widocznie do niektórych banały docierają dużo szybciej niż filozoficzna głębia. A może to był banał z głębią? A potem Justyna zaskakująco odniosła banał do rzeczywistości: - Zupełnie jak o paznokcie. Jeśli nie pomaluję co trzy dni, lakier zaczyna się łuszczyć.

- Dziecko, zapamiętaj, liczy się to, co jest pod lakierem. To jest najważniejsze - powiedziała Krystyna z powagą, jakiej należało oczekiwać od osoby wypowiadającej tak głęboką myśl. I zapytała z miną kogoś, kto jest ponad tym wszystkim. Chociaż nie była. - Myślisz, że w moim wieku ważne są zadrapania i rysy?

- W pani wieku wszystko to zadrapania i rysy - oświadczyła Justyna, przyglądając się wyjątkowo uważnie twarzy Krystyny.

Krystyna poczuła, jak jej zmarszczki marszczą się jeszcze bardziej. Sukienkę powiesiła na wieszaku z nadzieją, że już wkrótce ją założy, wycofała się do łazienki i zaczęła przygotowania. Długo patrzyła w lustro, obserwując swoje zadrapania i rysy - ślady zębów czasu, który wgrzył się w nią z siłą głodnego wampira. Bo czas to wampir. Wysysa z nas kolor, pozostawia blade, pomarszczone i bez życia. I nie ma litości. Westchnęła i przystąpiła do korekty. Photoshop *in vivo*. Photoshop jest dobry na wszystko.

Zrobiwszy się na bóstwo - w końcu bóstwom nie liczy się lat ani zmarszczek, opuściła łazienkę i przygotowała i zjadła śniadanie. (Sama, bo Alicja jeszcze spała, a Justyna zamknęła się w łazience z zestawem pędzli i czymś, co wyglądało jak cała paleta farb). Potem wzięła głęboki oddech i wyszła z mieszkania.

Na Chester Square zjawiała się bardzo wcześnie. Przystanąła, opierając się o ogrodzenie prywatnego parku, i wpatrywała się w biały budynek z czarnymi lśniącoymi drzwiami i dwiema kolumnami, stojący po drugiej stronie ulicy.

Dom Archibalda Nelsona.

Miała ochotę uciekać. Ale stała niewzruszenie, myśląc o zadrapaniach i rysach, potem o czerwonej sukience czekającej na swoje pięć minut, a w końcu że to eksperyment. Właśnie, eksperyment kontrolowany.

I wtedy drzwi się otworzyły. Najpierw pojawił się pies, a tuż za nim zielonooki mężczyzna. Zapiął kurtkę i zszedł po schodkach, masując się nieznacznie po kręgosłupie. Szukając wzrokiem psa, znalazł Krystynę. Przez chwilę stali nieruchomo po przeciwnych stronach ulicy, aż Krystyna poczuła dziwne zmieszanie. Pies podbiegł do niej, ale tylko po to, żeby podlać pobliski krzaczek. Musiała odsunąć nogę. Wtedy nie wytrzymała. Roześmiała się. Zielonooki, nie odrywając od niej wzroku, przeszedł przez ulicę i podszedł do niej.

- Jak rana postrzałowa? - odezwała się pierwsza. -Dziękuję, dużo lepiej, przynajmniej już nie krwawi. -

Uśmiechnął się.

- Chciałam... pana przeprosić - ku własnemu zaskoczeniu jąkała się jak maturzystka na egzaminie dojrzałości, która czuje, że właśnie go oblewa. - I podziękować. W końcu uratował pan moją torebkę, a wie pan, że kobieta w torebce całe życie nosi...

Pokręcił głową, a na jego twarzy widać było zakłopotanie.

- Nie ma za co. To ja powinienem panią przeprosić. Zachowałem się jak kompletny kretyn i bardzo mi wstyd - powiedział zachrypniętym nieco głosem. - Widzi pani, jak... - mruknął coś przez zęby. - Jak mam atak, to przestaję być sobą. Poza tym to chyba ten wiek. Zapominam, że pewnych rzeczy nie mogę już robić, i potem to mnie strasznie denerwuje... Przepraszam, nie chcę pani zanudzać ani tym bardziej nie oczekuję od pani diagnozy.

Roześmiała się.

- Może pan się jej boi?

- Już ją znam. To kryzys wieku średniego. Średnio wyleczalne. - I tym się pan przejmuje? Mężczyźni przechodzą go całkiem łagodnie, do tego przyjemnie. Zapisujecie się na siłownię,



kupujecie drogi czerwony samochód, znajdujecie sobie młodszą kochankę, a potem rozkładacie ręce i mówicie: „Przepraszam, mam kryzys wieku średniego”, a każdy kiwa głową i mówi: „Rozumiem, też tak miałem, nie przejmuj się, może w przyszłym roku ci przejdzie, lepiej od razu kup żonie coś ładnego”. - Potem dodała pocieszającym tonem: - Widziałam gorsze przypadki niż pana.

Zaczął się śmiać. Szczerze rozbawiony.

- Zapomniałem, że mam do czynienia z profesjonalistką. To jak by mnie pani określiła? Jaki typ?

- Jeśli chce pan dowiedzieć się więcej, musi pan umówić się na wizytę... - zamilkła nagle. I ku swojej wściekłości spłonęła niczym siano w stodole. Żywym ogniem. Od razu zaczęła intensywnie myśleć o lodowych górach, te jednak zaczęły topić się w jej myślach. Efekt cieplarniany naprawdę zaczyna mieć wpływ na nasze życie.

- Może spacer? - mężczyzna przerwał ciszę.

- Właśnie idę do pracy... - zaczęła tłumaczyć.

- Odprowadzimy panią - zdecydował, patrząc na stojącego nieruchomo psa, i wyciągnął dłoń. - Fred - przedstawił się.

Podala mu rękę.

- Krystyna - odpowiedziała. Poczula się przedziwnie, jakby znowu miała trzydzieści lat. Patrząc na uśmiech Freda, mogłaby przysiąc, że on czuje się dokładnie tak samo.

Eksperyment można było zaliczyć do udanych.

Wprawdzie mawia się, żeby nie chwalić dnia przed zachodem słońca, ale eksperyment wydawał się z każdą chwilą coraz bardziej interesujący i bynajmniej nie zależny od wschodów słońca albo zachodów.

Szli powoli, blisko siebie, właściwie zbyt blisko jak na dwie osoby, które dopiero co zawarły znajomość. Ale Krystyna miała wszystko pod kontrolą. Żartowali, śmiali się i obserwowali

nawzajem co jakiś czas z pewną podejrzliwością, jakby zaskoczeni łatwością kontaktu, przyjemnością zwykłej rozmowy.

Krystyna czuła dziwną lekkość. Wszystko wydawało się bardziej optymistyczne. Nawet londyńska ulica nie była tak zatłoczona jak zwykle. Krystyna nie widziała tłumów, mijające ją piętrowe autobusy i czarne taksówki wydawały się poruszać bezgłośnie, a spaliny pachniały wiosną.. Oczy tego intrygującego mężczyzny skupione były wyłącznie na niej. Jej myśli, czarne ostatnio, zaczęły powoli zabarwiać się na zielono.

Fred kupił kawę i cynamonowe bułeczki. Jedli, idąc powoli i rozmawiając.

- Znając Nelsonów, utwierdzam się tylko w przekonaniu, że wielkie pieniądze i władza szczęścia nie dają - mówił, sprowokowany pytaniem o swoją pracę, oderwawszy od Krystyny wzrok tylko po to, żeby sprawdzić, czy Mori nadaża. Pies właśnie podlewał jakieś stoisko z gazetami. Fred gwizdnął i Mori potruchtał dalej. - Zastanawiałem się, czy to presja? Taka świadomość, że twój rodowód sięga trzynastego wieku? Fakt, że prababcia mogła zostać królową, naprawdę musi stresować. Przodkowie, którzy zabijali, gwałcili, grabili, handlowali niewolnikami... Niełatwo sprostać wyzwaniom historii. To poważna sprawa.

- Tak, ciężkie jest życie młodego arystokraty, czytałam w gazetach - rzuciła Krystyna. - Tylko jakoś u mnie ostatnio ze współczuciem coś nie tak. Nie przychodzi na wezwanie.

Fred roześmiał się i przełknął kawałek bułeczki.

- Rodzice mają wobec Archibalda wysokie wymagania. Jest jedynakiem. Nic dziwnego, że ojciec świruje, a syn się upija i potem walczą ze sobą, starając się nawzajem zmienić. Archibald byłby pewnie komunistą albo socjalistą, ale w dzisiejszych czasach nie robi to już na nikim wrażenia. Na początku udawał geja, ale rodzice od razu powiedzieli, że wspierają go w jego indywidualności, potem próbował wegetarianizmu i był buddystą, i ateistą, i chciał nawet zostać masonem, dopóki się nie okazało, że członkowie jego rodziny należą do łóż od początku istnienia

masonerii. Potem było picie, palenie trawki, płatny seks. Ale płacić prostytutkom, to już żaden skandal, więc sam zaczął żądać pieniędzy. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - To dopiero prawdziwe mięso dla mediów. Prasa rzuciła się na niego jak hieny na padlinę... Od tamtej pory Archibald nie może się pozbierać. Jeszcze długa droga przed nim, ale mam nadzieję, że zmądrzeje... - Spochmurniał.

- Może potrzebuje odpowiedniej kobiety - zasugerowała Krystyna, wpatrując się obojętnie w niebo.

Fred pokiwał głową.

- Coś w tym jest - powiedział, ale jeśli Krystyna liczyła, że zapyta ją o jakieś kandydatury, to się przeliczyła. - Rodzice mają dla niego odpowiednią kandydatkę, Ethel, córkę szesnastego lorda Beaumonta. Wnieście w posagu zamek.

Krystyna zadławiła się bułeczką. Ze strachu, że jakaś Ethel z zamkiem mogłaby ubiec Alicję. Wpatrzyła się we Freda, nie do końca wiedząc, co powiedzieć.

Zauważył jej przerażone spojrzenie.

- Prawda, że straszne? Nie chciałbym urodzić się w arystokratycznej rodzinie, za żadne pieniądze. Swatanie dzieci w dwudziestym pierwszym wieku... Ale szlachectwo najwyraźniej wciąż zobowiązuje.

Krystyna potakiwała z dezaprobatą, a potem zauważyła:

- Zwykła, fajna dziewczyna, zakochana po uszy w Archibaldzie, a nie w jego pozycji społecznej byłaby chyba lepsza niż jakaś Ethel Beaumont?

Fred westchnął ciężko.

- Nie sądzę... - tym stwierdzeniem ją dobił. - Błękitna krew płynie w żyłach Nelsonów od zawsze. Archibald zresztą doskonale zdaje sobie sprawę ze swoich obowiązków względem rodziny i nazwiska. Dlatego robi wszystko, żeby odegrać się na rodzicach, w końcu to ich wina, prawda? - Westchnął. - Jest na nich tak wściekły, że uparł się, że nie pójdzie na przyjęcie do Holland Park.

Krystyna intensywnie myślała.

- Moim zdaniem chłopak potrzebuje czegoś, co zmieni jego nastawienie. Musi zrozumieć, że nazwisko, które nosi, i status społeczny to nie tylko obciążenie, ale przede wszystkim przywileje... - uśmiechnęła się. - Dla mnie, wychowanej w siermiężnym socjalizmie, panna z zamkiem i służbą zamiast miłości brzmi jak kiepska bajka.

- Nie masz poszanowania dla tradycji monarchii. Nie zapominaj, że jesteś w kraju, gdzie panująca królowa zatrudnia osobę tylko do prasowania gazety przez bibułkę, żeby się rodzinie królewskiej palce od farby nie brudziły przy śniadaniu.

Krystyna zakrztusiła się kawą.

- W to już nie uwierzę.

- A ja nie uwierzę w to, że taka atrakcyjna i inteligentna kobieta musi pracować w jakimś pubie. Twój angielski jest świetny, jesteś psychiatrą. Co ty robisz w tej spelunie?

- Szukam wrażeń - odpowiedziała bez zastanowienia, skupiając się tylko na słowie atrakcyjna. Brzmiało jak dawno niesłyszana piosenka. A potem złapała się na trzepotaniu rzęsami i zalotnym uśmiechu.

Zaryzykowała tym uśmiechem, bo pogłębił jej zmarszczki. Opłaciło się.

- Wrażenia można znaleźć w dużo przyjemniejszy sposób - odpowiedział Fred, patrząc jej w oczy. Znacząco.

Krystyna odwróciła wzrok. Czuła, że zaraz się udusi. Z wrażenia. A on mówił dalej.

- Wiesz, Krystyno... - zawahał się - gdybym był młodszy, pewnie trochę bym... Jak by to powiedzieć? - Szurał nogą jak uczeń zapraszający koleżankę z klasy do kina. - Pewnie postraszyłbym trochę piórka i zademonstrował jakiś taniec godowy, tylko że w moim wieku szkoda mi czasu na rytuały godowe... - zawiesił głos.

Krystyna znieruchomiała. Rytuały godowe. To było coś, o czym od dawna nie myślała. Przełknęła ślinę i nawet nabrała ochoty. Poczwała, że zaczyna się pocić pod jego spojrzeniem.

- Może zjadłabyś ze mną jutro kolację? - zapytał w końcu. - Znam taką miłą restaurację, gdzie nie ma zbyt wielu małych dzieci.

Przestała się uśmiechać, a na jej twarzy musiał pojawić się wyraz przerażenia.

Zapanowało niezręczne milczenie.

- Przepraszam - zreflektował się Fred, widząc jej reakcję. - Może jednak powinienem trzymać się reguł czasowych i jednak postraszyć trochę piórka.

- Nie chodzi o czas ani o ciebie, Fred, chodzi o mnie - powiedziała, uświadamiając sobie nagle, że bycie jaskółką to bardzo ciężka praca. I bynajmniej nie dla każdego. Ona najwyraźniej nie ma do tego powołania.

- Auć! - Skrzywił się, jakby dostał po głowie, a na jego twarz wrócił ironiczny uśmiech. - To już nie było oryginalne, Krystyno. Bardzo *ciiché*.

- Cóż... nasze życie jest często bardzo *cliche*... - Westchnęła i pożegnała się. Patrząc jeszcze za nim, kiedy odchodził, pomyślała, że ten słodko-gorzki smak, który czuje w ustach, to smak życia.

## ROZDZIAŁ 36

Jadwiga nie mogła dojść ze sobą do ładu. Nie wiedziała, dlaczego była aż tak poirytowana. Może powodem była ciężka noc, bo przecież fotele kinowe nie są zaprojektowane do spania. Film nie był zły, tyle że horrory SF zawsze miały dziwny wpływ na jej apetyt - tylko tym mogła wytłumaczyć zakup tosta z wyspiarskim przysmakiem, pastą drożdżową Marmite. I zjedzenie go z apetytem. Być może chodziło jednak o bilet, który znalazła właśnie w skrzynce kontaktowej. Starła się przekonać samą siebie, że powinna być zadowolona, bo wszystko przebiega zgodnie z planem. Ten bilet to był prawdziwy przełom w sprawie. To była okazja. Zwłaszcza teraz, kiedy nie miała głowy do swatania. Jedyne problem polegał na tym, że musiała go oddać. A wcale tego nie chciała.

Kiedy dotarła pod pub, po drugiej stronie ulicy zauważyła Krystynę i mężczyznę, z którego sama, nie chwaląc się przecież, uczyniła bohatera. Schowała się zatem za jakiś budynek i szybko wyciągnęła lunetkę. Przez chwilę z ironicznym uśmiechem obserwowała koleżankę przy pracy, ale im bardziej tamta się uśmiechała, tym bardziej wargi Jadwigi wyginały się ku dołowi. Zupełnie nie podobało jej się to, co widziała. Krystyna, która od

śmierci męża nie patrzyła na mężczyzn jak na mężczyzn, na tego faceta patrzyła jak dziewczyna na naoliwionego gladiatora. „Ale kto mieczem wojuje, od miecza ginie”, westchnęła z zadumą Jadwiga i pomyślała jeszcze, że wiele - jakże wiele! - jej znajomych, obiecujących jaskółek, stało się oddanymi kurami domowymi. We wrogim niegdyś kurniku. Schowała lunetkę do futerału.

Kiedy wreszcie foremna sylwetka szofera zniknęła za zakrętem, Jadwiga wyłoniła się zza budynku na tyle niespodziewanie, że złapała jeszcze na twarzy Krystyny wyraz niebezpiecznego rozmarzenia.

- Witam pierwszą agentkę KMS - powiedziała ironicznie. - Wygląda na to, że nasz bohater połknął haczyk... a raczej Fred wygląda, jakby chciał połknąć ciebie... Robaczku - mruknęła nieco ciszej.

Wystarczająco głośno jednak, żeby Krystyna usłyszała. Jej uśmiech stężał. Bez słowa ruszyła w stronę drzwi wejściowych do pubu. Jadwiga chwyciła ją za ramię.

- Poczekaj - powiedziała pojednawczo i podała Krystynie kopertę.

- Co to jest?

- Bilet na Bolszoi - uśmiechnęła się Jadwiga. - Dla Archibalda. Krystyna ze zdziwienia zapomniała, że się obraziła.

- Ale skąd... - zaczęła. Wiedząc jednak, że Jadwiga i tak nigdy nie zdradzi swoich sekretów, powiedziała tylko: - Kiedy twoje opowieści zaczynają przybierać realne kształty, zaczynam się bać.

- Nie ty jedna - mruknęła pod nosem Jadwiga. I dodała już głośniejszym głosem: - Jedyne, co musisz zrobić, to upewnić się, że Archibald znajdzie się dziś wieczorem w Royal Albert Hall. Mówiłaś, że Alicja szykuje się na ten wieczór od tygodni. Musisz zapamiętać miejsce na bilecie i wysłać ją tam pod jakimś pretekstem.

- Tylko jeden bilet? - skrzywiła się Krystyna.

- Nawet nie wiesz, ile mnie kosztowało, żeby go zdobyć - oświadczyła oburzona.

- To jak upewnimy się, że Alicja i Archibald się spotkają? Że stanie się coś, co ich połączy, że zainteresują się sobą, że on ją zauważy... Masz jakiś pomysł? - zapytała podejrzliwie Krystyna.

- Po pierwsze, wierzę w siłę zakochanej kobiety. Poza tym chłopak jest nieszczęśliwy, porzucony i w depresji. Rokowania nie są złe. A co do pomysłów, moja droga, to przecież mnie znasz... -zawiesiła głos. - Mam ich więcej niż guzików w pasmanterii.

Krystyna wzruszyła tylko ramionami i spojrzała na bilet.

- Z tego, co o nim wiem, Archibald nie jest typem melomana -mruknęła, przygryzając wargi.

- Porozmawiaj ze swoim nowym przyjacielem. - Jadwiga spojrzała w stronę, gdzie zniknął Fred, i przestała się uśmiechać. -Użyj swych wdzięków i przekonaj go, że Archibald powinien się rozerwać. Jesteś w znakomitej formie. Nie zajmie ci to więcej niż pięć minut.

I odeszła, zostawiając przed pubem zamyśloną Krystynę.



## ROZDZIAŁ 193

Gdyby nie Mori, Krystyna pewnie nie dogoniłaby Freda. Na szczęście pies, zupełnie nie przejmując się nakazami i zakazami swojego pana, już z daleka upatrzył sobie ruchomy cel - jakąś matkę pchającą wózek. A że z powodu wczesnej pory interesujących obiektów do podlania, do jakich wózek z dzieckiem na pewno można zaliczyć, było mało, pognał, żeby sobie ulżyć. I podlał. Dziecko wpadło w histerię, bo to jego wózek i tylko ono ma wyłączne prawo do podlewania go, matka dziecka wpadła w szal, a Fred wpadł w potok wylewanych przez nią niewybrednych słów, co z kolei zaczęło przeszkadzać Moriemu, bo nie lubił hysterii ani tłoku, więc pobiegł dalej. Krystyna obserwowała przez chwilę całą scenę, a kiedy Fred uwolnił się w końcu od wrzeszczących dziecka i matki, a na ulicy zapanował względny spokój, pomachała mu, a potem podeszła i podała kopertę.

Bez słowa ją otworzył. Na jego twarzy pojawił się ironiczny grymas.

- To dla mnie? Na pocieszenie chcesz rzucić mnie w ramiona rosyjskich baletnic?

- Nie - Krystyna się roześmiała.

- Ranisz mi serce.

- Miałam dzisiaj iść do Royal Albert Hall, ale zmieniłam

zdanie. Pomyślałam sobie, że... - zawahała się. - Pomyślałam, że młody Nelson mógłby na tym bardziej skorzystać - dokończyła. Zmrużył oczy.

- Archibald jest raczej typem kobieciarza niż baleciarza. Wątpię, żeby chciał...

- Jedno nie wyklucza drugiego - przerwała mu i spojrzała na niego hipnotyzującym błękitnym spojrzeniem. A potem przeszła na tryb terapeutyczny: - Jako psychiatra uważam, że ten twój Archibald powinien spojrzeć na świat z innej perspektywy, zrobić coś zupełnie innego, szalonego... Coś, czego normalnie nie robi. To otwiera nowe możliwości. Daje poczucie, że w życiu są jeszcze niezbadane ścieżki.

- Nowe możliwości? - powtórzył, wpatrując się w nią uważnie. - To ma pomóc Archiemu w zrozumieniu, że jego spuścizna nie jest obciążeniem tylko przywilejem?

- A czemu nie? Kobiety w rajtuzach jeszcze nikomu nie zaszkodziły - broniła swojej teorii. - Czy Royal Albert Hall nie wydaje ci się odpowiednim miejscem na refleksję? Przekonaj go...

- Zrezygnujesz z przedstawienia, żeby znudzony arystokrata mógł pogapić się na kobiety w rajtuzach? - odezwał się w końcu. - Dlaczego?

- Ja... Myślę, że wszyscy moglibyśmy skorzystać na moim wyrzeczeniu. .. - Uśmiechnęła się niewinnie. - Ty miałbyś wolny wieczór, Archibald szukałby sensu istnienia...

- A ty?

Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie, takie, jakie jeszcze nie tak dawno, dwadzieścia lat wcześniej, wypalały dziury w męskich sercach.

- Zapytaj mnie, co robię dziś wieczorem - szepnęła.

- Co robisz dziś wieczorem? - zapytał, a jego oczy wyraźnie pociemniały.

Krystyna uśmiechnęła się i - sama nie wierząc, że to mówi - odpowiedziała:

- To zależy wyłącznie od ciebie.

## ROZDZIAŁ 195

Barry Krewetka mieszkał na południowych przedmieściach Londynu, przy długiej ulicy, w jednym z wielu niczym się od siebie nieróżniących wąskich wiktoriańskich domków przeżartych przez wilgoć, doprawionych pleśnią i oplecionych rurami kanalizacyjnymi fantazyjnie biegnącymi po zewnętrznych fasadach. Przed domkami, wskazując wyraźnie na zaludnienie dzielnicy klasą robotniczą, stały głównie białe vany. Ewentualnie czarne taksówki. Tak jak pod dziewiątką, gdzie między dwoma niskimi murkami stała taksówka z reklamą strony internetowej Totally Jewish.

Chłopcy z trudem przecisnęli się obok samochodu i podeszli do odrapanych białych drzwi z przyczepioną flagą piłkarskiego klubu Millwall.

- Pozwól mi to załatwić - szepnął jeszcze Li, patrząc na flagę. - Z nim trzeba powoli. Praca na ostatnim miejscu. Najpierw zabawa.

Zadzwoił.

Otworzył im Barry we własnej osobie. Okazał się chudym, wysokim mężczyzną bez górnej dwójki i dolnej czwórki, ale za to z blizną na twarzy, biegnącą od skroni do połowy policzka.

Miał na sobie szare spodnie od dresu i biały podkoszulek bez rękawów, który eksponował rozległe tatuaże na jego żyłastych rękach, głównie symbole i hasła klubu Millwall, ale - jak zauważył Igor - na nadgarstku w formie bransoletki miał wytatuowane: „Tatuś kocha Daisy”. Wrażliwy facet. Zdecydowanie bardziej niż krewetkę przypominał ośmiornicę, choć właściwie typ był ten sam. Oślizgły.

Na widok Li mężczyzna zacisnął wielką dłoń w pięść, podniósł rękę do góry i ryknął z całej siły gardłowym głosem z południowo-wschodnim londyńskim akcentem coś, co od razu można było określić jako fragment stadionowego hymnu.

- *No one likes us and we don't care!*

Igor otworzył szeroko oczy ze zdumienia, tym bardziej że Li odśpiewał mu w podobnym tonie, tylko ciszej.

- *We are Millwall...*

- *We are Millwall from the Den!* - dokończyli wspólnie, a potem powitali się jak starzy znajomi.

- Idziesz w sobotę na mecz, *mate*<sup>7</sup>. - zapytał Krewetka.

- Się zobaczy... - mruknął Li i spojrzał na Igora. - To mój kumpel, o którym ci wspominałem przez telefon.

- Hej, *mate* - Krewetka uściśnął dłoń Igora.

- Witam - wyrzucił z siebie Igor, starając się wyglądać na wy-luzowanego. - Bardzo mi miło.

- Jesteś z Francji, *mate*<sup>7</sup>. - zainteresował się Krewetka.

- Nie. - Igor pokręcił *przecząco* głową. - Dlaczego z Francji?

- Masz obcy akcent.

- Jestem Polakiem - powiedział.

Barry patrzył na niego przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno, *mate*. Napijmy się. Wchodźcie, przyniosę piwko - rzucił i zniknął w głębi domu.

Li bez słowa poprowadził Igora do salonu, gdzie mebli wiele nie było i królował wielki płaski telewizor powieszony na ścianie. Igor zdecydował się usiąść na krześle stojącym obok rozklekotanego

stołu, a Li stanął przy oknie i uważnie obserwował ulicę. Jakby bał się, że zaraz może zjawić się policja, a samo siedzenie w domu Krewetki jest dowodem każdej winy.

Zamiast policji w drzwiach pojawiła się jednak mała, może ośmioletnia dziewczynka z odstającymi we wszystkie strony blond włosami. Przez chwilę stała w milczeniu, świdrując spojrzeniem dwóch nieznanym mężczyznom, a potem uśmiechnęła się.

- Panowie do kogo? - zapytała grzecznie, poprawiając spódnice.

- Do... Barry'ego - wyjaśnił Igor, wymieniając spojrzenia z Li.

- Po pieniądze?

Igor przez chwilę patrzył ciepło na dziewczynkę, jakby mu kogoś przypominała, a potem zbliżył się i pogłaskał ją po głowie.

- Dzielna jesteś - pochwalił ją. - Mam chrześniaczkę w twoim wieku, ale ona boi rozmawiać z nieznanymi. Ty się nie boisz?

- Nie - oświadczyła rezolutnie dziewczynka. - Mam już nowe zęby. Prawie wszystkie.

A potem wbiła mu w rękę cały komplet. I zacisnęła szczęki.

Igor zawył z bólu i rzucił desperackie spojrzenie Li, który, zupełnie oszołomiony, nie wiedział, jak ma zareagować, w końcu nigdy wcześniej nie miał do czynienia z ośmioletnimi dziewczynkami i nie wiedział, że potrafią być takie groźne. Bo dziewczynka wydawała się trzymać Igora w zębach z siłą arastafa, a w dodatku potrzasała jego ręką, mruczając przy tym jak zadowolona kocica.

Na szczęście we właściwym momencie zjawił się Barry i Daisy puściła. Zapewne z szacunku dla autorytetu ojca. Chociaż równie dobrze mogły rozboleć ją szczęki.

- Daisy, na górę! - wrzasnął Barry.

Ta spojrziała z urazą na Igora, jakby to była jego wina, że ściągnęła na siebie gniew ojca, i to zupełnie bez powodu, odwróciła się obrażona i podeszła do drzwi.

Igor spuścił powietrze z płuc i wyciągnął z kieszeni spray chłodzący. Moment, a jaka ulga.

- Pożegnaj się z panami. Ile razy ci mówiłem, że trzeba się grzecznie zachowywać? - syknął do córki Barry.

Przez chwilę wydawało się, że nie posłucha, ale ku zdumieniu Igora odwróciła się grzecznie i dygnęła.

W uśmiechu błysnęła niebezpiecznie ząbkami, a potem nie wiadomo skąd, chyba spod spódnicy, wyciągnęła pistolet na wodę i trafiła z niego Igora prosto w oko.

- *Hasta la vista, baby* - powiedziała jeszcze i uciekła. Barry zmieniał kolory jak kameleon na dyskotece.

- Przepraszam, *mate* - powiedział, zgrzytając zębami, i postawił na stole trzy butelki piwa. - Daisy nie lubi obcych. Musisz jej wybaczyć, matki nie ma...

Igor otarł z oka wodę, a potem się uśmiechnął. Postanowił nie robić nic, przez co Krewetka mógłby nie zgodzić się na współpracę. To była desperacja w czystej postaci.

- Jaka inteligentna. Obce języki zna... - pochwalił, co mógł, modląc się, żeby ciecz która wylądowała w jego oku, była czystą wodą.

- A zna, *mate* - odezwał się Barry zadowolony, że docenia się inteligencję jego jedynej pociechy. Upił łyk piwa. - Tylko z wychowaniem mam straszne problemy. Wiecie, jestem samotnym ojcem, babka miała zawał i już nie może się nią zajmować, żadna niania nie wytrzyma, a wylali ją ze szkoły. - Zarechotał. Zapraszającym gestem wskazał na piwo, a potem zaczął opowiadać: - Włamała się do mojej szafki i ukradła mi gaz usypiający. Rozpyliła go w pokoju nauczycielskim... - Westchnął, opierając się o ścianę. - Nie mam co z nią zrobić, więc zacząłem przyuczać do zawodu. Ćwiczymy otwieranie zamków, rozbijanie alarmów, czyszczenie pistoletów... Niech się dziewczyna uczy, żeby nikogo nie zabić.

Igor przełknął ślinę i kiwał głową. Teraz cieszył się, że mała Daisy miała pod spódnicą tylko zabawkowy pistolet. A nie na przykład berettę.

- Musisz być z niej dumny - wyrwało mu się z ciężką do ukrycia ironią. Krewetka jednak ironii nie wychwytał.

- Jasne. Moja krew. Ja w jej wieku byłem dokładnie taki sam. Wiecie, że już jest na etapie Schwarzeneggera? Rozwija się fenomenalnie, *maté*.

- Schwarzeneggera? A co z księżniczkami Disneya? - zapytał Li, ukrywający się na wypadek ponownej wizyty małej Daisy za zasłoną.

- Szybko jej się znudziły. Potem pokazała mi jakiegoś wymoczką, *maté*, jakiegoś Justina Biebera, koszmar, więc postanowiłem pokazać jej, jak powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna. Żeby wiedziała, kogo może w razie czego do domu przyprowadzić, a nie... - Splunął na samą myśl o słodkim idolu nastolatek.

-1 co? Zasepił się.

- Chyba zasnąłem, *maté*, i musiała cały film obejrzeć. I resztę taśm z półki. Praca taksówkarza jest strasznie wyczerpująca, wiecie? I jeszcze pić nie można podczas pracy. Dobrze, że jeść pozwalają. Piwa? - zapytał.

Potem z braku orientacji w temacie, jako że Igor i Li dzieci nie mieli, rozmowa zeszała na samochody. I typy taksometrów.

Krewetka ani słowem nie wspomniał o swoich poprzednich wcieleniach. Może dlatego, że nieraz widział swój nekrolog w lokalnej prasie, a to zapewne nie sprzyja zwierzeniom. Kiedy wypili po piwku, włączył kanał sportowy i przeanalizowali dwa ostatnie mecze Millwall i kolejną przegraną angielskiej reprezentacji w krykiecie. Dopiero potem przyszedł czas na konkrety dotyczące zlecenia.

Krewetka długo się wahał. Mówił coś o odpowiedzialności samotnego ojca, ale gdy usłyszał, jaki dostanie procent od Picassa, stwierdził, że właściwie babcia niedługo wydobrzeje i w razie czego może zająć się Daisy. I zapatrzył się w telewizor. Igor spojrzał zniecierpliwiony na Li, ale ten dał mu znak, żeby nie poganiać Barry'ego.

- Jaki duży? - odezwał się w końcu Krewetka, wyłączając telewizor, bo skończyła się powtórka meczu.

- Kto? - nie zrozumiał pytania Igor.  
- Picasso, *maté*.  
- Obraz? Czyja wiem? - zastanawiał się gorączkowo Igor. - Muszę wymiary sprawdzić, ale przecież wytniemy z ram i zwiniemy. ..  
- Zaraz, tego nie wiemy - przerwał mu Li. - Trzeba zapytać... jestem przekonany, że takie porządne ramy też muszą być sporo warte.  
- Zwariowałaś? Przecież tu nie chodzi o ramy - syknął stanowczo Igor.  
- Tego nie możesz być pewny. - Upierał się kolega.  
- Dobrze wiesz, że się wycina. Nie udawaj Greka - nie wytrzymał Igor.  
- A ty Chińczyka - odpyskował Li.  
Krewetka patrzył to na jednego, to na drugiego i w końcu postanowił załagodzić sytuację.  
- Dobra, ja się tylko pytam, w sumie to mi wszystko jedno, *maté*. Klient nasz pan, nie? Nerwy na bok! - widząc, że nie pomogło, dodał złowieszczo: - Bo zawołam Daisy.  
Chłopcy momentalnie umilkli. Barry pokiwał głową z zadowoleniem.  
- A zamek zwykły czy biometryczny? - kontynuował, drapiąc się w zamyśleniu po tatuażach.  
- Zwykły.  
- Szkoda... - Wyraźnie posmutniał i westchnął.  
- Dlaczego? Chyba prościej załatwić klucz.  
- Skąd, *maté* - wzruszył ramionami. - Najprościej załatwić palec.  
Igor wzdrygnął się i na wszelki wypadek, żeby nie było później jakichś niespodzianek, wyjaśnił, że klucz zostanie załatwiony. Krewetka pokiwał tylko głową i pytał dalej:  
- A alarm? Mają czujki ruchu? Gdzie znajduje się akumulator. .. - przerwał, bo Li z dumną miną podsunął mu telefon i pokazał na wyświetlaczu zdjęcie.



Krewetka wpatrzył się w wyświetlacz, poodwracał telefon z każdej strony, a potem oddał go Li.

- Co ty mi pokazujesz? Regulację klimatyzacji? Li poczerwieniał i szybko schował komórkę.

- Jakież zwierzęta? - zapytał jeszcze.

- Pies - powiedział niechętnie Li.

Krewetka wydał z siebie kolejne, brzmiące poważniej westchnienie, ale zanim zdążył się odezwać, Igor podniósł rękę, jakby prosząc o głos.

- Ja się zajmę psem - oświadczył szybko. - Mogę mu kiełbasę przywieźć.

Krewetka pokręcił głową.

- Nie wiesz, *maté*, że teraz panuje moda na wegetarianizm? -parsknął.

- Myślicie, że jeśli właściciele sami mięsa nie jedzą, to psu dadzą? A jak pies wyszkolony, to do pyska nic nie weźmie bez zgody pana. Lepiej nie ryzykować. Weźmiemy gaz usypiający.

Igor poczerwieniał, ale nie odezwał się.

- To kiedy ta akcja? W przyszłą sobotę, tak?

Igor spojrzał wymownie na Li. Ten tylko się uśmiechnął.

- Właściwie to... już jutro - poprawił Barry'ego Igor. I niewyraźnym tonem dodał: - Nieoczekiwana zmiana. Za to na pewno nikogo nie będzie w domu. I, jak już wspomniałem, klucz mamy do dyspozycji.

Krewetka wyglądał, jakby chciał zaprotestować, w końcu był rozchwytywanym specjalistą od alarmów, ale po chwili zastanowienia wzruszył ramionami, co najwyraźniej oznaczało zgodę.

- Może być i jutro, *maté*. Ja mogę się bić bez przygotowania, człowiek czynu jestem... Tylko po meczu.

- Ale, stary... - Li stracił oddech, starając się wymyślić jakiś argument.

- Po meczu - powtórzył Krewetka, jakby nie dosłyszał słów Li. - A jeśli przegramy, to dopiero po bijatyce, *maté*. Muszę znaleźć tego, co mi wybił czwórkę. - Ścisnął pięść, aż trzasnęło.

Wtedy gdzieś z korytarza dał się słyszeć słodki głos Daisy:

- Tatusiu, już czas do pracy.
- Igor zasłonił, tak na wszelki wypadek, twarz, ale nic się nie zdarzyło.
- Przepraszam, *mates*... - Krewetka westchnął rozdzierająco. W końcu praca nie należy do przyjemności.
- Może byś nas odwiózł do chińskiej dzielnicy? - zaproponował Li.
- Jasne, *maté*. Poczekaście, pójdę się przebrać. Tylko według taryfy...
- zaznaczył w drzwiach.
- Może nie włączaj taksometru - zasugerował Li, ale Krewetka spojrzał na niego tak, jakby tamten bluźnił, i wyszedł z pokoju. -Wtedy mógłbyś nam taniej policzyć, bo nie musiałbyś się z nikim rozliczać! - krzyknął za nim, tłumacząc się, Li.
- Nie wiesz, że za oszustwa podatkowe można iść siedzieć? A robię wszystko, żeby nie trafić z powrotem do paki - usłyszeli oburzony głos Krewetki.

## ROZDZIAŁ 203

Wszystkie czynności, jakie pracownicy pubów wykonywać powinni, Krystyna wykonywała machinalnie. Jedyne, na czym mogła się skupić, to swoje myśli. Radosne i zielone jak bożonarodzeniowa choinka. Jak oczy mężczyzny, którego zaprosiła na randkę.

Dopiero kiedy do pubu weszła Justyna, Krystyna przestała myśleć.

Justyna wyglądała zjawiskowo. Tak zjawiskowo, że siedzący przy brudnym oknie klienci znieruchomieli, zapatrzyli się w nią bezmyślnie. Zapomnieli nawet zagwizdać. Makijaż wprawdzie miała wyjątkowo mocny i raczej wieczorowy, ale za to idealnie pasujący do kusego dopasowanego trencza w kolorze czerwonej papryczki (który lepiej sprawdziłby się w kwietniu niż w listopadzie). Na twarzy dziewczyny malowały się zaciętość i skupienie. Wyglądała jak torreador, który zaraz zajmie się prowokowaniem byka. Torreador z fryzurą *a la* Brigitte Bardot.

Drżąc z zimna, podeszła do lady. Nie zwracała uwagi ani na ogłupiałych facetów, ani na Krystynę. Wpatrzyła się w Kubę, który znowu męczył się na drugiej sali z zepsutym automatem do gier. Kuba zauważył ją od razu, ale pomachał jej tylko obojętnie ręką i odwróciwszy się tyłem, wrócił do pracy.

Justyna przez chwilę wpatrywała się w szerokie ramiona chłopaka, jakby czekając na to, że Kuba podejdzie się przywitać. Nie podszedł. Nie wykazał zainteresowania. Rozdrażniona zacisnęła zęby. Byk najwyraźniej nie dał się sprowokować.

- Stało się coś? - zapytała Krystyna, wchodząc jej w pole widzenia.

Dziewczyna westchnęła z rezygnacją i usiadła na wysokim krześle przy barze, wyciągając swoje długie zgrabne nogi, które do końca załatwiły stałych bywalców.

- Zatrzasnęłam klucz - odpowiedziała krótko Justyna i poprosiła o herbatę.

- Naprawdę? - zdziwiła się Krystyna, włączając czajnik.

- Nie! - oświadczyła Justyna wściekle. Nachyliła się ku Krystynie. - Pani ma mnie za idiotkę? Kto sześć razy w ciągu miesiąca zatrzaskuje klucz?

Krystyna nie odezwała się. Zaparzyła herbatę. Wiedząc, że wezbrana wściekłość musi znaleźć ujście, czekała.

Nie minęła chwila, a Justyna gwałtownie wypuściła powietrze z płuc, pomachała rękami, jakby było jej za gorąco, i zabębniła palcami po ladzie.

- Nie mogę przestać o nim myśleć - przyznała się ponuro. Widząc niepewność na twarzy Krystyny, sprecyzowała: - No, o Kubie mówię. Wiem, że to dziwne - wymruczała, delikatnie dotykając kącika oczu, żeby się jej nie rozmazał makijaż. - Proszę tylko na niego spojrzeć. On jest taki przeciętny. I do tego rozwiedziony. Jakby się moja matka dowiedziała... - Przeszedł ją dreszcz. - Przecież on nawet przystojny nie jest...

Przez chwilę obie wpatrywały się w chłopaka. Kiedy złapał ich spojrzenie, momentalnie odwróciły wzrok.

- To twoje subiektywne odczucie. Obiektywnie rzecz biorąc... - zaczęła Krystyna, ale Justyna nie pozwoliła jej dokończyć.

- Co pani opowiada!?! - powiedziała z irytacją. - Przecież on obiektywnie nie jest przystojny. Jest rudy, piegowaty, wielki jak

stodoła, a do tego ma ręce jak łopaty. I ten jego akcent... Wiejski... bez dwóch zdań. - Przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko, jakby musiała uspokoić drżące serce. - Z reguły, jak widzę takiego faceta, to uciekam, żeby nie kusić losu, ale tym razem... - Pokiwała głową i westchnęła. - To była chwila, pani Krysiu. Moment nieuwagi i ukradł mi serce.

- Czemu „nie kusić losu”? - nie zrozumiała Krystyna.

- Bo tacy nigdy nie chcą się ze mną umówić - mówiła rozgoryczona Justyna. - Wybierają rude Kaśki do zestawu albo grube, piegowate Jole. Wszystko robię, żeby takiego zachęcić, a on zrywa kontakt... Zawsze jest tak samo. Jak dam takiemu do zrozumienia, że jestem zainteresowana... No, wie pani... On ucieka, a następnego dnia widzę go z jakąś prząsną Hanką. - Pociągnęła nosem. - Takie moje szczęście.

- Może myślą, że nie mają u ciebie szans.

- Ale dlaczego? - jęknęła Justyna, wpatrując się w Krystynę swoimi niesamowitymi oczyma. - Przecież daję do zrozumienia, że szukam właśnie kogoś takiego jak on. Z rękami jak łopaty. - Westchnęła zrezygnowana.

- Brakuje im pewności siebie. Boją się nawet wyobrazić sobie, że to mogłaby być prawda. Może spróbuj bardziej bezpośredniego podejścia. Sama zaproś go na randkę - poradziła Krystyna. I poczerwieniała.

Justyna potrząsnęła głową.

- Faceci nie lubią zdesperowanych kobiet - oświadczyła, nie patrząc na Krystynę. Na szczęście, bo ta rumieniła się jeszcze bardziej. - Poza tym żona go zdradziła i teraz trudno mu zaufać kobiecie... Widzi pani? To prząsne Hanki są winne! Odbierają mi facetów, ale żeby doceniały to, co mają, to nie, tylko zdradzają... - Odruchowo potarła oko. - Boże, znowu się wzruszyłam!

- A próbowałaś kiedyś przyjść bez makijażu, normalnie ubrana? Może byś go tak nie onieśmiewała... - zasugerowała Krystyna, zastanawiając się, czy powinna się uważać za zdesperowaną.

- Ale właśnie w makijażu wyglądam jak dziewczyna z okładki - powiedziała, patrząc kątem oka w lustro wiszące na ścianie. - Przecież o to im wszystkim chodzi, no nie? Faceci szukają ideału.

- Nie wszyscy mężczyźni szukają ideału, dziecko - powiedziała w zadumie Krystyna. - Niektórzy, ci mądrzejsi, szukają szczęścia.

## ROZDZIAŁ 207

Jadwiga cały dzień włóczyła się po Londynie bez celu i bez ochoty, czując na plecach palące spojrzenie londyńskiego oka, które wysysało z niej energię i napełniało irracjonalnym strachem. Przeklinała ceny, tłumy, ruch lewostronny i krzywe chodniki. A nawet rosyjskie baletnice.

Czuła, że sprawy zaczynają przybierać nieprzewidziany obrót, a ona nie bardzo wiedziała, jak przywrócić im właściwy bieg. Strach przed właścicielem czarnego parasola paraliżował ją tak, że traciła fantazję. Czuła się jak artysta pozbawiony natchnienia. Ogarnęła ją twórcza niemoc.

Wieczorem, kiedy pięknie ubrane panie i eleganccy panowie wpatrywali się z zachwytem w baletowe *pas*, ona jak wychodzące z cienia zombie wchodziła po wąskiej rampie na oświetlony pokład Hispanioli.

- Witamy z powrotem. Co pani tu robi? - mruknął znajomy kelner, kiedy podeszła do baru.

- Zdecydowałam, że nie będę przeszkadzać Conanowi w pracy - odparła. - Nie chciałabym go rozpraszać.

Nie skomentował, tylko uśmiechnął się ironicznie, jakby wątpił w to, że mogłaby kogokolwiek rozproszyć.

Usiadła, tym razem w fotelu przy małym stoliku znajdującym się w sali barowej, z którego miała wspaniały widok na drzwi wejściowe.

- Kawę proszę - powiedziała, kiedy kelner podszedł do niej z butelką. Na widok zdziwienia na jego twarzy dodała: - Ostatnio źle sypiam.

Spojrzał na nią badawczo i wrócił za bar, żeby zaparzyć kawę. Czas płynął powoli.

Jadwiga rozsiadła się w fotelu. Uświadomiła sobie z gorzkim uśmiechem, że czeka na Conana. Znowu. Całe życie na niego czekała, a w tym czasie brała kolejny ślub i kolejny raz się rozwodziła. Farbę na siwe włosy nakłada już od lat, a jaka głupia była trzydzieści lat temu, taka nadal jest. Ta miłość wypaliła jej dziurę w mózgu.

Patrzyła przez okno i piła kawę. Londyńskie okno wpatrywało się w nią rozżarzone i złowrogie. Zadrżała i rozejrzała się po sali. „Gdzie on może być?“, zastanawiała się. Po raz setny spojrzała na zegarek.

Kelner pojawił się znowu, żeby zabrać filiżankę. Jadwiga, chcąc zagaic rozmowę, powiedziała wyjaśniającym tonem:

- Za bilet naprawdę jestem wdzięczna. Dałam koleżance, ona też uwielbia balet.

Kelner uśmiechnął się złośliwie.

- A ładna? To pewnie dlatego jeszcze go tu nie ma... Spojrzenie Jadwigi podcięło mu gardło. Przeżył jednak.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć - powiedział niechętnie. -Zadzwoń do kumpla z centrali. Proszę tu na mnie poczekać i zapamiętać, że jeśli pani o tym komuś powie, to własnoręcznie panią załatwię. - Nie czekając na jej komentarz, nerwowo kiwnął jeszcze głową i zniknął na zapleczu.

Jadwiga zamknęła oczy i rozparła się w fotelu, Przez chwilę oddychała głęboko, czując ucisk w piersiach. Zwaliła to na karb mocnej kawy wypitej na pusty żołądek i stresu. Zaczynało jej się kręcić w głowie. Przeżycia ostatnich dni i brak snu sprawiły, że głowa zaczęła jej ciążyć. Nagle ktoś wyłączył światło.



*Kobięcy szept w ciemnościach.*

*- Pięć minut i muszę iść...*

*A potem jęk przechodzący w spazm:*

*- Jeszcze... jeszcze...*

*I łagodny głos mężczyzny:*

*- Marina, daj w końcu ten mikrofilm. Chichot.*

*- Muszę go znaleźć. Bielizna mi przeszkadza... Mruczenie.*

*- Mówią, że złej baletnicy nawet majtki pod spódnicą przeszkadzają.*

*- Uważasz, że jestem złą baletnicą? - Gniew. Nawet mrok ciemnieje.*

*- Ależ skąd. Marina, bez ciebie Bolszoi nie byłby Bolszoi...*

*- Teraz tak mówisz. - Wrywa się z mroku i wypada w krąg światła, poprawiając rajstopy.*

*Z mroku wyłania się mężczyzna. Conan.*

*- Skąd... Ty jesteś wielka!*

*Złość na twarzy Mariny znika.*

*- Chodź, pokażę ci raj... - mruczy.*

*- Już widziałem. - Mężczyzna uśmiecha się.*

*- Jeszcze nie... -przekonuje Marina i ciągnie go za rękę. Biegną. Jej czarne tutu ukazuje doskonale uda opięte lycrą. Nagle zatrzymują się.*

*- Co tam jest? - pyta mężczyzna.*

*- Raj. - Dziewczyna uśmiecha się obiecująco.*

*Wtedy niespodziewanie rozsuwa się kurtyna. Oślepia ich światło. Słychać owację, potem pojedyncze oklaski.*

*Wszystko milknie. Cisza i dźwięki muzyki.*

*- Tańcz - szepcze Marina, odpływając na czubkach palców w dal. Jej tutu przypomina metalową karbowaną foremkę do babki.*

*- To nie raj, to piekło! - krzyczy Conan. Słyszy jeszcze szept.*

*- Piekło to raj, tylko ma złą reputację. Tak jak ty.*

*Cichy świst.*

*- Marina... chyba do mnie strzelają...*

*- To ja strzelam. Jestem podwójną primabaleriną.*

*Conan chwyta się za brzuch. Zauważa, że ma na sobie obcisły trykot.*

*Tour en seconde. Marina, wirując, zbliża się znowu, a jej czarne tutu wbija się w niego, jakby było z żelaza. Nie przypomina już karbowanej foremki, tylko ostrze piły tarczowej.*

*- Gdzie znajdę twojego agenta? Mikrofilm od tamtej. Tour en l'air.*

*- Jaki mikrofilm?*

*- Punkt informacyjny?*

*- Nie mogę. Słabość... Tour jeté\*.*

*- Możesz... - Conan czuje, jak coś wbija mu się w nogę. Biały trykot nasiąka krwią. A ona mówi: - Tętnica. Jeszcze możesz przeżyć.*

*- Hispaniola... Agent Friend...*

*Ostatnie pas. Tour de la mort. Piruet śmierci.*

*- Słyszysz? Brawa. Jesteś świetny... - syczy jeszcze Marina, popychając go w kierunku widowni.*

*Conan wyczuwa pointą krawędź sceny.*

*- Jestem skończony - mówi i spada w otchłań.*

*Wprost na miejsce numer piętnaście. Nokaut. I kobiecy głos mówiący po angielsku z polskim akcentem:*

*- Przepraszam bardzo, ale to moje miejsce. - Nad wykrwawiającym się baletmistrem pochyla się dziewczyna w czerwonej kurtce. - Proszę się przesiąść.*

*- Ależ... proszę pani... - wtrąca się męski głos z arystokratycznym akcentem. Młody mężczyzna w czarnym skórzanym płaszczu,*

*\* Tour en seconde, tour en l'air, tour jeté - rodzaje obrotów w tańcu klasycznym; baletnica obraca się wokół własnej osi o 360 stopni.*

*spod którego wystaje różowa połówka, patrzy na nią z nienawiścią. - To moje miejsce. Nie lubię, jak ludzie wykorzystują sytuację. Spóźniłem się tylko trochę... Tupeciara.*

- Bałwan.

- Czarownica.

*Baletmistrz Conan nie słyszy już klótni. Słyszy niebiańskie chóry...*

- Cholera jasna! Gdzie on jest!? - w sen Jadwigi wdarły się ostre słowa.

Przeświadczona, że przed sekundą rosyjska primabalerina zamordowała Conana, a Alicja bezpowrotnie straciła szansę na bal w Holland Park, Jadwiga zerwała się gwałtownie z miejsca.

Śladu mordu nie było. Nawet w śladowych ilościach. Sceny (mordu) też nie było, ani rosyjskiej primabaleriny i Conana. Jego zresztą nigdy nie było.

Usiadła z powrotem. Hałas, który wybudził ją z koszmaru, dochodził z zewnątrz. Wyprostowała się i bacznie obserwowała drzwi. Otworzyły się z impetem i stanął w nich Archibald Renfrew Nelson we własnej osobie. W czarnym płaszczu do kostek wyglądał intrygująco. I złowieszczo. Jego pojawienie się zupełnie otrzeźwiło Jadwigę. Przed oczami przelatywały jej ciemne plamki. Zbiegi okoliczności przerażały ją jak wielkie czarne parasole, które od dłuższego czasu widywała w snach, a poza tym fatalnie wpływały na jej wątrobę. Postanowiła zamówić wódkę.

Archibald rozglądał się nerwowo dokoła, cały dyszał i drżał, a zobaczywszy ojca, zdecydowanym krokiem ruszył w jego stronę. Goście na Hispanioli zaczęli odwracać się w stronę Nelsona w swoistym efekcie domina. Kiedy Archibald stanął oko w oko z rodzicielem, krzyknął żałośnie, ale za to z jakim dramatyzmem!

- Jak mogłeś! Ty, mój ojciec!? - zabrzmiało to jak jakaś biblijna kwestia.

Jadwiga od razu wiedziała, że coś poszło nie tak: Lord Nelson nie zmienił wyrazu twarzy. Podniósł się tylko i odstawił kieliszek na stolik.

Zapanowała ogólna konsternacja.

- Gdzie Fred? - zapytał z kamienną twarzą, rozglądając się po sali. Pod wpływem jego wzroku siedzący przy stolikach przyłączyli się do poszukiwań. Na próżno.

- Wziął wolne. A co? Boisz się sam ze mną porozmawiać? Co z ciebie za ojciec! - pisał Archibald.

- Uspokój się, robisz sceny - syknął lord Nelson. - Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Archibald postanowił przejść do konkretów. Ku rozczarowaniu reszty gości nie zdecydował się na tłuczenie szkła.

- Podstępem wysłałeś mnie na Bolszoj! - krzyknął histerycznie. Lord Nelson spojrzał z politowaniem na swojego jedynego syna.

- Dziecko, bredzisz. Po co miałbym to robić?

- Zmiana perspektywy, nastawienia... Akurat! - ironizował teatralnie Archibald. - Refleksja nad życiem, dziewczyny w rajtuzach. .. I ja w to uwierzyłem! A tam co? Na fotelu obok siedzi, niby przypadkiem, Ethel Beaumont! Uciekłem stamtąd, kiedy tylko nadarzyła się okazja!

- Dość - powiedział twardo lord Nelson. Najwyraźniej nie lubił rzucać nazwiskami w miejscach publicznych. Podniósł się z miejsca i spojrzał na syna z urażoną miną. - Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje. Kiedy się już uspokoisz, przyjdź do mnie do biura, teraz mam naradę nadzwyczajną, ale będę na ciebie czekał za godzinę.

To powiedziawszy, pożegnał skinieniem głowy mężczyznę, z którym wcześniej rozmawiał, rzucił na stolik banknot i nie oglądając się na nikogo, z podniesioną głową opuścił pokład Hispanioli.

Archibald odprowadził ojca nienawistnym wzrokiem, ale nic więcej nie powiedział.

Kiedy tak stał z otwartymi ustami, wyglądając, delikatnie mówiąc, żałośnie, jakiś *paparazzi* zrobił mu zdjęcie. Dopiero wtedy w Archibaldzie obudziła się bestia i postanowił wyładować się fizycznie na fotografie, tudzież na jego sprzęcie, ale fotograf, przez niejedną gwiazdę skopany po tyłku i na tyle biegły w swoim fachu, że wiedział doskonale, kiedy należy odpuścić, pobiegł zatem w siną dal. Jak na bieglego przystało.

Archibald wrócił nagle na ziemię i rozejrzawszy się, nieco zmieszany, podążył w stronę wyjścia. Wpadł na jakiś stolik i potknął się o czyjeś nogi. Po drodze zobaczył bar i spontanicznie usiadł na wysokim krześle, niedaleko stolika, przy którym siedziała Jadwiga. Wyglądał na człowieka w potrzebie, a potrzeby Jadwiga doskonale rozumiała.

- Krwawą Mary, proszę - rzucił do barmana, jakby ten był jego osobistym lokajem. Potem z miną kogoś, kto nie ma już nic do stracenia, rzucił: - Bezalkoholową.

Jadwiga zmartwiała. To się nazywa desperacja.

- Bez wódki? - upewnił się barman.

-Niestety, mój szofer ma wolne. Ale za to może być podwójna.

Jadwiga wpatrzyła się w niego jak myśliwy w ofiarę. Nagle poczuła zew. Ale widok zwierzyny przysłonił jej agent Friend. Wyjątkowo przerażony agent Friend.

- W centrali panika. Baletnice wymknęły się spod kontroli -wyrzucił z siebie. - Podobno dorwały naszych w Royal Albert Hall. Wiadomość dla pani: jutro, dokładnie o wschodzie słońca, jeśli uda mu się wymknąć, będzie przy New Globe Walk, na Bankside, numer dwadzieścia jeden. Bezpośredniego kontaktu nie ma. - Rozejrzał się i dodał ściszym głosem: - Podobno ktoś zdradził Rosjanom naszą skrzynkę kontaktową. Obserwowali nas. Wiedzą o mnie i myślą, że pani też... - Przełknął nerwowo ślinę. - Ale to już nie chodzi o panią, chodzi o nasze interesy narodowe. Proszę powtórzyć adres.

Jadwiga nerwowo powtórzyła. Pokiwał głową.

- Idę zabrać swoje rzeczy. *Adios!* Pewnie już się nie spotkamy! - rzucił tragicomicznie i dziwnie skulony przeszedł przez salę, jeszcze huczącą od plotek po starciu dwóch Nelsonów, dotarł do schodów, po czym zniknął jej z oczu pod pokładem.

Kiedy Jadwiga miała się podnieść, odnalazło ją przeznaczenie. Znowu.

Zadrżała. Poczowała na ramieniu znajomy uścisk. Zobaczyła oślepiające światła pociągu. Usłyszała ogłuszający zgrzyt hamulców.

W drzwiach stał facet w kowbojkach. Spojrzał na nią z obojętną miną, a potem usiadł niedaleko drzwi.

Jadwiga na miękkich nogach podeszła do baru. Usiadła tuż obok Archibalda i gorączkowo zastanawiała się, co zrobić.

- Co podać? - usłyszała jakiś głos.

Spojrzała nieprzytomnie przed siebie. Za ladą stał jakiś facet i uśmiechał się sztucznie.

- Wódkę - mruknęła niepewnie i rozejrzała się dyskretnie. Agenta Frienda nigdzie nie było widać. Jadwiga zrozumiała jedno: została sama.

Ukradkiem wpatrywała się w faceta w kowbojkach, który spokojnie siedział i czekał. Wtedy niczego niepodejrzewający Archibald spojrzął na nią i uśmiechnął się, ściągając tym na siebie uwagę przeznaczenia.

Przełknęła ślinę. Przeznaczenie.

Postanowiła postawić na bezpośredniość, spontaniczność i przede wszystkim na ludzki odruch współczucia. W końcu kto nie chciałby pomóc bliźniemu w potrzebie?

Jadwiga zacisnęła palce na kieliszku, który kelner postawił tuż przed nią.

- Fatalny dzień? - drżącym głosem zaczęła Archibalda, bębniąc palcami o ladę.

Mężczyzna oderwał wzrok od soku pomidorowego i spojrzął na nią ponuro.

- Dzień jak co dzień - mruknął.

- To zjednoczmy się w bólu - rzuciła, przysuwając się do niego.

- Jest pani z prasy? Nie znam pani - powiedział tonem prawdziwego arystokratycznego bufona.

- Nie jestem dziennikarką. Raczej stałym bywalcem. Przynajmniej ostatnio - mruknęła.

- Naprawdę? Nigdy wcześniej pani tu nie widziałem. - Spojrzał jeszcze raz.

- Pewnie patrzył pan w inną stronę.

Chciał pozbyć się jej, ale nie wiedzieć czemu odpuścił.

- Właśnie. Ja zawsze patrzę nie w tę stronę, w którą trzeba - powiedział zrezygnowany i rozgoryczony. - I później mam problemy. Pani nie może tego zrozumieć... - Westchnął ciężko, a jego wargi zadrżały. - Jak ja mogłem być taki naiwny i dać się przekonać, że wysportowane kobiety w obcisłych wdziankach działają terapeutycznie? Ale nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa!

- Napij się - poradziła mu Jadwiga.

- Nie mogę - powiedział, brzęcząc kluczykami. - Prowadzę. Obiecałem...

- Zawsze możesz wziąć taksówkę - podsunęła mu swój kieliszek.

- Nie wierzę, żeby alkohol zmienił cokolwiek na lepsze - oficjalnie oświadczył, patrzył jednak pożądliwie na kieliszek.

- Bo alkohol niczego nie zmienia na lepsze - potwierdziła. - Tylko sprawia, że świat nabiera barw, a wszystko staje się bardziej wyraźne.

- A ja myślałem, że zamazane... - zdziwił się.

- Zależy od wady wzroku - zaczęła pewnym siebie tonem, a potem głos utknął jej w gardle. Z przerażenia. Zauważyła bowiem, że facet w kowbojkach daje jakieś znaki barmanowi, który podał jej wódkę.

Spojrzała na kieliszek. Był pusty.

- Ma pani rację - powiedział Archibald, obcierając usta. -Dziękuję.

Po chwilowej hysterii i zapaści Jadwiga doszła do porozumienia z własnymi emocjami i zaczęła zastanawiać się, co ma teraz począć. Czowała się odpowiedzialna za młodego mężczyznę z problemami. Teraz miał ich jeszcze więcej.

Serce waliło jej jak wtedy, kiedy miała stan przedzawałowy. Zaczęła ciężko oddychać.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Archibald, luzując kołnierzyk białej połówki, którą skrywał pod czarnym płaszczem. Z różowej koszulki zrezygnował zapewne z powodu wizyty w Royal Albert Hall.

- Nie - wyrzuciła z siebie gorączkowo Jadwiga i chwyciła go za rękę. Skrzywił się. Musiało boleć. - Ktoś chce mnie zabić - wypaliła, a potem spojrzała mu głęboko w oczy. Coś w nich zgasło.

Rzecz jasna chciał odwrócić wzrok, ale sterując jego ruchami poprzez nacisk paznokci wbitych w jego rękę, zmusiła go do utrzymywania kontaktu wzrokowego.

- Postawić pani kolejną wódkę? - zapytał z nadzieją i rezygnacją zarazem.

- Czy pan ogłuchł? - zdenerwowała się, najciszej jak mogła. -Ten facet w kowbojkach... proszę nie patrzeć - syknęła, ale już zdążył się odwrócić.

Przez chwilę przyglądał się bez skrępowania facetowi w kowbojkach zajętemu pilnowaniem drzwi, a nawet mrugnął do niego. I zamachał.

- Sympatyczny gość, nie wygląda na płatnego zabójcę - powiedział sceptycznie i zachichotał, bo facet w kowbojkach odruchowo poprawił włosy.

- Tacy jak on mordują dla przyjemności albo dla sławy -oświadczyła z wyższością, jaką daje doświadczenie. - Pomoże mi pan? MI5 na emeryturze - skłamała bezczelnie.

Archibald, ku dezaprobach Jadwigi, zarechotał. I podparł głowę ręką. Odpływał.



Wtedy na pokładzie pojawił się agent Friend. Wszedł po schodach, przebrany i z jakąś torbą, w chwili gdy facet w kowbojkach zajęty był przyglądaniem się błogiej minie Archibalda.

Agent Friend dostrzegł przerażenie na twarzy Jadwigi, potem zauważył faceta przy drzwiach i wyczuł, co się święci. Bez zastanowienia dał nura i ruszył przed siebie sprintem, zupełnie jakby brał udział w mistrzostwach świata. Minął faceta w kowbojkach i wybiegł z Hispanioli. Facet w kowbojkach zaklął straszliwie i ruszył na zewnątrz z podstawionym barmanem, który wybiegając zza lady, o mało nie zabił się o ekspres do kawy.

Archibald ocknął się na chwilę pod wpływem krzyków i wpatrzył w Jadwigę nieprzytomnymi oczyma.

-Przepraszam, ale żeby nie było nieporozumień... - Ziewnął. - To pani jest z MI5 czy MI5 próbuje panią zabić?

- A dla pana to jakaś różnica? - syknęła nerwowo Jadwiga. -Tak czy inaczej chcą mnie zabić. Proszę zabrać kurtkę. Wychodzimy.

- Ale... ja muszę do tatusia... - zaczął się wykręcać. - Poza tym nie jestem typem agenta. - Znowu zarechotał i osunął się na stół.

- To już wiem - mruknęła z przekąsem. - Ale masz szybki samochód, prawda?

- Czerwone porsche. - Uśmiechnął się błogo. - Dostałem na urodziny.

Nie skomentowała, tylko wzięła go pod ramię i zmusiła do wyjścia, przejmując po drodze kluczyki.

- Myślałem, że to panią gonią - wyjąkał jeszcze, kiedy z trudem wsadzała go do samochodu. Nie zdążyła odpowiedzieć. Zasnął.

Jadwiga wskoczyła za kierownicę, chociaż nie była do końca przekonana, czy potrafi prowadzić auto z kierownicą po stronie pasażera, włożyła kluczyki do stacyjki i przekręciła.

Silnik zaryczał z siłą rannego lwa. Samochód ruszył do przodu.

- Co za kraj - mruzczała Jadwiga, wjeżdżając na rondo w lewo. Starła się zwalczyć w sobie uczucie, że jedzie pod prąd. - Wszystko na opak. Nawet ronda nie działają, jak trzeba...

Przez chwilę przyglądała się nieprzytomnemu Archibaldowi z niepokojem, ale doszła do wniosku, że facet śpi. Wznosząc modlitwy, żeby się obudził (za jakiś czas), włączyła GPS i wprowadziła adres, pod którym miała znajdować się Krystyna.

## ROZDZIAŁ 219

Krystyna, rozluźniona i z uśmiechem zadowolenia, wpatrywała się w mężczyznę siedzącego na wyciągnięcie ręki i po raz pierwszy od lat nie myślała o przemijaniu. W ogóle nie myślała. Cieszyła się chwilą. Eksperymentowała. Przed nimi stały puste talerze, a ona nie wiedziała nawet, kiedy je opróżnili. Za to kieliszki wydawały się nie mieć dna.

Eksperyment przebiegał zaskakująco dobrze. Mężczyzna w pełni reagował na jej kokietujące gesty i powłóczyście spojrzenia, którymi omotała go w końcu do tego stopnia, że nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Długo pracujesz dla młodego Nelsona? - zapytała, postanawiając poćwiczyć teraz swoje zdolności manipulacyjno-śledcze.

- Kilka miesięcy. Wcześniej pracowałem dla jego ojca - odpowiedział Fred. - Lord Nelson chciał, żebym miał przez jakiś czas chłopaka na oku.

Krystyna pokiwała głową i podniosła do ust kieliszek. Kolejne powłóczyście spojrzenie. Musiała przyznać, że przyjął je jak mężczyzna, z podniesioną głową, a potem odbił je swoim uśmiechem, sprawiając, że o mało nie zemdląca. Zwłaszcza że potem dodał:

- Opowiedz mi coś o sobie.

- Nie ma wiele do opowiadania - przełknęła wino, zastanawiając się gorączkowo, co ma mu właściwie powiedzieć. Bo na pewno nie to, że umówiła się z nim w celach manipulacyjnych.

- Każdy ma jakąś bajkę - rzucił, podpierając głowę rękami. Jakby bał się, że kolejne jej spojrzenie go znokautuje.

- To opowiedz mi swoją. - Uśmiechnęła się przekornie. Przez chwilę patrzyli na siebie. Potem Fred odwrócił wzrok.

- Tam, gdzie się pojawiam, nie ma bajek - mruknął. - Tak przynajmniej twierdzi moja była żona i właściwie to muszę się z nią zgodzić. Ja już dobrze nie rokuję. - Na jego twarzy pojawił się mało przekonujący uśmiech. - Dlatego mnie zostawiła. Codziennosc potrafi zniszczyć każdą bajkę.

Krystyna gwałtownie pokręciła głową.

- A ja dopiero po śmierci męża uświadomiłam sobie, że codzienność była moją najpiękniejszą bajką. Kiedy minął pierwszy ból, przyszła wściekłość, że zostawił mnie samą, że tak po prostu umarł, a przecież planowaliśmy wakacje - wyrzucała z siebie z goryczą. - Przez długi czas nie byłam w stanie położyć się po jego stronie łóżka, to była taka magiczna granica, niewidzialna linia... - Zamilkła na moment, wpatrując się w płomień świecy. - Wgłębienie w materacu. Namacalny dowód, że istniał, że go sobie nie wymyśliłam. Dopiero kiedy pewnego poranka, wiele tygodni po jego śmierci, obudziłam się po jego stronie łóżka, w pełni to do mnie dotarło... Jego już nie ma. I nie wróci. Nasza bajka dobiegła końca.

Rzuciła mu smutne spojrzenie. A potem pomyślała, że ta historia jest wyjątkowo nieodpowiednia na pierwszą randkę. Ale Fred wydawał się nie mieć z tym problemu.

- Może w tym tkwił szkopuł? - zastanowił się. - Nie potrafiłem zapewnić żonie tej codzienności, stabilizacji... stałej prędkości.

- Prędkości? - powtórzyła Krystyna, zaintrygowana.

- Dla mnie miłość jest jak jazda na rowerze z górki bez trzymania - mówił, patrząc jej w oczy, jakby chciał ją zaczarować. - Można jechać z kimś obok i jest dużo śmiechu i zabawy. A potem

przychodzi związek, przesiadamy się na tandem. I już nie jest tak wesoło. Jeśli nie boimy się zakrętów, mamy wycucie i potrafimy złapać równowagę i współpracować, to mamy wielką szansę dojechać do końca trasy bez poważniejszych wypadków. Ale wystarczy moment zawahania i tracimy równowagę. Ja jestem z tych, co lubią prędkość. Moja żona za nią nie przepadała. Zdecydowała się zatrzymać w połowie trasy i zsiąść z roweru. Chociaż nie... Właściwie to ona mnie z tego roweru zrzuciła, a sama pojechała dalej. Z jakiegoś względu jej ciążyłem...

- Pewnie przytyłeś - powiedziała po chwili Krystyna, starając się rozładować napięcie. Niewątpliwie jej się udało.

Fred parsknął śmiechem i wzniósł toast.

- Za kobietę, która właśnie zmotywowała mnie do powrotu na siłownię.

Krystyna patrzyła na niego spod wydłużonych maksymalnie (pożyczoną od Justyny maskarą) rzęs. W głowie huczało jej od zielonych myśli pachnących jego wodą kolońską, uderzenia gorąca nie ustępowały, przypominając jej nieustannie o wieku, ale uświadomiła sobie, że nie chciałyby być nigdzie indziej. Podniosła kieliszek.

-Dziękuję, że nie minąłeś mnie wtedy obojętnie - powiedziała.

- Takiej kobiety nie da się minąć obojętnie - odszepnął. Kolejne uderzenia gorąca.

I wtedy zobaczyła Jadwigę. Jadwigę, która właśnie weszła do środka i zamykała za sobą drzwi.

Krystyna zamknęła oczy. Znowu je otworzyła. A Jadwiga nadal tam była, jak zły sen pod zaciśniętymi powiekami, uśmiechnięta i z podniesionym kciukiem, którym po chwili wskazała przyjaciółce drogę do toalety.

Krystyna odprowadzała ją wzrokiem z takim przerażeniem, że Fred się zaniepokoił.

- Czy coś się stało? - zapytał, odwracając się. Na szczęście Jadwiga zdążyła już zniknąć za drzwiami łazienki.

- Nie! Skąd! - gwałtownie zaprzeczyła Krystyna i uśmiechnęła się sztucznie. Zerwała się z krzesła. - Przepraszam na chwilę. Muszę... przypudrować nos.

Dotarła do toalety i starannie zamknęła za sobą drzwi. Jadwiga sprawdzała właśnie ostatnią kabinę.

- Co ty robisz!?! - syknęła Krystyna.

-Sprawdzam teren - oświadczyła Jadwiga, zaglądając do schowka na detergenty.

- Muszle też sprawdziłaś? Jakies perełki znalazłaś? Jadwiga uśmiechnęła się, nie zwracając uwagi na impertynencję koleżanki.

- Facet połknął haczyk, co? - zapytała. Umyła ręce, wysuszyła je ręcznikiem, a po chwili milczenia dodała niewinnie: - Wyglądasz, jakbyś znalazła antidotum na menopauzę.

Krystyna patrzyła na nią, jakby Jadwiga spadła z innej planety.

- Co tu robisz!?! - powtórzyła w końcu, nie komentując. Jadwiga poprawiała włosy.

- Musisz znaleźć Alicję i ściągnąć ją do pubu. Teraz. Zaraz. Natychmiast. - A potem oświadczyła obojętnie: - Mam w samochodzie Archibalda. Akcja w Royal Albert Hall nie wypaliła.

Krystyna znieruchomiała.

- Czyś ty zwariowała? - wyszeptała przerażona. - Porwałaś Archibalda?

- No wiesz!?! - oburzyła się Jadwiga. - Jakie ty masz o mnie zdanie! Sam wsiadł. W końcu to jego samochód. Nie mam teraz czasu na opowiadanie szczegółów. W każdym razie zawiozę go do pubu, a ty ściągnij tam Alicję. Tylko szybko.

- Ale co mam jej powiedzieć? Że Archibalda kosmici podrzucili, a ja dowiedziałam się wszystkiego z międzygalaktycznego radia?

- Powiedz prawdę. Że z niewiadomych przyczyn trafił do pubu i wymaga nieco uwagi, a może i reanimacji usta-usta... -Jadwiga odchrząknęła, nie patrząc na koleżankę. - Ja wierzę w siłę zakochanej kobiety. Niech Alicja pomoże mu dojść do

siebie. Niech go uleczy. Zadzwoń do niej od razu. - Zatrzymała się w drzwiach i przez chwilę przyglądała się siedzącemu samotnie przy stoliku Fredowi. - Widzisz? Nie było tak źle. Spędziłaś kilka miłych chwil, rozerwałaś się trochę, a dzięki temu może uda się spełnić sen Kopciuszka. Nigdy nie myślałam, że to powiem, ale to musiało być prawdziwe przeznaczenie. - Mrugnęła i wyszła.

Krystyna wpatrywała się w lustro.

- Przeznaczenie, też mi coś - prychnęła, a potem wyciągnęła komórkę i niecierpliwie wystukała numer do mieszkania Alicji. Telefon odebrała Justyna.

- Jezu, jak dobrze, że pani dzwoni - mówiła wściekle, bo cierpliwość nie należała do jej zalet. - Kiedy Alicja wróciła z baletu, ryczała i ryczała jak potępiona, ja nie mam nerwów do ryczących bab, wie pani? Nawet siebie nie potrafię znieść, gdy ryczę.

- Daj mi ją - przerwała jej Krystyna.

- Gdzieś wyszła. Ale boję się, że wróci i znowu zacznie ryczeć. Krystyna zagryzła wargi.

- Masz numer jej komórki?

Kiedy Justyna potwierdziła, Krystyna poprosiła ją, żeby zadzwoniła do Alicji. Poinstruowała jeszcze dziewczynę, co ma przekazać swojej rozhisteryzowanej współlokatorce, po czym rozłączyła się i wróciła do stolika.

- Czy coś się stało? - zapytał Fred po chwili milczenia.

- Wierzysz w przeznaczenie? - odezwała się w tym samym momencie. Chciała, żeby powiedział, że to bzdury, że przeznaczenie to tylko określenie nieumiejętności kierowania własnym życiem.

- Oczywiście, że wierzę - powiedział, patrząc jej głęboko w oczy. - Od wczoraj.

Krystyna złapała się na myśleniu o jego ustach. Wtedy dopiero ogarnął ją strach. Prawdziwe przerażenie. Wpatrywała się w mężczyznę, powtarzając sobie, że to niemożliwe, że po prostu za dużo wypila. Rozgorączkowana rzuciła jakieś niewyraźne

słowa podziękowania i zdecydowanym tonem oświadczyła, że musi wracać do domu. Natychmiast.

Fred bez słowa wstał, zapłacił i podał jej płaszcz. Kiedy pomagał jej go włożyć, otarła się policzkiem o jego twarz. Miała wrażenie, że ten dotyk pozostawił na jej skórze piekący ślad.

Już wiedziała, że eksperyment wymknął się spod kontroli.



## ROZDZIAŁ 42

Alicja zjawiała się w mieszkaniu Igora późnym wieczorem - niezapowiedziana, zapłakana i przestraszona. Początkowo Igor myślał, że ktoś napadł na nią i już zaciskał pięści i zęby, żeby zmiażdżyć i zagryźć winnego, ale dziewczyna zaprzeczyła. Nikt na nią nie napadł. Nikt jej nic przykrego nie powiedział. Tylko coś poszło nie tak, jak zaplanowała. Coś ważnego. Zamiast wytłumaczyć co, znowu się rozpłakała. Igor przytulił ją, zaprowadził do kuchni i posadził na krześle. Potem zaparzył herbatę.

- Co się stało? - zapytał łagodnie, kiedy doszedł do wniosku, że już się uspokoiła, i podał jej filiżankę.

- Boję się - zaszlochała znowu Alicja.

- Czego się boisz? Nie mam już pierścionka - zażartował, siadając obok niej.

- Miałam fatalny wieczór - powiedziała, ocierając łzy. Trzęsącą się ręką podniosła filiżankę do ust i upiła łyk herbaty. Potem wstała, usiadła Igorowi na kolanach i wtuliła się w niego, jakby potrafił odpędzić osaczające ją demony.

- W pracy? - wypytywał łagodnie, głaszcząc ją po włosach. Bardziej poczuł, niż zobaczył, że poruszyła głową potakująco.

- Muszę ci coś powiedzieć - usłyszał zduszony szept.

Zaniepokojony zmusił ją, żeby podniosła głowę i spojrzała na niego.  
-Widzisz... - Zagryzła nerwowo wargi. - Nasze spotkanie w metrze...  
Ono nie było tak do końca przypadkowe. -Nie?

- To znaczy wiedziałam, że cię spotkam, ale nie byłam pewna kiedy -  
wyrzuciła z siebie niespokojnie. Po chwili milczenia dodała: - Wydaje  
mi się, że wtedy w metrze to chyba nawet nie mieliśmy się spotkać.

- Nie? - zdumiał się Igor. Właściwie to się z nią zgadzała, w końcu  
przypadki nie są zaplanowane, ale zapytał: - Dlaczego?

- Bo nic wyjątkowego się nie stało - rzuciła.

Na czole Igora pojawiała się zmarszczka. Nie spodziewał się takiej  
odpowiedzi.

- A co się miało stać?

- Coś dramatycznego, coś pięknego... Coś, dzięki czemu znowu  
zakochalibyśmy się w sobie bez pamięci - mówiła chaotycznie.

Igor obserwował ją przez chwilę, starając się zrozumieć, o czym  
mówi, ale szybko się poddał. Wieczór był już późny, Alicja zmęczona i  
wystraszona. A poza tym kobiety nie da się do końca zrozumieć.

- Ale... my już się kochamy, prawda? - upewnił się tylko. Przez  
chwilę panowała cisza, a potem Alicja wybuchnęła histerycznym  
śmiechem.

- Właśnie! Co za szczęście! Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważał -  
wyszeptała, wpatrując się w niego błyszczącymi od łez oczyma.

- Dlaczego?

- Bo nie mogłabym znieść myśli, że stracę cię po raz drugi.

- Nie rozumiem. Mam uważać na ładne dziewczyny? -Mrugnął.

-Właśnie - powiedziała. - Pamiętaj, te ładne są najgorsze... Przerwał  
jej dzwonek telefonu dochodzący z torebki. Na twarz Alicji wrócił  
strach. Wstała i wyciągnęła komórkę.

- Moja współlokatorka - mruknęła zdziwiona i z widoczną ulgą. Igor wpatrywał się w Alicję, kiedy ze słuchawką przy uchu przechadzała się po pokoju. Zastanawiał się, czy powinien się martwić. Kiedy skończyła rozmowę, na jej twarz wrócił rumieniec.

- Muszę iść - rzuciła i szybko włożyła płaszcz.

- Przyjdź jutro - poprosił.

- Nie mogę - powiedziała rozkojarzona. - Nie będzie mnie kilka dni. - Wyszła do przedpokoju.

Igor ruszył za nią.

- Dlaczego? - dopytywał się.

- Przecież wiesz... - Spojrzała na niego spod oka. - Mam niedokończoną sprawę.

Znał to spojrzenie. Wiedział, że nie powinien zadawać więcej pytań. A jednak zapytał:

- Mogę ci jakoś pomóc? Przytuliła się do niego.

- Już mi pomogłeś - powiedziała enigmatycznie. Potem dodała: - Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

Wpatrzył się w nią wyczekująco.

- Dopóki się znowu nie odezwę, śpij w restauracji Pekińczyka - powiedziała, otwierając drzwi. Odwróciła się, pocałowała go w policzek i już zbiegała po schodach.

- Ale... Dlaczego? - zawołał za nią Igor, wystawiając głowę na korytarz. Pobiegłby pewnie za nią, gdyby nie to, że drogę zastąpił mu jakiś mężczyzna. Wydawał się czekać na Igora.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał zniecierpliwiony chłopak, zastanawiając się, czy powinien odepchnąć faceta i dogonić Alicję.

Mężczyzna nie odpowiedział. Ukłonił się, wcisnął Igorowi coś do ręki, odwrócił się i odszedł.

Igor, zaskoczony, podniósł dłoń i spojrzał. W ręku trzymał klucz. Do domu przy Chester Square.

## ROZDZIAŁ 228

Jadwiga zatrzymała porsche przed pubem, wyłączyła silnik i zgasiła światła. Przez chwilę siedziała wyprostowana, wpatrując się w olbrzymi księżyc, który napęczniał tak bardzo, że wydawał się pękać w szwach. Odetchnęła głęboko. Postanowiwszy stawić czoło problemom, spojrzała na siedzenie obok, gdzie wpół-leżał Archibald. Światło księżyca wpadające przez szybę nadawało jego skórze trupioblady odcień.

Jadwiga przestraszyła się i przyłożyła ucho do jego klatki piersiowej. Wtedy się poruszył i mruknął coś nieprzytomnie.

Gwałtownie wysiadła i nie zwracając uwagi na wielką rysę biegnącą wzdłuż całego samochodu i zbite lustro (w końcu w życiu rozbijała droższe samochody), szybko otworzyła drzwi i z rozpędu chwyciła Archibalda pod ramię. Wtedy się ocknął. Otworzył oczy. Błyszczały jak dwa monitory. Zaczęła go ciągnąć, ale wysiadł sam, chociaż z trudem.

- Mamusia? - zapytał, patrząc nieprzytomnie na Jadwigę. - Ta ostatnia operacja zmieniła cię nie do poznania.

Uśmiechnął się głupkowato i runął jak długi na chodnik.

Jadwiga zaklęła. Rozejrzała się dokoła, szybko podeszła do drzwi pubu i pociągnęła za klamkę. Weszła do środka. Pub był

pusty, nie licząc młodego mężczyzny, który ustawiał krzesła na stoliki, zapewne sprzątał po całym dniu.

- Przepraszam, ale już zamknięte - powiedział z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem.

- Szukam wróżki - oświadczyła poważnie Jadwiga. - Janina *vel Madame* Klara Widząca... - sprecyzowała, sama się sobie dziwiąc, że o nią pyta.

Wtedy barman spojrzał na nią badawczo, podszedł do telefonu stojącego na ladzie i wystukał numer. Rzucił coś cicho do słuchawki i wrócił do swojej pracy, przyglądając się Jadwidze spod oka.

Jadwiga nie czekała długo. Po chwili drzwi się otworzyły i z mroku wyłoniła się wielka postać. Postać, którą w czasach ciemnych pokazywano by w klatce.

- Jak kota kocham, Jadwiga! - usłyszała denerwujący, ale znajomy głos. I ten piekielny śmiech budzący najgorsze skojarzenia. Nie z tej ziemi.

Jadwiga zamknęła na moment oczy, a potem jęknęła, świadoma własnej porażki:

- Musisz mi pomóc.

Wróżka uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem i spojrzała na barmana.

- Słyszałeś, Kuba? - powiedziała po polsku. - Nawet po nocach mnie szukają... - A potem zwróciła się do Jadwigi: - Straciłaś formę? Jakaś miłsza się wydajesz. Teraz to inaczej gadasz...

- Teraz to cię proszę.

- A co? Problem z kolejną ofiarą?

- Z królewiczem z bajki - poprawiła ją Jadwiga, uśmiechając się do przysłuchującego się rozmowie Kuby.

- To gdzie ten królewicz?

Jadwiga wyprowadziła ich na zewnątrz. Nachylili się nad leżącym Archibaldem, a *Madame* Klara uniosła mu palcem powieki i spojrzała w źrenice.

- Niemrawy jakiś ten królewicz - mruknęła. - Co z nim zrobiłaś? Dałaś mu po głowie?

- Coś wypił, ale nie wiem co - zdenerwowała się Jadwiga, bo Archibald wydawał się zamroczony dużo bardziej niż przed chwilą.

- To syn lorda Nelsona, prawda? - zapytał Kuba, przyglądając się uważnie bladej twarzy leżącego mężczyzny. Kiedy Jadwiga potwierdziła tożsamość delikwenta, dodał: - Kiedyś był tu częstym gościem.

Klara przyłożyła nozdrza do ust Archiego i powąchała.

- To musiał być środek usypiający. Albo jakieś narkotyki. - Ku obrzydzeniu pozostałych polizała wargę Archibalda.

- Powinniśmy wezwać pogotowie - oświadczyła Jadwiga, zastanawiając się, która substancja jest bardziej toksyczna: ta, którą wypił, czy ta w ślinie wróżki. - Może przedawkował to coś?

- Skąd! - rzucił Kuba, najwyraźniej przyzwyczajony do różnych stanów klientów, nie wyłączając stanu zejściowego. - Proszę go u nas zostawić, niech się prześpi. Nic mu nie będzie. Z tego, co pamiętam, ma mocną głowę. Przecież śpi jak zabity. O ile zabity chrapie.

Rzeczywiście chrapał, bardzo żywotnie na dodatek.

Jadwidze przeszło przez myśl, że świat się zmienił. Kiedyś wszyscy od razu dzwoniliby po policję, po pogotowie, po księdza, a teraz nikt się nie przejmuje. Dziękując Kubie za pomoc, chwyciła Archibalda za jedno ramię. Kuba złapał go za drugie, a wróżka otworzyła drzwi. Po chwili znaleźli się z powrotem w pubie, ułożyli chrapiącego chłopaka na krześle i przykryli jednorazowym obrusem.

Potem wszyscy postali jeszcze obok Archiego, przyglądając mu się uważnie.

- Powróż mu - rzuciła Jadwiga do wróżki.

- Przecież jest nieprzytomny.

- Jak się zacznie budzić. Zapamięta, tylko tę swoją atmosferę musisz wyczarować. - Nachyliła się i szepnęła Klarze do ucha tak, żeby Kuba nie słyszał: - Dla Alicji, tej, co tu pracuje. -

A potem dodała głośniejszym głosem: - Powiedz mu, że ona jest jego przeznaczeniem.

- Nie wiem, czy jest, musiałabym sprawdzić ułożenie gwiazd...

- To skłam - zaproponowała bezwstydnie Jadwiga. Janina uśmiechnęła się niewinnie.

- Kłamię tylko za stosowną opłatą. A tak, to wolne datki zbieram. Na karmę dla kota... - przerwała, bo Kuba zaśmiał się jak z dobrego żartu. Kiedy jednak zauważył, że nikt poza nim się nie śmieje, szybko wyszedł posprzątać toaletę. Dopiero wtedy wróżka dokończyła. - Ale od ciebie nie wezmę. Wyglądasz, jakbyś sama potrzebowała pomocy.

Jadwiga nie odezwała się.

- Możesz spać na górze - mruknęła Klara, wyciągając z kieszeni pęk kluczy i wręczając jej jeden. - Pokój numer dwa jest wolny. Tylko musisz wyjść, zanim zjawią się ta wiedźma Helga i jej śmierdzące zastępy...

Jadwiga nie skomentowała tego. Zbyt dobrze знаła wróżkę, żeby poruszać tematy nie z tej ziemi. Szczerze podziękowała za pomoc i wzięła klucz. Kiedy wychodziła, zapytała jeszcze z wahaniem:

- Janina, znasz się na snach? - Wróżka spojrzała na nią, wyraźnie dotknięta pytaniem, więc szybko dodała: - Co symbolizuje czarny parasol?

*Madame* Klara wybuchnęła diabelskim śmiechem. Ale kiedy Jadwiga, nie licząc już na żadną satysfakcjonującą odpowiedź, odwróciła się, żeby wyjść, śmiech urwał się nagle. Cisza, która zapadła, była jeszcze bardziej złowroźna.

- Deszcz - za plecami Jadwigi odezwał się ponury głos. - Parasol symbolizuje deszcz.

## ROZDZIAŁ 44

Deszcz rzeczywiście padał.

Kiedy Jadwiga wymykała się z pubu, na ulicach było jeszcze ciemno i pusto, a latarnie świeciły słabiej niż zwykle. Może też miały ciężką noc? Szybkim krokiem minęła czerwone porsche zaparkowane dokładnie tam, gdzie je zostawiła, przeszła przez ulicę i rozpoczęła wędrowkę w kierunku Tamizy. Do wschodu słońca miała jeszcze sporo czasu. Postanowiła przespacerować się kawałek wzdłuż rzeki i przejść na drugą stronę mostem Blackfriars Bridge. Skreśliła w lewo. Czuła zadowolenie, że pomimo niesprzyjającej sytuacji i w tak niecodziennych okolicznościach udało jej się zetknąć dwoje młodych, potrzebujących miłości ludzi. Teraz pozostawało tylko czekać.

Miasto powoli budziło się do życia. Nieliczni przechodnie przemykali po chodnikach, szybko manewrując między kroplami deszczu, które - z początku delikatne i prawie nieodczuwalne - z minuty na minutę stawały się coraz grubsze i bardziej nieprzyjemne. Wiatr wiejący znad rzeki wzmagał się, powoli wywiewał Jadwidze z głowy koszmary i jedyne, co pozostało, to myśl, że za chwilę spotka Conana. Tej właśnie myśli trzymała się rozpaczliwie. Jak błakający się podróżny światełka w ciemnościach.



Szła wzdłuż rzeki, nie przejmując się deszczem. Kiedy dotarła w okolice Hispanioli, zauważyła, że zadziwiająco dużo ludzi kręci się na nabrzeżu. Podeszła bliżej. Po chwili ze zgrozą zauważyła, że przemykające postaci odziane są w takie same kurtki, a część nabrzeża koło statku otoczona jest taśmą z napisem „*crime scene*”. Przez chwilę miała wrażenie, że znajduje się na planie filmowym.

Podeszła bliżej, gorączkowo wypatrując kamer. Ale kamer nie było, tylko technik policyjny robiący zdjęcia do dokumentacji. Tuż obok pomostu stał duży foliowy namiot, w którym dwóch mężczyzn w białych kombinezonach chodziło ostrożnie - ledwie dotykali ziemi, jak astronauty na księżycu. Jadwiga zatrzymała się tuż przed taśmą. Jej serce po raz kolejny dało znak, żeby znalazła sobie spokojniejsze zajęcie. Poczula obezwładniający lęk.

Kiedy tak stała, patrząc tępo przed siebie, podszedł do niej jeden z policjantów. Deszcz skapywał mu po daszku czapki.

- Paskudna pogoda, prawda? - rzucił ponuro, poprawiając czapkę. Zauważywszy że Jadwiga nie odrywa spojrzenia od foliowego namiotu, potwierdził: - Niestety, kolejny trup.

- Kto to? - usłyszała swój obojętny głos. Obejrzał się.

- Trup - mruknął. - Więcej nie muszę wiedzieć.

Jadwiga nie mogła się ruszyć. A więc w centrali nie panikowali bez powodu. Baletnice naprawdę wymknęły się spod kontroli i rozpoczęły polowanie.

Czy upolowały Conana?

Nie zwracała uwagi na słowa policjanta, który chciał się upewnić, czy wszystko z nią w porządku. Automatycznie ruszyła naprzód. W jednej chwili zapomniała o Kopciuszkach, zapijaczonych królewiczach i przebojowych cherubinkach. Zobojętniała na deszcz i lodowaty wiatr, który figlował jej za kołnierzem. Przyśpieszyła kroku. Starając się przegnać natrętą myśl, że agent Friend mógł w chwili słabości wspomnieć coś o miejscu spotkania, przebiegła przez Blackfriars Bridge i znalazła się po drugiej stronie Tamizy. Po kilkunastu minutach gorączkowych poszukiwań ze

z dumieniem odkryła, że pod numerem dwadzieścia jeden znajduje się olbrzymi, półokrągły, ozdobiony ciemnymi belkami budynek, który od razu zidentyfikowała jako The Globe, teatr szekspirowski. Podeszła do bramy. Była zamknięta.

Zdesperowana zeszła na deptak i zaczęła przechadzać się wzdłuż muru teatru, raz po raz spoglądając w niebo. Ciemność bledła powoli, świt zdawał się z trudem przebijać przez ciężkie chmury wiszące nisko na horyzoncie. Powoli traciła nadzieję. Kiedy już miała odejść, ze zdumieniem zauważyła, że małe drewniane drzwi w murze, kilka metrów za bramą główną, otwierają się. Podeszła bliżej.

Zobaczyła znajomą postać.

- Agent Friend!

Mężczyzna rozejrzał się uważnie dokoła, a nie dostrzegając niczego podejrzanego, przywołał ją dyskretnym ruchem ręki.

Z bijącym sercem podbiegła do drzwi. Zrobił jej miejsce i już po chwili była na terenie teatru. Potem podbiegli do budynku, agent Friend otworzył kolejne drzwi i wkrótce oboje znaleźli się w wąskim wilgotnym korytarzyku.

Jadwiga poczuła się jak zwierzę uwięzione w klatce. Nie znosiła wąskich, ciemnych korytarzyków wiodących donikąd.

- Myślałam, że pana zabili - odezwała się w końcu. Na jego twarzy pojawił się dziwny grymas.

- Mnie nie tak łatwo zabić - rzucił przez zaciśnięte zęby, a potem wskazał drzwi z napisem „Rekwizytornia”. - Proszę wejść, czeka już na panią.

Jadwiga poczuła nagle, jak jej podekscytowanie zamienia się w niepokój. Chory instynkt. Jeszcze raz spojrzała na agenta Frienda. Chciała powiedzieć, że przecież mówił, że nie zna Conana. Ale może zdążyli się poznać?

Nacisnęła klamkę. Jednocześnie z tyłu głowy poczuła straszny ból. Potem była już tylko ciemność.

## ROZDZIAŁ 235

Krystyna obudziła się z przekonaniem, że jest jedyną kobietą na ziemi, która pomyliła objawy miłosnej fascynacji z menopauzą. Czuła się jednak nie tyle głupio, co staro. Jakby wczoraj nigdy się nie zdarzyło, a powiew wiosny w listopadzie okazał się zaledwie bladym wspomnieniem.

Nie czuła podekscytowania, nie brakowało jej powietrza jak kiedyś, kiedy była młoda i zauroczenia były częścią życia. Czuła pustkę. Paraliżował ją lęk. Lęk przed palącym uczuciem, którego się nie spodziewała. Które nie powinno się pojawić.

Szła do pracy, a wszystko znowu wydawało się ponure. Hałas ulicy przytłaczał ją, spaliny aut dusiły. Motocykl krążący gdzieś w pobliżu jak natrętna mucha irytował. Nie znosiła motocykli.

W drzwiach pubu zderzyła się z Pierre'em. Zamyślony nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Krystyna odebrała to jako kolejny dowód tego, że jest przezroczystą kobietą menopauzalną. Starą babą. Czego, jeśli nie ignorowania, mogła się spodziewać? Bo na pewno nie miłości.

Westchnęła ciężko i przeszła przez pierwszą salę, gdzie Fiodor i Chuks z ożywieniem szeptali coś między sobą. Też zdawali się jej nie dostrzegać. Weszła za ladę i stanęła tuż obok Kuby. Nie

zauważył jej. Wpatrywał się w jakiś punkt na drugiej sali. Przy stoliku pod ścianą siedział młody mężczyzna o arystokratycznych rysach z okładem na głowie, a Alicja trzymała go za rękę i chyba sprawdzała mu puls. Wyglądali jak para dzieciaków, którzy bawią się w pielęgniarkę i pacjenta.

- Co się dzieje? - zapytała szeptem Krystyna, ściągając płaszcz. Barman skinął jej głową na powitanie, a potem wyjaśnił:

- Późnym wieczorem, tuż po zamknięciu, tego tam - wskazał na Archibalda - przywiozła jakaś baba, znajoma stukniętej wróżki - odszepnęła. - To Archibald Nelson, syn lorda.

Ku wyraźnemu zdumieniu Kuby słowo „lord” nie zrobiło na Krystynie żadnego wrażenia.

- Gdzie ona jest? Ta znajoma? - To akurat bardzo ją ciekawiło.

- Już jej nie ma. - Machnął ręką. Potem konspiracyjnym szeptem zaczął opowiadać: - Później nie wiadomo skąd i dlaczego, wpadła tu Alicja i jak tego bubka zobaczyła śpiącego na krześle, dorwała go i już było po wszystkim. Uparła się, że się nim zajmie, co mnie bardzo zdziwiło, bo akurat jej nie widziałbym w roli miłosiernej samarytanki. Ale ona wtargnęła go na górę, robiła mu okłady, nie wnikałam z czego, nawet z własnych pieniędzy zapłaciła za jego pokój. Sama też tam spała. - Odchrząknął. - I, jak widać, okłady pomogły. Chłopak musiał zażyć coś nielegalnego albo nasennego, bo dalej zachowuje się, jakby mu jeszcze z głowy nie wywietrzało. Mówi, że nic nie pamięta. Dobrze, że mi tu nie wykitował, bo Helga by mnie na miejscu ukatrupiła. Naprawdę. Podobno trzyma pistolet pod poduszką - wyszeptał.

- Zażywał nielegalne substancje? - przeraziła się Krystyna, zastanawiając się nad metodami, którymi ostatnio posługuje się Jadwiga.

Kuba wzruszył tylko ramionami. Nie zdążył odpowiedzieć, bo drzwi pierwszej sali nagle się otworzyły i z wielkim impetem do środka wpadła kobieta w przeźroczyściej halce. Włos miała rozwiany, bujny i blond. Wiek trudny do określenia.

Swoim gwałtownym wtargnięciem i halką, zapewne w nie mniejszym stopniu, wywołała wśród klientów prawdziwe poruszenie. Krystyna wpatrywała się w nią ze zdziwieniem, nie wiedząc, czy się schować, czy zaproponować okrycie wierzchnie. Do żadnej konkluzji jednak nie zdążyła dojść, bo kobieta podbiegła do lady i rzuciła się na Krystynę, i to tak gwałtownie, że przezroczysta halka podniosła się równie gwałtownie i zaczepiła o podejrzanie wystający pośladek kobiety. A na pośladku zaczepił się wzrok klientów.

Niektórzy potrafią zrobić wrażenie samym wejściem.

- Archibald! Gdzie on jest!?! - kobieta krzyknęła piskliwie do Krystyny i wypacykowaną dłonią z perfekcyjnym czerwonym manikiurem zmusiła ją do odpowiedzi.

Krystyna szybko wskazała za siebie, na drugą salę, a Kuba znalazł jakąś wymówkę i zniknął za drzwiami toalety. Najwyraźniej bał się kobiet z czerwonymi szponami.

- Archibald, *darling!* - zawyła żałośnie kobieta, puszczając Krystynę.

Archibald przebudził się z odrętwienia, słysząc swoje imię. Zerwał się z krzesła, gubiąc okład, i zaczął rozglądać się nieprzytomnie dokoła. Wreszcie zauważył piszczącą kobietę.

- O! Mamusia przyszła! - krzyknął, podchodząc do lady i zerkając na pierwszą salę. Krystyna poczuła się wzięta w dwa ognie. -Jaka niespodzianka! I tatuś też - dodał, bo do pubu wkroczył starszy wyniosły mężczyzna, pod którego wzrokiem Fiodor i Chuks skulili się na krzesłach, jakby chcieli zniknąć.

A drzwiami od bocznej ulicy, tymi na drugą salę, wszedł Fred, osłabiając nie tylko szanse Archibalda na ucieczkę, ale i Krystynę. Archibald wydawał się jednak zachwycony.

- Fredzio! - rozanielił się otumaniony młodzieniec. - Ty też jesteś! Zawsze można na was liczyć w potrzebie! - Pociągnął nosem. - Kochana rodzinka! Co ja bym bez was zrobił!?

Krystyna znieruchomiała i przykleiła się do ściany, mając nadzieję, że Fred jej nie zauważy. Zauważył. Jedno jego spojrzenie

i dostała wypieków. Tym razem była pewna, że z menopauzalnymi nie miały nic wspólnego. Odruchowo zaczęła rozładowywać zmywarę.

Matka Archibalda miotała się, zawodząc jak profesjonalna płaczka. Nagle ku zdumieniu wszystkich obecnych znieruchomiła i nabrała do ust powietrza. Zacisnęła wargi. Przez jakieś pół minuty panowała niczym niezmacona cisza, a potem kobieta znowu wybuchła. Najwyraźniej najnowsza technika relaksacyjna nie zadziałała.

- Archie, *darling*, jak możesz takie *rzeczy* mamusi robić!? Ty wiesz, że ja całą noc nie spałam!? Wiesz, jak ja będę wyglądać na własnym przyjęciu!? - Jej histeria sięgnęła zenitu. - Ty egoisto, ty!

- Nie histeryzuj, kochanie. Pamiętaj o ostatniej operacji, nie napinaj mięśni, bo ci szwy puszczą - odezwał się lord Neison, skutecznie uciszając żonę.

Chuks nie wytrzymał napięcia i zarechotał głośno. Pod wpływem wzroku lorda zamilkł jednak, odchrząknął i przeprosił. A potem znieruchomiał ze wzrokiem grzecznie wbitym w pośladki prześwitujące przez halkę.

- Skąd się tu wzięłeś? I co się stało z twoim samochodem? -zapytał surowym tonem Nelson senior.

-Nie pamiętam. Zupełnie nic nie pamiętam... A właściwie. .. - Spojrzał namiętnie na Alicję, wrócił do stolika i zawisnął na jej ramieniu. - Mam tylko przebłyski. Takie, które warto mieć. Pomyślałeś, ojczu, żeby zamiast szofera zatrudnić mi pielęgniarkę?

Nelson spojrzał na niego z wyrzutem.

- Co to za bzdury? Wiesz, że twoja matka pół roku planowała to przyjęcie. Naprawdę chcesz być tym, który wszystko zepsuje? Nie dość, że musieliśmy przesunąć termin, to jeszcze ty... Żadnego poszanowania dla rodziców.

- Tak się ucieszyłam, że szofer cię znalazł, *darling*, że nawet sukienki nie założyłam, tylko pobiegłam, by cię ucałować! - krzyczała

lady Nelson, a wszyscy znowu spuścili wzrok. - Chodź mi tu natchmiast!

Archibald stanowczo odmówił współpracy, co wywołało u jego matki gwałtowne spazmy.

- Jak się tam wchodzi!? - histeryzowała, wskazując na drugą salę.

- Przez męską toaletę - szepnęła usłudźnie Krystyna. Doprowadziło to do kolejnego wybuchu, bo matka Archibalda

nie miała żadnego zamiaru wchodzić do męskiej toalety i starała się przekonać męża, żeby on wszedł, bo w końcu jest mężczyzną, ale lordowi Nelsonowi nie uśmiechało się przedzierać się przez plebejskie klozety i wdychać smrodu pospólstwa.

- Zaraz zemdleję! - krzyczała kobieta, słaniając się na nogach, ale lord Nelson, zapewne przyzwyczajony do słabości żony, nie zwracał na nią żadnej uwagi.

- Dlaczego wczoraj nie przyszedłeś do mnie do biura, jak ci poleciłem!? - przekrzykiwał się z żoną.

- Nie pamiętam. - Archibald wpatrywał się z rozmarzeniem w Alicję.

- Czy ty jakieś prochy brałeś? Znowu się upiłeś? - Nelson senior rozsierdził się. - Szargasz nasze nazwisko! - zaczął mówić podniosłym głosem, ale zamilkł. Zauważył w końcu dziewczynę, której jego syn okazywał wyraźne zainteresowanie. Dyplomatycznie złagodził ton głosu. - Wróćmy do domu. Każdy może mieć załamanie nerwowe, ja to rozumiem... A to kto? - zapytał w końcu.

- To Alicja - oświadczył Archibald, owijając się wokół dziewczyny jak szalik. - Alicja jest emigrantką z Polski i uratowała moją duszę - powiedział z egzaltacją. A potem zachichotał i dodał: -Wróżka mi ją wywróżyła.

- Thomas! On bredzi! - jęknęła po raz kolejny lady Nelson. -Trzeba lekarza! Lekarza!

Lord uspokoił żonę jednym syknięciem, podszedł do lady i zaczął przypatrywać się Alicji. Potem spojrział z wyrzutem na Freda, jakby to wszystko było jego winą. I znowu na dziewczynę.

Alicja wyglądała, jakby miała się rozpląkać. Fred wpatrywał się w Krystynę ponurym wzrokiem. I wtedy Archibald zrzucił bombę.

- Właściwie to zdecydowałem, że przyjdę na to wasze przyjęcie - powiedział z błogim uśmiechem. A potem, przytakując nagłej radości matki, zakomunikował: - Ale koniecznie z Alicją.

Lady Nelson zapowietrzyła się. Niestety tylko na moment. Potem spojrzała na męża z ogniem w oczach.

- Thomas! Ja wiedziałam, że tak będzie! Mówiłam, prawda? Przepowiedziałam, że mariaż księcia Williama z dziewczyną z plebsu nie przyniesie niczego dobrego, tylko rozwiążność obyczajów. Leo? Miałam rację! Syn Earla Strathmorea znalazł sobie kucharkę, a najstarszy chłopak lorda Coena zaręczył się w zeszłym tygodniu z tancerką. Słyszałeś o tym?

- Naprawdę? - Zdziwił się lord. Najwyraźniej nie został jeszcze poinformowany. Albo związek z tancerką wydał mu się interesujący.

- Tak! - Lady Nelson rozhisteryzowała się na całego. - Podobno dał jej pierścień swojej babki! Lady Eleonora przewraca się pewnie w grobie... Wierzyłam, że to odosobnione przypadki, ale to jakaś epidemia!

- Cóż, miej pretensje do księcia, nie do mnie! - Lord Nelson miał już dość całego cyrku. - Wracamy do Holland Park.

-Ale... co z Ethel?

- Ethel Beaumont najwyraźniej nie wpisuje się w najnowsze trendy małżeńskie... - oświadczył podejrzanie spokojnie lord i na odchodnym przywołał ruchem ręki Freda. Kiedy ten podszedł i stanął koło baru, wywołując u Krystyny arytmie, lord nachylił się w jego stronę i szepnął:

- Zabierz go stąd natychmiast i dopilnuj, żeby dotarł do Holland Park trzeźwy i na czas. - Potem wskazał głową na Alicję. -I upewnij się, że dziewczyna jest odpowiednio ubrana.

Podniósł dumnie głowę i udał się w stronę wyjścia, pociągając za sobą szlochającą lady Nelson.



Minęła dłuższa chwila, zanim Krystyna odważyła się spojrzeć na Freda. Stał tuż obok niej, oparty o bar, i przypatrywał się Archibaldowi i Alicji. Krystyna również na nich spojrzała, a widząc skrzące się spojrzenia młodych, poczuła, że jej zadanie zostało wykonane.

- Jakie to romantyczne - odezwał się nagle Fred. - Widzę, że nie tylko ja odnalazłem w tym podrzędnym pubie prawdziwą perłę. Ta dziewczyna to barmanka, prawda?

Krystyna pokiwała głową i nie czekając na dodatkowe pytania, przyznała się od razu, że dzieli z Alicją kuchnię. I śpi na jej materacu. Potem zawładnął ją stres i nagle zamilkła. Nie była pewna, czego oczekiwać. Podejrzliwości? Pytań? Wymówek?

A Fred nachylił się nad nią.

- Wyglądasz na bardzo spiętą - wyszeptał wyjątkowo namiętnie.

Tego się nie spodziewała. Pomimo zaskoczenia nie zamierzała jednak przyznawać się do niczego więcej ponad to, do czego już się przyznała.

- Jeśli już, to napiętą... - Zaśmiała się niespokojnie, starając się nie patrzeć mu w oczy. Chociaż chciała.

- Napiętą? - Poglaskał ją po policzku.

Obejrzała się, chcąc sprawdzić, czy ktoś na nich patrzy.

- Właśnie. Staram się zwalczać zmarszczki w naturalny sposób i nie marszczę czoła.

Roześmiał się.

- Działa. - Puścił do niej oko i chwycił ją za rękę. - Mam wolny wieczór, młody Nelson sam będzie chciał pojechać z dziewczyną na przyjęcie - wyszeptał i spojrzał jej głęboko w oczy. - Nie chciałabyś się ze mną spotkać? - zapytał, wpatrując się w nią hipnotyzującym zielonym spojrzeniem. - Mam domek na wsi...

Krystyna dała się zahipnotyzować.

## ROZDZIAŁ 242

Igora obudziło śpiewanie. Najpierw ciche i odległe, ale narastało jak pogłaśniane radio. *I want to be a billionaire so...* Trzask drzwi. I oślepiające światło.

- ... *freaking bad...* - śpiew urwał się nagle. - Igor!? A co ty tutaj robisz? Stało się coś?

Igor otworzył oczy, chociaż nie chciał, i zobaczył przed sobą Li w niebieskiej koszulce Millwall. Nie spodobała się Igorowi ta koszulka.

- Śpię. Nie widzisz? - odburknął, zasłaniając oczy przed światłem. Po raz kolejny pożałował, że posłuchał Alicji.

- Wstawaj! Dzisiaj jest ten dzień! Nasz dzień! - gorączkował się podejrzenie Li.

- A tobie co? Skutki uboczne sprayu chłodzącego? - Igor się skrzywił.  
- Zawsze mówiłem, że dopalacze szkodzą.

Li rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt ich nie słyszy.

- Przyznałem się Krewetce, że mam napady strachu przed akcją - odpowiedział szeptem i usiadł na krześle tuż obok Igora. - Doradził mi, żebym poszedł do masażystki. Podobno cała reprezentacja piłki nożnej tak robi, bo oni też mają napady strachu, głównie dlatego, że w sytuacjach podbramkowych często im nie

wychodzi. I to nie tylko na boisku, ale i w domu. Ale jak tu się nie bać, kiedy te ich żony cały czas tylko wężą, tropią... A wiadomo, że jak ktoś szuka, to znajdzie, nie?

- Czy to miało zawierać jakąś złotą myśl? - zapytał, ziewając, Igor.

- Tłumaczę ci tylko, dlaczego oni chodzą na masaże. Zresztą nieważne. Poszedłem do takiej jednej Tajki. Trochę droga, ale mówię ci... - zawiesił głos, jakby chciał dodać swoim słowom dramatyzmu. - Ma wybitne zdolności manualne, a raczej... nożne. Czuję się jak nowo narodzony! I zrozumiałem, dlaczego nasi piłkarze są tacy skuteczni...

Pogwizdując, poszedł do łazienki wziąć prysznic. Najwyraźniej u Tajki kąpiel nie była wliczona w cenę.

Igor porozciągał się przez chwilę na kozetce, potem wstał i przysłuchując się śpiewom dochodzącym spod prysznic, zrobił sobie kawę. Sam starał się przełamać własny strach. Wierzył, że jego umysł jest w stanie poradzić sobie lepiej niż jakaś masażystka.

Li wyszedł w końcu z łazienki, świeżutki jak majowy poranek w prowincji Qinghai, i spojrzał na wiszący na ścianie zegar.

- Krewetka miał rano zrobić własną wizję lokalną. Nie ufa naszym umiejętnościom - mruknął żartobliwie.

Igorowi nie było do śmiechu.

-1 słusznie - odburknął. - Sam nie ufam. - Przez chwilę wpatrywał się w zadowolonego kolegę. - Człowiek Pekińczyka przyniósł mi wczoraj klucz do domu Archibalda. Zrobiłem odcisk.

- Odcisk? - Li otworzył szeroko oczy. - Dlaczego odcisk? Igor wzruszył tylko ramionami.

- Położyłem go na umywalce... - dodał.

Li spojrzał na niego zdumiony.

- Nie widziałem tam nic takiego - powiedział, marszcząc czoło, i wszedł z powrotem do łazienki. Przez chwilę go nie było, a kiedy wrócił, już się nie uśmiechał.

- Nie ma - powiedział zaniepokojony. Igor wstał i zaczął się przeciągać.

- W mydle - uściślił, ziewając.

- Co!?! - Li zbladł. - W mydle? Aleja właśnie się wykapałem... i namydliłem.

Igor znieruchomiał. Potem nadał się straszliwie i poczerwieniał, a jego oczy zaczęły pocić się ze strachu.

- Co zrobiłeś!?! - wykrzyknął straszonym głosem. Zapadła przerażająca cisza.

Li wyraźnie osłabł. Cały optymizm spłynął z niego jak woda za jednym pociągnięciem słuchki.

- Jestem trupem - wyszeptał, opadając ciężko na krzesło. - Zniknę jak Yao. Rozpłynę się we mgle...

Igor nie wytrzymał i zaczął się śmiać.

- Żartowałem! - Igor poklepał kumpla po ramieniu. - Mam klucz.

Li nabrał powietrza do płuc, jakby chciał sobie powetować wcześniejsze przerwy w dostawie, a potem rzucił się na Igora - wskoczył mu na grzbiet i zaczął go okładać, krzycząc jak małe dziecko w ataku hysterii. Po chwili Igor zdołał zrzucić go z pleców i już miał odwzajemnić atak, kiedy został potraktowany z buta. Chciał oddać, ale but należał do pana Mao, który niespodziewanie pojawił się tuż nad nimi. Pan Mao nigdy nie był zadowolony, ale tym razem na jego twarzy malowała się wściekłość. A podeszwa jego buta była wyjątkowo twarda.

Igor i Li momentalnie poderwali z podłogi wszystko z wyjątkiem wzroku, który - wbity w ziemię - nie dał się podnieść. Pan Mao rozpoczął przemowę. Wymachiwał przy tym rękami i mieczem, wytrzeszczał oczy. Krzyczał. Nisko. Wysoko. Jednostajnie. Jego słowa były jak latające sztylety, dosięgające ich z każdej strony, ostre i niebezpieczne. Igor gorączkowo zastanawiał się nad puentą owej przemowy i pewnie by się doczekał, gdyby nie to, że drzwi otworzyły się nagle.

Do pomieszczenia wszedł Krewetka. W peruce afro.

Pan Mao urwał w pół słowa i patrzył osłupiały na nieproszonego gościa.

*Sacrum spotkało profanum.*

Krewetka uśmiechnął się przyjaźnie. Potem, nie do końca wiedząc, jak przywitać się z groźnie wyglądającym facetem w dziwnym stroju i z prawdziwym mieczem w dłoni, podniósł do góry rękę w geście pokoju.

- *Hough, mate* - powiedział z powagą.

Tego już było za wiele. Pan Mao wydał ostatni okrzyk - straszny jak okrzyk atakującego wojownika, któremu ktoś podciął nogi -zazgrzytał zębami, zacisnął dłoń na rękojeści miecza i wybiegł bez słowa, pozostawiając po sobie niewypowiedzianą groźbę.

Krewetka zrobił tylko zdziwioną minę. Zupełnie nie przejął się wybuchem nieznanego mężczyzny, a potem wolnym krokiem zaczął przechadzać się po pomieszczeniu. Nie widząc jednak nadal żadnej reakcji ze strony stojących nieruchomo Igora i Li, zatrzymał się przed nimi i wyszczerzył zęby.

- To ja, Krewetka. Udawałem tylko pracownika gazowni - powiedział. Zadowolony z wrażenia, ściągnął perukę i zapytał: -Kim był ten facet w szlafroku?

Chłopcy otrząsnęli się z szoku.

- Co ty tu robisz? Umówiliśmy się przed restauracją, pamiętasz? Tu nie wolno wchodzić bez pozwolenia! - krzyknął Li, po czym szybko podbiegł do drzwi i wystawił za nie głowę, żeby sprawdzić, czy pan Mao nie czai się gdzieś na korytarzu.

Krewetka wzruszył ramionami.

- Wszędzie tak mówią. Ale gdybym włąził tylko tam, gdzie wolno, nie byłbym dobry w tym, co robię. Proste, nie? - Z satysfakcją w głosie oznajmił: - Właśnie wracam z domu przy Chester Square.

To nieco złagodziło atmosferę. Li odetchnął i poprawił swoją niebieską koszulkę.

- Jak wszedłeś? - zapytał.

- Gospoia mnie wpuściła. Te baby jak tylko słyszą, że ulatnia się gaz, wszędzie cię wpuszczają, nawet do łóżka - wyjaśnił lekceważąco Krewetka.

- Nieee, czy ty... - Igor nerwowo przełknął ślinę.

- Oczywiście, że nie. - Barry wzruszył ramionami. - To mogłoby skomplikować akcję. Jestem profesjonalistą. Ale przyznaję, że to w mojej pracy lubię najbardziej. Jak już powiem, że naprawiłem i nie ma już niebezpieczeństwa, to kobitki patrzą na mnie jak na bohatera, nawet jeśli niebezpieczeństwa nigdy nie było. To, *maté* - postukał się po głowie, co miało symbolizować siłę umysłu - plus to - dodał, napinając muskuły z wytatuowanym lwem z Millwall - plus to - wskazał na mały tatuaż „Tatuś kocha Daisy” - działa na kobiety! - Pokazał w uśmiechu swoje ubytki.

- Wiesz już, jaki to alarm? - zapytał Li.

- Najnowocześniejszy. Więcej nie musisz wiedzieć. To mój problem, a ja nie lubię dzielić się z nikim ciężko wypracowanym *know how*. Jestem introwertykiem, tak mi jedna pani z dyplomem powiedziała. I powiedziała jeszcze, że mam osobowość paranoidalną. I jak tu być normalnym, jeśli ci takie rzeczy walą prosto z mostu... - Zamyślił się. Widać było, że brak wrażliwości ludzkiej wzbudza w nim prawdziwy smutek. - Ale cóż... Muszę z tym żyć, prawda? - Igor pokiwał głową, ale na wszelki wypadek nie zgłębiał tematu. - Spryskałem czujki ruchu i znalazłem zasilanie awaryjne - powiedział Krewetka. Spojrzał na zegar. - Jakieś pytania? Bo będę się zbierał na mecz... - Mrugnął znacząco do Li.

Igor spojrzał podejrzliwie na kolegę.

- Ale... musimy usiąść i omówić szczegóły. Mamy tylko kilka godzin. Krewetka przybrał obrażony wyraz twarzy.

- O czym tu rozmawiać? Ja po wizji lokalnej wiem wszystko, a nie tylko to, gdzie znajduje się regulacja klimatyzatora - wycedził i położył nogi na stole. Potem zaczął recytować: - Rozbrojenie alarmu z moją magiczną skrzynką, o ile wszystko pójdzie jak trzeba, zajmie mi około piętnastu sekund. Potem wchodźcie wy.

Jeśli pojawi się pies, wtedy zależy: jeśli jest przyjacielski, można go zignorować, jeśli atakuje, lepiej pryskać od razu. W przypadku pryskania zasłaniacie usta i nos. - Podał zdumionemu Igorowi szalik Millwall. - Następnie ruszacie długim korytarzem, mijacie bezową jadalnię, idziecie dalej, kolejne drzwi prowadzą do czerwonego salonu. Picasso wisi w zielonym.

- A gdzie ten zielony?

- A zielony jest jeszcze dalej. - Uśmiechnął się. - Musicie dojść do małego korytarza. Ostatnie drzwi, *mate*.

Igor aż się spocił, starając się zapamiętać trasę.

- Wycięcie obrazu nie powinno sprawić wam żadnych trudności - dodał jeszcze Krewetka.

Igor nie wytrzymał.

- Nie wejdiesz z nami do środka? - zapytał. Krewetka kpiąco wyduł wargi.

- A co? Chcesz, żebym cię za rączkę trzymał? - Potem przeciągnął się i wpatrując się w sufit, rzucił niby od niechcenia: - Wiesz co, Li? Może pójdziesz ze mną na mecz? Dziobatego policja zgarnęła na dłużej. Zdążył mi oddać swoją wejściówkę, żeby się nie zmarnowała. - Wyciągnął bilet.

Li nie zdążył się nawet odezwać.

- Absolutnie nie! - warknął groźnie Igor. - Przecież musimy dograć plan, zapamiętać szczegóły...

- Posłuchaj, to świetny pomysł - powiedział Li, machając Krewetce, który stał już przy drzwiach. - Przypilnuję go, żeby się w nic nie wplątał: w żadną aferę, bijatykę czy popijawę. Ty się teraz zrelaksuj i poczekaj na nas przy domu Archibalda. - Zachichotał na dźwięk tego imienia. - Przy Chester Square.

- *No one likes us and we don't care!* - krzyknął Krewetka zza drzwi.

- Idę już, idę! - odkrzyknął Li. Igor czuł dziwny strach.

- Ale jeszcze za wcześnie... - próbował ich zatrzymać. Bez powodzenia.

## ROZDZIAŁ 47

Beata i Danuta stały tuż za budką z kebabem halal, niedaleko budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Alicji, i wytrzeszczały oczy w oczekiwaniu na wyjście Kopciuszka, a raczej na pojawienie się Jadwigi z białą flagą oznaczającą bezwarunkową kapitulację. Były zmęczone i głodne, a awaria autokaru sprawiła, że dotarły do Londynu dużo później, niż planowały. Prosto z dworca ruszyły zatem na umówione miejsce, przeklinając tłumy na ulicach i samochody jeżdżące w złą stronę, a teraz stały prawie pół godziny, nie mogąc skontaktować się z Jadwigą. Krystyna także miała wyłączony telefon. Uznały to za dowód porażki koleżanek.

- Przecież z góry było wiadomo, że nie mają szans - mruknęła lekceważąco Danuta, przypatrując się motocykliście, który siedział na swoim rumaku zaparkowanym tuż przed sklepikiem charytatywnym Cancer Research i zajadał frytki. Wydał się jej bardzo apetyczny, bo przełknęła ślinę.

- Co się tak na faceta gapisz? - dogadała jej Beata, rozcierając zgrabiałe z zimna ręce. - Co by twój mąż powiedział!?

Danuta nie przestała się gapić. Na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiešek.



- Wiesz, co mówił mój ojciec, kiedy matka nie pozwalała mu gapić się na wystawę cukierni? - zapytała, z zadumą wspominając dawne czasy.  
- Mawiał: „To, że jestem na diecie, nie znaczy, że nie mogę rzucić okiem na menu”. Coś w tym jest, prawda?

- Miał cukrzycę? - zapytała Beata.

- Cukrzycę też, ale nie o to chodzi. W cukierni sprzedawały cztery młode i naprawdę śliczne siostry. Miłoszewskie się nazywały...

Danuta oderwała wzrok od motocyklisty i spojrzała na Beatę. Obie roześmiały się radośnie.

Kiedy już miały opuścić swe stanowisko, przed wejściem zatrzymało się czerwone porsche. Z auta wysiadł młody elegancki mężczyzna, zidentyfikowany przez osłupiałe kobiety jako Archibald, syn lorda Nelsona. Przez chwilę stał, rozglądając się z niesmakiem po okolicy, a potem ostrożnie, jakby bał się w coś wdepnąć, podszedł do budynku. Nie zdążył jednak nacisnąć dzwonka. Drzwi otworzyły się gwałtownie i z siłą pocisku wyrzuconego z katapulty wypadła zza nich Alicja w błękitnej balowej sukni i rzuciła się w ramiona młodzieńca z taką siłą, że ten o mało się nie przewrócił. W końcu siła miłości jest ogromna. Na szczęście metal przetrzyma nawet siłę miłości (o czym wiedzieli już średniowieczni rycerze zakuwający swoje wybranki w pasy cnoty) - Archibald i Alicja zatrzymali się na masce samochodu. Przez chwilę młodzieniec wydawał się nieco ogłuszony i się nie ruszał, ale Alicja uwolniła go w końcu i odkleiła od maski. Archibald otrzepał się i szarmancko pocałował Alicję w rękę. Nie wypuszczając jej dłoni ze swojej, pomógł dziewczynie wsiąść do samochodu.

Beata przełknęła ślinę i z wrażenia kupiła kebab. Chociaż był drogi.

- Jak one to zrobiły? - zapytała cicho, nie spodziewając się odpowiedzi. I nie dostała jej. Danuta patrzyła z żalnością za oddalającym się porsche, zachłystując się własną porażką.

Wtedy przed drzwiami zatrzymał się kolejny samochód, czarny mercedes, z którego wysiadł niemłody już, ale dobrze zbudowany

mężczyzna. Wydawał się stworzony dla dobrej matki chrzestnej. Jak się okazało, był.

Ku zdumieniu koleżanek z budynku wyszła Krystyna. W dopasowanej czerwonej sukience i czarnych szpilkach wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie i elegancko. Kobieta z klasą. A nie pocisk z katapulty. Nie przygniatała faceta, ale przyciągała go swoim spojrzeniem. Mężczyzna znalazł się przy niej w jednej chwili i wpatrywał się w nią długo. Za długo. Kiedy Krystyna się roześmiała, powiedział coś, co one na pewno też chciałyby usłyszeć, i pocałował jej dłoń.

Danuta zazgrzytała zębami i wyciągnęła papierosa. Beata przeżuwała kebab. Motocyklista skończył frytki, zmiął papierek, rzucił go na chodnik i założył na głowę kask.

Mężczyzna szarmancko pomógł wsiąść Krystynie do samochodu. Odjechali. Motocyklista także zniknął. Ale kobiety nie myślały już o motocykliście.

Danuta wydmuchała koło idealne.

- Po raz pierwszy od lat Krystyna wybrała się gdzieś z facetem - powiedziała zamyślona, wybacząc koleżance wszystkie jej przewinienia. Potem wyrzuciła papierosa i zapytała wściekle: -A gdzie podziewa się Jadwiga?

## ROZDZIAŁ 251

Jadwiga siedziała przywiązana do krzesła i ponuro wpatrywała się przed siebie. Niewiele było widać, bo pomieszczenie tonęło w mroku, ale kształty, jakie wyłaniały się z cienia, nie wróżyły niczego dobrego. Bo czy długi nóż leżący na stole może być dobrą wróżbą?

Może i byłby, gdyby Jadwiga zdołała go dosięgnąć i uwolnić się z więzów. Niestety, ręce miała skrępowane z tyłu oparcia krzesła, a ono było ciężkie i tak masywne, że nie była w stanie nawet się z nim przesunąć. Nie była też pewna, jak długo siedzi w tym zatęchłym, ciemnym pomieszczeniu. Czas wydawał się stać w miejscu, przywiązany do zegara, skrępowany wskazówkami jak ona sznurem. Natłok myśli nie dawał jej wytchnienia. Najpierw oszukiwała się, że to jakiś koszmarny dowcip Conana, potem przez dłuższy czas zastanawiała, czy to nie metody działania rosyjskich baletnic. W końcu jednak pogodziła się z najbardziej prawdopodobnym scenariuszem. To sprawka mężczyzny z parasolem.

I zapadła w stan otępienia, z którego wybudziły ją dopiero kroki dudniące na korytarzu. Za drzwiami słychać było ciche szmery. Nie wiedząc, czego się spodziewać, zamknęła oczy. Szmery powoli

zamieniały się w głośniejsze dźwięki, usłyszała trzask otwieranych drzwi i pstryk zaświecanego światła, które zdołało oślepić ją pomimo zaciśniętych powiek. Potem cisza. W końcu znajomy głos. Agenta Frienda.

- A jak się nie obudzi do wieczora? Nie mamy czasu.

- Za bardzo się przejmujesz, Szekspir - przerwał mu drugi głos, którego nigdy wcześniej nie słyszała. - Chcesz powiedzieć, że ja nie obudzę kobiety? Wiesz, co mówiła moja przedostatnia żona? Że gdyby nie ja, to ona by życie przespała...

Przez ułamek sekundy Jadwiga miała nadzieję, że to głos Cona-na zniekształcony przez modyfikator głosu dla celów wywiadowczych, ale potem przypomniała sobie najbardziej prawdopodobną hipotezę. Ogarnęło ją przerażenie. Poruszyła się.

Głosy umilkły.

Otworzyła oczy. Tuż przed sobą ujrzała czarny parasol. Powoli uniosła głowę i utkwiała spojrzenie w twarzy trzymającego go mężczyzny. I poczuła ogarniający ją spokój. Bo mężczyzna z parasolem miał zaskakująco normalną fizjonomię. Zupełnie przeciętną. Do tego nadwagę. I pocił się tak, jak tylko gruby facet może się pocić w dusznym pomieszczeniu cuchnącym stęchlizną. W jego postaci nie było nic z jej koszmarów, żadnej nadzwyczajności, żadnej nadludzkiej siły. Był zwyczajnym tłustym facetem z okrutnymi oczkami. Chociaż często to właśnie zwyczajni ludzie potrafią być naprawdę źli.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

Pierwsze zwycięstwo. Miała nadzieję, że nie ostatnie. Spojrzała na agenta Frienda. Stał z założonymi rękoma koło drzwi. Uśmiechnął się irytująco. Nie odwzajemniła uśmiechu. Jej reakcja, tudzież jej brak, wcale nie zniechęciły go do rozmowy, wręcz przeciwnie.

- Jadwigo - wyszeptał z prawdziwym dramatyзмом i chwycił się za serce. - Nie patrz tak na mnie, proszę. Zabijasz mnie swoim oskarżycielskim spojrzeniem, a to przecież ty... ty sama do

mnie przyszłaś - wyrzucił z siebie. Jednym ruchem zerwał z głowy blond perukę i położył na stole. A potem chwycił nóż i podszedł do Jadwigi.

Jadwiga znieruchomiała. Stał tuż obok, krzyknął przerażająco, a potem jednym ruchem wbił sobie nóż w serce i wydając straszliwe agonialne jęki, padł jej do stóp.

Mężczyzna z parasolem patrzył na to wszystko bez większych emocji.

- Dość! - powiedział w końcu. - Skończ z tym teatrem, Szekspir, to nie pora na przedstawienia!

Szekspir westchnął, wyciągnął nóż z serca i pokazał Jadwidze ruchome ostrze.

Jadwiga oblizwała suche wargi. Wszystko wydało jej się jakimś absurdalnym żartem, i to zupełnie nieśmiesznym.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - odezwał się mężczyzna z parasolem. - Używam nazwiska Kowalski, jeśli to pani coś mówi. Nie poznaliśmy się jeszcze osobiście, ale nigdy nie jest za późno, żeby nadrobić zaległości.

Nie odezwała się.

Kowalski przeszedł parę kroków tam i z powrotem.

- Na żywo wygląda pani lepiej niż na taśmie - powiedział po chwili ze złośliwym uśmiechem.

- Z panem pewnie jest odwrotnie - odcięła się.

Szekspir zarechotał, ale widząc wzrok Kowalskiego, przybrał poważną minę.

- Mojego człowieka już pani poznała - powiedział Kowalski i wskazał ręką. - Szekspir, aktor z powołania, a mój współnik z przekory losu.

Jadwiga bynajmniej nie zamierzała chwalić umiejętności aktorskich agenta Frienda, zwanego obecnie Szekspirem.

- Właśnie! - Kowalski pokiwał głową, jakby go gorliwie pochwaliła. - Byłby wielkim aktorem, gdyby nie przekora losu. Pracował nawet tutaj... - Zatoczył ręką dokoła. - W The Globe. I co?

Tylko dlatego że zdefraudował parę funtów, wyrzucili go na zbity pysk, rozpętała aferę i trafił za kratki. Ale przynajmniej zachował klucz do starej rekwizytorni...

- Proszę mnie rozwiązać - powiedziała Jadwiga. I to całkiem uprzejmie. Błagalnie nawet.

Czuła, że dłużej nie zniesie tej pozycji. Wykręcona ręka zaczęła wypominać jej wszystkie poprzednie urazy. Ból stawał się nie do zniesienia.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i Kowalski skinął głową. Szekspir wyciągnął z kieszeni nóż, tym razem prawdziwy, i przeciął jej więzy.

- Tylko bez numerów - ostrzegął Kowalski. - Proszę pamiętać, że gdybym chciał panią zabić, już dawno bym to zrobił. - Spojrzał z zadowoleniem na Szekspira. - No i nie dałbym pani broni, prawda?

- Jak to? To pan dał mi pistolet? - wyjąkała Jadwiga. Jej zdumienie przerosło nawet jej strach.

- Naprawdę uwierzyła pani w te bzdury o Bolszoj? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Jadwiga zamknęła oczy. Próbowwała zatrzymać pojawiające się i znikające chaotyczne obrazy, uspokoić wirujące myśli.

- Widzi pani, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Nigdy nie miałem najmniejszego zamiaru ściągać pani tutaj. Mieliśmy się spotkać dzisiaj wieczorem na Hispanioli, kulturalnie, na kawie, im później, tym lepiej. Pani i tak jest już przygotowana do akcji, dostała broń, zna skrzynkę kontaktową. Mieliśmy tylko omówić szczegóły. Niestety... - Westchnął. - Zdarzenia, do których doszło wczoraj na statku, skomplikowały sprawę. Okazuje się, że agenci deptali nam po piętach od jakiegoś czasu. Dłużej nie mogliśmy przeciągać naszej zabawy.

- Jakiej zabawy? - zapytała w końcu. - Po co to wszystko?

- Od kiedy mnie pani sobą zainteresowała, wierzyłem, że ma pani potencjał. Czułem, że kiedyś mi się pani przyda. W zeszłym roku odbierałem od pani swoją własność... - Poglądził

rączkę parasola. - Wtedy zainstalowałem pani różne takie...  
-Odchrząknął. - Rozmaite urządzenia do podsłuchu. Musiałem poznać, z jaką służbą mam do czynienia - wytłumaczył się. - Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że chociaż ma pani przeszłość wywiadowczą i zna lepiej niż dobrze agenta Conana, nie chodzi o agencję wywiadowczą, rolną, czy nawet towarzyską, tylko o agencję matrymonialną... - Wymienili z Szekspirem zde gustowane spojrzenia.

- W życiu człowiek jest przygotowany na wiele rzeczy, ale na agencję matrymonialną nigdy! - wyrwał się znowu Szekspir i pokiwał głową z przekonaniem.

Jadwiga zerknęła to na jednego, to na drugiego, zupełnie nic nie rozumiejąc.

- Nie jesteśmy agencją matrymonialną - zaprotestowała słabo.

- Nieważne! - Kowalski machnął ręką. - W każdym razie nie muszę pani mówić, jak bardzo zdenerwował mnie fakt, że taki nikt, oczywiście z całym szacunkiem dla pani doświadczenia i możliwości, przestraszył mnie na tyle, że sam spaliłem własną doskonale przygotowaną przykrywkę. Przyznam, że przez długi czas obmyślałem różne warianty zemsty.

- To o to chodzi? - weszła mu w słowo. - O zemstę?

- Ależ skąd! - Roześmiał się rubaszenie i jak zauważyła Jadwiga, nieco sztucznie.

- Nie? - zdziwił się Szekspir. Zamilkł jednak pod ciężarem spojrzenia swojego szefa. Najwyraźniej Kowalski tracił do niego cierpliwość.

- To byłoby zbyt banalne, zbyt proste... - ciągnął, wpatrując się w Jadwigę rozbieganymi oczkami.

- A pan jesteś skomplikowany facet, co? - parsknęła, żeby ukryć duszący ją strach.

- Właśnie. Chodzi mi raczej o zadośćuczynienie za krzywdy. Wiedziałem, że przyjdzie taki czas. Cierpliwie czekaliśmy, starając się żyć normalnie wśród tych tutaj... - Rozejrzał się. - Wśród tych rekwizytów. - Spojrzał na Szekspira. - I doczekaliśmy się. Jakiś

czas temu Szekspir podsłuchał rozmowę lorda Nelsona z jednym z jego współpracowników na temat tajnych dokumentów, które trzyma u siebie w sejfie. Tak tajnych, że niewielu o nich słyszało. Wiele organizacji mogłoby sporo za nie zapłacić... I wtedy poczułem, jak wstępuje we mnie nowe życie... - przerwał, bo Szekspir zjechał spojrzeniem na nabity brzuch szefa, ledwie mieszczący się pod koszulą, i zarechotał.

Tym razem Kowalski nie wytrzymał.

- A ty co tu jeszcze robisz? - rzucił do Szekspira. - Wiesz, że mamy mało czasu. Załatw jakiś samochód, tylko tym razem nie-rzucający się w oczy. Z bentleyem ostatnio przesadziłeś.

Szekspir spojrzał z wyrzutem na swojego szefa. Jadwiga myślała, że zaoponuje, ale nie odezwał się. Niechętnie wstał, podszedł do stołu, przywdział z powrotem swój blond skalp i bardzo wolno poszedł do drzwi, jakby liczył na to, że szef pozwoli mu jeszcze zostać. Ale nie pozwolił. Kowalski samym tylko spojrzeniem zmusił Szekspira, żeby zamknął drzwi z drugiej strony.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytała zmęczonym tonem Jadwiga. - Nie rozumiem... Od razu powiem, że nie nadaję się do wykradania tajnych dokumentów.

Zaśmiał się.

- Nie oczekuję od pani aż takich umiejętności. Zresztą muszę pani wyjaśnić, że włamanie się do rezydencji lorda Nelsona w Holland Park jest praktycznie niemożliwe. Powiedzenie „mój dom to moja twierdza” w tym przypadku należy rozumieć dosłownie. - Przerwał na chwilę, ale widząc na jej twarzy zmęczenie, dodał: - Zaraz pani wyjaśnię. Mnie też się śpieszy. Na samolot.

- Ale... Pan wyjeżdża? - wyjąkała. Wzruszył ramionami.

- Lecimy z Szekspirem w ciepłe kraje, gdzie policja jest bardziej wyrozumiała.

- Bardzo romantycznie - wyszeptała, wpatrując się w niego z napięciem.



- Nie wiem, czy romantycznie, za to bezpiecznie. A poza tym, cóż... zawsze chciałem zostać królem wioski. Kształtne czarnoskóre kobiety będą mnie tulić do snu i podawać mleko kokosowe. .. - Rozmarzył się.

- Takie fantazje mogą panu niebezpiecznie podnieść ciśnienie.

- Cóż, na coś trzeba umrzeć... - Westchnął zrezygnowany. - Ale że ubezpieczenia zdrowotnego rzeczywiście nie mam, liczę na pani pełną współpracę. Bo kontrakt jest doskonale płatny, ale część zaliczki musiałem już przeznaczyć na koszty. Ta dziewczyna młodego Nelsona kosztowała mnie fortunę. Na szczęście potrzebowała pieniędzy i nie była taka głupia, żeby myśleć, że związek z Archibaldem przekształci się w coś poważniejszego, co zapewni jej dostatnie życie.

Jadwiga znieruchomiała. Myśli jak szalone kręciły się w kółko, ale nie układały się w logiczną całość. Nadal.

- To pan przekupił dziewczynę Archibalda? - wyszeptała. - Ale po co?

- Jeszcze pani nie rozumie? - Spojrzał na zegarek. - Proszę pomyśleć...

Jadwiga nie chciała myśleć. Chciała wiedzieć. Patrzyła na Kowalskiego z narastającym niepokojem.

- Alicja - powiedział w końcu.

W tym jednym słowie kryło się wszystko. Jadwiga nagle zrozumiała. Wszystkie elementy układanki połączyły się w całość. Alicja. Archibald, syn lorda Nelsona. I przyjęcie w rezydencji w Holland Park. Dokumenty.

Kowalski westchnął.

- Zainspirowała mnie pani agencja matrymonialna. - Uśmiechnął się.

- Nie jesteśmy agencją matrymonialną - wyszeptała z uporem, bo tylko to jej pozostało.

Nie słuchał.

- Pomysł był ryzykowny, ale wart wdrożenia... - ciągnął. - Sądziłem, że to nie może być takie trudne. Udało mi się przekupić

dziewczynę młodego lorda, żeby zostawiła bubka, i postanowiłem podsunąć mu młodą, zakochaną w nim na zabój Alicję. Zaczęła pracę w miejscu, gdzie lubił przesiadywać, ale wtedy jak na złość przestał przychodzić do pubu. Sytuacja zrobiła się niewesoła, kupiec naciskał, bo umowa zawarta... Wtedy przypomniałem sobie panią i wysłałem do biura aktorkę...

-Ale... pan nie mógł wiedzieć, że zdecydujemy się pomóc Alicji poznać Archibalda - gorączkowała się Jadwiga. - Przecież był Igor...

- Tylko po to, żebyście, drogie panie, przekonane o możliwości wykonania zlecenia, wyjechały do Londynu. Alicja miała wszystko pod kontrolą, zresztą Igor to był jej pomysł. - Spochmurniał nagle. - Oczywiście mogłem przewidzieć, że chłoptaś nie jest jej do końca obojętny. - Westchnął. - Ale z drugiej strony kiedy przyszła do mnie, żeby zerwać umowę, od razu wiedziałem, czyją śmiercią ją postraszyć. Chociaż nie lubię grozić tym, których szanuję... - Humor mu się wyraźnie poprawił. - Wracając do zlecenia, wiedziałem, że taka nieszczęśliwa, romantyczna, wręcz filmowa miłość na pewno wyzwoli w was instynkt dobrej matki chrzestnej. Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same. Sentymentalne i głupie. Każda kobieta kupi bajkę o Kopciuszku, to jak spełnienie marzeń. W końcu miłość niemożliwa to wyzwanie dla każdej swatki.

- Proszę, jaki z pana znawca kobiecych dusz - powiedziała Jadwiga ironicznie.

Kowalski rozłożył ręce.

- Miało się trochę kobiet, nie chwaląc się. - Spoważniał. - Wierzę w powodzenie tej akcji. Nasza współpraca już jest pasmem sukcesów. Przekonały panie Archibalda, żeby poszedł do Royal Albert Hall, podały go panie jak na tacy Alicji i proszę, cel został osiągnięty: młody Nelson zaprosił Alicję do domu rodziców w Holland Park, tak jak to obiecałem nabywcy.

- Kim jest Alicja? - zapytała Jadwiga z rezygnacją w głosie. Ta rezygnacja wyraźnie ucieszyła Kowalskiego.

- Alicja to... - Mrugnął - Alicja. Ma potencjał dziewczyna, prawda? Miała na was oko od samego początku. To ona załatwiła pracę pani koleżance i to ona wmówiła jej, że powinna się do niej przeprowadzić. Jest naprawdę doskonała w tym, co robi. Szkoda, że zdecydowała się zakończyć współpracę, ale szanuję jej decyzję. Jak pani widzi, na razie spełniła pani wszystkie pokładane w niej nadzieje - dodał.

- Bardzo satysfakcjonujące uczucie - mruknęła. - Tylko dlaczego pan mnie tu jeszcze trzyma?

- Bo ma pani do wykonania jeszcze jedno zadanie. Przy tym, czego już pani dokonała, to pestka. Kiedy Szekspir wróci z samochodem, odwieziemy panią do rezydencji lorda Nelsona w Holland Park. Zostawimy tam panią. - Musiał wyczytać z jej twarzy niedowierzanie, bo uśmiechnął się i dodał: - Tak, zostawimy panią. Alicja dostarczy pani te dokumenty, a pani przewiezie je z Holland Park do skrzynki kontaktowej przy Victoria Embankment. Będzie miała pani czas do północy. Tylko pani mogę zaufać, bo to naprawdę bezcenne dokumenty, z gatunku tych, co zmieniają losy świata. Misja jest banalnie prosta, ale nie wiadomo, co może się po drodze przytrafić... - zawiesił głos. - Ja już nie mogę pozwolić sobie na błędy. W razie problemów ma pani broń. - Wskazał na stolik, na którym stała jej torba.

Jadwiga zaczęła się śmiać. Była wykończona i zupełnie straciła zdolność kontrolowania swoich uczuć. Kowalski także się uśmiechnął i z pobłażliwą miną rozsiadł się na rozklekotanym krześle stojącym koło biurka.

- Zostawi mnie pan w Holland Park? Samą? Żebym przewiozła dokumenty? Tylko tyle? A jeśli odmówię? A jeśli pójde na policję? - wyrzucała z siebie Jadwiga, ocierając łzy.

- Miałem przeczucie, że pani to powie, żeby zatem zmniejszyć pani opór i... Jak to powiedzieć? Żeby nieco panią... zmotywować, wynajęłam człowieka, który zaopiekuje się jedną z pani koleżanek. Oczywiście tylko do momentu przekazania dokumentów - zaznaczył. - Koleżanka na imię Krystyna.

Jadwiga przestała się śmiać. Imię Krystyny podziałało na nią jak wiadro zimnej wody. Orzeźwiająco. Spięła się do skoku, ale Kowalski był szybszy. Wymierzył w nią broń. Znieruchomiła.

- A teraz proszę słuchać uważnie, bo nie lubię powtarzać. Zorganizowałem akcję, zostawiam tu panią, żeby dopilnowała wszystkiego, i wyjeżdżam w nadziei, że odniesie pani świetlany sukces! - Zamilkł na chwilę, a potem dodał już spokojniej: - Pani dostarcza dokumenty do skrzynki, ktoś je odbiera, daje znać, że wszystko w porządku, mój człowiek zwalnia pani koleżankę. Proste, prawda?

Jadwiga starała się opanować drżenie rąk.

- Naprawdę wierzy pan w to - gorączkowała się, starając się go przekonać, że jeśli coś się nie uda, niewinna osoba może stracić życie - że Alicja zdoła włamać się do sejfu podczas przyjęcia i wynieść tajne dokumenty, nie ściągając na siebie uwagi ochrony? Skąd wie, gdzie jest ten sejf? Skąd pan wie, że te dokumenty wciąż tam są? Sam pan mówił, że to twierdza, że niejeden wywiad próbował...

Przerwała, bo na twarzy Kowalskiego pojawił się uśmiezek zadowolenia.

- Doceniam pani troskę, ale tym zupełnie nie musi się pani przejmować. Nie zna pani prawdziwej Alicji. Ala jest jak... - Zawahał się, szukając odpowiedniego określenia. - Jak Tom Cruise w *Mission Impossible*. Tyle że wyższa.

## ROZDZIAŁ 261

Fred skręcił w jakąś wiejską zarośniętą dróżkę i zatrzymał samochód tuż nad niewielkim jeziorem. Krystyna siedziała przez chwilę nieruchomo. Patrzyła przed siebie, na czarną taflę wody, w której przeglądał się księżyc, dwojąc się i trojąc, by zapewnić im romantyczną atmosferę, jakże pożądaną podczas wieczornych spotkań męsko-damskich. Pomyślała, że znalazła się na końcu świata.

- To tu? - zapytała, poprawiając sukienkę.

- Jeszcze nie. Mój domek jest po drugiej stronie jeziora, widzisz? - Wskazał na ciemny punkt wśród oświetlonych domów w oddali.

- Mamy pokonać jezioro wpływ? - Zaśmiała się. Ku jej zdziwieniu nie odwzajemnił uśmiechu.

- To takie moje szczególne miejsce - powiedział cicho. - Zawsze tu przyjeżdżam, kiedy chcę rozjaśnić myśli.

Powiedział to w tak niepokojący sposób, że poszukała jego spojrzenia. Odwrócił wzrok. Potem wyciągnął rękę i dotknął jej karku. Krystyna poczuła drżenie i ciepło rozchodzące się po całym ciele.

- Masz śliczną szyję - wyszeptał.

Krystyna znieruchomiała. Przestała drżeć. To była zapaść. Zapaść miłosna. Poczła motylki w brzuchu. Całe stado wielkich, trzepoczących motyli. Gotowych na wszystko.

Fred nachylił się i zaczął całować jej szyję.

Serce Krystyny kołatało dwa razy szybciej niż zwykle. Puk. Puk. Puk.

Dotknął wargami jej ucha. Zamknęła oczy. Owady trzepotały coraz szybciej. Ścisnął wargami płatek jej ucha.

Dotknęła jego ręki. Otworzyła oczy. Szyby zdążyły już zaparować.

Nie było już świata. Byli tylko oni, nikt więcej. Tu i teraz. A potem usłyszała szept:

- Dla kogo pracujesz? Zamarła.

Pukanie ustało. Motyle odleciały. Pewnie do ciepłych krajów, bo Krystynie nagle zrobiło się zimno.

Spojrzała na Freda jak wybudzona z pięknego snu.

- Słucham?

Pocałował ją znowu, ale tym razem nie czuła nic.

- Dla kogo pracujesz? - powtórzył cicho, ale zdecydowanie. Odsunęła się od niego, czując narastający niepokój. Nastąpiła krępująca cisza. Cierpliwie czekał na odpowiedź.

- Zabrałeś mnie tu, żeby mnie przesłuchać? - wyrwało się jej. - Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz... - powtórzył z ledwie wyczuwalną w głosie ironią. - Spotkałem na ulicy tych dwóch, co cię napadli. Postanowiłem porządnie skopać im tyłki, bo nie lubię niedokończonych spraw... - zaczął rozdrażniony, ale nie skończył, bo Krystyna przerwała mu, zdenerwowana:

- No wiesz!? Oczywiście znowu zapomniałeś o kręgosłupie! - pisnęła. Nawet na nią nie spojrzał.

- Powiedzieli, że wynajęła ich pewna kobieta, cudzoziemka ze wschodnioeuropejskim akcentem... - ciągnął.

- Świetnie! - przerwała mu znowu rozdygotana Krystyna. -A ty oczywiście od razu, bez zastanowienia, stwierdziłeś, że to musi mieć związek ze mną.

- Za dużo w życiu widziałem, żeby uwierzyć w taki zbieg okoliczności. Czy masz coś wspólnego z kobietą, która zatrudniła tamtych dwóch? - zapytał zmęczonym głosem.

Cisza.

- Niezupełnie - Krystyna odpowiedziała w końcu niechętnie.

- To masz czy nie?

- To skomplikowane.

- Wręcz przeciwnie. To banalnie proste. Cisza.

- Kim jesteś? - zapytał.

Krystyna zapatrzyła się w zielone oczy, które mgle stały się nieodgadnione i niepokojąco zimne. Zaczęła mówić.

## ROZDZIAŁ 264

Igor, odziany jedynie w majtki z najnowszej kolekcji Cabana Kleina, siedział w pozycji medytacyjnej i starał się przekonać umysł, żeby ten odleciał w nicość. Na próżno. Myśli niczym wielkie czarne wrony nie dawały się odgonić, kracząc złowrogo. I w końcu wykrakały, bo kiedy otworzył oczy, tuż przed sobą zobaczył pana Wu, jak zwykle ubranego w elegancki smoking. Pekinczyk wpatrywał się w niego swoimi brązowymi matowymi źrenicami. Jego wzrok stanowczo nie pasował do smokingu. Pełen był bowiem nieeleganckich treści.

Igor zerwał się na równe nogi i pochylił głowę. Pekinczyk był zbyt zajęty prawdziwymi problemami, żeby zwracać uwagę na etykietę. I majtki.

- Yao wypłynął - wyrzucił z siebie bez zbędnych grzeczności wraz z kilkoma łagodzącymi napięcie przerywnikami, które zdołał zmieścić w tak krótkim zdaniu, a potem zaczął nerwowo przechadzać się po pomieszczeniu.

Igor podniósł głowę i chwycił za smoking wiszący na oparciu krzesła.

- Gdzie? - zapytał, wkładając szybko spodnie.

- Rzeka wyrzuciła jego ciało niedaleko statku restauracji -



Pekińczyk zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć. - Hispaniola chyba się nazywa, przy Victoria Embankment.

Igor nie dopytywał się o szczegóły. W tej branży lepiej było nie wiedzieć. Martwych wyrzucano z pamięci, do Tamizy albo świniom na pożarcie i więcej o nich nie rozmawiano. Założył zatem, że temat Yao jest skończony. Ale się pomylił.

- Jest jeszcze coś.

To „coś” zabrzmiało groźnie. Pekińczyk napił się ryżowego wina z szafki dla pracowników, skrzywił się i rozglądając niespokojnie, wyrzucił z siebie ściszone głosem:

- Yao zginął od ciosu zadanego jakimś ostrym narzędziem: nożem, tasakiem, albo... - Zakrztusił się, jakby słowo nie chciało przejść mu przez gardło.

- Mieczem - dokończył Igor i znowu spocily mu się majtki.

- Właśnie! - Pekińczyk wygiął usta w nerwowym uśmiechu, który przypominał grymas przerażenia. - Nie było tu dzisiaj przypadkiem pana Mao? - zapytał niby obojętnie, wpatrując się w sufit.

Igor przełknął ślinę i pokiwał głową.

- Wpadł na moment.

- Muszę go znaleźć, zanim... - Pekińczyk zagryzł wargi. Do krwi.

- Zanim on znajdzie nas? - wyrwało się Igorowi. Pekińczyk pokiwał głową, a potem oblizwał zakrwawioną wargę.

- Ja to załatwię - powiedział, a jego głos dziwnie stwardniał. - Wiedziałem, że nie podoba mu się idea przebranżowienia się, ale żeby aż tak się wkurzyć? Od początku mi wymyślał, że szargam honor, zdradzam ideały, ale... jakie ideały? - Wzruszył ramionami. - Pieniądze to ideały. O takie ideały zawsze chodziło. A jeśli ich zabraknie, to jak będę wspierać wdowy i bękarty? Z czego sfinansuję budowę pagod... Ubodzy święci nie potrzebują budować świątyń, tylko tacy bogaci grzesznicy jak ja, chcący wdrapać się po ich dachach do nieba... - powiedział w zamyśleniu. Potem dodał: - Sądzę, że pan Mao chce przejąć władzę w organizacji.

- Myśli pan, że będzie próbował nas zabić? - zapytał Igor, wkładając koszulę.

Pekińczyk nie odpowiedział, tylko wyciągnął z kieszeni pistolet i sprawdził, czy jest nabity.

- Powiedziałem, że się tym zajmę - rzucił. - Wy macie zrobić, co do was należy. Bez względu na to, czy pan Mao chce was zabić, czy nie. Widziałeś jeszcze tamte kobiety, o których opowiadał Li? -zapytał. Kiedy Igor zdecydowanie zaprzeczył, powiedział: - Doskonale. Z tego co wiem, pan Mao nie zdołał ich zlokalizować. Nie chcę żadnych problemów. To ma być sprawna akcja, zrozumiano? I żebyście mi nie uszkodzili Picassa... - mówił, podczas gdy Igor, czując powagę sytuacji, kończył zakładać smoking. Kiedy zawiązał muszkę, przypomniał sobie, że przecież nie potrzebuje smokingu. Zaklął w myślach, ale nie zdecydował się przebrać, tym bardziej że zza drzwi wyłonił się właśnie pan Mao. Jak zły sen. Koszmarne *déjà vu* z mieczem u pasa.

Pekińczyk znieruchomiał.

- Czekam na was wieczorem w biurze - mruknął jeszcze i nie odrywając spojrzenia od pana Mao, jednym ruchem ręki nakazał Igorowi natychmiastową ewakuację.

## ROZDZIAŁ 267

Jadwiga siedziała sztywno na krześle, a jej myśli gorączkowo krążyły wokół beznadziejności sytuacji, w której się znalazła.

Kowalski wydawał się zupełnie nie przejmować jej milczeniem. Trzymał w dłoni telefon komórkowy, który właśnie wyciągnął z pudełka.

- Alicja zadzwoni do pani, kiedy już będzie miała dokumenty - objaśniał. Wydawał się spięty, patrzył na zegarek. Zapewne oczekiwał Szekspira. - Z tej komórki nie da się zadzwonić. Będzie pani czekać na polecenia. Kiedy dostanie pani dokumenty, proszę natychmiast dostarczyć je do skrzynki w tunelu. Ma pani czas do północy, potem pani koleżanka może mieć poważne problemy zdrowotne - powiedział po raz któryś z kolei, jakby bał się, że nie usłyszała albo nie rozumie.

Jadwiga nie odpowiedziała. Dobrze rozumiała. Włożył telefon do jej torby.

- Powiedziałem Alicji, że gdyby miała jakiegokolwiek problemy, dołoży pani wszelkich starań, żeby jej pomóc. Prawda? Nie wspomniałem jej, że wyjeżdżam. Nie chcę jej denerwować, rozumie pani?

Zamiast się odezwać, Jadwiga zaczęła dyszeć.

Niemoc twórcza natchnęła ją.

Niemoc. To słowo niewątpliwie ma potencjał.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak - wyszeptała, cała czerwona. Jej zadyszka zrobiła się nagle płytsza.

Przez chwilę Kowalski patrzył na nią podejrzliwie, a potem zapytał znowu:

- Chce pani wody?

- Nie - odburknęła, siniejąc. - Niczego od pana nie chcę. Kowalski wzruszył ramionami. Przez następnych kilka minut

Jadwiga miała jakiś bliżej niesprecyzowany atak. Wierzgała przez chwilę nogami. Potem znieruchomiała.

Kowalski odchrząknął nerwowo. Wstał i chwycił parasol.

Jadwiga nie ruszała się.

Z wahaniem podszedł bliżej. Wyciągnął parasol. Dźgnął ją. Jak padlinę. Nic.

Podszedł jeszcze bliżej.

Kiedy zaniepokojony nachylił się nad nią, popchnęła go i skoczyła na równe nogi. Złapał ją za ramię i nie chciał puścić. Zaczęli się szarpać. Jadwiga zdołała go odepchnąć, wzięła parasol, a potem mocno ścisnęła jego rączkę. Wtedy Kowalski chwycił się za dłoń i wydał z siebie straszny jęk.

- Boże, umieram... - wyszeptał po chwili, patrząc na małą ranę na dłoni. Spojrzał jeszcze na Jadwigę szeroko otwartymi oczyma, a potem z wielkim hukiem zwałił się na podłogę.

## ROZDZIAŁ 269

Beata i Danuta, w nastrojach, które zasługiwały jedynie na miano grobowych, i w rytmie marsza pogrzebowego zbliżały się do Cesarzowej Syczuanu. Pogrzebały właśnie nadzieje na świąteczną premię i marzenia o szalonych zakupach na Oxford Street. Danuta ponuro wydmuchiwała papierosowy dym, który - jak zauważyła - im głębiej wchodziły w chińską dzielnicę, tym bardziej przybierał kształty chińskich smoków. Całą drogę zastanawiała się nad ironią losu. Kopciuszek i księżę z bajki. Tak po prostu. Jak w jakiejś cholernej bajce. Życie między bajki można włożyć.

W końcu dotarły pod oświetlone na czerwono wejście.

- Nie mogę uwierzyć, że Kopciuszek oficjalnie zadebiutował na balu w roli królowej - powiedziała z irytacją Danuta, miażdżąc papierosa obcasem. - I co teraz z Igorem?

Beata wzruszyła ramionami i spojrzała na drzwi restauracji.

- Zawsze możemy poczekać, aż przyjedzie do Polski. Wtedy znajdziemy mu jakąś fajną dziewczynę. W ramach rekompensaty. Jego matka może być nawet bardziej zadowolona, bo gdyby znalazł jakąś pannę w kraju, może by został...

Danuta pokiwała głową, nieco ożywiona nową perspektywą.

- Wiesz, że możesz mieć rację?

- Wiem - skwitowała Beata. - A teraz chodź, bo nam rezerwacja przypadnie - powiedziała, wdychając zapachy egzotycznych przypraw, wśród których rozpoznała imbir, cynamon i anyż. Oraz pieprz syczuański.

Weszły. Półmrok panujący w środku rozbiły kolorowe lampiony z reklamą chińskiego piwa Tiger, a zwisające z sufitu czerwone smoki dodawały swoistego klimatu tej zdumiewająco znajomej w wystroju knajpie.

- Lata osiemdziesiąte w restauracji Stylowa na prowincji -mruknęła Beata. - Wspomnienia wróciły. Tylko te smoki jakieś nie nasze. No i brakuje tu wąsatej pani Wiesi w białej poliestrowej bluzce.

Kelnerka w niczym jednak nie przypominała wąsatej pani Wiesi. Młoda Chinka w tradycyjnym czarnym qipao wydawała się zwinna jak bohaterka filmu o przyczajonych tygrysach i ukrytych smokach. Przywitała je grzecznym ukłonem i poprowadziła do stolika pod ścianą, naprzeciwko olbrzymiej półki z winami. Skłaniając głowę jak zabawkowy piesek z odczepianą szyją, podała kobietom kartę.

Beata kiwnęła głową i kazała Danucie zapytać, co polecają. Kiedy kelnerka zaczęła opisywać potrawy, Beata uciszyła ją ruchem ręki i zmusiła Danutę, żeby ta zamówiła zupełnie coś j innego.

- Zawsze to, co polecają kelnerzy, ma krótką datę ważności - i wytłumaczyła wścieklej koleżance.

Kelnerka odeszła, nie zmieniając wyrazu twarzy, a Danuta napiła się ryżowego wina. Chciała pogrążyć Beatę jakąś celną uwagą, ale jej wzrok przykuł niespodziewany widok.

Przez restaurację przechodził właśnie Igor Andrzejewski. Anioł w smokingu. Wszystkie kelnerki się za nim oglądały, a potem wzdychały żałośnie w rytm wystukiwany przez jego lakierki. Agentki KMS automatycznie podniosły w górę *menu* i znad kart zaczęły uważnie śledzić ruchy Igora...

Igor nie był zdenerwowany. Był przerażony. Czuł, jak podnosi mu się poziom adrenaliny, chociaż nikomu by się do tego nie przyznał. Przez chwilę przysłuchiwał się zza celowo niedomkniętych drzwi wymianie zdań między Pekińczykiem a panem Mao, a potem przejęty nagłą eskalacją konfliktu, ruszył po schodach na górę, przełykając gorzkie myśli. Nie dość, że medytacja nie przyniosła oczekiwanego ukojenia, nie dość, że chodzą za nim tajne służby, to jeszcze pan Mao chce go posiekać jak pietruszkę. Jak Yao. A w dodatku włożył smoking i z powodu nagłego pojawienia się pana Mao zapomniał zabrać broń. Czy może być jeszcze gorzej?

Przystanął na środku restauracji, mając ochotę tupnąć nogą jak małe dziecko, ale nie miał odwagi wrócić na dół. Pocieszając się, że broń na pewno nie będzie mu potrzebna, bo to nie jest próba negocjacji, tylko kradzież, rozejrzał się po sali i zrobił kilka kroków do przodu.

I wtedy je zobaczył.

Dwie wariatki w średnim wieku, które kilka dni temu zmasakrowały mu stopę. A potem go obserwowały. Teraz znowu się pojawiły. Jedna grubsza w ciemnoczerwonym golfie, druga wysoka i koścista w niebieskiej bluzce z kokardką. Siedziały przy stoliku pod zdjęciem roznegliżowanej Monroe i udawały, że na niego nie patrzą. Ale patrzyły.

Znieruchomiał. Gorączkowo zaczął zastanawiać się, co zrobić.

Mógł przyprowadzić Pekińczyka i wskazać kobiety palcem. Jeden jego znak i nie wyjdą stąd żywe.

Odwrócił się i zrobił krok do tyłu. Potem znowu na nie spojrzął. Miały poczciwe twarze, patrzyły na niego z matczyną troską. Pomyślał, że te kobiety na pewno nie zagrażają ani jemu, ani akcji „Picasso”. Nawet zrobiło mu się ich żal. A potem przypomniała mu się jego matka i jej też zrobiło mu się żal. Podjął decyzję.

Uspokoił oddech, rzucił jeszcze spojrzenie na schody i szybko wyszedł.

Kiedy Igor zniknął, Beata spojrzała na Danutę zatroskanym wzrokiem.

- Jakiś taki nerwowy... Zauważyłaś? - powiedziała.

- Pewnie zestresowany i samotny. Nie tylko kobiety czują zaciskającą się pętlę. Z mężczyznami jest tak samo, tylko im trudniej się do tego przyznać.., - Danuta zamyśliła się i westchnęła ciężko, a potem wstała.

- Idę do łazienki.

Dowiedziała się od kelnerki, gdzie jest toaleta, przeszła wolno przez salę, zeszła po schodach i znalazła się na kolejnej dużej sali. Po prawej stronie zauważyła mały korytarzyk, w którym znajdowało się dwoje drzwi. Jedne były drzwiami do toalety, drugie, z tabliczką „tylko dla personelu”, wyglądające jak drzwi do schowka na szczotki, były lekko uchylone. Dochodziły stamtąd podniesione głosy. Danuta, która z reguły pilnowała własnego nosa, tym razem tego nie zrobiła. Być może dlatego, że była ciekawa, co krzyżący mężczyźni robią w schowku. Rozejrzała się uważnie dokoła, a potem na palcach podeszła do drzwi i zajrzała przez szparę.

Ku jej zdumieniu schowek na szczotki był bardziej niż obszerny, a w dodatku znajdowało się w nim jeszcze co najmniej dwoje drzwi. Zauważyła dwóch starszych Azjatów, założyła że Chińczyków, jednego w smokingu, drugiego w hanfu i z mieczem u pasa. Ich gardłowe okrzyki brzmiały wyjątkowo groźnie.

Danuta odeszła od drzwi, załatwiła, co miała załatwić, i zadowolona wróciła na górę, do stolika, gdzie czekała już na nią miska gęstej parującej zupy.

- Na dole jest Chińczyk w tradycyjnym stroju, z mieczem - powiedziała Beacie tonem przewodnika.

Beata nie była zainteresowana. W końcu przed nią stała pełna miska fantastycznie pachnącej zupy.

- A kto miał być? Eskimos? To chińska knajpa - powiedziała, po czym załadowała do ust zawartość łyżki. - Znakomita! - zachwyciła się. - Słodko-kwaśna, ale ostra, prawda?

- Jak życie, moja droga, jak życie... - Danuta westchnęła. Chwilę później, ożywiona nagłą myślą, rzuciła: - Wiesz, uważam,



że powinniśmy zastosować taktykę Jadwigi. Podejść bliżej Igora. Postawić na bezpośredniość. I to jeszcze zanim wrócimy do domu. Łatwiej nam będzie potem w Polsce znaleźć mu kogoś odpowiedniego. Możemy udawać koleżanki jego matki. I tak nie mamy nic do stracenia. Co ty na to?

Beata nie odpowiedziała, zajęta jedzeniem.

Danuta postanowiła zatem od razu wprowadzić plan w życie i wezwała kelnerkę.

Dziewczyna podeszła i grzecznie skłoniła głowę.

- Proszę mi powiedzieć, czy Igor wróci jeszcze dzisiaj do pracy? Kelnerka przestała się uśmiechać.

- Żaden Igor u nas nie pracuje - powiedziała z mocnym chińskim akcentem.

- Ależ na pewno pracuje. Igor. Z Polski - przekonywała ją Danuta, starając się nie widzieć wrogości, która nagle pojawiła się na twarzy kelnerki.

- Proszę pani, to porządna restauracja z tradycjami - wyrzucała z siebie kelnerka, połykając przy okazji niektóre zgłoski. - Tu pracują tylko i wyłącznie Chińczycy... Nie ma żadnych obcokrajowców.

- Musi go pani znać. Przed chwilą przecież wychodził. Anielski blondyn, w smokingu...

Na dźwięk słowa „smoking” nastąpiła przeraźliwa cisza. Nie słychać już było brząków szklanek ani talerzy. Nawet śpiewająca w radiu Chinka ściszyła głos.

Danuta odniosła wrażenie, że wszystkie kelnerki wbiły w nie swój wzrok. Beata także to poczuła, bo kopnęła koleżankę wymownie w kostkę. Dla świętego spokoju Danuta postanowiła zatem odpuścić. Uśmiechnęła się i przeprosiła za zamieszanie. Wydawało się, że wszystko wróciło do normy, ale agentki KMS przestały się dobrze czuć. Miały wrażenie, że są obserwowane.

Kiedy skończyły, zamówiły jeszcze herbatę, a Beata wstała.

- Idę do toalety - powiedziała, a potem mrugnęła do koleżanki. - Może będzie jeszcze ten Chińczyk w kimonie.

- Kimono to ubiór japoński - uświadomiła ją i mądrą miną Danuta. - Tradycyjny ubiór chiński to hanfu.

Beata wzruszyła ramionami, bo nie robiło jej to żadnej różnicy, i ciężko wzdychając z przejedzenia, powoli zeszła na dół. Szybko znalazła toaletę, a potem z ulgą, jaką przynosi wizyta w tym najważniejszym, obok kuchni, pomieszczeniu, wyszła i zaczęła rozglądać się za Chińczykiem z mieczem. Nikogo takiego jednak nie zauważyła. Na dole było zupełnie pusto. Uśmiechnęła się pod nosem i biorąc opowieść koleżanki za dowcip, zajrzała jeszcze za uchylone drzwi do, jak jej się wydawało, pomieszczenia gospodarczego.

Na podłodze w kałuży krwi leżał mężczyzna w smokingu.

Beata zamknęła oczy. Otworzyła oczy. Mężczyzna wciąż leżał. Nie przesunął się nawet o centymetr.

Zamknęła drzwi, jakby bała się, że zakrwawione zwłoki wstaną i wybiorą się na spacer, i odwróciła się gwałtownie. W jednej sekundzie znalazła się przy stoliku.

Danuta spojrzała podejrzliwie na wzburzoną koleżankę.

-1 co? Widziałaś Chińczyka? - zapytała obojętnie, podnosząc do ust filiżankę.

- Tak. Trupa Chińczyka! - zdołała wydusić Beata.

- W hanfu? - Danuta parsknęła śmiechem.

- Nie. W smokingu - poprawiła ją drżącym głosem koleżanka. Danuta odruchowo zerknęła na leżącą na stoliku paczkę papierosów. Jej uśmiech stężał nagle.

- *Smoking kills* - przeczytała napis na pudełku. Potem utkwiała poważny wzrok w Beacie. - Jesteś pewna, że nie zaszkoziły ci grzybki?

- Poważnie mówię - syknęła Beata i spojrzała nerwowo na bar. - Chodź, sama zobaczysz.

Danuta odstawiła filiżankę, wstała i podążyła za koleżanką. Obie, czując na sobie podejrzliwe spojrzenia kelnerek, uśmiechając się niewinnie, powoli zeszły schodami. Na dole, gdzie nikogo prócz nich nie było, przestały się uśmiechać. Znalazły się

w małym korytarzyku. Danuta przyłożyła ucho do drzwi z napisem „tylko dla personelu”.

- Nic nie słysząc - szepnęła.

- A co ma być słysząc? - zirytowała się również szeptem Beata. - Trup to trup. Nie mówi. A jak peroruje, to nie jest trupem.

Jako że jakaś logika w tym była, Danuta westchnęła i odsunęła ucho od drzwi. Potem z wahaniem nacisnęła klamkę.

Oczom spiętych kobiet ukazał się najpierw stół z trzema krzesłami, potem kodowane szafki i kolejne drzwi. A na podłodze leżał mężczyzna w smokingu z roztrzaskaną głową. W kałuży krwi. Tak jak mówiła Beata.

- To... niemożliwe. Może to ta zupa? - szepnęła Danuta, zamykając i otwierając oczy.

- Zupa czy nie, nabawiłam się wstrętu do chińszczyzny... Beata nie skończyła jeszcze mówić, kiedy nagle usłyszały

dźwięk spuszczonej w toalecie wody i zza bocznych drzwi znajdujących się w głębi pomieszczenia wyłonił się Chińczyk. W hanfu. Na widok intruzów zamarł, a potem rozcapierzył palce jak atakujący goryl i rzucił się w kierunku trupa. Zapewne chciał sięgnąć po zakrwawiony miecz leżący obok.

Kobiety bez słowa, ale za to z krzykiem w oczach odskoczyły i zatrzasnęły za sobą drzwi. Potem docisnęły je własnymi kilogramami. Nagle Danuta tuż przed swoim nosem zobaczyła ostrze miecza, które wbijało się w deskę jak siekiera. Mężczyzna z wściekłością zaczął siekać drzwi. Danuta wrzasnęła dziko i pociągnęła Beatę na schody. Na szczęście mężczyzna, zajęty rąbaniem, nie od razu zauważył, że drzwi nie są już zablokowane.

W jednej chwili kobiety były na górze. Dysząc, dotarły do stolika i zaczęły gorączkowo przywoływać kelnerki. Wkładając płaszcze, strąciły szklanki. Brzęk rozbijającego się szkła zabrzmiał donośnie. I złowrogo.

Beata znieruchomiała.

- Danuta, dlaczego nikogo nie ma? - szepnęła, sztywniejąc ze strachu.

Danuta rozejrzała się. Wszyscy klienci zniknęli, a jedynym znakiem, że kiedykolwiek znajdowali się w restauracji, były pozostawione na stołach kieliszki z niedopitym alkoholem i naczynia, niektóre nadal pełne pachnących smakowicie potraw.

Odgłosy rąbania ustały. Nastąpiła straszliwa cisza.

- To przestaje być śmieszne - wydusiła nerwowo Beata, chwytając torebkę.

- Śmieszne!?! - parsknęła Danuta. - Ta historia od samego początku nie była zabawna. Zaśmiałaś się chociaż raz!?

Kelnerki stały i zza drzwi do kuchni przypatrywały się obojętnie zdenerwowanym kobietom. Już nie kiwały grzecznie głowami. A jedna trzymała miotłę jak partyzant bazukę.

Kiedy na schodach pojawił się Chińczyk z mieczem w dłoni, Danuta i Beata zaczęły cofać się w popłochu, ale zamknięte drzwi nie pomagały w ucieczce. Beata, w napadzie hysterii czy pod wpływem instynktu samozachowawczego, wrzasnęła strasznym głosem, chwyciła butelkę wina z półki przy drzwiach i rzuciła nią w mężczyznę. Ale ten nadal się zbliżał. Jakby był odporny na latające procenty. Rzuciła drugą. I trzecią. Dopiero piąta trafiła go w głowę, zachwiał się i upadł.

- Niby to hanfu, ale w kimono uderzył - mruknęła do siebie. A potem wrzasnęła na Danutę: - W nogi! Wybij okno krzesłem, a ja będę razić butelkami tych, co mi wejdą w pole!

- Jakie pole? - miotła się Danuta, zastanawiając się histerycznie, czy zdoła uratować paczkę papierosów, która została na stole.

- Rażenia, kobieto! Teraz!

Danuta chwyciła krzesło i z całych sił rzuciła nim w szybę. Dźwięk tłuczonego szkła i gwałtowny podmuch zimnego powietrza agentki KMS powitały z wielką ulgą. Wyskoczyły przez okno, wprost na chodnik i w deszcz. Beata odwróciła się jeszcze.

- Wstał! - rzuciła, zachłystując się powietrzem. - Gonia nas! - pisnęła z narastającym przerażeniem, biegnąc za koleżanką.

-Kto?

- Wszyscy!

Danuta spojrzała za siebie i jej oczom ukazał się niezwykle widok. Mokrymi ulicami biegły za nimi nie tylko kelnerki w czarnych wdziankach wykrzykujące coś gardłowo, ale także dwóch kucharzy w białych czapkach. Ofensywą dowodził stary Chińczyk w hanfu z podniesionym mieczem.

- Są tuż za nami! Szybciej! - dyszała Danuta.

Biegły środkiem ulicy, modląc się o jakiegokolwiek służby mundurowe. Ale żadnego policjanta nie było. Zresztą cała chińska dzielnica wydawała się wspierać biegnących pracowników Cesarzowej Syczuanu z Chińczykiem wywijającym mieczem na czele. Najpewniej już nieraz wielu z nich miało do czynienia z jego ostrzem. Samochody trąbiły, przechodnie odsuwali się, stukając się wściekle po głowach, a one biegły, jakby goniło je stado rozwścieczonych smoków, strażników Cesarzowej Syczuanu.

- Już nie mogę... - zdołała wydyszeć w końcu Beata i zgięła się wpół.

- Gdzie mnie ciągniesz!?

- Tam jest... jakaś alejka... schowamy się! - Ostatkiem sił koleżanka pociągnęła ją za róg budynku.

Alejka była wąska, śmierdziała moczem i starymi rybami. A już po chwili okazało się, że Chińczycy też ją znają. I to na wylot, bo i z jednej, i z drugiej strony zaczęły się pojawiać złowrogie cienie.

- To chyba już koniec - wydyszała Danuta. Bez papierosa nie była w stanie rozwinąć w pełni swoich możliwości twórczych i nawet wyobrazić sobie, w jaki sposób wywinąć się wściekłym Chińczykom.

Beata z desperacją spojrzała w górę. Nad sobą zobaczyła jakiś szyld. Złożyła ręce.

- Los Noodles Factory... Czyż to nie piękne miejsce, żeby umrzeć? Noodles... Kocham makaron - wyznała ostatnim tchem i zamknęła oczy.

Danuta znieruchomiała. Przerazenie i wysiłek fizyczny połączony z głodem nikotynowym osłabiły ją zupełnie. Nadmiar tlenu zabija. I też zamknęła oczy w oczekiwaniu na ostateczny cios.

## ROZDZIAŁ 278

Siedzieli w samochodzie, a szyby zaparowane od intensywności uczuć zdawały się odcinać ich od zewnętrznego świata. Krystyna skończyła mówić już dawno i wpatrywała się w Freda, którego mina wskazywała na to, że właśnie przeżył umysłowy nokaut.

- Co ty mi za bzdury opowiadasz? - wyrzucił w końcu z takim niedowierzaniem, że gdyby nie okoliczności, Krystyna na pewno umarłaby ze śmiechu. - Czy ty myślisz, że ja uwierzę w jakąś... dywersję matek?

- Taaak. - Pokiwała głową, ale nawet na nią nie spojrział. Za to od nowa rozpoczął przesłuchanie.

- Dla kogo pracujesz? Krystyna westchnęła ciężko.

- Dla KMS - powtórzyła cierpliwie po raz setny.

- Czy to jakaś tajna agencja obcego rządu?

- To klub zrzeszający matki...

- Dość! - przerwał jej straszliwym głosem, rozglądając się dokoła, jakby szukał czegoś, na czym mógłby wyładować swoją frustrację. - Nie mogę tego znieść! - I walnął pięścią w kierownicę.

Krystyna wpatrywała się w niego wielkimi niebieskimi oczyma, ale widząc, że tym razem pozostaje obojętny na jej niewinne spojrzenie, wzruszyła tylko ramionami.

- Czy ty naprawdę umówiłaś się ze mną tylko po to, żeby Archibald spotkał w Royal Albert Hall tę barmankę? - usłyszała po chwili dziwnie drgający głos.

Westchnęła ciężko, zmęczona powtarzaniem w kółko tego samego. Wtedy Fred wybuchnął śmiechem. Ryczał tak, jakby dostał pomieszania zmysłów. Od tego całego zamieszania.

- Moje *ego* właśnie wykrwawia się na śmierć - rzucił w końcu, ocierając łzę. - Już dawno się tak nie ubawiłem.

Krystyna zmarszczyła brwi.

- To nie jest śmieszne - oświadczyła obrażona.

- Masz rację, to wcale nie jest śmieszne... - Otarł kolejną łzę. - Jesteście takie same jak te arystokratyczne matki, które szukają dla dzieci partnerów z odpowiednim rodowodem.

- Naprawdę nie dostrzegasz różnicy? - zapaliła się Krystyna. - Nie.

Zaczęła mu tłumaczyć.

- My nie zmuszamy nikogo, żeby związał się z konkretnym mężczyzną albo z konkretną dziewczyną z powodu rodowodu czy pieniędzy - mówiła bez zająknięcia. - Tu nie chodzi o błękitną krew, tylko o szczęście, które daje jedynie związek z odpowiednim partnerem...

- Odpowiednią partią - mruknął, ale Krystyna nie zwróciła na to uwagi.

- My łączymy na podstawie skomplikowanych systemów, profilów, gwiazd, konfiguracji...

- Koligacji...

- Wcale nie! Podsuwamy ludzi, którzy mogą dać sobie szczęście. Tworzymy sytuacje. To dzięki nam przeznaczenie ma drugą szansę. A czasami kolejną.

- Nie jesteście przeznaczeniem - prychnął. - Jesteście bandą kobiet, które chcą uszczęśliwiać ludzi na siłę.

- Nazwij to, jak chcesz. Przeznaczenie działa na różne sposoby.  
- To nie przeznaczenie! To sztuczna rzeczywistość.  
- Nie sztuczna! Alternatywna, a to różnica. To, co. ty nazywasz prawdziwym przeznaczeniem, to zbiegi okoliczności, jakieś ciągi przypadkowych zdarzeń. Coś się dzieje, bo ktoś zapomniał zamknąć drzwi. Mówią, że okazja kusi złodzieja, ale wiesz co? Okazja kusi także miłość! Na tym polega nasz sukces.

Przez chwilę panowała cisza.

- Okazja kusi nie tylko złodzieja, ale i miłość - powtórzył z uśmiechem. - Ty naprawdę w to wierzysz.

Krystyna podniosła na niego niewinne niebieskie oczy i zatrzepotała rzęsami.

-Tak.

- Jesteś pewna, że nie pracujesz dla żadnego wywiadu? Pokręciła głową.

- Może chociaż mongolskiego?

- Przestań! - Roześmiała się. - Jak ci to w ogóle mogło wpaść do głowy?

Przez chwilę nie odpowiadał. Czoło przecięła mu gruba zmarszczka.

- Ojciec Archibalda poprosił mnie, żebym miał oko na chłopaka. Jest jeszcze niedojrzały, zbyt naiwny. Plątał się po podejrzanych spelunach, mimo związanych z tym niebezpieczeństw... - Spojrzał na Krystynę, a potem spokojnie wyjaśnił: - Lord Nelson ma wielu wrogów.

Krystyna znieruchomiała. Przyszło jej coś do głowy.

- Dlatego właśnie pobiłeś w pubie tego Francuza, Pierre'a? -zapytała podchwytliwie. - Dowiedziałaś się czegoś niepokojącego...

- Skąd! - przerwał jej zdecydowanie. Znowu zbliżył usta do jej ucha. - Chciałem ci tylko pokazać, że moje mięśnie nadal działają, jak trzeba.



Krystyna zaczynała się dusić. Miała wrażenie, że feromony, testosteron i inne podejrzane substancje chemiczne parują i spalają się w powietrzu, zupełnie jak sztuczne ognie. Księżyc wypełniał niebo, uparcie oferując niezapomnianą atmosferę.

Motyle wróciły.

Ale najwyraźniej to nie był dobry dzień dla owadów. Odwracając kokietująco głowę, by Fred mógł podziwiać ją z półprofilu i by jej wargi znalazły się bardzo, bardzo blisko jego ust, Krystyna kątem oka zobaczyła coś, co sprawiło, że krew odpłynęła jej z twarzy.

- Fred... - wyszeptała i wskazała dłonią okno.

Tuż za oknem, w mroku, majaczyła jakaś postać.

W ręku trzymała broń.

## ROZDZIAŁ 282

Jadwiga, roztrzęsiona i biada, chwyciła swoją torbę i przeskoczywszy przez leżącego w przejściu mężczyznę, wypadła na ciemny korytarz. Zderzając się przy tym z framugą. Wydawało się jej, że dłoń Kowalskiego, lodowata i sztywna, nadal trzyma ją za ramię. Drzwi, przez które weszła do rekwizytorni, były zamknięte. Odwróciła się i ruszyła w drugą stronę, cały czas obijając się o ciemne mury korytarza. Na szczęście drzwi z drugiej strony były otwarte. Wybiegła na dziedziniec i zachłysnęła się zimnym powietrzem. Przez chwilę kręciła się w kółko, ale zdołała się opanować. Kiedy wymknęła się w końcu z teatru i znalazła z powrotem na nabrzeżu, drżącą ręką sięgnęła do torby. Wyczuła broń. Zimno metalu przyniosło jej niespodziewany spokój. Potem wyciągnęła telefon, który włożył jej do torby Kowalski. Chciała zadzwonić do Alicji, ale nie знаła numeru. A nawet gdyby znała, to i tak nie byłoby to możliwe, bo przecież aparat miał blokadę połączeń wychodzących. Nie znalazła swojej komórki. Najwyraźniej zabrał ją Kowalski.

Zdesperowana zastanawiała się, co robić. Ruszyła w lewo. Potem się zatrzymała. Spojrzała na zegarek.

I nagle wpadła jej do głowy myśl, której uchwyciła się kurczowo. Może wszystko, co powiedział Kowalski, to blef?

Zdecydowała, że najpierw pojedzie do mieszkania Alicji, a dopiero potem na komisariat.

Nie pamiętała drogi. Wszystko było rozmazane, nierealne. Irracjonalne.

Świat odzyskał kontury, a Jadwiga ostrość widzenia, dopiero kiedy stanęła przed niebieskimi drzwiami, naprzeciwko budki z kebabami halal. Nerwowo wcisnęła guzik domofonu. Po chwili usłyszała krótkie „halo”.

- Jestem koleżanką Krystyny - rzuciła po polsku. - Czy mogę wejść?

- Pani Krystyny nie ma. Przyjechał po nią królewicz z bajki - oświadczył zirytowany głos. - Zresztą po Alicję też.

- Czy możesz mnie wpuścić? - zapytała zdesperowanym tonem Jadwiga.

- Jeśli tylko przyprowadziła pani jednego dla mnie... W końcu każdy ma prawo do sobotniej randki z królewiczem, prawda? - usłyszała parsknięcie. Potem westchnienie. I mruknięcie. - Po schodach na górę, niebieskie drzwi. - I drzwi zostały otwarte.

Jadwiga w mgnieniu oka znalazła się na piętrze, a kiedy drzwi się uchylły, nie czekając na zaproszenie, władowała się do środka.

Zobaczyła prześliczną młodą dziewczynę ubraną w stary sweter. Na jej bladej twarzy pozbawionej makijażu pojawił się lęk, ale szybko zniknął zastąpiony przez arogancki uśmiezek. Nie dostrzegła zapewne zagrożenia - w końcu widziała tylko panią w średnim wieku. Założyła ręce i wydeła z niesmakiem swoje idealnie pełne usta.

- No proszę, jakie pani Krysia ma koleżanki... .

- Justyna, prawda? - przerwała jej Jadwiga. Dziewczyna skinęła twierdząco głową i zlustrowała kobietę

podejrzliwie, próbując zorientować się, z kim ma do czynienia.

- Kto po nią przyjechał?

- Po panią Krysie? Szofer tego bubka, z którym Alicja pojechała do Holland Park.

- Wszyscy pojechali do Holland Park? - zapytała Jadwiga z nadzieją. Dziewczyna pokręciła głową i poprawiła wytarte dzinsy.

- Szofer? Na przyjęcie do lorda? Skąd! - powiedziała. - Alicja, ta tupeciara, tak, bo znalazła sobie prawdziwego królewicza, ale pani Krystyna takiego szczęścia nie miała. Wprawdzie z tego, jak się zachowywała, co w jej wieku musi mieć, podkreślam: musi mieć, jakieś reperkusje dla zdrowia, wywnioskowałam, że planowali coś specjalnego... - Uśmiechnęła się. - Zresztą założyła seksowną sukienkę... - Widząc, że Jadwidze nie jest do śmiechu, mruknęła: - Mówiła, że wybierają się na wieś.

Jadwiga zamknęła oczy. Czuła, że obezwładnia ją słabość. I uderzenia gorąca. Jedno za drugim. „Jeśli Krystyna jest z Fredem, to oboje mogą być w niebezpieczeństwie”, pomyślała.

- Wody... - poprosiła cicho.

Przez chwilę wydawało się, że dziewczyna odmówi, ale potem z rezygnacją zaprowadziła Jadwigę do kuchni.

- Pani też ma napady duszności, co? To menopauza, nic pani nie będzie - mówiła uspokajająco, podając Jadwidze szklankę.

Jadwiga nie skomentowała. Zapytała jeszcze o tabletki przeciwbólowe. Kiedy je dostała, połknęła je szybko i duszkiem wypiła wodę. Poczuli się trochę lepiej.

- Dobrze znasz Alicję? - rzuciła, odstawiając szklankę na stół.

- Jak dobrze można znać kogoś, kogo prawie w ogóle się nie widuje? - odpowiedziała Justyna. - Nie znam jej. Ale płaci regularnie swoją połowę czynszu. - Wzruszyła ramionami. - Myślałam, że pani szuka pani Krystyny...

- Krystyna jest w niebezpieczeństwie - powiedziała Jadwiga, zaskakując tym oświadczeniem bardziej samą siebie niż Justynę. - Alicja może być zamieszana w jej porwanie. Pojechała z Archibaldem na przyjęcie, bo chce wykraść tajne dokumenty z rezydencji w Holland Park.

Przez chwilę panowała cisza. A potem Justyna wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak, że aż musiała usiąść.

Jadwiga wcale się nie śmiała. Zbierało się jej na płacz.

- Naprawdę - powiedziała i potarła piekące oczy. - Chciałyśmy pomóc Alicji umówić się z Archibaldem. Miała o tym nie wiedzieć.

Uśmiech na twarzy Justyny stężał.

- Nie wie pani, że to niemoralne? - oświadczyła dziewczyna drżącym głosem. - Pani jest jak... jak moja matka. Do wszystkiego nos wsadzi!

- Podaj mi numer telefonu Alicji. - Jadwiga nie była zainteresowana ani matką, ani też babką dziewczyny.

- Nie zabrała komórki - burknęła Justyna. - Leży na stole w jej pokoju.

Jadwiga bez słowa wybiegła z kuchni i rzuciła się do pierwszych drzwi, które zobaczyła.

- Co pani robi? To mój pokój! - zaprotestowała zdenerwowana Justyna, chwytając ją za rękę.

Jadwiga wyrwała się i otworzyła kolejne drzwi. Weszła do małego pokoju, w którym znajdowało się jedynie wąskie łóżko, biurko i stara szafa. Rozgorączkowana chwyciła telefon leżący na biurku, ale nie mogła go uruchomić, bo był chroniony kodem. Poza telefonem na biurku znajdowało się jedynie kilka kosmetyków. Otworzyła szuflady. Niczego nie znalazła. Żadnego dowodu na współpracę Alicji z Kowalskim. Wszystko wyglądało normalnie.

Justyna stała z założonymi rękami i groźną miną.

- Jeśli pani zaraz nie przestanie, dzwonię na policję - wysyczała w końcu. Potem ze złośliwym uśmiechem dodała: - Założę się, że jest pani pacjentką pani Krystyny.

Jadwiga nie odpowiedziała. Forsowała szafę. Przerzuciła parę ubrań. Znalazła plecak, a w jego kieszeni dowód osobisty. A potem drugi.

- Alicja Makowiecka - przeczytała. - Zamieszkała we Wrocławiu. Rok urodzenia 1979.

A potem spojrzała na kolejny dowód. Alicja Nowak. Rok urodzenia 1982.

Mina Justyny wyraźnie zrzędała.

- Z kim ja mieszkam? - wyszeptała. - Ale numer! - Przechadzała się po pokoju w tę i z powrotem, wydając się całkiem zadowolona z obrotu spraw. - Nie mogę w to uwierzyć... - szeptała do siebie. Nagle zatrzymała się. - Pani Jadwigo, wiemy, że Alicja jest w Holland Park. Możemy tam pojechać i zepsuć jej bal! - zaproponowała z błyszczącymi oczyma. - Nigdy jej nie lubiłam. Teraz już wiem dlaczego, bo jest oszustką. Ma się ten szósty zmysł.

Jadwiga gorączkowo potrząsnęła głową.

- Też o tym myślałam, ale najważniejsze jest bezpieczeństwo Krystyny. Muszę jechać na policję...

Justyna prychnęła.

- Naprawdę pani uważa, że policja spełni żądania porywaczy? Złapią Alicję i na tym się skończy. Mówię pani, jedźmy do Holland Park - kusila. - Wywołamy ją z przyjęcia, pani wydobędzie od niej wszystkie informacje, a ja w tym czasie zajmę się Archibaldem...

Jadwiga zatrzymała się niezdecydowana.

- No nie wiem...

- Nie wierzy pani, że potrafię zainteresować sobą każdego faceta? - zapytała z uśmiechem kobiety, która doskonale wie, że ma nad mężczyznami władzę absolutną. A potem, myśląc zapewne o rudym barmanie z dłońmi jak łopaty, mruknęła: - Prawie każdego.

- Myślisz, że Archibaldowi będzie wszystko jedno? Że nie zauważy? - zapytała ironicznie Jadwiga.

Na twarzy Justyny pojawił się przebiegły uśmiech.

- Gdyby pani ktoś podmienił opla na mercedesa klasy S i powiedział, że może sobie pani pojeździć limuzyną, też by pani zauważyła różnicę, ale nie miałyby problemów z zaakceptowaniem zamiany, prawda? A co dopiero, gdyby była pani mężczyzną... Natomiast jeśli chodzi o mnie, to obrzydliwie bogaty arystokrata do pewnego stopnia zrekompensowałby mi straty moralne.

- Jakie straty moralne?

- Każde - wycedziła Justyna. - Pokazałabym przasnym Hankom, kto tu rządzi!

Jadwiga nie zrozumiała aluzji do przasných Hanek, ale nie dopytywała się. Zastanawiała się, co robić. Jechać na policję czy postarać się dopaść Alicję i dokumenty? Czowała, że traci grunt pod nogami. Była na obcym terenie, na dodatek sama, i nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Nie miała kogo postraszyć, przekupić. Ewentualnie pobić.

- Możemy też przeszukać pobliskie wsie... - zasugerowała jeszcze dziewczyna. - Ale to potrwa

- Gdzie ona może być!? - jęknęła Jadwiga.

- Przydałaby się kryształowa kula - powiedziała Justyna, przyglądając się krytycznie swoim paznokciom.

Jadwiga znieruchomiła i wpatrzyła się w siedzącą obok dziewczynę

- Że też sama na to nie wpadłam! - wykrzyknęła. Wstała gwałtownie i ruszyła do drzwi. Justyna nie zastanawiając się ani chwili, chwyciła za kurtkę i pobiegła za nią.

## ROZDZIAŁ 55

Danuta czekała na ostateczny cios.

Czekała jednak i czekała... Nie działało się nic, a martwa cisza, jaka zapadła, wydała jej się nie do zniesienia. Postanowiła spojrzeć śmierci w oczy. I sprawdzić, co jej opóźnia żniwa.

Ostrożnie podniosła powieki.

Przed sobą zobaczyła stojących w równym szeregu swoich prześladowców i prześladowczynię, którzy wpatrywali się jak zahipnotyzowani nie w nią i nie w Beatę, która tkwiła tuż obok, ściskając ją za rękę, ale w przestrzeń za nimi.

Danuta opanowała gwałtowną chęć machnięcia dłonią i okrzyku: „Tu jestem, zróbcie to w końcu”, i dyskretnie się obejrzała.

Za nią stała terakotowa armia cesarza Qin Shi. Nieruchoma, zastygła i niema. Miecze zostały zastąpione przez butelki i wałki, zbroje przez białe fartuchy, ale miny były takie same. Niewzruszone. I groźne.

Najwidoczniej pracownicy Los Noodles Factory wylegli przed budynek, żeby pomóc dwóm ciemieżonym przez ludzi Pekinczyka kobietom.

Przez chwilę Danuta miała nadzieję, że czas stanął w miejscu, że mają szansę po cichu, na palcach, wycofać się i zniknąć, ale akurat w tym momencie w jej torbie zadzwieczał telefon.



Wtedy terakotowa armia ożyła. Mężczyźni podnieśli ręce uzbrojone w prowizoryczną broń i wydali okrzyk tak straszliwy, że stojące przed nimi kelnerki zaczęły uciekać jak lwice przed napalonymi lwami. Chińczyk z mieczem ocenił sytuację i także rzucił się do ucieczki.

Danuta spojrzała na Beatę.

Zaczęły biec.

## ROZDZIAŁ 290

Na szczęście drużyna Millwall wygrała mecz i nie trzeba było bronić honoru klubu poza murawą. Wprawdzie w drodze ze stadionu Krewetka dołożył jednemu z wrogiego obozu, który ryzykownie oddalił się od swojej grupy, ale co to za bójka, skoro to on jemu wybił ząb. Potem, usatysfakcjonowani i niesieni na fali zwycięstwa, machając rękami jak sztandarami, wladowali się do taksówki Barry'ego i pojechali w kierunku Chester Square, gdzie umówili się z Igorem.

- *No one likes us and we don't care, we are Millwall from the den!* - skandowali głośno, zachrypniętymi od krzyku głosami. Wszystko wydawało się im sprzyjać, przynajmniej do czasu kiedy na środek ulicy wybiegła niespodziewanie kobieta i wyciągnęła rękę.

Krewetka zahamował tak ostro, że Li, który siedział z przodu, o mało nie rozbił głowy na szybie tudzież szyby głową.

- Co, do cholery!?! - Krewetka nadał się i poczerwieniał, jakby go właśnie wrzucono na patelnię. - Czy pani oszalała!?! - wrzasnął głośniej, wystawiając głowę przez okno. - Mogłem panią przejechać!

Kobieta zrezygnowała ze swojej dramatycznej pozy, podbiegła do okienka i spojrzała na niego strasznym wzrokiem.

- Moja córka... - jęknęła, wskazując na śliczną młodą dziewczynę stojącą na chodniku z kurtką w rękę i wpatrującą się w nich z podejrzaną ekscytacją. - Moja córka... - powtórzyła i zabrakło jej tchu. Najwyraźniej nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

Li także nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Poznał zielony płaszcz kobiety w średnim wieku i zapadł się w fotelu.

- Co z nią? - zapytał Krewetka, nie dostrzegłszy nagłej alienacji kolegi.

- Ona rodzi! - wyrzuciła z siebie kobieta i zasłoniła dłońmi oczy.

Krewetka spojrział na młodą kobietę, która stała z rozdziawionymi ustami, jego wzrok jednocześnie ze spojrzeniami wszystkich obecnych zjechał na jej brzuch. Którego nie było widać. Może dlatego, że zasłaniała go puchowa kurtka?

-Ale... tak jakby... nie wygląda... - Krewetka spojrział na „matkę”.

Ta obrzuciła „córkę” krytycznym matczynym spojrzeniem.

- Bo przedwcześnie rodzi! - wykrzyknęła po chwili, zrozpaczona. - Pomoże pan?

Krewetka spojrział na siedzącego obok Li, ale ten nadal udawał strusia.

- Proszę wsiadać - powiedział, ale niezachęcająco. Jednak się zgodził. W końcu każdy potrzebuje spełnić od czasu do czasu dobry uczynek. To pozytywnie wpływa na samoocenę.

Kiedy kobiety ładowały się do taksówki, Li nachylił się i syknął do Krewetki:

- Czyś ty zwariował? Przecież jedziemy na akcję. Krewetka spojrział na Li jak na bezdusznego psychopata.

- Rodzącej nie pomogę? - wyszeptał. - Poza tym mamy czas, *maté*, nie panikuj. - Potem, pokazując swoją wyższość i wrażliwość na potrzeby innych, włączył silnik i rzucił pocieszająco do siedzących z tyłu kobiet: - Proszę się nie martwić, jeśli nie zdążymy. Kiedyś odbierałem już poród, *maté*. Kobieta rodziła pod

kolumną Nelsona na Trafalgar Square. Ale była akcja... - Zachichotał na samo wspomnienie.

Pomimo uspokajającego tonu Krewetki z tyłu panowało zamieszanie. „Córka” wydawała się dusić ze śmiechu, ale Krewetka podejrzewał, że raczej ukrywa skurcze, wdychając zapewne coś, czym nasączona była chusteczka, którą przykładła do nosa. W końcu widział już dwa porody w życiu i wie, co to za ból. Aż sam musiał wdychać gaz rozweselający, tak bolało.

- Boli, co? - zapytał zatem współczująco, zupełnie ignorując Li.

„Córka” przestała się śmiać. Bo chyba nie do końca wypadało.

- Boli! - krzyknęła i spojrzała na „matkę”, szukając u niej źródła inspiracji. Potem poprawiła kurtkę, którą najwyraźniej ogrzewała brzuch.

- To pewnie skurcz, *mate* - odezwał się pocieszająco Krewetka.

- Pewnie pełne rozwarcie! - wykrzyknęła kobieta. - Musimy się śpieszyć!

„Córka” znowu wybuchnęła śmiechem.

- Przepraszam, to histeria. Ja rodzę! - Znowu przysunęła chusteczkę do ust.

- Ja pierniczę, *matel* To rzeczywiście trzeba gaz do dechy! - wykrzyknął podekscytowany Krewetka. - Który szpital!?

- Najpierw do pubu - jęknęła „matka”. - Ulica Vauxhall Bridge. Krewetka znieruchomiał. Nawet Li odwrócił się, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Kobieta, widząc ogólne zdumienie, uśmiechnęła się z trudem i wyszeptała:

- Musi sobie dziewczyna chlapnąć na odwagę, nie? Niezbadane są wyroki boskie...

- Amen, *mate* - rzucił Krewetka, skręcając w prawo. - Sprawiała pani, że mam ochotę iść do kościoła.

- A ja do pubu - mruknął pod nosem Li.

Rodząca nic nie powiedziała, tylko zaczęła się śmiać jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ 293

Jadwiga wpadła do pubu jak huragan i zupełnie nie przejmując się dwoma podejrzanymi typami siedzącymi przy stoliku pod spaloną żarówką, rzuciła się do baru. Za ladą dostrzegła Kubę.

- Ty! - rzuciła po polsku, rozpoznając chłopaka. - Gdzie wróżka?

Klienci, słysząc obcą mowę, podnieśli łby i wpatrzyli się w nieznaną kobietę, jakby chcieli z jej gestów wyczytać przekazywaną informację. Najwyraźniej nie lubili nieudomówień. Kuba rozpoznał Jadwigę, a że wcześniej miał przez nią problemy, chciał uciec. Wtedy zza pleców kobiety wysunęła się dziewczyna. Wyglądała znajomo. Przynajmniej jej fryzura *d la* Brigitte Bardot.

- Justyna? - zdumiał się i zmrużył oczy.

Justyna spojrzała mu głęboko w oczy i zatrzepotała rzęsami (lekką muśniętymi maskarą), do trzepotu dodając uwodzicielski uśmiech. Bez szminki. Kuba wpatrywał się w nią oszołomiony. Widząc, że nowa taktyka działa, Justyna zachłysnęła się radością, ale zaraz potem przestała się uśmiechać.

- Pani Krystyna może być w niebezpieczeństwie - powiedziała przejęta. - Gdzie jest wróżka?

Kuba bez słowa zadzwonił, gdzie trzeba, a potem przeprowadził kobiety przez męską toaletę na drugą salę, ostrożnie i powoli,

jak przez pole minowe, tłumacząc im po drodze, że wróżka na pierwszą salę się nie zapuszcza z powodu nagromadzenia nadprzyrodzonych sił. Usadził je przy stoliku i wyraźnie zaniepokojony, wrócił za bar.

Wtedy zjawiała się *Madame Klara*. Weszła na salę i momentalnie światło przygasło.

Na widok wróżki Jadwiga zerwała się z krzesła, podbiegła do niej i chwyciła jej szponiastą dłoń. Zaraz ją jednak puściła.

- Nie mogę znaleźć Krystyny! - jęknęła histerycznie. - Nie ma jej tu przypadkiem? Nie mówiła ci, dokąd jedzie? - dopytywała się. - Miała jechać na wieś ze znajomym...

Wróżka spojrzała na nią z niechęcią.

- Nie - oświadczyła krótko i odwróciła się, żeby odejść. Desperacja Jadwigi sięgnęła zenitu.

- Ale... Janina, wymyśl coś, pomóż... Gdzie ona może być? Wróżka uśmiechnęła się przerażająco, jak zwykle, a potem wrzasnęła:

- Co ty sobie myślisz!? Że ja ci adres dam!? Myślisz, że kulę z GPS-em ze sobą wożę!? Chciała, żebym znowu brała leki, to znowu zaczęłam brać i teraz... przestali mówić. Nic nie słyszę. - Uśmiechnęła się błogo i postukała po głowie. - Spokój i ciszę mam. Jak w sanatorium. Nic nie słyszę.

- Może musi pani wejść wyżej!? - wtrąciła nagle Justyna, podchodząc bliżej.

Kuba obserwujący całe zamieszanie zza lady, zachichotał, ale umilkł pod wpływem intensywnego wzroku dziewczyny. I wróżki.

- Dziecko, czy ty myślisz, że tu chodzi o zasięg? O jakąś antenę? Ludzie - zaczęła mówić swoim dudniącym głosem i wywracać oczyma - opamiętajcie się! Kiedy w końcu zrozumiecie, że są rzeczy, których nie jesteście w stanie pojąć!? - Potem uspokoiła się i poklepała Jadwigę po plecach. - Odpocznij, ten stres cię wykańcza! Ja mam dość tej całej emigracji. Wracam do domu! - oświadczyła. Wyszczrzyła jeszcze swoje paskudne

zęby i niezatrzymywana przez nikogo, oddaliła się w tylko sobie znajome miejsce.

Światła znowu rozbłysły.

Jadwiga opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. Łudziła się, że przyjazd do pubu coś zmieni, że dowie się tutaj czegoś, co wpłynie na rozwój wydarzeń. Czuła, jak krew jej tężeje, a ciśnienie podnosi się do niebezpiecznych granic. Nagle poczuła na swoim ramieniu czyjąś drżącą dłoń. Podniosła głowę. Justyna wpatrywała się w drzwi męskiej ubikacji.

- Idą tu - wyszeptała zaniepokojona. - Tamci dwaj...

Drzwi do męskiej ubikacji rzeczywiście się otworzyły, jak brama do innego wymiaru, jak przejście między dwoma światami, i przeszli przez nie dwaj mężczyźni. Jeden wielki, biały i misiowaty, drugi szczupły, niepozorny Murzyn. Ten wielki misiek usiadł koło Jadwigi.

- Co się stało z panią Krystyną? - zapytał z bardzo wyraźnym rosyjskim akcentem.

Jadwiga przełknęła ślinę.

- Została porwana - wyszeptała otwarcie, bo nie było czego ukrywać. Może z wyjątkiem własnej głupoty.

- Porwana? Przez kogo? - zapytał zupełnie spokojnie, jakby pytał o prognozę pogody. Albo jakby porwania to był jego chleb powszedni.

Jadwiga była tak roztrzęsiona, że nie zwróciła na to uwagi.

- Chodzi o jakieś tajne dokumenty - wymamrotała, starając się powstrzymać łzy. Przecież nie beczała nawet podczas rozvodu.

- Jakie dokumenty? - wypytywał cierpliwie Rosjanin.

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć!? - wrzasnęła. Jej desperacja sięgnęła zenitu. Otworzyła torebkę i chaotycznie zaczęła szukać chusteczek higienicznych.

Wyciągnęła pistolet.

Przez chwilę patrzyła na broń w swojej drżącej dłoni, a potem odwróciła się do Rosjanina, chcąc wytłumaczyć. Nie zdążyła.

Mężczyzna trzymał w ręku własną broń, którą zresztą przykładał jej do skroni. Murzyn odebrał jej pistolet. Znieruchomiała, bardziej zdumiona niż przerażona zaskakującym obrotem spraw. Usłyszała pisk Justyny.

- Dla kogo pracujesz? - zapytał cicho Rosjanin. Dał znak ręką i Murzyn momentalnie zamknął drzwi, potem rozkazał oniemiałemu Kubie wyjść z za lady, usiąść koło Justyny i pilnować, żeby nie krzyczała. Chłopak bez gadania wykonał polecenie i już po chwili objął drżącą dziewczynę ramieniem. Od razu przestała drżeć. Za to on zaczął.

Jadwiga nie odrywała wzroku od Rosjanina. Zastanawiała się, co powiedzieć. Co chcą usłyszeć.

- Jestem z Polski... - rzuciła w końcu.

- Pracujesz dla polskiego wywiadu? - zainteresował się Rosjanin, drapiąc się łufą po głowie.

Spojrzała na niego spod oka.

- Pracowałam - odpowiedziała ostrożnie.

- Zaraz, zaraz, to ja pracuję dla polskiego wywiadu! - Usłyszała głos Murzyna. - Byłem nawet w Polsce na szkoleniu. - Przyglądał jej się podejrzliwie, szukając jakiegoś haka. I znalazł. - Jeśli jesteś z naszej agencji, powiedz, gdzie w Kiejkutach znajduje się wybuchowa toaleta. No gdzie? - powtórzył wyzywająco.

Jadwiga nawet nie mrugnęła okiem.

- Pierwsze piętro, drugie drzwi na lewo - odpowiedziała. Twarz Murzyna rozjaśniła się w uśmiechu.

- Rodaczko! - zawołał po polsku z okropnie nigeryjskim akcentem. - Mów mi Chuks.

Odsunął pistolet Rosjanina i wziął Jadwigę w ramiona jak brat siostrę po latach rozłąki. Potem usiadł na krześle obok.

- Dlaczego od razu nie powiedziałaś, że z branży jesteś?

- Powoli, Chuks - wtrącił się Rosjanin. Jadwiga spojrzała na niego z niepokojem. - Fiodor jestem - przedstawił się. Kolejne słowa skierował do Chuksa - Prosimy na angielski, żadnych sekretów. .. Wybuchowa toaleta? - wyrwało mu się.



Chuks uśmiechnął się z wyższością.

- *Top secret*, bracie - powiedział już po angielsku. Jadwiga przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego, a potem

dostrzegła kobietę z dwoma siwymi warkoczami, która pojawiła się nagle nie wiadomo skąd, chyba z męskiej toalety, i przyglądała się jej zimno, żeby nie powiedzieć: zabójczo.

- To Helga - przedstawił kobietę Chuks. - Nie przejmuj się nią, znamy się.

-Zaraz, zaraz... - powiedziała Jadwiga, kiedy udało jej się odzyskać głos - Czy wy wszyscy jesteście... - zamilkła. Fiodor rozparł się na krześle.

- Co się dziwisz, kobieto. Londyn to zagłębienie szpiegów, od czasów zimnej wojny dom wielu nielegalów i uspiionych agentów takich jak my. Zresztą świat jest pełen agentów. Kręcimy światem. A przynajmniej kręciliśmy, dopóki się dało... - Westchnął ciężko. - Teraz to nuda. Nic się nie dzieje. Staramy się jakoś zabić czas.

Jadwiga miała mieszane uczucia. -Jak?

- Ja na przykład sprzedaję maszyny rolnicze, a Chuks sprzęta.

- W parlamencie - zaznaczył z dumą Chuks.

- W parlamencie - powtórzył Fiodor z poważną miną. - Ten to się potrafił ustawić! Ale kto Nigeryjczyka będzie o szpiegostwo posądzał? Nie to co mnie. Rosjanina podejrzewają o wszystko co najgorsze. Taka równość i braterstwo, psia mać... - Splunął. -Uprzedzenia zrujnowały mi karierę. - Znowu westchnął. - Ale nie ma o czym mówić. Lepiej wyjaśnij nam całą sprawę z porwaniem.

Jadwiga zaczęła opowiadać. Niewiele wprawdzie wiedziała, ale na tyle dużo, żeby zaintrygować mężczyzn i rozruszać ich szare komórki, które od dawna wydawały się skupiać jedynie na piwnych przyjemnościach codziennego życia. Kiedy skończyła, na ich twarzach pojawiło się niedowierzanie, które jednak bardzo szybko zamieniło się w prawdziwe uznanie.

- Ale Alicja? Ta barmanka? - Chuks pocierał oczy. - Nigdy bym nie powiedział.

- A to cwana sztuka - mrucał Fiodor. - Że też na to sam nie wpadłem. Chuks parsknął śmiechem.

- Myślisz, że uwiódłbyś Archibalda?

- Skąd. Wysłałbym Helgę - oświadczył Rosjanin z poważną miną.

Chuks ze śmiechu o mało nie spadł z krzesła.

Helga przypatrywała się to jednemu, to drugiemu ze swoim zwyczajnym antypatycznym wyrazem twarzy, a kiedy wybuchy śmiechu ucichły, powiedziała, przenosząc wrogie spojrzenie na Jadwigę:

- *Idioten*. To pewnie podpucha. Chcą nas zdemaskować. Macie za długie języki, a mózgi w stanie rozkładu.

Mężczyźni przestali się śmiać.

- Ty, Helga, jesteś z NRD i taką masz wschodnioniemiecką mentalność. Zapomniałaś, że zimna wojna już się skończyła? - prychnął Chuks.

Dla Jadwigi podejrzliwość Helgi była jak najbardziej zrozumiała.

- Ja też pracowałam w wywiadzie - powiedziała uspokajająco do kobiety, starając się przekonać ją, że jest jedną z nich.

- Ach tak? Pewnie w sekretariacie - skrzywiła się Helga. Najwyraźniej nie znosiła konkurencji. Zwłaszcza takiej, która starzeje się lepiej.

Jadwiga zmrużyła oczy, ale nie odpowiedziała na zaczepkę. Chuks wziął ją w obronę. W końcu lojalność obowiązuje. I zobowiązuje.

- Ty wszędzie wietrzysz podstęp, Helga. Pomyślałaś, że zamiast tak czekać na odwołanie, można by wykazać się inicjatywą?

- Właśnie, świetny pomysł! Napijmy się za spotkanie - zaproponował Fiodor, postanawiając wyjść z inicjatywą. - Patrzcie, co dostałem ostatnio od ludzi Putina - powiedział z zadowoleniem i wyciągnął z kieszeni kurtki butelkę.

- Własny alkohol mi do pubu przynosicie? - wściekła się Helga.

Fiodor jej nie słuchał. Skinął ręką na barmana. Kuba z wyraźną niechęcią oderwał się od Justyny, podszedł do baru i wyciągnął z szafki kieliszki. A potem zniknął. I odnalazł się. Przy Justynie.

Mężczyźni wychylili po jednym.

- Ostatni raz to piłem tak doskonały bimber w siedemdziesiątym dziewiątym - Fiodorowi zebrało się na wspominki. - Zaraz po tym, jak zginął młody... To znaczy teraz to on już byłby stary dziadek, gdyby żył, a tak to na zawsze pozostanie młody. Śmierć ma też swoje dobre strony. Biedak, taki jeden go przed parlamentem kablem...

- Nie kablem, tylko drutem - poprawił go Chuks.

- Kabel, drut... Co za różnica?

- Drutem! Kwestia prawdy historycznej - upierał się Chuks.

- Ty wiesz, gdzie ja mam tę twoją prawdę historyczną? - zaperzył się Fiodor.

- Fiodor! - Chuks spojrzał na niego wymownie. - Tak nie można, tu są damy. I Helga.

Wtedy obaj zarechotali i wychylili jeszcze po jednym.

Jadwiga przyglądała się tej scenie, zastanawiając się gorączkowo, co ma teraz począć. Cała sprawa wymykała się jej spod kontroli. Zegar tykał. Atmosfera zrobiła się gorąca. Bimber od Putina zrobił swoje, ale jeszcze więcej zrobił czas, który dla tych podstarzałych mężczyzn zatrzymał się dawno temu.

- Muszę pójść na policję - zdecydowała w końcu i zerwała się z krzesła.

Chuks i Fiodor gwałtownie odstawili kieliszki i także wstali. Patrzyli na Jadwigę, jakby chcieli ją zamordować.

Zapadła cisza. Na szczęście Justyna, dotychczas skupiona na uspokajających gestach Kuby, przypomniała sobie że ma nad (prawie wszystkimi) mężczyznami władzę absolutną i że nadszedł odpowiedni czas, aby się wykazała. Zerwała się z miejsca.

- Przepraszam bardzo - zaszczębiotała i wyszła na środek. Mężczyźni umilkli i wpatrzyli się w nią z napięciem.

Justyna ruszyła jedną ręką. Potem drugą. Zupełnie jak zawodnicy przygotowujący się do biegu. Mężczyźni otworzyli usta.

Wtedy wypięła biust. Znieruchomieli.

Kiedy już poziom skupienia był odpowiedni do sytuacji, spojrzała przelotnie na Jadwigę i uśmiechnęła się.

- Panowie przecież pomogą, prawda? - powiedziała, koncentrując się najpierw na Fiodorze, a potem na Chuksie, ale sprawiedliwie obdzielając ich swoją uwagą. W końcu nikt nie lubi czuć się pominięty.

- Panowie tak siedzą beczynnie i jęczą, a może zamiast czekać na odwołanie czy emeryturę, lepiej coś zrobić? Przydaliby się panowie we wspólnej sprawie. Tu nie chodzi o jakieś szpiegowskie bzdury, tu chodzi o życie pani Krystyny.

Wszyscy wpatrywali się w dziewczynę. A najintensywniej Kuba.

- Ale... my jesteśmy uśpieni - odezwał się niepewnie Fiodor.

- To może trzeba się w końcu obudzić? - oświadczyła Justyna i obdarowała Fiodora tak promiennym uśmiechem, że na pewno się obudził.

- Justyna ma rację - poparł ją gorąco Kuba. - A jeśli was złapią, to niewątpliwie zostanieie odwołani albo przejdziecie na emeryturę, która, szczerze mówiąc, wcale nie będzie przedwczesna...

Przez chwilę panowała cisza, jakby każdy zastanawiał się nad słowami Kuby. „Wcześniejsza emerytura”, „odwołanie” -te słowa dźwięczały w uszach jak pieśń obiecująca nowe życie. Potem każdy, nie wyłączając Helgi, zaszył się w innym kącie z telefonem i szeptał jakieś dziwne kody w jeszcze dziwniejszych językach.

Justyna, usatysfakcjonowana pomocą, jakiej udzieliła Jadwidze, przestała się interesować sytuacją i na powrót zaczęła Kubą. Jadwiga czekała, gryząc paznokcie. Wreszcie podszedł do niej Chuks. I reszta.

- Myślę, że priorytetem dla nas jest bezpieczeństwo pani Krystyny - odezwał się w końcu uroczyście. - Jeśli nie wiemy, gdzie

jest ani kim są porywacze, musimy spróbować spełnić ich żądania. A potem się zobaczy... Chętnie zdemaskowałbym taką szajkę *pro publico bono* - wyrecytował.

Helga spojrzała na niego, jakby się szaleju najadł, a potem wzruszyła ramionami i bez słowa podeszła do automatu do gier, nad którego naprawą tyle czasu męczył się Kuba. Wystukała jakiś kod, słychać było brzęk i zaświeciły się światełka. A potem maszyna otworzyła się. Helga wyciągnęła z tajnego schowka torbę ze starą radiostacją i kilka odbiorników. A także kilka lornetek. W końcu jak wszyscy, to wszyscy.

- Jedziemy! Do rezydencji Nelsonów w Holland Park! - rzucił Chuks do Jadwigi.

- Jak dawno nie czułem adrenaliny, zapomniałem jak to jest... Chcę sobie przypomnieć. - Uśmiechnął się z sentymentem Fiodor. I dodał ofiarnie: - Będziemy was ubezpieczać.

Helga zawiesiła sobie lornetkę na szyi, załadowała magazynek do pistoletu i uzbroiła twarz w swoje zabójcze spojrzenie. Na koniec rzuciła w kierunku stolika, przy którym siedzieli Justyna i Kuba:

- Ty, Kuba, do domu. I to już. Dziewczynę możesz sobie zabrać, ale jeśli któreś z was puści choć parę z gęby...

Przerwał jej strzał.

Jadwiga spojrzała w stronę, z której padł, i zobaczyła Fiodora z jeszcze dymiącym pistoletem w ręku wpatrującego się przez bar w coś na drugiej sali. A właściwie pierwszej.

Wszyscy podbiegli do lady. Na podłodze w kałuży krwi leżał facet w czerwonych sandałach.

- Co ty robisz!?! - wrzasnęła Helga. - To pub, a nie strzelnica!

- To wtyka mudżahedinów - mruknął Fiodor.

- No co ty? Świrnięty mudżahedinem? - Chuks postukał się po czole.

- Od jakiegoś czasu facet wydawał mi się znajomy, ale dopiero teraz go rozpoznałem. Świrnięty! Myślisz, że czemu się tu kręcił? Jeśli słyszał, gdzie są tajne dokumenty, nie wyszlibyśmy stąd żywi.

Rozprężyliśmy się, gadając, i nikt nie zauważył tej gnidy. Stanowczo za długo byliśmy uśpieni... Cisza.

- Zabiłeś go? - zapytała Helga, patrząc na ciało. Fiodor wzruszył tylko ramionami.

- Cholera - mruknęła i chwyciła za telefon. - Znowu muszę porozmawiać z Pekińczykiem. A ty wiesz, ile on sobie liczy za utylizację świeżego mięsa?

## ROZDZIAŁ 303

Mającą w mroku postacią okazał się postawny mężczyzna w motocyklowym kombinezonie. Z karabinkiem w dłoni prezentował się dość przerażająco. Tak przerażająco, że Krystyna mogła postawić jednoznaczną diagnozę - duszący ją ból to nic innego jak pierwotny lęk. Przed końcem.

Motocyklista w poszukiwaniu broni najpierw przeszukał Freda, cały czas mając oko na Krystynę. Kiedy skończył, grzecznie poprosił ją, żeby opróżniła kieszenie i torebkę. Uczyniła to natychmiast. Nie znalazłszy żadnych niebezpiecznych narzędzi, z wyjątkiem perfum, którymi spryskał sobie nawet wierzch dłoni, pozwolił Krystynie zabrać z powrotem torebkę, a sam zadowolony się telefonami i kluczami do samochodu, które następnie wrzucił do jeziora.

Potem cichym, acz groźnym i profesjonalnie brzmiącym głosem prawdziwego twardziela kazał im wrócić do samochodu i czekać.

- Myślisz, że nas zabije? - wyszeptała Krystyna. Wprawdzie kazał im „trzymać mordy na kłódki”, ale czuła, że ze strachu sztywnieje jej język i że musi go rozruszać. Żeby nie odpadł.

- Gdyby chciał nas zabić, zrobiłby to od razu. Musi być jakiś powód, dla którego nas tu trzyma - odpowiedział cicho Fred, nie

odrywając spojrzenia od napastnika. - Na razie nie mamy sił czego bać.

- Sądzisz, że chodzi mu o okup?

- Zobaczymy... W każdym razie myśli, że będziemy spokojnie czekać.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie musi myśleć, nie mam zamiaru nawet palcem kiwnąć bez jego pozwolenia. On ma prawdziwą broń - syknęła, zirytowana uwagą Freda.

- Ja też mam - powiedział, wskazując nieznacznie na pistolet, który dziwnym trafem znalazł się w jego dłoni.

Krystyna zerknęła i zamarła.

- Przecież cię przeszukał - wyszeptwała.

- Zawsze trzymam jeden przyczepiony pod siedzeniem. Dla bezpieczeństwa.

- Widzę, że napadają na ciebie regularnie - mruknęła. - Jakiś konkretny wróg?

- Od lat pracuję dla lorda Nelsona, jestem przygotowany na różne sytuacje. Jak każdy wpływowy polityk lord ma wielu wrogów, którzy wykorzystają każdą okazję, żeby mu zaszkodzić. I zdobyć informacje, którymi dysponuje... - wyjaśnił. A potem dodał: - Musisz mi pomóc.

- Oczywiście, zaraz rzucę się na niego z gołymi rękami - powiedziała, dławiąc się własną ironią.

Fred spojrzał na jej dłonie i przełknął ślinę.

- Nagie części kobiecego ciała rzeczywiście mają zabójczą moc - mruknął.

Poczuła pewien podziw dla tego mężczyzny, który potrafi trzymać pistolet i flirtować jednocześnie.

A on powiedział: - Na razie nie musisz się rozbierać, udawaj tylko, że zemdlałaś.

Zmarszczyła brwi.

- Niby dlaczego? - spojrzała na niego wyzywająco.



- To wyższość kobiet nad facetami: zawsze mogą wpaść w histerię albo zemdleć. I to jest... - Zrobił grymas. - To jest normalne. To coś, czego się w takich sytuacjach od kobiety wręcz oczekuje.

- Proszę, jakie psychologiczne podejście. Ale przyznam ci się, że nie jestem typem mdlejącej niewiasty - oświadczyła z wyższością, patrząc grzecznie przed siebie.

- Jak możesz mi to robić? - powiedział, uśmiechając się ironicznie, i rozejrzał się dokoła. - Myślałem, że wy, stuprocentowe kobiety, potrafiacie wszystko.

Zapanowała cisza.

- A nie byłoby prościej połączyć druciki i zapalić silnik, a potem go rozjechać? Wiesz, jak na filmach... - zapytała Krystyna po chwili.

- Nie, dużo prościej jest wyciągnąć broń - skwitował.

- Rozczarowałeś mnie - powiedziała, czując, jak ciężar wraca tam, skąd przed chwilą spadł.

- Rozczarowania są częścią życia... - Uśmiechnął się pod nosem.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Krystyna zaczęła ziewać, przymknęła nawet oczy, ale nie było jej dane się zdrzemnąć.

- To kiedy mdlejesz? - przerwał jej zapadanie w sen Fred. Spojrzała na niego z irytacją.

- Dlaczego to zawsze kobiety mają zawodzić albo mdleć? To są szowinistyczne stereotypy. Spróbuj sam zemdleć... - powiedziała prowokująco. - Pokaż, że jesteś ponad tym wszystkim. Poza tym w twoim wieku możesz mieć różne dolegliwości, więc twoje zasłabnięcie będzie bardzo wiarygodne - dosunęła mu z niewinnym uśmieszkiem.

Przez chwilę patrzył na nią spode łba. Jakby zabrakło mu odpowiedzi. A potem nachylił się i pocałował ją mocno. Gdy uwolnił jej usta, poczuła, że trzyma w dłoni pistolet.

- Na mój znak wyciągniesz broń i wymierzysz, rozumiesz? - powiedział cicho.

- Nie - zdążyła tylko pisnąć, ale Fred był już na zewnątrz. Zrobił dwa kroki. I złapał się za serce.

Motocyklista wymierzył broń.

- Do samochodu - usłyszała obojętny głos.

Patrzyła szeroko otwartymi oczyma na rozgrywającą się przed nią scenę.

- Wody - wycharczał Fred i chwycił się za gardło z miną, która wcale nie wydała się Krystynie przekonująca. Raczej teatralna.

- Do samochodu - powtórzył głos. Nieco mniej obojętnie. I machnął bronią.

- Wody - jęczał Fred. - Mam atak... - Nie sprecyzował jaki, tylko rzucił się na kolana. Nawet dostał drgawek.

Krystyna czuła, że sama zaraz będzie miała atak. Śmiechu. Choć tak naprawdę wcale nie było jej wesoło. W zasadzie chciało jej się płakać. Wyć ze strachu. Pistolet ciążył w dłoni, dłoń pociła się niemiłosiernie, a Fred wyglądał, jakby umierał.

Motocyklista rozejrzał się niepewnie i podszedł bliżej, nie opuszczając broni.

- Duszę się - wydyszał Fred. Potem już nie mówił, tylko wierzgał nogami.

Krystyna nie wytrzymała. Ukryła broń w kieszeni płaszcza, drżącą ręką pociągnęła za klamkę i zrobiła w końcu to, czego się od kobiety oczekuje. Zaczęła histeryzować. Całkiem przekonująco.

- On umiera! Umiera! - lamentowała. - To zawał! Motocyklista zgłupiał. Patrzył to na jedno, to na drugie i nie bardzo wiedział, co robić. A Fred dalej kopał nogami.

- Niech pan coś zrobi! - Krystyna wyła przekonująco. Potem, żeby dodać momentowi szczególnego dramatyizmu, rzuciła się na kolana obok Freda i wyciągnęła ręce ku niebu.

Na takie wezwania nikt nie mógł pozostać obojętny.

- Ja nie mam przeszkolenia z pierwszej pomocy - załamał się nagle motocyklista. Wyglądał, jakby zaraz sam miał dostać ataku. Opuścił broń i rozejrzał się bezradnie dokoła.

Wtedy Fred na moment przestał umierać, łypnął okiem i zrobił znaczący ruch głową. Krystyna doszła do przekonania, że to znak.

Niestety motocyklista także ów znak zobaczył. Na jego twarzy pojawiła się wściekłość. W końcu nikt nie lubi czuć się oszukany.

Cofnął się o krok i bez wahania wymierzył broń.

- Wstawaj! - syknął do Freda. - Nie nabierzesz mnie. Myślisz, że jesteś takim twardzielem, co?

Krystyna podniosła się powoli, zastanawiając się histerycznie, w której kieszeni ma pistolet.

- Ja nie - odparł grzecznie Fred, podnosząc ręce do góry. A potem dodał, wskazując wymownie głową: - Ale ona tak.

Mężczyzna odruchowo spojrzał w kierunku Krystyny. Ta zdążyła już zlokalizować i wyciągnąć pistolet, aczkolwiek doszedłszy do wniosku, że broń wygląda bardzo przerażająco, nawet jej nie odbezpieczyła. Żeby kogoś przypadkiem nie postrzelić.

W tym samym momencie Fred rzucił się na napastnika i wyszarpnął mu karabinek. Mężczyzna zareagował pięścią.

I zaczęło się widowisko.

- Fred, uważaj na kręgosłup! - jęknęła jeszcze Krystyna, kurczowo trzymając broń.

Potem, dochodząc do wniosku, że powinna coś zrobić, w końcu to ona trzyma pistolet, wpatrzyła się w kłębowisko męskich ciał.

- Nie ruszać się! - wrzasnęła, uaktywniając w sobie morderczą naturę. Ciemną stronę kobiecej duszy.

Potem nie wytrzymała napięcia. Zaczęła wyc. Do księżycy.

## ROZDZIAŁ 59

Beata i Danuta stały w małym pomieszczeniu z lustrem fenickim i przyglądały się stojącym po drugiej jego stronie przyczajonym tygrysiom - kelnerkom z Cesarzowej Syczuanu, które z zadrapaniami na twarzach i w podartych czarnych qipao stały nieruchomo tuż obok ukrytych smoków - pracowników Lo's Noodles Factory, ubranych z kolei w białe fartuchy, choć właściwie białymi już nie można było ich nazwać. Ślady krwi na fartuchach i qipao świadczyły o zaciętości bitwy, która rozegrała się w chińskiej dzielnicy.

Chociaż agentki KMS przyglądały się bardzo długo i bardzo dokładnie stłoczonym w małym pomieszczeniu za lustrem osobom, nawet tym płci żeńskiej, nie rozpoznały starego Chińczyka z mieczem. Z tej przyczyny, że go tam nie było. W końcu Danuta poddała się i pokręciła przecząco głową. Beata zrobiła to samo i na drżących nogach opuściły pomieszczenie. W milczeniu weszły do małego pokoju przesłuchań i usiadły na krzesłach przed biurkiem, za którym zasiadł młody policjant hinduskiego pochodzenia zajmujący się tą sprawą.

- Są panie pewne?

- Proszę pana, tamtego Chińczyka nie można pomylić z nikim innym. Był jak King Kong - wyjaśniła obrazowo Danuta, a Beata pokiwała głową. Chociaż nie rozumiała, o czym mówili.

To tylko zdenerwowało policjanta. W końcu King Kong z mieczem w chińskiej dzielnicy nie wróży niczego dobrego.

- To nie pora na żarty. Zdają sobie panie sprawę z powagi sytuacji? - huczał wściekle.

- Oczywiście, że tak - zdenerwowała się Danuta i aby się uspokoić, zwizualizowała sobie siebie z małym dymkiem. - Przecież to nas stary Chińczyk chciał zabić. Mieczem. Chcemy, żeby policja go złapała. Jest niebezpiecznym psychopata.

Hindus zrobił grymas.

- Oskarżono panie o wywołanie zamieszek w chińskiej dzielnicy. Lepiej, żeby panie nie ukrywały...

- Nikogo nie ukrywamy i niczego nie wywołałyśmy! Chińczyk z mieczem chciał nas zabić! - upierała się Danuta, patrząc wymownie na Beatę.

Policjant spojrzał. Beata szybko kiwnęła głową, chociaż i tak niczego nie rozumiała. A potem ziewnęła. Mężczyzna zmarszczył czoło.

- To gdzie jest? - zapytał cierpliwie, przenosząc spojrzenie na Danutę, bo Beata uparcie milczała.

- Nie wiem. Znajdźcie go! Może go wypuściliście?

- Co też pani insynuuje? - zacietrzewił się.

- Ja? Nic a nic!

- To dobrze, bo jak na razie to ja mam świadków, że panie wybiły szybę, czym sprowokowały pracowników restauracji do działania. A teraz ten King Kong...

Przerwał mu dźwięk telefonu dochodzący z wiszącej na oparciu krzesła torebki Danuty. Policjant spojrzał na torebkę.

- Mogę odebrać? - Danuta przybrała błagalny wyraz twarzy. -Koleżanka może się denerwować.

Hindus westchnął ciężko, przeklinając dzień, w którym wpadł na genialny pomysł pracy w brytyjskiej policji, i pokiwał głową.

Danuta wyciągnęła z torebki komórkę. Żeby pokazać, że nie ma nic do ukrycia, odebrała i od razu przełączyła na głośnik. Położyła telefon na stole. Komórka zaczęła krzyczeć głosem Jadwigi.

Na twarzy policjanta pojawiła się podejrzliwość. Nachylił się i rozłączył połączenie. Telefon rozdzwonił się ponownie niemal natychmiast.

- Co to za język? - zapytał surowym głosem.

- Polski. - Danuta nerwowo się uśmiechnęła. - Mogę odebrać?

- Ma pani prawo do jednego telefonu, ale nie do odebrania rozmowy - oświadczył niepewnie, zmieniawszy zdanie.

- To niech pan z nią porozmawia. Koleżanka może się o nas strasznie niepokoić, w końcu ktoś próbował nas zabić - przekonywała. - Ona ma duże możliwości. Może przyjechać i wyjaśnić. ..

- Zna angielski? - upewnił się. Danuta potwierdziła i szybko odebrała. Policjant odchrząknął i nachylił się nad telefonem.

- Singh, policja - przedstawił się krótko. - Jestem zmuszony powiadomić panią, że pani Danjuta Kolal i pani Bijata Romantolska - przeczytał nazwiska, jak potrafił najlepiej - zostały zatrzymane do wyjaśnienia w sprawie podejrzenia o wywołanie zamieszek w chińskiej dzielnicy.

Danuta chciała coś powiedzieć, ale zniechęciło ją spojrzenie policjanta. Zresztą i tak by nie zdążyła, bo telefon przemówił ludzkim głosem (tym razem po angielsku) - o ile takim można było nazwać głos Jadwigi.

- Fantastycznie! Niech tam siedzą! Błagam pana, nie wypuszczajcie ich do jutra, na pewno coś na nie znajdziecie! Są bardzo niebezpieczne. Zapanowała cisza.

Policjant westchnął, spojrział w brudne okno i nabrał powietrza do płuc. A potem uśmiechnął się.

- To może zaczniemy od początku - powiedział łagodnie i wskazał na Beatę. - Teraz może pani...

Beata spojrzała na Danutę z przerażeniem, ale ta, rozkoszując się wreszcie chwilą spokoju, postanowiła wykorzystać nadarzającą się okazję, żeby zmusić Beatę do przełamania się i rozpoczęcia konwersacji w języku angielskim. Zamknęła oczy i starając się przybrać jak najwygodniejszą pozycję, pogrążyła się we własnych, śmierdzących papierosowym dymem rozmyślaniach.

Po półgodzinie różnych zdań pytających i twierdzących Beata rozluźniała się nieco i zaczęła ziewać. Kiedy zatem Hindus z ciężkim westchnieniem powiedział w końcu zdanie, które zrozumiała, bo pamiętała je dobrze z kursu angielskiego, połknęła kolejne ziewnięcie i wyraźnie się ożywiła.

- Tak? - ucieszył się niezmiernie policjant i otarł pot z czoła. -To co mam powtórzyć?

Beata z pewną siebie miną, z fatalnym akcentem, ale zupełnie zrozumiale, odpowiedziała:

- Tak. Powtórzyć. Od początku.

Policjant osłabł, ale za to Danuta wyrwała się z otępienia i ciesząc się sukcesem koleżanki, zaczęła klaskać.

## ROZDZIAŁ 312

Chuks nie odzywał się przez całą drogę do Holland Park. Jadwiga zastanawiała się nad powodem tego milczenia. Stwierdziła w końcu, że to musi być skupienie przedoperacyjne.

Zaparkowali w jakimś ciemnym zaułku. Nawet stamtąd widać było oświetloną rezydencję lorda Nelsona. Długa alejka prowadziła wprost do drzwi frontowych okazałego budynku. Z limuzyn wysiadali ostatni spóźnieni goście. Przy bramie stał uzbrojony strażnik. Kilku innych spacerowało w strategicznych miejscach rezydencji. Przed wejściem kuchennym uwijali się pracownicy firmy cateringowej, biegali z tacami od samochodu do drzwi kuchennych i z powrotem.

Przez chwilę Jadwiga przyglądała się całemu zamieszanemu, ale potem milczenie zaczęło jej nieco ciążyć.

- Dalej pracujesz dla Warszawy? - zapytała Chuksa, chcąc nawiązać rozmowę.

Pokiwał głową.

- Tak. Ale to, co ich nie interesuje, przekazuję do Nigerii - przyznał się, nie patrząc na nią. - I jeszcze nigdy nie doszło do konfliktu interesów.

- Masz obywatelstwo polskie?



- Zostałem naturalizowany jako reprezentant kraju w piłce nożnej, chociaż nigdy nie szło mi to dobrze. Mam krótszą lewą nogę, więc nawet nie mogłem spróbować, od razu przenieśli mnie na ławkę rezerwowych. - Westchnął. - Potem byłem na różnych szkoleniach. Zaliczyłem to w Kiejkutach i w Warszawie, ale nawet jeśli minęliśmy się kiedyś na korytarzu, to byś mnie nie poznała - zaznaczył. - Byłem przebrany. Potem, na potrzeby kraju, tuż przed upadkiem komunizmu, załatwiono mi obywatelstwo brytyjskie, żebym w razie czego był we właściwym miejscu. Teraz myślę, żeby to wszystko odkręcić i z powrotem zostać Nigeryjczykiem. Zmęczyło mnie to wszystko...

Wyciągnął radiostację, westchnął głęboko i przycisnął guzik.

- Słyszycie mnie? - zapytał. Radiostacja zatrzeszczała.

- Pewnie, ale cię nie widzimy, bo kobieta, która właśnie wchodzi po schodach, ma na sobie tyle biżuterii, że mogłaby oddzielić całą resztę gości - usłyszeli podekscytowany głos Fiodora. - Ta w zielonym.

Jadwiga przyłożyła do oczu lunetkę.

- Może bała się zostawić w domu te błyskotki. Wiesz, jak teraz kradną - powiedział Chuks. - Gdzie zaparkowaliście?

- Stoję od strony północnej - odezwała się Helga ponurym głosem.

Fiodor, zapewne podniecony możliwością obejrzenia z bliska atutów brytyjskiej arystokracji, wydawał się nie słyszeć żadnych dźwięków.

- Widzieliście damulkę w złotej kiecce? Prawdziwą to ma tylko biżuterię. Biust sztuczny, uśmiech sztuczny, inteligencja też pewnie sztuczna...

- Podejrzewam, że ten facet, co ją prowadzi, też nie jest prawdziwym mężem. Za młody dla niej - usłyszeli burknięcie Helgi.

Jadwiga wyregulowała ostrość i spojrzała.

- I wygląda, jakby miał makijaż - dodała.

- Makijaż? - Fiodor się zakrztusił. - To jakiś zboczeniec.

- Skąd - parsknęła Helga. - Metroseksualny po prostu... jak David Beckham. Mężczyźni teraz dbają o siebie, wiesz? Na pewno ładnie pachnie.

- Ciekawe, ile coś takiego sztucznego kosztuje? Moglibyśmy ci, Helga, zafundować na urodziny - powiedział do odbiornika Chuks.

- Biust, uśmiech czy makijaż? Metroseksualna to Helga jest naturalnie - usłyszeli głos Fiodora.

- Inteligencję - zdążył jedynie rzucić Chuks, bo zaraz potem wszyscy usłyszeli bardzo wyraźnie głos Helgi.

- Znowu mnie obgadujecie!? Nawet nie macie pojęcia, ile razy chciałam wam czegoś trującego do piwa dosypać, ale zawsze tylko plułam. Dobre serce mam, przyzwoita jestem. Nie to co niektórzy, co to w oczy słowa prawdy nie powiedzą, tylko za plecami szepczą...

Chuks od razu przestał się śmiać.

Zapanowała cisza, przerywana jedynie zakłóceniami w starej radiostacji i dochodzącymi z rezydencji odgłosami muzyki klasycznej.

- Co teraz? - zapytała Jadwiga, przypatrując się Chuksowi, który z zaciętą miną rozglądał się dokoła.

- Czekamy na kontakt - mruknął w odpowiedzi, nie odrywając lornetki od oczu. Ku zdumieniu Jadwigi wpatrywał się nie w oświetloną rezydencję, tylko zupełnie gdzie indziej. - Na razie nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów - dodał głośniejszym głosem, żeby ci w radiostacji słyszeli.

- Granaty odpadają, co? - mruknął Fiodor i słychać było tylko potężne ziewnięcie.

Helga także zaczęła ziewać.

- Pamiętajcie tego Amerykanina, Davida? Szkoda, że zniknął, bo ten to dopiero miał znajomości. Na pewno załatwiłby nam jakieś wejściówki - powiedziała między straszliwymi atakami ziewania, które brzmiały jak pomruki znudzonego tygrysa. - Chętnie popatrzyłabym z bliska na tego metroseksualnego, intryguje mnie.

- I tak nie miałabyś się w co ubrać - parsknął Chuks. - Tak swoją drogą, to nie wiecie, co się z nim dzieje? Nie widziałem go już z pół roku.

Fiodor zarechotał.

- Co się dziwisz? Pewnie planują kolejny zamach na Fidela - powiedział, czym wzbudził wybuch potwornego śmiechu Helgi. - Może chcą dobić do siódmej setki, zanim umrze śmiercią naturalną.

Jadwiga w całej wrzawie zdołała wyłapać nowe imię.

- Kto to jest David? - zapytała, obracając w rękę telefon komórkowy.

- To nasz były solista, z CIA... - odparł obojętnie Chuks, nadal gapiąc się w okno.

- CIA!?! - Jadwiga nie mogła uwierzyć.

- Amerykanie z talentem też się zdarzają. Wola boska! - usłyszała przez radiostację głos Fiodora. - A odkąd skończyła się zimna wojna, mamy problemy z pamięcią...

- Chyba z nietrzymaniem moczu - weszła mu w słowo Helga. - Jeszcze raz któregoś przyłapię, jak sika po murach pubu, to nie wpuszczę więcej do środka.

- Skończcie z tymi bzdurami! - Chuks oderwał w końcu lornetkę od oczu i zbliżył się do odbiornika. - Teraz przez was chce mi się łać. Idę, przy okazji się rozejrzę, może coś zobaczę. Bez odbioru.

- Tylko trzymaj się z daleka od tych migających świateł! - Fiodor się roześmiał. - I od biżuterii...

- Powiedziałem, bez odbioru - odezwał się cierpko Chuks i wyłączył nadajnik.

Jadwiga spojrzała na niego kątem oka. Przez chwilę nie odzywał się. Potem jeszcze raz spojrzał przez lornetkę, jakby chciał wypatrzeć najlepsze miejsce na załatwienie potrzeby.

- Alicja może w każdej chwili nawiązać kontakt. Pilnuj telefonu, idę - mruknął i rozglądając się uważnie, wysiadł.

Jadwiga, trzymając kurczowo komórkę, także postanowiła rozprostować kości.

Na zewnątrz było zimno. Przeciągnęła się i wsłuchując się w dochodzącą z rezydencji muzykę, podeszła do Chuksa, który grzebał w bagażniku.

- Szukasz papieru toaletowego? - przestraszyła go. Zacisnął usta. Jadwiga zauważyła, że trzyma w ręku coś, co papierem na pewno nie było.

- Co to? - zdziwiła się. Uciszył ją sykiem.

- Kolce do niszczenia opon - wyszeptał i rozejrzał się dokoła uważnie.

- Zostały mi z dawnych czasów - wytłumaczył. - Podłożę im, będą mieli mniejszą szansę, żeby w razie czego uciec z dokumentami.

Jadwiga otworzyła szeroko oczy.

- Ale... jak to? - wyjąkała i mocniej ścisnęła w dłoni komórkę.

- Myślisz, że oni wszyscy przyjechali tutaj, żeby nam pomóc? - spojrzał na nią z politowaniem. - Kobieto, przecież to szpieczy, nielegaly, agenci obcego wywiadu.

Jadwiga odwróciła się instynktownie.

- Tak, ale... co to ma do rzeczy? Myślałam, że...

- Każdy chce mieć swoje pięć minut - rzucił. - Nie ma wyników, nie ma zaszczytów. Każdy z nich chce zdobyć te dokumenty, gwarantuję ci to.

- Ale to przecież twoi znajomi... Gracie razem w pubie, pijecie, śmiejecie się...

- W pubie wszyscy jesteśmy tacy sami. Jesteśmy emigrantami. Kumplami od kieliszka. Mamy podobne problemy, przeszłość i przede wszystkim tworzymy muzykę. Kiedy wychodzimy z pubu, jesteśmy tym, kim nauczono nas być dawno temu... Przecież ja nawet nie wiem, jak oni się naprawdę nazywają - dodał, widząc na twarzy Jadwigi powątpiewający grymas.

Zapanowała cisza. A potem w Jadwidze zakiełkowało podejrzenie.

- Mnie możesz ufać - dodał szybko Chuks, jakby czytał w jej myślach.

- Tak? Dlaczego? - zapytała, patrząc mu prosto w oczy. Nie odwrócił wzroku.

- Bo my służymy tej samej sprawie. Biało-czerwonej - odpowiedział bez wahania. Jak automat.

Jadwiga starała się wyczuć, co on tak naprawdę myśli. Bez rezultatu. Był przeszkolony w ukrywaniu uczuć. I myśli.

- Ale... może oni naprawdę chcą pomóc? Parsknął śmiechem.

- Jasne. Czy ja wyglądam jak Matka Teresa? - zapytał. Retorycznie.

Potem westchnął ciężko, z politowaniem wobec naiwności Jadwigi, i ruszył w ciemność.

Jadwiga poczuła się niepewnie i szybko wsiadła do samochodu. Pogрузzyła się w rozmyślaniach. A potem spróbowała hibernacji.

Nagle światła jakiegoś auta stojącego po drugiej stronie ogrodzenia rozświetliły mrok, ukazując męską postać zajęta oddawaniem moczu. Oświetleniu towarzyszyły także efekty dźwiękowe. Rozległ się bowiem donośny głos Helgi, która wreszcie mogła choć trochę zrekompensować sobie wszystkie złośliwości, których doświadczała przez całe lata.

- Tylko nie po róży! Tylko nie po róży!!

Chuks, bo to on był sikającym mężczyzną, znieruchomiał. Przez chwilę wyglądał jak kamienna fontanna. I to działająca. Niestety nie był przekonujący, bo w jego kierunku ruszył strażnik, wymachując rękami, co było dla Chuksa jasnym sygnałem do odwrotu. Zaczął skakać na jednej nodze, zapinając rozporek, co w tej sytuacji rzeczą prostą nie było, zwłaszcza że w tym samym czasie wykonywał w stronę światła jakiś nieprzyzwoity gest.

Wtedy światło zgasło.

Chuks zgubił w końcu strażnika i wrócił, wściekły, spocony i żądny krwi. Jadwiga na wszelki wypadek patrzyła w drugą stronę. Bez słowa włączył radiostację.

- Helga! Wisisz mi za pralnię... - wycedził, ale nie skończył.

Przerwał mu jakiś dźwięk. Spojrzał na Jadwigę, a ta na trzymaną w ręku komórkę.

- Dzwoni - szepnęła Jadwiga w kierunku radiostacji, ale bardziej do siebie.

- Odbierz! - usłyszała jednocześnie kilka głosów.

Z bijącym sercem odebrała. Nie bawiła się w grzeczności. Chciała odzyskać dokumenty i znowu zobaczyć Krystynę. Żywą. Słowa ledwie przeszły jej przez gardło.

- Gdzie jesteś? Masz dokumenty?

- Nie mam - usłyszała w odpowiedzi szept zdenerwowanej Alicji. - Oba sejfy są puste.

## ROZDZIAŁ 3191

Igor stał w umówionym miejscu i od godziny czytał tę samą stronę w gazecie, co było nie tyle nudne, ile niezmiernie męczące z powodu ciemności, które wprawdzie egipskie nie były, ale wystarczająco utrudniały oczom pracę. Kiedy wreszcie czarna taksówka z reklamą „Totally Jewish” przystanęła tuż obok niego, z ulgą otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Ja nie mam zamiaru więcej nawet palca przyłożyć do tego Picassa! Nie wspominając o nożu! Ty wiesz, kogo ten kre... Krewetka wziął do taksówki!? - powitały go wściekłe okrzyki Li.

- Kogo? - zapytał spokojnie Igor, składając gazetę.

- Babę w zielonym płaszczu, którą widziałem podczas wizji lokalnej! Krewetka najwyraźniej nie rozumiał zdenerwowania kolegi i spojrzał na Li wzrokiem psychopatycznego pogromcy lwów.

- O co ci chodzi? - warknął. - Chciałem dobry uczynek spełnić. To był odruch serca.

- Odruch serca, odruch serca - przedrzeźniał go Li. Potem pisnął cienkim głosem: - Altruista się znalazł!

- Tylko bez obrażania, bo jak ci, *maté*, przyłożę... - Barry się zamachnął.

- Dość! - przerwał dyskusję Igor. - Dokąd ją zawieźliście?

- To jest w tym wszystkim najlepsze - parsknął ironicznie Li. - Do pubu przy Vauxhall Bridge! Tak wygląda dobry uczynek Krewetki! Kobietę do pubu zawiózł. I jej rodzącą córkę też.

Krewetka zaparkował taksówkę w bocznej uliczce.

- Może chciały oblać nowe życie, mnie to nie dziwi. - Wzruszył ramionami, wyłączając silnik. - Nie podoba ci się mój dobry uczynek, to se zrób własny, *maté* - odparował, ale wtedy wtrącił się Igor.

- No widzisz - mówił na pozór spokojnie - została w pubie, jej córka rodzi, jest zajęta. Uspokój się, teraz nic nam nie grozi. Widzisz tu jakąś babę?

Li rozejrzał się dokoła, a potem popatrzył na Krewetkę. Ten rozłożył ręce.

- Na mnie nie patrz, *maté*. Kiedyś próbowałem, bo spódnica naprawdę zmienia człowieka nie do poznania, ale za bardzo mnie podwiewało, rozumiecie, i ciągle biegałem do urologa. A wytłumaczyć urologowi, dlaczego się nosi spódnicę, nie jest łatwo... Ech, tylko wstydu się najadłem. - Spojrzał na Igora. - A ty co? Na rozdanie Oscarów się wybierasz, *maté*<sup>7</sup> - zarechotał. i

Igor nie skomentował. Odruchowo poprawił muszkę. Li westchnął i zaczął obgryzać paznokcie. Jego spokój, z takim trudem wydeptany przez boską Tajkę, zniknął.

- Wszystko przez tę wróżbę... - szepnął, patrząc z rozpaczą na Igora.

- Jaką wróżbę? - zainteresował się Krewetka.

- Chińską - odpowiedział szybko Igor. - A poza tym to nawet nie była wróżba.

- Dobra, nazwij to ostrzeżeniem. Okazało się, że jestem przesądny jak każdy Chińczyk. To pewnie geny.

- Li, to, że wyglądasz jak Chińczyk, nie zmienia faktu, że w środku nim nie jesteś. Jeśli do butelki po wódce nalejesz wody, to zamieni się w wódkę? Ty Chińczyk? Bo pękne ze śmiechu. Jesteś przemęczony i tyle. Pomyśl, że już za godzinę będziesz w domu. A potem zaczynamy nowe życie.



Przez chwile każdy myślał, co dla niego oznacza nowe życie, a potem Krewetka, który pierwszy ocknął się z rozmarzenia, mruknął:

- To jak, *maté*<sup>7</sup>. Dawaj klucz i zaczynamy. Igor wyciągnął klucz.

Wszyscy wpatrzyli się w klucz, jakby otwierał bramy niebios. Barry wziął go obojętnie i wsadził do kieszeni kurtki, potem spod siedzenia wyciągnął małą czarną skrzynkę i nakazując im zostać na miejscach, wysiadł z samochodu.

## ROZDZIAŁ 322

Helga i Fiodor wyłonili się z mroku jak hieny i ostrożnie zbliżyli do samochodu. Fiodor wyciągnął papierosa.

- Gdzie mogą być te dokumenty? - mruknął, bawiąc się przez chwilę zapalniczką.

- Pewnie Nelson trzyma je w biurze... - Chuks wzruszył ramionami. - Jak wszystkie inne polityczne śmieci.

Helga parsknęła głośno i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem, stukając ciężkimi butami o chodnik. W końcu zatrzymała się i spojrzała na gapiących się na nią z wyczekiwaniem mężczyzn.

- Zasiedzieliście się, *Meine Herren*, wasze kontakty się wypaliły. - Odrzuciła dumnie do tyłu siwe warkocze. Zaczęła recytować: - Ostatnie wyjątkowo udane negocjacje lorda Nelsona z Amerykanami i moje niezawodne źródła potwierdzają jedno... te dokumenty nie tylko istnieją, ale to wybuchowy materiał.

- Czyli? - parsknął Chuks.

- Takich dokumentów nie trzyma się w biurze, bo takie dokumenty teoretycznie nie istnieją, rozumiesz? I oczywiście są potencjalnie niebezpieczne. Moje źródło nie tylko potwierdziło ich istnienie, ale także ich położenie. Dom lorda Nelsona w Holland Park. - Wskazała na oświetloną rezydencję.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał jej chichot.

- A! Wasi już próbowali, co? - Fiodor rechotał. - Rezydencja lorda Nelsona słynie z najlepszych możliwych zabezpieczeń...

- Skąd wiesz? - zapytała zimno Helga. - Wasi też już próbowali? Fiodor zakrztusił się i nie odpowiedział. Rozgniół papierosa

butem, po czym dodał z wyrazem zamyślenia na twarzy:

- Może komuś się jednak udało? Helga zazgrzytała zębami.

- Wiedziałabym coś o tym. Te dokumenty muszą tam być.

- Ale ich nie ma - wycedził Chuks. - Zapytaj swojego zwierciadelka jeszcze raz, bo mogło się pomylić, tak jak wtedy, kiedy pytałaś „kto jest najpiękniejszy w świecie”.

Helga poczerwieniała gwałtownie i już miało dojść do tragedii (każde z nich posiadało pistolet, i to bynajmniej nie na wodę), ale interweniowała Jadwiga.

- Jeśli nie dostarczę tych dokumentów do skrzynki kontaktowej, ktoś może zrobić krzywdę Krystynie! Dlaczego ja nie poszłam na policję!? - jęknęła z prawdziwym przerażeniem w głosie. - Gdzie mogą być te cholerne dokumenty!?

Fiodor zaciągnął się dymem.

- Wszędzie? - strzelił, strzepując popiół na ziemię.

- Powinniśmy nieco zawęzić teren poszukiwań, nie uważasz? - dogryzła mu Helga.

- Może Nelson dał je komuś na przechowanie? - głośno myślał Chuks.

- W końcu mógł się dowiedzieć, że coś jest na rzeczy, że ktoś próbuje je zdobyć... Przestraszył się, że podczas przyjęcia ktoś może je przejąć, i nie chciał ryzykować.

- Co ty? Komu powierzyłby coś takiego? - Helga pokręciła powątpiewająco głową. - Któremuś z pracowników? Z jego biura giną najbardziej tajne informacje. Wątpię, żeby zaufał komukolwiek aż tak bardzo.

- Komuś, kto nie rzuca się w oczy - zauważył Chuks. Jadwiga myślała intensywnie. Przez jej głowę przelatywały obrazy, przeżycia, rozmowy...

- Żonie? - rzuciła Helga.

- Komuś, komu ufa - powiedział Chuks, jakby jej nie usłyszał. Nagle w głowie Jadwigi zatrzymał się jeden obraz. Wizyta

w parku przy Chester Square. Dresiarze z zegarkami...

- Komuś, komu powierzył swojego niestabilnego emocjonalnie syna - dokończyła z nagłym podekscytowaniem.

Towarzystwo stało znieruchomiełe, jakby porażone jej prostą logiką, i przypatrywało się jej z otwartymi oczami. I otwartymi ustami.

Jadwiga poczerwieniała.

- Szofer! Kto jeśli nie on? Od dwóch miesięcy zajmuje się Archibaldem Nelsonem, ochrania go i nawet mieszka w jego domu przy Chester Square - gorączkowała się. - To zaufany człowiek lorda Nelsona.

Brak odzewu.

- Słyszycie? Chester Square - powtórzyła zniecierpliwiona brakiem reakcji.

Helga otrząsnęła się pierwsza.

- Zmęczyłam się. Lata już nie te... - Westchnęła nagle, wyciągając kluczyki do samochodu. - Pora na ziółka i termofor. Poza tym muszę się z Pekińczykiem dogadać... - Zniknęła w mroku. Przez chwilę słychać było jeszcze jej szybkie kroki.

Jadwiga, osłupiała, wpatrzyła się we Fiodora. Ten nawet nie próbował udawać. Bez słowa rozmył się w ciemnościach. Spojrzała na wściekłego Chuksa, dał jej głową znak, żeby wsiadała do samochodu.

- Szansa, że w pośpiechu nie spojrzą pod koła, jest niewielka. Są przeskoleni - mruknął i zapalił silnik. - Mamy może dwie minuty przewagi - powiedział, wyjeżdżając z piskiem opon na główną ulicę.

Jadwiga spoglądała na niego ukradkiem, wciąż zastanawiając się, czy może mu ufać. Nagle Chuks uderzył pięścią w kierownicę i powiedział coś w dziwnym języku, który Jadwiga wzięła za narzecze używane w Nigerii. Zapewne było to jakieś straszne

przekleństwo, zakrawające na bluźnierstwo, bo natychmiast ją przeprosił, a potem zaklął po angielsku. I po polsku.

- Widzisz tego starego land rovera? - zapytał, wskazując na lusterko. - To Juda. Gra na cymbałach. Dawno go nie było, myślałem, że już wrócił do swoich.

Jadwiga odwróciła się i przez chwilę przyglądała kanciastemu zielonemu samochodowi.

- Do swoich? - zainteresowała się.

- To Mossad - wyjaśnił. Po chwili dorzucił: - Wiedziałem, kurwa, wiedziałem. Trzeba było ich załatwić, zanim wyjechaliśmy. Pewnie mają Helgę na podsłuchu. Przygotuj się na tłok. Ale nie przejmuj się - dodał pocieszająco. - Temu od razu przestrzelę opony.

## ROZDZIAŁ 326

Fred nadzwyczaj sprawnie poradził sobie z motocyklistą. Kopniak w odpowiednie miejsce, dźwignia łokciowa i wsadzenie przeciwnikowi palców w oczy obezwładniają bardzo skutecznie. I to nie tylko przeciwnika, ale także postronnego obserwatora. Krystyna poczuła, że ją mdli. Jakby sama zaliczyła kopniaka.

- Podaj mi linkę holowniczą - rzucił Fred w jej kierunku, trzymając karabinek wymierzony w leżącego na ziemi oszołomionego mężczyznę.

- Chcesz go związać? - wyjąkała Krystyna w osłupieniu, które najwyraźniej wpłynęło na jej zdolność myślenia.

- A co mam z nim zrobić? Utopić?

Celna uwaga Freda zrobiła swoje. Krystyna podeszła do samochodu, otworzyła bagażnik i wyciągnęła linkę. Za to zostawiła pistolet. Z bronią w rękę nie czuła się bezpiecznie.

Kiedy Fred wiązał pojękującego mężczyznę, Krystyna odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę pomostu. Zatrzymała się dopiero na jego krawędzi. Czuła, jak narasta w niej histeria. Podchodzi jej do gardła i ściska tak mocno, że zaczęły jej łzawić oczy. Po dłuższej chwili usłyszała za sobą kroki. I łagodny głos Freda:

- Wszystko w porządku?

Odwróciła się i pokiwała głową. Nagle poczuła się bezpiecznie. Fred stał tuż przed nią, z rozwichrzonymi włosami i śladem błota na policzku. Widząc, że trzęsie się z zimna, ściągnął marynarkę i delikatnie założył ją Krystynie na ramiona. Przez chwilę wahała się, czy mu na to pozwolić, w końcu został w cienkiej koszuli, ale jego troska i czułość szczerze ją wzruszyły. Podziękowała Fredowi uśmiechem i przytuliła się do niego. Nie spodziewała się, że jeszcze dane jej będzie przeżyć tak romantyczne chwile. Jak z kiczowatego romansu. Ale czyż miłość nie żywi się kiczem? Olbrzymi księżyc odbijający się w ciemnej tafli jeziora, wiatr szumiący w koronach drzew, światła migoczące na drugim brzegu, związany facet... Krystyna otrząsnęła się nagle. Związany facet psuł cały obrazek.

Z trudem oderwała się od potężnej klaty fascynującego ją mężczyzny i odruchowo cofnęła się o krok, przypomniawszy sobie wcześniejsze przepychanki Freda z Pierreem, jego opanowanie w momentach zagrożenia, jakby był do nich przyzwyczajony. Nie wspominając nawet o broni, którą trzymał pod siedzeniem samochodu.

- Powiedz... - zaczęła niepewnie. - Kim ty właściwie jesteś? -dokończyła szeptem, bojąc się, że dobrzy i źli całkiem się wymieszali i nie sposób ich już rozróżnić.

Fred podniósł z pomostu jakąś gałąź, którą przywiał wiatr, i rzucił ją daleko do jeziora. W nocnej ciszy plusk zabrzmiał jak wystrzał i spłoszył parę kaczek, które z przeraźliwym kwakaniem poderwały się do lotu.

- Pracuję dla lorda Nelsona - powiedział.

- Nie zachowujesz się jak szofer.

- Bo nie jestem tylko szoferem - wyjaśnił i uśmiechnął się ironicznie.

- Skopałem dla lorda Nelsona więcej tyłków, niż niejeden proktolog widzi latami.

- Jesteś jego ochroniarzem? - zaryzykowała.

Fred westchnął i zapatrzył się w dal. Na jego twarzy widać było zmęczenie.

- Lord Nelson, jak każdy polityk, wykorzystuje w swojej pracy różne kanały... - zaczął mówić. - Oficjalnie są to kanały dyplomatyczne, a nieoficjalnie... Cóż, możesz je nazwać ściekowymi. Jeśli ktoś nie brzydzi się zejść do kanału ściekowego, może znaleźć prawdziwe perły. - Widząc malujące się na twarzy Krystyny niezrozumienie, dodał: - Na przykład dokumenty, dzięki którym osiąga się cele polityczne. Takie papiery nie leżą na ulicy, trzeba się nieźle pobrudzić, żeby je zdobyć

- Jakie dokumenty? - zapytała podejrzliwie. Zawinęła się mocniej w marynarkę, bo wiatr wiejący znad jeziora się wzmacniał.

- Lord Nelson nie zdradza mi takich informacji, a ja nie pytam - odpowiedział. - Taka wiedza jest niebezpieczna. Kiedy negocjacje przybierają ostrzejszą formę, lord Nelson wyciąga asy, czyli perły znalezione w kanale...

- Szantażuje? - przerwała mu Krystyna. Fred skrzywił się.

- Powiedzmy, że w imię interesów naszych demokratycznych krajów różne rzeczy potrafimy zrobić. Szantaże, przekupstwa, przewroty, destabilizacja. O tym oczywiście głośno się nie mówi, bo to nie brzmi dobrze. Publicznie się takie rzeczy potępia. Ale za sukcesem w negocjacjach często kryją się działania ludzi, do których nikt się nie przyznaje. - Fred uśmiechnął się cynicznie. - Brudne ręce demokracji...

- Takie jak twoje - wyszeptała Krystyna.

Wszystko zaczynało mieć sens. Fred był nie tylko szoferem lorda Nelsona. Był człowiekiem Nelsona.

- Takie jak moje - przyznał z goryczą. - Ale jestem już na to za stary. Lord Nelson polega teraz na młodszych, a ja...

- Pilnujesz Archibalda, prawda!? - wykrzyknęła przejęta. - Lord Nelson boi się o niego z powodu tych dokumentów? Nie chodzi o kobiety...

- Zawsze chodzi o kobiety - mruknął ironicznie Fred.

Coś w jego głosie zaniepokoiło ją. Wpatrzyła się w niego podejrzliwie, oczekując dalszego ciągu. I doczekała się.



- Wyobraź sobie, jak się zdziwiłem - zaczął mówić po chwili ciszy - kiedy na moje bardzo grzeczne, rzecz jasna, pytanie motocyklista udzielił mi zaskakującej odpowiedzi. Miał zatrzymać ciebie.

Krystyna osłupiała.

- Mnie? - wyjąkała. Fred pokiwał głową.

- Ja jestem przypadkową ofiarą, bo akurat byliśmy razem. Motocyklista właściwie niczego nie wie. Miał zatrzymać cię do północy. Potem na umówiony sygnał wypuścić. Został wynajęty przez anonimowego zleceniodawcę przez internet. Zaliczka wpłynęła na jego konto, resztę miał dostać jutro rano...

Krystyna, oszołomiona i zupełnie nic nie rozumiejąc, zrobiła kilka kroków do przodu, potem do tyłu, a w końcu zatrzymała się i utkwiała przerażone spojrzenie w milczącym mężczyźnie.

- Ale... mnie? Dlaczego? - wyszeptała. Fred rozłożył ręce.

- Myślałem, że ty mi wyjaśnisz. Ale jeśli, jak twierdzisz, jedyną agenturą, dla której pracujesz, jest agentura matrymonialna, to może swatanie jest bardziej niebezpieczne niż poławianie pereł w kanałach. - Mrugnął i ruszył w kierunku samochodu.

Krystyna podreptała za nim. Fred podszedł do związanego mężczyzny, przykucnął i przez chwilę grzebał mu po kieszeniach. Wyciągnął kluczyki i włożył je do stacyjki motocykla.

- Jedziemy, *madame* - powiedział, podając Krystynie kask.

- Dokąd? - zapytała. Oddała mu marynarkę i wzięła kask.

- Na policję - powiedział Fred. - Nie wiadomo, dlaczego napadnięto na niewinną kobietę. Gdyby chodziło o jakiś obcy wywiad i agentów wymachujących bronią, to bym się nie zastanawiał i sam to załatwił, za wiedzą lorda Nelsona oczywiście. Ta sprawa jest jednak kryminalna. I zagadkowa.

Włożył marynarkę i wsiadł na motocykl.

- Obcy agenci... - Krystyna pokręciła głową, zamyślona. - Jakbym Jadwigę słyszała - jęknęła, zakładając kask.

Fred roześmiał się i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wsiąść.  
- Też pracowała jako szofer? Krystyna westchnęła głęboko.  
- Nie. Jako sekretarka wywiadu - wydusiła spod kasku, a potem przytuliła się do pleców Freda i zamknęła oczy.

## ROZDZIAŁ 331

Krewetka z wielce zadowoloną miną wrócił do taksówki. Na jego widok Igor zaczął się pocić. Bo teraz nadeszła pora działania. Pora na Picassa.

- I co? - wyszeptał Igor, patrząc to na Krewetkę, to na Li, który wyglądał, jakby miał zaraz zejść, i to ze skutkiem śmiertelnym.

Krewetka schował swoją czarną skrzynkę z powrotem pod siedzenie i odwrócił się.

- Co ma być? - zdziwił się. - Luzik, *maté*. Otwarte.

- A alarm?

- Otwarte - powtórzył zniecierpliwiony Krewetka, robiąc ponaglący ruch głową.

- A pies? - Li zdołał wydobyć z siebie słyszalny szept. A potem zamknął oczy, jakby go to zbyt dużo kosztowało.

- Psa nie widziałem. - Krewetka wzruszył ramionami. - Może schował się w jakimś kącie?

- Pewnie wyczuł samca alfa - mruknął Igor, nie ruszając się z miejsca. Wpatrywał się w ciemność nocy. Nie miał najmniejszej ochoty się w nią zanurzać.

- Właśnie, *maté* - parsknął Krewetka. Po chwili dodał ponagląco: - Jak długo macie jeszcze zamiar czekać? Aż właściciel

wróci do domu? Jazda po Picassa. Podjadę pod sani dom za pięć minut. Lepiej, żebym nie musiał za długo czekać...

Igor i Li wymienili spojrzenia. Żaden z nich nie czuł się gotowy do wyjścia. Każdy chciał być gdzieś indziej. Ale alternatywa nie istniała, było tu i teraz - konsekwencja podjętej decyzji.

Igor zamknął oczy i policzył do trzech. Po polsku. Potem po angielsku. Na końcu po mandaryńsku. Włożył zakupione specjalnie na tę okazję w promocji „kup jedną parę, drugą dostaniesz gratis” rękawiczki, tę drugą parę ofiarowując Li. Gratis. Pomyślał

O Alicji. I wysiadł.

Li także włożył rękawiczki, a potem zdołał odkleić się od siedzenia, zmotywowany zapewne kuksańcem Krewetki, i już po chwili maszerował obok Igora. Przemknęli na drugą stronę ulicy i skręcili w prawo. Igor miał wrażenie, że ciemność otaczająca zewsząd pobliskie rezydencje jest ciemniejsza niż zwykle, a na-pęczniały księżyc odwraca się od nich, rozświetlając noc komuś innemu.

Upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu, szybko wbiegli po schodkach. Kiedy stanęli przed czarnymi drzwiami, smoking Igora był już zupełnie sztywny z zimna. Bo przecież nie ze strachu.

Li pociągnął za klamkę i drzwi otworzyły się bezszelestnie. Weszli. Znaleźli się w pogrążonym w mroku hallu z wielkim żyrandolem, na którego kryształach załamywało się światło księżyca wpadające przez okno na półpiętrze.

Igor nabrał powietrza do płuc razem z zapachem obcego domu.

I obcego, jakże różnego od swojego, życia.

- Boisz się? - gdzieś z mroku dobiegł go szept Li.

Igor nie odpowiedział, tylko włączył latarkę. Smuga słabego światła rozświetliła zaledwie mały fragment korytarza.

- Masz nóż? - upewnił się. Li pokiwał głową.

- Naostrzony. Gaz na psa też mam - powiedział, klepiąc się po kieszeni. Potem zaświecił swoje światełko i obaj w milczeniu ruszyli naprzód, zanurzając się coraz głębiej i głębiej w ciszę pustego

domu, przerywaną jedynie dudnieniem ich kroków na marmurowej posadzce.

Pierwsze pomieszczenie (zgodnie z ustaleniami Krewetki) było jadalnią. Na wszelki wypadek Igor zweryfikował kolor pokoju, kierując światło na ścianę. Jadalnia była beżowa. Nie weszli do środka, tylko poszli korytarzem dalej, z nadzieją, że słabe światła latarek ochronią ich przed złymi duchami. I psami.

Kolejne drzwi.

Li potwierdził kolor salonu. Czerwony.

- Widzisz gdzieś psa? - zapytał szeptem.

Igor pokręcił głową i ruszyli jeszcze dalej. Każdy jego krok w głąb tego obcego świata sygnalizowany był uderzeniami dzwonu w klatkę piersiową. Na samym końcu korytarza znajdował się przedsionek, gdzie marmur przechodził w miękką jak bujna trawa wykładzinę. Igor zamarzył nagle, żeby ściągnąć buty i znaleźć się na łące. Tym bardziej że po wykładzinie posuwali się szybko, niemal bezszelestnie, i straszliwe dzwonięcie w jego piersiach musiało już zaalarmować jednostkę mundurową.

- Gdzie ten zielony salon? - syknął Li, wpadając na jakieś wystające ze ściany metalowe kształty, które okazały się rzeźbami.

- Miał być za czerwonym, czyli to musi być ten - powiedział Igor, ostrożnie otwierając ostatnie drzwi.

Weszli do środka. Blade światło ledwie rozświetlało mrok, z którego powoli zaczęły wyłaniać się dziwnie wydłużone meble. Igor i Li kręcili się po olbrzymim pokoju, świecąc po ścianach w poszukiwaniu upragnionego Picassa. Co chwilę któryś z nich wpadał na jakieś kanapy, na wielkie i wyjątkowo kanciaste krzesła. To wyłaniały się z mroku, to w nim ginęły zdjęcia, obrazy, figurki, poduszki, książki. Z portretów wiszących na ścianach patrzyły na nich surowo twarze dawno nieżyjących arystokratów. Igor miał wrażenie, że to na ich rozkaz meble otoczyły intruzów ze wszystkich stron i zaraz ich zaatakują. Oblizął suche wargi i z lękiem spojrzął na Li. Ten nie wydawał się przejęty atakiem mebli. Oświetlał właśnie latarką ścianę, by zidentyfikować jej kolor.

- Ale ten pokój jest niebieski - powiedział zdumiony.  
- Może jest niebieski, ale nazywa się zielony - upierał się Igor Serce kołatało mu coraz szybciej. - Krewetka wie, co mówi.

- To dlaczego jest zielony, skoro jest niebieski? - zapytał Li. Igor zaczynał tracić zimną krew.

- Przestań! - nie wytrzymał i ze zdenerwowania zazgrzytał zębami. - Może ktoś z rodziny był daltonistą. Szukaj Picassa!

Li posłusznie podniósł wzrok, skupiając uwagę i światło latarki na ścianach i wiszących tam obrazach. Nie dostrzegając gapiących się na niego z portretów i zdjęć przerażających postaci.

- Po co ludziom tyle salonów? - mruczał tylko. - Ciekawe, czy liczba posiadanych salonów ma związek z zadowoleniem z życia..

Igor chciał go uciszyć, ale tego nie zrobił, bo tuż nad wieli kanapą, naprzeciwko okna zasłoniętego ciężkimi złotymi storami zobaczył cel. Święty Graai. *Martwa natura z atrtm*. Obraz załśnił w mroku, jakby chciał zostać odnaleziony. Igorowi wydawało się, że obraz go woła. Jakby udawał *Krzyk*. Zapatrzył się. Potem<sup>1</sup> nie odrywając od obrazu światła latarki, jakby bał się stracić goi, z oczu nawet na chwilę, powoli, niemal uroczyście, podszedł do kanapy.

I wtedy zobaczył największego psa, jakiego kiedykolwiek widział. Prawdziwą bestię. Spała snem śpiącej królowny, choć z królowną niewątpliwie spokrewniona nie była. Wydawała się broni dojścia do Picassa. Igor odwrócił się, żeby uprzedzić Li, ale ni zdążył. Kumpel był już za nim. Bestia otworzyła ślepią. Łypnął na intruzów i oblizła się.

Li zamarł. Bezwiednie przyświecił psu po oczach. Psu to się ni spodobało. Najwyraźniej nie lubił światła. Podniósł się. I znowu się oblizął.

Wtedy Li nie wytrzymał nerwowo. Idąc za głosem instynkt samozachowawczego, wyszarpnął z kieszeni gaz usypiający i na cisnął. A potem odskoczył i pośpiesznie zasłonił twarz szalikiem Igorowi nie pozostało nic innego, jak pójść za przykładem kolegi. Dusząc się pod szalikami, zastygli w oczekiwaniu.

Pies, zamiast momentalnie wyłożyć łapy do góry i zasnąć, przeciągnął się i usiadł. A potem zaczął wachać. I wdychać. W miarę jak wdychał, jego oczy robiły się coraz większe i większe. Wreszcie ziewnął. Przez chwilę wydawało się, że zaraz spełni pokładane w nim - a raczej w gazie usypiającym - nadzieje, padnie i zaśnie, ale z jakiegoś dziwnego powodu bestia zeszywniała nagle, a jej oczy rozbłysły w ciemnościach jak dwa reflektory.

Li schował się za Igorem.

- Nie zasnął - wydusił przez szalik z prawdziwym przerażeniem w głosie.

Ale pies nie tylko nie zasnął. Po chwilowym zeszywnieniu zerwał się na równe nogi i wyprężył. Najpierw podskoczył dwa razy na kanapie, jakby chciał rozruszać zeszywniałe mięśnie. Jak się okazało, była to rozgrzewka - zaraz potem odbił się jeszcze wyżej, i jeszcze wyżej, zeskoczył z kanapy, rzucił się pędem do przodu i wbił się w ścianę jak byk na corridzie. Jako że rogów nie miał, uderzył w mur głową i opadł na podłogę. Ta niemożność przebicia głową muru rozeźliła go, ale i zmotywowała: otrzepał się, odwrócił i rozpoczął bieg ód nowa. Tym razem w kierunku Igora i Li.

Widząc szaleństwo w oczach zwierzęcia, Igor pociągnął kumpla na kanapę.

Pies po raz kolejny wbił się w ścianę i opadł na podłogę. Wstał, otrząsnął się i spróbował raz jeszcze. Najwyraźniej nie wiedział, że głową muru nie przebije.

Igor zerwał z twarzy szalik. Pooddychał chwilę.

- Pokaż mi ten spray! - Szarpnął kumpla za rękę i wybuchnął płaczem. Li spojrział na Igora z przerażeniem. Chciał coś powiedzieć, zapewne pocieszyć kolegę, więc ściągnął szalik i nabrał powietrza do płuc. Jednak zamiast słów z jego gardła wydobył się szloch. Igor wpatrywał się w pojemnik, a ocierając łzy płynące obfitym strumieniem z jego błękitnych oczu, dostrzegł, że etykieta została przyczepiona za pomocą taśmy klejącej. Odkleił ją i spojrział w osłupieniu na chlipiącego Li.

- To gaz łzawiący - wyszłochał.

- Wygląda na to, że kochana Daisy namieszała - płakał Li. Pies wbił się w kolejną ścianę.

- Zróbmy to jak najszybciej. Wycinamy Picassa i w nogi - zdecydował Igor. - Daj nóż.

Li wyciągnął z kieszeni ostre narzędzie i drżącą dłonią podał je Igorowi. Ten przyłożył nóż do płótna jak chirurg skalpel do ciała pacjenta.

Wtedy pies zderzył się z kanapą. Na szczęście zauważył leżące koło kanapy poduszki i z determinacją zaczął je wykańczać.

- Szybciej, bo dłużej tego nie zniosę - zapłakał Li. Jęknął wyczerpany:  
- Ja chcę do domu.

Igor skoncentrował się, wbił ostrze i przeciągnął nim po płótnie, dokonując pierwszego cięcia.

Najpierw góra. Potem musiał wytrzeć nos i łyzy. Lewa strona i prawa. Li podtrzymywał płótno. Zajrzał pod spód i znieruchomiał.

- Co to? - wyszeptał, wskazując palcem za obraz. Igor zajrzał.

- Sejf - wyszłochał i pomyślał o Alicji.

- Ciekawe, co jest w środku - zainteresował się Li.

- Coś, co nas nie dotyczy. - Igor otarł łyzy i dokonał ostatniego cięcia.

Potem w ciszy przerywanej jękami rozszarpywanych przez psa poduszek ostrożnie zwijali Picassa w rulonik.

Bestia, ogłuszona nieco walką ze ścianą i poduszkami, skupiła całą swoją energię na krześle. Zaczęła kopulować.

Li wpatrywał się w sejf.

- Może spróbujemy go otworzyć? - zasugerował. - Zawsze o tym marzyłem...

- Nie po to tu przyszliśmy.

- Ale skoro już tu jesteśmy? -1 tak nie znasz kombinacji.

- Spróbujmy - zapłakał błagalnie Li. - Tylko raz. Może się okazać, że mam talent do otwierania sejfów. W końcu mam doskonały słuch...



Igor westchnął i spojrzał na bestie. Dalej zabawiała się z krzesłem. Zrezygnowany oparł więc rulonik o kanapę i obaj z Li wpatrzyli się w sejf.

- Skąd wiesz, ile cyferek musisz wklepać? - zapytał po chwili Igor. Li wyciągnął rękę w rękawiczce i uśmiechnął się przez łyzy.

- Pewnie tyle co w totka...

Nie było mu jednak dane spróbować, rozproszył go jakiś dźwięk

Rozejrzeli się i momentalnie zapomnieli o sejfie. Na ich twarzach pojawiła się straszliwa panika.

- Nasikał! - rozplakał się znowu Igor. - Nasikał na Picassa! Wszystko przez ciebie! I co teraz!?! - Trzepnął kolegę po głowie.

- Co ma być? - Li wzruszył ramionami. Starał się myśleć kreatywnie.

- Wyschnie, najwyżej będzie trochę śmierdział. Powiemy, że się zaśmierdział ze starości - improwizował.

Nagle pies wydał z siebie jakiś dziwny pisk. Potem zawarczał, jak na psa przystało, chwycił obsikany rulon w zęby, w końcu to już była jego, podpisana moczem, własność, a w końcu jak szalony wybiegł z salonu.

- Ukradł! Ukradł nam Picassa! - rozdarł się Igor. - Dzwon do Krewetki, niech tu przyjdzie i pomoże nam go złapać! W końcu to był jego durny gaz... - Zeskoczył z kanapy, słysząc, jak Li wystukuje numer i urywanymi słowami wzywa pomoc. Już miał wyruszyć w pogoń za psem, ale zobaczył stężoną ze strachu twarz Li.

- Nie pomoże - wyszeptał Li, odsuwając telefon od ucha. - Jak to?

- Powiedział, że ma małe dziecko i jest jedynym żywicielem rodziny...

Wtedy usłyszeli, że drzwi się otwierają.

## ROZDZIAŁ 338

Jadwiga i Chuks dostali się do obszernego hallu domu przy Chester Square z zadziwiającą łatwością.

-Wariat z tego taksówkarza... - szeptał wzburzony Chuks chowając wytrych do kieszeni. Nie był potrzebny. - Zapytałem j tylko, czy długo stoi i czy nie widział czegoś podejrzanego, a ten o mało mnie nie przejechał.

- Londyn to niebezpieczne miasto, ludzie się boją, zwłaszcza w nocy... - odszepnęła Jadwiga, rozglądając się niepewnie dokoła. Cisza pustego domu zupełnie ją obezwładniła. - Nie każdy jest takim twardzielem jak ty.

- To fakt! - Chuks pokiwał głową z przekonaniem. - A takim bogatym bubkom to się nawet nie chce zamknąć drzwi na klucz i włączyć alarmu. - Rozejrzał się dokoła. - No ale jak się planuje i wrócić po imprezie w stanie mocno wskazującym, to pewnie tak jest prościej.

- Może to dlatego, że mają psa - wytłumaczyła Jadwiga. - Wygląda na groźnego, ale...

Wtedy z korytarza dobiegł dziwny dźwięk, który można było pomylić z końskim galopem. Jako że konie po rezydencjach miejskich raczej nie galopują, Chuks postanowił stawić czoła temu, co galopowało korytarzem. Zasłonił swoim ciałem Jadwigę. Ale

Jadwiga bardziej niż swoje bezpieczeństwo ceniła dobry widok. Stała obok Chuksa. Oboje w napięciu wpatrywali się w mrok. Żadne jednak nie było przygotowane na to, co zobaczyło. Z korytarza wyłonił się bowiem olbrzymi galopujący pies trzymający w pysku coś, co w ciemnościach wyglądało na gigantyczną kość. Zwierzę, nie zwracając na nich żadnej uwagi, wbiło się w dzikim pędzie w drzwi wejściowe. Raz. Potem drugi. Kiedy rozpędzało się, żeby zrobić to po raz trzeci, Chuks otworzył drzwi. Najwyraźniej nie chciał patrzeć, jak stworzenie boże się męczy. Pies wypadł na zewnątrz i przeskoczywszy wszystkie schody naraz, wbił się w latarnię. Potem otrzepał się i zniknął w ciemnościach nocy, unosząc w pysku swą zdobycz.

Zapanowała cisza. Jadwiga, po chwilowej zapaści, zdołała w końcu przełknąć ślinę.

- Tak się kończy karmienie zwierząt modyfikowaną żywnością - szepnął Chuks, z dezaprobatą kręcąc głową. Potem westchnął, zamknął drzwi, zapalił latarkę i znowu był skoncentrowany na akcji. - Szukamy sejfu - wyszeptał. - Najpierw sprawdzimy parter. Zaglądamy za każdą obraz i za każdą szafę, rozumiano?

Jadwiga pokiwała głową i rozpięła płaszcz. Paliło ją gorąco. Oblewały zimne poty.

Ruszyli po marmurowej posadzce. Najpierw Chuks z latarką, potem Jadwiga. Żmudnie sprawdzali pomieszczenie po pomieszczeniu. Kiedy znaleźli się w małym korytarzyku tuż przy ostatnich drzwiach, usłyszeli najbardziej przerażający dźwięk, jaki tylko można usłyszeć w obcym i pustym domu. Odgłos kroków.

Chuks momentalnie zgasił latarkę, szybko weszli do pokoju i przykleili się do ściany po obu stronach drzwi.

Ktoś nadchodził. Szedł pewnie, jakby znał każdy zakamarek tego domu. Jakby był u siebie.

Jadwidze niespodziewanie zrobiło się smutno. Jej oczy zaczęły łzawić. Próbowwała powstrzymać łzy, przecież nie płakała nawet na własnych rozwodach, ale nie mogła. A odgłos kroków stawał się coraz głośniejszy. Nagle umilkł. Tuż przed drzwiami!

Drzwi otworzyły się z cichym zgrzytem i z mroku wyłoniła się dłoń z pistoletem, a potem druga z latarką. Po chwili załzawionym oczom Jadwigi ukazała się Helga w całej okazałości i z rozwianymi włosami.

- Nie chowajcie się, widziałam was - syknęła, od razu ich zlokalizowawszy. Potem rzuciła wściekłe spojrzenie Chuksowi. - Jesteś mi winien za dwie opony.

- A ty mi za pralnię... - połknął przekleństwo. - Do końca życia będziesz mi piwo stawiać.

Helga chciała zaoponować, ale zamiast tego rozplakała się, Chuks zmarszczył czoło.

- Przepraszam - rzucił niepewnie i odwrócił wzrok. W końcu widok płaczącej niewiasty do miłych nie należy. - Kupię ci cały komplet, tylko mi tu teraz nie rycz... - Spojrzał zde gustowany na Jadwigę, szukając wsparcia, ale na nią nie mógł liczyć. Płakała. - Ty też czegoś ode mnie chcesz? No tak, dokumentów. Z tym babami można zwariować - mruknął Chuks, a potem sam otarł łzę z policzka. I drugą. Po trzeciej stracił rachubę.

- Mam was - zaskoczył ich głos Fiodora.

- A ty tu skąd, do cholery!/? - Chuks o mało się nie zapłakała na śmierć.

Fiodor już miał odpowiedzieć, ale zauważywszy wylewane hektolitrami łzy, zapytał ze złośliwym uśmieszkiem:

- Nie cieszy się, że was znalazłem? Ranicie mi serce - dodał teatralnie, z sarkazmem, który rozplynał się jednak w fontannie łez. Fiodor, przerażony, zaczął kciukiem wcierać łzy z powrotem do oczu. Bezskutecznie.

-Nie mogę przestać - zaszlochała Helga. - Czyż to nie smutne?

- Trochę samodyscypliny! - Chuks pociągnął nosem. - Płakać mi się chce, jak widzę wasze podejście.

Jadwiga nie zwracała uwagi na całe to szpiegowskie towarzystwo, tylko - połykając łzy - świeciła latarką po ścianie. I wtedy go zobaczyła.

- Jest - wyszeptała gorączkowo. - Sejf!

Na ścianie nad kanapą rzeczywiście znajdował się sejf. Oprawiony w ramy.

Fiodor otarł nos rękawem i ruszył w stronę sejfu, nie odrywając wzroku od ram, kiedy nagle potknął się. Mało brakowało, a runąłby wprost na trzymającą się blisko niego Helgę.

- Co jest? - mruknął.

Dotarł do kanapy i zaświecił stojącą obok lampę. Oczom zgromadzonych ukazał się porażający widok. Porcelanowe figurki, niegdyś poukładane na małych antycznych stoliczkach, a teraz pozbawione głów i innych członków ciała, chowały się po kątach, na podłodze smętnie umierały wybebeszone poduszki, gdzieś tam odpadł ze ścian. Nawet krzesło i kanapa wyglądały, jakby ktoś ostro się na nich zabawiał tej nocy.

- Powinni zmienić sprzątaczkę - mruknął oszołomiony Chuks.

Fiodor stał pod sejfem i uważnie rozglądał się dokoła. Na kanapie dostrzegł pojemnik. Podniósł go ostrożnie i uważnie przestudiował etykietkę.

- Gaz łzawiący - przeczytał, mrużąc oczy. Znieruchomiał. -Ktoś tu był.przed nami! Chuks, sprawdziłeś teren, gdy wszedłeś? -zapytał, podnosząc zaniepokojone spojrzenie na sejf.

Chuks wzruszył ramionami.

- Było ciemno i pusto, szukałem sejfu. Fiodor rzucił w niego pojemnikiem.

- Co za kompletny brak kompetencji! Pewnie ktoś nas uprzedził! Imbecyl!

- Sam jesteś imbecyl, też mogłeś sprawdzić - odciął się Chuks.

Zaczęli wymachiwać sobie przed oczami bronią, ale na szczęście Helga, która chodziła po pomieszczeniu jak gończy pies, zauważyła wystające zza zasłony lakierki. Jako że zasłony nóg nie posiadają, a zatem i butów także, podeszła cichaczem do okna i wykorzystując zamieszanie, pociągnęła za sznur.

Kurtyna rozsunęła się.

Na scenie pojawiło się dwóch drżących i zapłakanych młodych mężczyzn z szalikami klubu piłkarskiego Millwall. Nie czekając na zaproszenie, podnieśli ręce do góry.

Po chwili konsternacji na twarzy Chuksa pojawiła się złość. Widocznie ochota do płaczu ustępowała. Jej miejsce zajęła wściekłość.

- No nie... Chińczycy znowu byli pierwsi - wycodził, patrząc na Azjatę.

- A ten blondynek to się chyba za dużo filmów o Jamesie Bondzie naoglądał. Żeby na akcję smoking założyć... - Fiodor nie krył zdegustowania. - Tylko dlaczego dobierali się do sejfu przez obraz? Jacyś upośledzeni?

- Ty jesteś upośledzony - niespodziewanie w obronę wzięła chłopców Helga. Sprawdziła, czy nie mają broni. - To przecież zwykli złodzieje!

- Złodzieje w smokingach, co to się porobiło! - zamruczał Chuks i opadł na kanapę.

Jadwiga tępo wpatrywała się w zegar, nie wiedząc, co zrobić. Pojawienie się Igora z Zielonej Góry na końcu historii, do której przecież nie należał, zupełnie wyprowadziło ją z równowagi. Usiadła na kanapie obok Chuksa i skoncentrowała się na przesuwających się rytmicznie wskazówkach wielkiego antycznego zegara wiszącego nad marmurowym kominkiem. Jedna sekunda. Druga sekunda. Trzecia sekunda...

Przez chwilę było nawet całkiem sympatycznie. Gaz rozpląnął się w powietrzu, humory zaczęły się poprawiać, nosy były jeszcze trochę czerwone, ale przynajmniej oczy już nie łzawiły. Siedzieli tak obok siebie, Jadwiga i Chuks. Fiodor drapał się po głowie, patrząc złośliwie na Helgę, która kończyła obszukiwać ślaniającego się ze strachu Azjatę, mrużąc przy tym z wyraźnym zadowoleniem.

I wtedy sytuacja uległa drastycznemu pogorszeniu.

Do salonu z dzikim okrzykiem i wzniesionym mieczem wpadł olbrzymi zakrwawiony Chińczyk. Zamilkł wprawdzie i znieruchomiał zaraz po wtargnięciu, nieprzygotowany zapewne na tak

liczne audytorium, ale atmosferę zdążył zepsuć. Przez chwilę wszyscy milczeli i nie byli w stanie się ruszyć oszołomieni niespodziewanym widokiem, zamarły nawet wskazówki zegara. A potem Chińczyk znowu wzniósł miecz. I okrzyk bojowy.

- Ktoś zna kung-fu? - zapytał jeszcze Fiodor, ale najwyraźniej pytanie z zamierzenia było retoryczne, bo nie czekając na niczyją odpowiedź, strzelił.

Jadwiga i Chuks zerwali się z kanapy i odskoczyli. Na szczęście. Chińczyk urwał w połowie okrzyku i zwałił się na kanapę, wbijając w nią swój miecz. Po chwili znieruchomiał na zawsze.

- Tani chwyt - mruknął lekceważąco Chuks, który razem z Helgą podszedł i przyglądał się wielkiej postaci.

- Tani, ale skuteczny - odwarknął Fiodor, gładząc swoją niezawodną broń.

Helga pochyliła się nad Chińczykiem i pociągnęła nosem.

- Wino - powiedziała zdumiona, podnosząc wzrok. - Co to się z ludźmi na starość wyrabia. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Piją i ganiają po mieście z bronią... - Westchnęła, patrząc z wyrzutem na otaczających ją mężczyzn.

Jadwiga nie wytrzymała.

- Dokumenty - rzuciła bliska hysterii i wskazała na sejf. - Mamy jeszcze dwadzieścia minut!

Zapadła cisza.

- To nie takie proste, Jadwiga - odezwała się w końcu Helga. W jej oczach pojawił się niebezpieczny błysk. A potem wyciągnęła broń.

Jadwiga znieruchomiała.

Fiodor rozłożył ręce w pokojowym geście, jakby zupełnie nie przejął się wrogą postawą koleżanki.

- Jakoś musimy się dogadać... - Zaśmiał się. - Za długo się znamy, żebyśmy się teraz tak po prostu pozabijali, nie uważasz Helgo?

Ta patrzyła na niego przez chwilę, a potem zaklęła coś pod nosem po niemiecku i opuściła pistolet.

- Może zagramy w rosyjską ruletkę - zaproponował złośliwie Chuks, trzymając się blisko kanapy.

- Przepraszam bardzo, może bawicie się w to w Nigerii, u nas ta gra już wyszła z mody - obraził się Fiodor.

- A co? Przerzuciliście się na nigeryjski szwindel? - parsknęła Helga, wpatrując się ironicznie w Fiodora, który tracił powoli dobry humor.

Jadwiga czuła, że ogarnia ją panika.

Wydawało się, że dokumenty są tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, a ona nie mogła tej ręki wyciągnąć. Żeby jej nie stracić. Gorączkowo zastanawiała się nad wyjściem z sytuacji, bo rozmowy, których była świadkiem, prowadziły donikąd. A tam zdecydowanie nie chciała się znaleźć. Zaczęła skanować pomieszczenie w poszukiwaniu inspiracji. Przez chwilę wpatrywała się w stojących pod oknem bladych mężczyzn z podniesionymi rękoma, oglądających surrealistyczną scenę jak najlepszy film akcji. Potem przesunęła spojrzenie dalej i po prawej stronie, w samym rogu pomieszczenia, zobaczyła drzwi. Z tkwiącym w nich kluczem. Przełknęła ślinę. Uspokoila oddech. A potem, nie zastanawiając się długo, zawołała histerycznie:

- Dość! Zaraz zwariuję! - I zasłoniła dłonią oczy. Spojrzeli.

- Jadwiga, ale co się dzieje? - zapytał troskliwie Chuks. Wywróciła oczyma.

- Trup! - Wskazała rozdygotana na leżące na kanapie zwłoki. - Nie wytrzymam tego dłużej! Wynieście go stąd! - wyjęczała i drżącą ręką wskazała na drzwi. - Jestem tylko sekretarką!

Chuks spojrział na Fiodora.

- Ustrzeliłeś go, to coś z nim teraz zrób - warknął wściekle.

- Niby po co? - nie rozumiał Fiodor.

- Blokuje dostęp do sejfu... - Wskazał na kanapę. - Poza tym damy mdleją. I Helga.

- Wbrew pozorom jestem bardzo wrażliwa! - wycedziła urażona Helga, zazgrzytała zębami i podeszła do drzwi. Pociągnęła za



klamkę. Były zamknięte. Przez chwilę patrzyła niezdecydowana na histeryzującą Jadwigę, a potem, przeklinając zapewne słabe psychicznie sekretarki, przekręciła klucz tkwiący w zamku, otworzyła w końcu drzwi i zajrzała do środka. Potem wróciła do reszty towarzystwa.

- To oranżeria - wyjaśniła. Wskazała na zwłoki. - Wynosić go! *Rauss!*

- Jasne, a ty nam w tym czasie dokumenty buchniesz. Ani mi się śni - oświadczył Fiodor. - Wszyscy wynosimy.

- *Kretin!* Co ty myślisz, że znam kombinację? - wściekła się Helga. - Że nie zauważycie, jak zniknę!?

Fiodor wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale jak wszyscy, to wszyscy - mruknął i zrobił zapraszający gest ręką. Helga zaklęła pod nosem i wygarnęła im od idiotów, aie nie widząc innego wyjścia, schowała broń do kieszeni i posłusznie podeszła do trupa. Oświadczyła, że nie będzie stać z przodu, bo może zostać zastrzelona przez Fiodora, stojącego z tyłu. Chuks także nie był pewien, czy Helga nie załatwi go z prawej. Wtedy Jadwiga zgłosiła się, żeby na ochotnika przypilnować broni, pozbierała od nich pistolety i położyła je na małym stoliku znajdującym się tuż przy drzwiach.

- Pilnuj złodziei, żeby niczego nie ukradli - mruknął do niej ironicznie Fiodor, a potem jednym ruchem ściągnął Chińczyka z kanapy.

Helga chwyciła trupa za jedno ramię, Chuks za drugie, a Fiodor podniósł za nogi, jak taczki. Niestety koła z przodu nie było, ale i tak ruszyli - powoli, zostawiając za sobą krwawy szeroki ślad na jasnym puchatym dywanie. Jadwiga przyglądała się makabrycznej scenie, a kiedy parada przesuwała się powoli, niezauważona zajęła strategiczną pozycję między drzwiami do oranżerii a kanapą.

- Plecy mi nawalają - jęknął Chuks, pierwszy przechodząc przez drzwi. - Już nie dla mnie taka ciężka, fizyczna praca.

Gdy cała trójka zniknęła w oranżerii, Jadwiga błyskawicznie zatrzaskała drzwi i dwa razy przekręciła klucz w zamku.

Zapadła głucha cisza. Jakby świat zatrzymał się na moment ze zdumienia.

Jadwiga spojrzała na Igora i towarzyszącego mu Azjatę. Wpatrywali się w nią z podniesionymi rękami. Kiedy świat znowu ruszył, zza drzwi zaczęły dobiegać jakieś trzaski i zgrzyty. I przekleństwa w wielu językach.

- Jadwiga?

- *Idioten* - słysząc było wściekły głos Helgi. - Daliście się wyprowadzić w pole jakiejś sekretarce!

Jadwiga nie zwracała uwagi na krzyki. Miała dziesięć minut, I żeby uratować Krystynę. Podeszła do młodych mężczyzn.

- Dogadajmy się, tylko szybko - zaproponowała głosem nieznoszącym sprzeciwu, ale z zachęcającym uśmiechem. - Otwórzcie sejf, możecie z niego wziąć, co chcecie, ja was tu nie widziałam. Potrzebuję tylko pewnych dokumentów i transportu. Macie samochód, prawda?

Spojrzeli po sobie.

- Wzięliśmy taksówkę - pisnął przepraszająco Azjata.

## ROZDZIAŁ 347

Kiedy Fred w końcu zatrzymał motocykl, Krystyna miała wrażenie, że właśnie wypluło ją tornado. Otworzyła oczy. Wciąż była przyklejona do pleców Freda, a on nie ruszał się, jakby zastygł z tym słodkim ciężarem na plecach. Dopiero kiedy Krystyna oderwała od niego ręce i zaczęła ściągać kask, wyprostował się.

- Dlaczego nie pojechaliśmy na policję? - zapytała, z trudem wydobywając głos przez ściśnięte ze strachu gardło.

- Wszystko w swoim czasie - powiedział enigmatycznie i zsiadł z motocykla. Potem spojrzał na nią z troską. - Jak się czujesz?

Tylko ją zdenerwował.

- A jak myślisz? - syknęła. - Zostałam porwana, grożono mi bronią, a do tego ta twoja szaleńcza jazda! Ja już nie mam czterdziestu lat! Takie przeżycia mogą mnie zabić! O, już mnie gardło boli. - Zaczęła się krztusić. - Fred wyciągnął rękę, żeby pomóc jej zejść, ale to zirytowało ją jeszcze bardziej. - Poradzę sobie, nie jestem jeszcze taka stara - oświadczyła i odsunęła jego rękę. Żwawo zeskoczyła, starając się nie pokazać po sobie, że ścierpła jej noga i coś strzeliło w prawej łopatce. Potem odłożyła kask na siedzenie motocykla i wyprostowała się ostrożnie.

Fred obserwował ją przez chwilę.

- Lubisz narzekać, co? - skwitował i zaczął iść przed siebie. Zaciśnęła zęby. Po chwili dogoniła go.

- Narzekać? Nie tak wyobrażałam sobie dzisiejszy wieczór. Chyba mam prawo do okazania odrobiny niezadowolenia! - wyrzucała z siebie. - Poza tym oszukałeś mnie!

Zatrzymał się poirytowany.

- Ja!? Ja cię oszukałem? Niby kiedy!?

Krystyna dostała zadyszki. Już dawno nie czuła takiej złości.

- Zaprosiłeś mnie do domku na wsi - wyartykułowała, wymachując przy tym rękami - a tak naprawdę chciałeś się tylko dowiedzieć, kim jestem!

Rzucił jej jeden ze swoich kąśliwych uśmieszków.

- Znasz takie powiedzenie: trzymaj przyjaciół blisko, ale wrogów jeszcze bliżej?

- Przyjaciół? To ty masz przyjaciół?

- Nie zdziwiłbym się, gdybyś ty nie miała! - odgryzł się. - Wynajęłaś bandytów, żeby zmusić mnie do przyjścia ci na ratunek, a teraz wyzywasz mnie od oszustów? Twoje podejście jest fascynujące!

Krystyna nie zamierzała zniżać się do przekonywania go, że to nie ona, tylko Jadwiga.

- Zawsze fascynuje nas to, czego nam brakuje! - wycodziła przez zęby.

- Biust? - Ułożył wargi w dziwnym grymasie.

- Osobowość! Ale ty tego nie zrozumiesz! - wrzasnęła, znowu tracąc nad sobą kontrolę.

Po chwili zreflektowała się.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - zapytała i rzuciła okiem dokoła, na uśpione domy.

- Chester Square jest tuż za rogiem. Nie chciałem podjeżdżać pod dom, na wypadek gdyby coś się tam jednak działo - odpowiedział sucho. - Muszę najpierw sprawdzić, czy dokumenty są bezpieczne.

Krystyna zwolniła i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Dokumenty lorda Nelsona? Ty je masz? Zatrzymał się i odwrócił w jej stronę.

- Lord Nelson wolał przechowywać je z dala od świata. Nawet ci nieliczni, którzy o nich wiedzieli, byli przekonani, że dokumenty znajdują się w sejfie w rezydencji w Holland Park. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Ktoś jednak mógł się dowiedzieć, że dokumenty są u mnie. Mam przeczucie, że twoja koleżanka...

- O czym ty mówisz? - wyszeptała Krystyna.

- Lord Nelson ostrzegał mnie, że ktoś może próbować zdobyć te dokumenty. Coś mnie tknęło, kiedy dowiedziałem się o kobiecie ze wschodnim akcentem, która wynajęła tamtych dwóch.

Nie odezwała się.

- Byłem przekonany, że mam rację. Potem ty przekonałaś mnie, że chodzi tylko i wyłącznie o gorącą miłość Alicji do Archibalda. Ale teraz, po akcji z motocyklistą... - spojrzał na Krystynę spod oka - niczego nie jestem już pewien. Mogłaś być gwarantem dostarczenia dokumentów...

- Jadwiga pracowała w wywiadzie jako sekretarka! - Krystyna sztucznie się roześmiała. - Czyś ty oszalał?

- Nie wiesz, do czego ludzie są zdolni, żeby ocalić bliskich. Krystyna nie odpowiedziała. Poczula, że drżą jej kolana. Kiedy

znaleźli się przed rezydencją, próbowała wyperswadować Fredowi szaleńczą teorię.

- To niemożliwe. To moja przyjaciółka - mówiła rozgorączkowana, nie zwracając na nic uwagi. - Osobiście ją zamorduję, jeśli ma z tym coś wspólnego. Nie wierzę w to wszystko! Jasne!?! - Roześmiała się histerycznie. - Powiedz mi jeszcze, że banda agentów ugania się z bronią po domu, szukając... - Połknęła własny sarkazm, bo Fred uciszył ją, przykładając palec do ust. Wskazał na boczne okno w domu Archibalda, w którym widać było słabe światło.

- Daj mi pistolet - powiedział, wpatrując się w okno.

- Nie mam. Zostawiłam w bagażniku twojego samochodu - oświadczyła.

Jedno jego spojrzenie i poczuła się jak głupia, naiwna gęś.

- Zostawiłaś w bagażniku? - powtórzył osłupiały i pokręcił z niedowierzaniem głową. Nie było jednak czasu na wyrzuty.

Ostrożnie weszli po schodach i znaleźli się przed czarnymi drzwiami. Były otwarte. Z wnętrza domu dochodziły dziwne odgłosy. Głuche bębnienia i dźwięczne krzyki. Weszli do przestronnego hallu. Hałas dobiegał z jakiegoś pomieszczenia znajdującego się w głębi korytarza. Fred ruszył przed siebie. Krystyna podążyła za nim, rozglądając się dokoła z prawdziwym przerażeniem. Jej serce biło coraz szybciej i szybciej. I tak głośno, że nie słyszała ostrzegawczych szeptów Freda. Nagle zamarła.

Rozpoznała kobiecy głos.

Nie wierząc własnym uszom, wyrwała się do przodu i wbiegła do oświetlonego pokoju.

jej oczom ukazał się porażający wręcz widok.

Na jasnym dywanie ze straszliwą plamą krwi znikającą pod drzwiami, zza których słycać było bębnienie, stała Jadwiga, chociaż w ogóle nie powinno jej tam być, i okładała latarką dwóch młodych mężczyzn, którzy najwyraźniej nie mieli odwagi się bronić, a nawet wydawali się ślaniać na nogach.

- Czy wy jesteście nienormalni!? - ryczała wściekle. Nie zauważyła wejścia Krystyny. - Na akcję taksówkę bierzecie!? Wy matoly... - wyła histerycznie.

Krystyna, patrząc na przyjaciółkę, poczuła, że jeszcze trochę i będzie musiała udać się prosto do sanatorium dla psychiatrów.

- Jadwiga! - krzyknęła w końcu, dochodząc do siebie. - Co ty tu robisz!?

Jadwiga odwróciła się gwałtownie i spostrzegłszy Krystynę, wrzasnęła jeszcze głośniej:

- Jak to co!? Próbuję cię ratować!

Krystyna spojrzała na Freda, który z miną „a nie mówiłem” wszedł do pokoju tuż za nią. Na widok krwawej plamy na dywanie, zmarszczył czoło. Potem podszedł do kanapy i zaczął badać miejsce, w którym jeszcze nie tak dawno wisiał Picasso.

- Ratuj sama siebie, bo cię zaraz zabiję! - krzyczała Krystyna. - Co ty sobie wyobrażasz, włamując się do czyjegoś domu!? Jak cię zaraz dorwę...

I dorwała. Padły sobie w ramiona, szlochając ze szczęścia. Rzuciły w siebie jakimiś półsłówkami, szczątkami zdań, z których trudno było cokolwiek zrozumieć, płakały i śmiały się jednocześnie - a wszystko tak głośno, że nawet odgłosy walenia w drzwi ucichły. Najwyraźniej wszyscy mieli już dość.

Po serii kolejnych uścisków wzrok Krystyny spoczął w końcu na młodym blondynie. Zamarła. Rozpoznała Igora, kelnera z chińskiej dzielnicy, potencjalnego kandydata na królewicza Alicji.

- Jadwiga - szepnęła koleżance do ucha, wpatrując się w niego podejrzliwie - co on tu robi?

Odpowiedziała jej cisza. A potem zegar zaczął wybijać północ.

Jadwiga zamarła. Ledwie dotarły do niej słowa Krystyny. Rozluźniła uścisk i odsunęła się od przyjaciółki. Nie mogła oderwać wzroku od drzwi.

- Nie - wyszeptała nagle. - Co ona tu robi? Krystyna odwróciła się.

W drzwiach stała Alicja. W błękitnej sukni balowej. Błada i przerażona. Jak biała dama, która zwabiona biciem zegara, pojawia się o północy, szukając ukojenia.

A za Alicją stał Archibald Renfrew Nelson, królewicz z bajki. Z bronią w ręku.

Kiedy zegar przestał wybijać północ, czar prysł, zamieniając Kopciuszka w profesjonalną złodziejkę, a królewicza z bajki w zwykłego gbura. Archibald zauważył brak obrazu.

- Gdzie mój Picasso!? - wrzasnął. Jego błękitna krew musiała zabarwić się na czerwono. Z wściekłości.

Fred zrobił krok w jego stronę, ale Archibald szybko otrząsnął się po stracie i ostrzegawczo podniósł broń.

- Stój - powiedział. - Wszyscy ręce do góry i dołączyć do tamtych - wskazał na stojących koło okna mężczyzn, a potem

się skrzywił. - Tłok jak na *garden party* u Earla Strathmore...  
-przerwał, bo nikt się nie ruszył. Dodał więc groźbę: - Co powie-  
działem!? Nie chcecie chyba, żeby taka śliczna dziewczyna straciła  
życie...

Jadwiga wymieniła spojrzenia z pobladłą Krystyną i potulnie ruszyła  
w kierunku okna. Miała dość trupów jak na jeden wieczór. Za nimi  
niechętnie podążył Fred.

Archibald przyglądał się przez chwilę ogólnemu bałaganowi,  
wyraźnie zniesmaczony. Kiedy zauważył czerwoną smugę na dy-  
wanie, mruknął tylko:

- Zostawić służącego samego i proszę... przyjęcia sobie urzęda.. . -  
Popatrzył po przerażonych twarzach. Spojrzał na Jadwigę i zmarszczka  
przecięła mu czoło, ale zaraz otrząsnął się i wskazał na stolik koło  
drzwi. - Nie wiem, co taki arsenał robi w moim domu, ale będziesz się  
gęsto tłumaczyć mojemu ojcu, Fred.

- Nie tak gęsto jak ty - odpowiedział spokojnie szofer. Archibald  
wściekł się tak, że jego arystokratyczne rysy schamiały. Po chwili  
jednak opanował się.

- Właściwie Picasso jest własnością mojego ojca, zresztą jak  
wszystkie rzeczy w tym domu. Pozwalam wam - powiedział, jakby był  
królem udzielającym łask poddanym - rozkradnijcie wszystko. Szkoda,  
że nie możesz zabrać czegoś na pamiątkę naszego spotkania, Alicjo,  
zasłużyłaś sobie. Ale nie mamy czasu na sentymentalne gesty... -  
zamruczał. A potem uśmiechnął się złośliwie do Freda i nie  
spuszczając z niego oczu, zawołał: - Pierre! Nie chcesz sobie czegoś  
zabrać na pamiątkę?

Wtedy zza pleców Archibalda wyszedł starszy mężczyzna. W jednej  
ręce ścisnął broń. Drugą posłał Krystynie całusa. Odebrała go jak  
policzek.

- Musiałbym zabrać na pamiątkę panią Krystynę, a to skom-  
plikowałoby sprawę.

Za drzwiami podniosły się głosy. Zapewne został rozpoznany.

- Pierre!? Wypuść nas! Otwórz drzwi! Pierre zarechotał tylko.



- Przykro mi, bracia, Helgo, aleja wracam do domu. W glorii. A wy dalej czekajcie na swoją szansę! - zawołał. - Dużo zdrowia kosztowało mnie załatwienie sprawy, ale czego ja bym nie zrobił dla mojej Francji. Teraz to Amerykanie będą tańczyć, jak im zagramy. W rytm Marsylianki.

- Skurczybyk nie był taki uśpiony! - odezwał się zza drzwi zdumiony głos Chuksa.

- Tylko poczekaj, jak stąd wyjdiesz, długo nie pociągniesz! - słychać było wściekły okrzyk Fiodora.

Helga też coś dodała, ale nikt nie zrozumiał co, bo wrzeszczała po niemiecku.

- *Vive la France!* - krzyknął jeszcze zadowolony Pierre, ale umilkł pod wpływem wzroku Archibalda.

W ogólnej wrzawie dochodzącej zza drzwi ledwie słychać było przepełniony nienawiścią głos młodego lorda.

- Dokumenty - wycedził.

Zapadła cisza. Fred patrzył na Archibalda, jakby nie rozumiał, o co chodzi.

- Oddaj mi dokumenty, które ojciec ostatnio załatwił i przechowywał w sejfie w swojej sypialni w Holland Park... - Uśmiechnął się. - Są mi potrzebne, bo dogadałem się w końcu z Pierre'em. Obiecał mi małą winnicę we Francji i co najmniej pół tuzina pokojówek na koszt państwa. Francja słynie z wina i pokojówek, a te dwie rzeczy w pełni zaspokajają moje ambicje życiowe... Pierre powiedział mi też o twojej próbie zastraszenia go, Fred. Jak mogłeś napaść na człowieka, z którym prowadzę interesy. - Skrzywił się. - Bardzo mnie rozczarowałeś. - Uśmiechnął się i dodał: - Zwalniam cię.

Kiedy doszedł do siebie po tej jakże nieprzyjemnej scenie, spojrzał znowu na Alicję i powiedział smutno:

- Fred, przekaz ojcu, że dużo więcej by ze mną wskórał, gdyby zatrudnił mi jakąś ładną pokojówkę. Albo kucharkę. Czyja tak dużo chcę od życia? - Wzniósł oczy ku żyrandolowi. - Trochę spokoju, zabawy... A nie ascetyczną Ethel Beaumont z jej zamkiem! Nasyłając cię na mnie, ojciec sam się pogrążył.

- Sam siebie pogrążasz - odezwał się w końcu Fred.  
- Naprawdę myślał, że zdołasz nawrócić mnie na drogę cnoty? - Archibald wydał wargi.

- Nie rób tego - Fred najwyraźniej nie stracił jeszcze nadziei, że uda mu się ściągnąć Archibalda ze złej ścieżki. - Wiesz, że to do niczego nie doprowadzi. Ojciec raz wyciągnął cię z kłopotów, ale drugi raz może mu się nie udać...

- Nie chcę, żeby mnie ratował, nie widzisz tego!?! - Młody Nelson zdenerwował się, a na jego bladej, zaciętej twarzy pojawiła się irytacja.  
- Dokumenty - powtórzył.

Fred myślał przez chwilę, a potem rozłożył ręce i wskazał na sejf. Wszyscy wpatrzyli się w metalowe drzwiczki oprawione w ramy.

- To nie mój sejf, nie znam kombinacji - powiedział spokojnym tonem.

- Nie rób ze mnie idioty - warknął Archibald. - Tam nie ma tych dokumentów. Zresztą przejrzałem już wszystkie możliwe miejsca. Nie ma ich tutaj, nie ma ich w Holland Park. Specjalnie poszedłem na to przyjęcie, żeby sprawdzić jeszcze raz. I wziąłem dziewczynę, żeby mi pomogła szukać w sypialni. Jakież było moje zdumienie, kiedy okazało się, że moja nowa miłość także sprawdzała. .. Szukaliśmy razem, przeżywając po drodze różne przygody - mrugnął do bladej dziewczyny, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz smutku. Dramatycznym głosem dodał: - Bardzo się na tobie zawiodłem, Alicjo. Nic tak nie zabija miłości jak interesowność kobiety. A chciałem ci zaproponować posadę higienistki...

Zapadła cisza.

Nikt nie zauważył, że przez twarz młodego mężczyzny w smokingu, stojącego spokojnie pod oknem, przeszła prawdziwa nawałnica uczuć. Burza zmiotła strach. Pozostawiła zaciętość. I żądzę zemsty.

- Fred, czekam - powiedział cicho Archibald, a potem przystawił Alicji pistolet do skroni.

Mężczyzna w smokingu wbił wzrok w młodego lorda.

- Nie zrobisz tego - odparł Fred.

- Zrobi - powiedział obojętnie Pierre stojący za Archibaldem. - Jest niezrównoważony, powinieneś to wiedzieć.

- Jeden...

Fred nie ruszył się.

- On się broni. Ojciec chce go ubezwłasnowolnić, wiesz? - dodał Pierre i zaczął oglądać sobie paznokcie.

- Dwa...

Coś w głosie Archibalda sprawiło, że Fred nagle odpuścił. Najwyraźniej znał możliwości młodego arystokraty.

- Dobrze - przerwał mu. Niezatrzymywany przez nikogo podszedł do stoliczka z gazetami, znajdującego się obok fotela tuż pod oknem i wyciągnął spod stosu gazet i magazynów szarą kopertę.

- Proszę, weź je sobie - powiedział cicho.

Jadwiga nie mogła uwierzyć. Tajne dokumenty leżały tak po prostu na stoliku.

- Najciemniej jest pod latarnią, co Fred? - Archibald uśmiechnął się z zadowoleniem, a potem spojrzał na stojących wokół ludzi.

- Może ty - wskazał na chłopaka w smokingu wpatrującego się w niego uporczywie. - Jak masz na imię?

- Igor - wymamrotał chłopak. Archibald pokiwał głową i wskazał na Alicję.

- Ładna dziewczyna, prawda? - zapytał z okrutnym uśmieszkiem.

Igor wpatrzył się w Alicję i pokiwał głową. Z pełnym przekonaniem. I z szaleństwem w oczach.

- Nie chciałbyś, żeby stało się jej coś złego przez twoją ślamazarność albo jakiś gwałtowny ruch...

Igor posłusznie pokręcił głową, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

- Doskonale. W takim razie przynieś mi kopertę - padły kolejne słowa.

Igor, zgodnie z poleceniem, podszedł do Freda, wziął kopertę i - obserwowany przez wszystkich - powoli rozpoczął wędrówkę

w kierunku drzwi. Zatrzymał się tuż przed Archibaldem. Wyciągnął rękę z kopertą, cały czas wpatrując się w Alicję. W jej wielkie bursztynowe oczy. Uśmiechnął się do niej, jakby chciał dodać jej otuchy.

Archibald chwycił kopertę.

- Wyglądacie, jakbyście się urwali z tej samej bajki - zauważył kpiąco.

Dopiero wtedy Igor oderwał wzrok od dziewczyny i wyszarpnąwszy z kieszeni spray chłodzący, w jednej chwili schłodził Archibaldowi spojrzenie.

Archibald oszalał z bólu i puścił Alicję, która znalazła się w bohaterских ramionach Igora. Te pociągnęły ją w kierunku okna, gdzie było względnie bezpiecznie. Razem schowali się za zasłony, tuż obok Li, który zasłaniając oczy dłońmi, udawał, że go nie ma.

Jadwiga, wykorzystując fakt, że Archibald w mękach wije się na podłodze, doskoczyła do niego, by podnieść broń, którą upuścił w przypiływie bólu. Tak jak i szarą kopertę. Szarej koperty nie udało się jej pochwycić. Pierre był pierwszy.

Fred zanurkował, żeby go dorwać.

I wtedy, jak to zwykle bywa w historiach kryminalnych, nastąpił postrzał.

Fred, osłabiony zapewne poprzednimi ekscesami, chwycił się za kręgosłup, jęknął i zwałił na podłogę.

Pierre wykorzystał rozgardiasz i rozplynął się w mroku.

Kiedy zaledwie kilkanaście sekund później do pomieszczenia wpadła zaalarmowana przez zaniepokojonych sąsiadów policja, Archibald nadal leżał na posadzce obezwładniony cierpieniem. Fred leżał tuż obok niego, walcząc z bólem kręgosłupa. Krystyna trzymała się za głowę. Jadwiga trzymała pistolet, a Igor trzymał rękę Alicji. Bo życie czasami daje pełnymi garściami. I trzeba brać, kiedy daje, bo potem można żałować.

## ROZDZIAŁ 357

Godzinę później

Igor i Li siedzieli na kanciastych krzesłach pod ścianą. Jako że zostali zaliczeni do niegroźnych dla kraju pospolitych złodziei dzieł sztuki, nikt specjalnie nie zwracał na nich uwagi. Tym bardziej że po przeciwnej stronie pokoju stali, zakuci w kajdany, szpiedzy obcych państw, którymi zajmowali się barczyści i groźnie wyglądający policjanci. Nawet martwy Chińczyk nie zasłużył sobie na taką uwagę jak szpiedzy, chociaż okazał się seryjnym mordercą. Pewnie dlatego, że był martwy, a martwi nie mają nic do powiedzenia.

Igor nie mógł oderwać wzroku od Alicji, która zagubiona i przestraszona, stała obok wielkiego podstarzałego Rosjanina i w balowej błękitnej sukni wydawała się istotą nie z tego świata. Wyobraził sobie tę suknię na podłodze swojej sypialni. Przeszedł go dreszcz. Wrócił do rzeczywistości. Spojrzał na znajdującego się tuż obok sympatycznego policjanta.

- Przepraszam, co się z nimi stanie? - zapytał, wskazując na grupę ponurych i Alicję.

- Ze szpiegami? Trzeba zniszczyć to robactwo - powiedział sympatyczny policjant i splunął na dywan. - Zostaną przesłuchani, a potem pewnie dojdzie do wymiany...

- Naprawdę? - Igor miał wrażenie, że Alicja przywołuje go spojrzeniem. Że go potrzebuje. Że chce, żeby już zawsze się nią opiekował. I tym, co ma pod sukienką. Igor znowu miał sypialnianą wizję, oblizał suche wargi. Zdecydował się.

- Chcę złożyć oświadczenie! - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Policjant nie zwrócił na niego większej uwagi.

- Tylko szybko, bo zaraz jedziemy na komisariat - mruknął, spisując coś w notatniku.

Igor nabrał powietrza do płuc.

- Ja też szpiegowałem - oświadczył uroczyście.

Li zakrztusił się, zupełnie nieprzygotowany na takie rewelacje, i wpatrzył się w kolegę z osłupieniem.

Policjant także utkwiał wzrok w Igorze. Odchrząknął.

- A Picasso? - zapytał, wskazując na puste ramy.

- Picasso miał być przykrywką w razie wpadki, zresztą pies go zjadł. My tak naprawdę przyszliśmy po dokumenty... - wyrzucił z siebie Igor bez chwili namysłu. A potem spojrzał na Li, szukając potwierdzenia - Prawda, Li?

Li wytrzeszczał tylko oczy, przemówić nie zdołał. Policjant zmarszczył czoło.

- Jaki wywiad? - wysyczał po chwili milczenia. Z jego uprzejmości nie pozostało ani śladu.

- Chiński - wykrztusił Igor. - A ta dziewczyna w balowej sukni nam pomagała. Pekin zwerbował nas w Londynie jakiś czas temu. A jego - wskazał na kolegę - przywieźli tu w dzieciństwie i specjalnie wyszkolili. - Przez chwilę obaj patrzyli na zbaraniałego Li. Potem Igor, kiwając z dezaprobatą głową, nachylił się w stronę policjanta i wyszeptał: - Jest bezwzględny.

Policjant odsunął się nerwowo.

- Mogłem się tego domyślić - powiedział i zawołał barczystego kolegę zajmującego się poważniejszymi przestępstwami niż pospolita kradzież Picassa.

- Macie następnych - wycedził z obrzydzeniem. - Wywiad chiński. A tamta, która zgrywa królową, jest z nimi. - Wskazał na Alicję, a potem polecił Igorowi i Li iść pod ścianę.

Igor, pełen nadziei na przyszłość, z drzeniem kolan stanął tuż obok Alicji. Przez chwilę w powietrzu spalały się jakieś przedziwne światełka. A potem policjant kazał mu wyciągnąć rękę i w uroczystej ciszy skuł go razem z Alicją. Na dobre i na złe.

Dopiero wtedy Li zaczął dochodzić do siebie. W ramach protestu kopnął Igora w kostkę.

- Zwariowałeś, Igor! Ja nie chcę jechać do Chin! Pamiętasz? Ja chcę jechać do Nowego Jorku i śpiewać - wyrzucił z siebie zdesperowany. - Chcę śpiewać!

- Cisza! - wrzasnął odrażający policjant w ciężkich butach, którymi zapewne zwykle egzekwował spokój. - Bo jak nie, to przekonam kogo trzeba i przypadkiem traficie do Guantanamo!

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Kiedy policjant odwrócił się na moment, Igor nachylił się nad kolegą i szepnął:

- Nie przesadzaj, Li. Poza tym zastanów się: prędzej będziesz śpiewać w Chinach niż w więzieniu. Jestem przekonany, że mają jakiś fajny festiwal piosenki partyjnej. Możesz zostać gwiazdą. Czerwoną.

Li wpatrywał się z niedowierzaniem w Igora. Potem spojrzął na Alicję, na jej ożywioną twarz, i zrozumiał, że z miłością nie wygra.

- Kiedy los nam nie sprzyja, stawia na naszej drodze piękną kobietę - wyszeptał do siebie kolejną mądrość przodków i rozplakał się jak małe dziecko.

Krystyna siedziała z Fredem na przyniesionej z czerwonego salonu sofie obitej mieniącą się złotą tkaniną. Przez dłuższą chwilę przyglądali się ogólnemu zamieszaniu, stojącym pod ścianą szpiegom, w tym Igorowi i Alicji, oraz Archibaldowi, który leżał na noszach i kwiczał jak małe prosię.

- Straciłem pracę - mruknął Fred ironicznie. Jednak ze smutkiem patrzył na Archibalda, z którego jakiś spocony policjant, kłaniając się co chwila, próbował wydobyć zeznania. Archibald nie mówił. I umierał.

- Myślisz, że dostanie za swoje? - zapytała cicho Krystyna.

- Myślę, że Ethel Beaumont wreszcie wyjdzie za mąż - powiedział z zadumą Fred. - Sprawiedliwość ma różne oblicza. W tym wypadku twarz córki szesnastego lorda Beaumont. - Spojrzał na Krystynę i mrugnął. - Jestem przekonany, że Archibald odpokutuje swoje grzechy.

Archibald pogrzyżył się w kolejnym spazmie, jakby słyszał, że rozmawiają o jego przyszłości, nad którą pieczę sprawować będzie Ethel. A może Widział się już w wieży jej zamku?

- Nie chodziło o porwanie, prawda? Pilnowałeś go, bo sprzedawał tajne dokumenty? - zapytała po chwili Krystyna.

Fred pokiwał głową i pomasował się po kręgosłupie.

- Archie dał się podejść Francuzom. Sprzedał im pewne informacje, ale lord Nelson dowiedział się o wszystkim i zatuszował sprawę. Po tym wydarzeniu zostałem szoferem-stróżem... - przerwał nagle, bo do salonu wkroczyła, ku zdumieniu wszystkich i ekscytacji panów, pielęgniarka. Z prawdziwym powołaniem. Miała takie zdolności pielęgniarskie, że Archibald tylko rzucił na nią okiem i od razu przestał krzyczeć. A ona poprawiła fartuch, rozpięła jeszcze jeden guzik - w końcu czego się nie robi dla zdrowia pacjenta - i podbiegła do noszy. Kiedy się nachyliła, na twarzy chorego pojawiła się ulga. Ozdrowiał.

Fred spojrział na Krystynę i uśmiechnął się.

- To jednak - powiedział. - Lord Nelson zrobi wszystko, żeby go ochronić, a całe to zamieszanie - rozejrzał się dokoła - sprzyja tuszowaniu śladów. Widzisz pielęgniareczkę? - Krystyna pokiwała głową. Nie dało się jej nie zauważyć. - To znak, że doszli już do porozumienia. Kontrakt ślubny z szesnastym lordem Beaumont pewnie już podpisany... Moja interwencja z Bolszój nie



była potrzebna... - urwał nagle i spojrzał przerażony na Krystynę, która parsknęła śmiechem.

- To ty!? Ethel Beaumont w Royal Albert Hall... Rozłożył ręce.

- Przyznaję, wykorzystałem twój pomysł. Przekonałaś mnie, że rzeczywiście przypadkiem mogliby się spotkać, obśmiać rodziców, może zawrzeć jakieś ciche porozumienie... Ale to odniosło przeciwny skutek.

- Bo to była amatorszczyzna - dołożyła mu Krystyna. - Przypadek grubymi niemi szyty. Wiesz, na czym polega sukces KMS, Fred? Nasze przypadki są bardziej wiarygodne niż te prawdziwe. Co jeszcze mi powiesz? Co jeszcze przede mną ukrywasz? - wypytywała z kpinią w głosie.

- Prawdziwy mężczyzna nie daje się ciągnąć za język, tylko go sobie odgryza - oświadczył z powagą. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na pielęgniarkę Archibalda. - Taka pielęgniarka to by mi się przydała... - Uśmiechnął się. - Zwłaszcza gdyby umiała masować...

- Podpisz umowę z KMS, to znajdziemy ci jeszcze lepszą. Dobierzemy ją pod każdym względem - Krystyna roześmiała się. Patrzyła jednak na pielęgniarkę z odrobiną zazdrości. Była taka młoda, śliczna i pełna życia. Jak ona, Krystyna, kiedyś, kiedy życie było jeszcze pełne marzeń i planów na przyszłość. Teraz zostały jedynie wspomnienia. I chwile oderwane od rzeczywistości.

- A co, jeśli moje szczęście zależy od kobiety, która na pozór zupełnie do mnie nie pasuje? - Z zamyślenia wyrwał Krystynę głos Freda. Coś w jego tonie sprawiło, że jej serce nagle przyśpieszyło. - Jeśli należy do innego świata? Co, jeśli niewiele mamy ze sobą wspólnego, ale nie mogę przestać o niej myśleć? - Krystyna odważyła się podnieść wzrok. Napotkała intensywnie zielone spojrzenie mężczyzny. - Ktoś z zewnątrz może tego nie wiedzieć... - dodał cicho.

Nie odpowiedziała. Czowała, że właśnie dosięga ją kolejna fala upałów.

Wtedy Fred przyciągnął ją do siebie i pocałował, zupełnie nie przejmując się własnym bólem i biegającymi po domu ludźmi. Przez ułamek sekundy dała się ponieść emocjom. Już po chwili jednak myśli, wspomnienia, obrazy z przeszłości zaczęły obłądnie kręcić się w kółko. Oderwała się od niego. Przypomniła sobie, ile ma lat, i uciekła.

Jadwiga przez chwilę obserwowała Krystynę, gdy ta siedziała w odległym kącie pokoju razem z Fredem. Kiedy przyjaciółka zerwała się z miejsca i wybiegła, Jadwiga zrozumiała, że romans dobiegł końca. Nadszedł czas powrotu do domu. Westchnęła z niewymowną ulgą. Postanowiła się pożegnać. Uzyskawszy pozwolenie od barczystego policjanta, podeszła do zakutyh w kajdanki.

Na jej widok Fiodor uśmiechnął się smutno i potrząsnął bransoletkami. A potem na jego policzku pojawiła się łza.

- Przepraszam,.. Jakoś tak dziwnie czuję się odpowiedzialna - powiedziała Jadwiga. - Nie powinnam była was w to mieszać.

Fiodor spojrział na nią z rozrzewnieniem.

- Ależ... ja płaczę ze wzruszenia! Jadwiga, ja wreszcie wracam do domu! Deportacja za szpiegostwo to teraz pierwszy krok w karierze! Może własny program dostanę w telewizji?

Stojący obok Chuks roześmiał się.

- Za brzydki jesteś - mruknął.

- To może w radiu? Mam bardzo seksowny głos. Po tylu latach w Londynie na pewno mam też brytyjski akcent.

Helga zawzięcie milczała. Wszystko się pokiełbało. Nikomu by się do tego nie przyznała, ale była bardzo zadowolona z takiego obrotu spraw.

Jadwiga wyszła na zewnątrz, przeciągnęła się mocno i zeszła po schodkach, nabierając do płuc świeżego powietrza. A potem zupełnie niespodziewanie zaczęła się śmiać. Nie mogła przestać. Śmiała się jeszcze, kiedy zbliżała się do pensjonatu pani Patel.

Dopiero kiedy z samochodu zaparkowanego przy ulicy wysiadł jakiś mężczyzna, struchlała. Tylko dlatego, że usłyszała dźwięk ostróg w ciszy nocy, jak dzwoneczki świętego Mikołaja. Zobaczyła nogi. Obute w kowbojki. Podniosła głowę. Przed nią stał mężczyzna, przed którym próbowała uciec od samego początku.

Przez chwilę stali i przyglądali się sobie, jakby mierząc nawzajem swoje siły. Mężczyzna poddał się pierwszy, wzdychając z wyraźną rezygnacją.

- Pozdrowienia od Conana - rzucił zmęczonym głosem i skinął głową.  
- Agent Dexter, MI5.

Jadwiga znieruchomiała. Dobrą chwilę zajęło jej otrząśnięcie się z pierwszego szoku.

Potem postanowiła wyzbyć się negatywnej energii poprzez efektywne wymachy rąk.

- MI5!? Dlaczego, do cholery!? - Zaczęła okładać go torebką.  
-Dlaczego usiłował mnie pan wrzucić pod pociąg?

Agent Dexter starał się zasłonić głowę.

- Proszę przestać! ! To było tylko ostrzeżenie - zapiszczał cienkim głosem.

Przestała go tłuc i oparła się o mur.

- Ostrzeżenie? A ta wódka!? - wyrzuciła z siebie i wyciągnęła piersiówkę. - Chciał mnie pan nafaszerować jakimś narkotykiem!

- Przestraszyłem panią? - Zaśmiał się radośnie, zadowolony z dowcipu, ale widząc, że Jadwiga wygląda jak chmura gradowa, spoważniał. - Chciałem tylko dać pani do zrozumienia, żeby miała się pani na baczności.

Jadwiga nie odezwała się. Napiła się i podała butelkę mężczyźnie.

Docenił jej gest.

- Może powinienem był od razu nawiązać bezpośredni kontakt, ale byłem zajęty Szekspirem - zaczął tłumaczyć, przysysając się do butelki. - Szukaliśmy przez niego dojścia do Kowalskiego. Dostaliśmy cynk, że będzie próbował przejąć jakieś tajne dokumenty. Początkowo nie zwróciliśmy na panią uwagi, potem

zauważyliśmy, że rozmawia z panią dłużej niż z innymi klientami Hispanioli. Trochę czasu zajęła nam identyfikacja, na szczęście dalej ma pani akta w agencji. Potem Conan osobiście do mnie zadzwonił. - Jadwiga zobaczyła na twarzy agenta Dextera prawdziwą ekscytację. - Prosił mnie, słyszała pani? Conan osobiście mnie prosił, żebym miał panią na oku. - Mina mu zrzędała, gdy sobie przypominał. - No, to miałem. I ślad mi pozostał. - Wskazał na podbite oko. - Jadwiga zagryzła wargi. Od razu zrobiło jej się lepiej. - Potem sprawy wymknęły się spod kontroli... - Westchnął, dotykając delikatnie opuchlizny. - Ale oczywiście wtedy nie mogłem pani już nigdzie znaleźć. Podobnie jak żadnej z towarzyszącej pani kobiet. A na Hispanioli ja i agent Holt chcieliśmy panią przejąć, tylko po cichu, bo deptaliśmy po piętach Szekspirowi. Dlatego zamierzaliśmy panią uśpić. Na nasze usprawiedliwienie mogę jedynie dodać, że chcieliśmy panią ostrzec wcześniej, szukaliśmy wszędzie, nawet nie ma pani pojęcia, ile wiadomości zostawiliśmy u właścicielki pensjonatu, tej Patel. Najpierw to miała być tajemnica, ale potem poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby panią odnaleźć i ocalić pani tyłek, a pani...

- A ja sama sobie poradziłam. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem Jadwiga.

- Właśnie - mruknął wymownie, oddając jej piersiówkę. - Widziałem, jak sobie pani poradziła...

Jadwiga poczuła nagłe uderzenia serca. Jej zadowolenie zniknęło, pojawił się obraz starej rekwizytorni w The Globe. I leżący Kowalski.

- Znaleźliście go... ? - wyjąkała. Znowu pociągnęła łyk. Agent Dexter pokiwał głową.

- Policja złapała Szekspira, jak próbował ukraść samochód. Kowalski miał sporo szczęścia, jest gruby, a dawka trucizny była niewielka i tylko go trochę sparaliżowało. Paraliż już ustępuje. To oczywiście między nami. Oficjalnie nie przeżył. - Mrugnął zadowolony.

- Oficjalnie!?

Skrzywił się.

- Obawiam się, że został objęty programem ochrony świadków - powiedział w końcu niechętnie.

- I to ma być sprawiedliwość!? - jęknęła.

- Sprawiedliwość to bardzo skomplikowana sprawa - oświadczył Dexter. - Kowalski podał nam na talerzu dużą rybę. Na dodatek już wypatroszoną i przyprawioną.

- Myślałam, że to on jest dużą rybą.

- Nawet duża ryba w morzu pełnym rekinów jest tylko płotką. Rekiny są najbardziej poszukiwane... Swoją drogą, to wybitna jednostka - powiedział z pewnym uznaniem. - Pani tego nie wie, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat mieszkał w trzech różnych krajach, miał sześć fałszywych tożsamości. A ta ostatnia, dyrektora podstawówki, to dzieło profesjonalisty, nikt na to nie wpadł. Ciekawe, ilu nauczycieli ma podobną przeszłość?

- Biorąc pod uwagę poziom wiedzy wypuszczanej ze szkół młodzieży, bardzo wielu... - mruknęła Jadwiga. - Komu chciał sprzedać te dokumenty?

Agent Dexter oderwał się od muru.

- Tego się nie dowiemy - powiedział po chwili. - Są jakieś naciski odgórne, żeby zostawić tę sprawę, co skłania mnie do myślenia, że to pewnie Amerykanie, oni zawsze coś namieszają. - Wzruszył ramionami. - Ale to już bez znaczenia... Prawda jest taka, że dokumenty przepadły.

- Francuz uciekł?

- Skąd! - oburzył się agent Dexter. - Złapaliśmy go kilka minut temu... Był nieprzytomny, a dokumenty zniknęły - przyznał niechętnie, w końcu nie było się czym chwalić. - Mam tylko nadzieję, że nie przedostaną się do prasy.

Jadwiga westchnęła i opróżniła piersiówkę. Agent Dexter spojrział z żalnością na pustą butelkę.

- Jestem strasznie zmęczony. Może zabiorę już panią do Conana?

Jadwiga zamknęła oczy. Zrobiło jej się słabo.

- Conan naprawdę jest w Londynie!? - wykrzyknęła, czerwieniejąc nagle. - Dlaczego się do mnie nie odezwał!?

- Nie wie pani, że my, agenci, to najbardziej zajęci ludzie na świecie? - oświadczył. Widząc jej powątpiewającą minę, dorzucił szybko: - Z tego, co wiem, miał problem z sekretarką. Wspomniał, że musi ją zwolnić, bo od kilku miesięcy ani jednej wiadomości od żadnej kobiety nie dostał, co w końcu wydało mu się podejrzane.

- Lepiej późno niż wcale - mruknęła Jadwiga.

- Ale szykuje dla pani coś specjalnego w ramach przeprosin... - Agent Dexter zawiesił głos. - Wybrała się pani kiedyś na przejażdżkę londyńskim kołem?

- Nie miałam okazji - mruknęła Jadwiga i mimowolnie zadrżała.

- To właśnie będzie ją pani miała - powiedział entuzjastycznie. - Conan zawsze wiedział, jak zaimponować kobietom... - Westchnął z podziwem w głosie. - Jest dla mnie guru w sprawach męsko-damskich. Mieszkam w Londynie już tyle lat, a nigdy by mi to do głowy nie przyszło... - Widząc jej pytający wzrok, wytłumaczył: - Przekupił jednego z pracowników London Eye. Mają was zamknąć w wagoniku i wywieźć na górę. Będziecie mogli sobie konwersować pod gwiazdami aż do białego rana... - powiedział z zachwytem. Jakby sam miał na to ochotę. Potem wskazał na samochód. - Proszę wsiadać, zawiozę panią.

Podeszli do auta. Jadwiga spojrzała ze zdumieniem na starego, zjedzonego przez rdzę nissana i pociągnęła za klamkę.

- Proszę uważać, tamte drzwi czasami odpadają - ostrzegł ją Dexter, siadając za kierownicą.

Rzeczywiście odpadły.

Jadwiga, podtrzymując drzwi własnym kolanem, spojrzała osłupiała na mężczyznę, który obojętnie zapinał pas.

- Myślałam, że wy z wywiadu brytyjskiego jeździcie porządnymi samochodami... - powiedziała po chwili wahania.

- Jeździliśmy - wycedził, a w jego głosie słychać było gorzyc. I wściekłość. - To wszystko przez waszych. Zostawialiście ekstra

samochody panienkom i któraś rozwalila reprezentacyjnego astona. Wyobraza pani sobie? - Spojrzal na nia, jakby ona to zrobila. - Jadwiga zeszywniala. Bo zrobila. - Przez te wpadke u was nasi zaczeli sie zastanawiac - tłumaczył dalej, coraz bardziej rozdrażniony. - Zrobili audyt i obcieli nam fundusz reprezentacyjny! Jakbym odpowiedzialnego z tą jego odpowiedzialną dorwał, to... - Zacisnął pięść. - Ale niestety, wasi są lojalni. Żaden jeszcze pary z gęby nie puścił. Ale do czasu... - zawiesił złowrogo głos.

Jadwiga nie pisnęła już ani słowa. Dzielnie podniosła drzwi i wepchała je z powrotem na miejsce. Usiadła z tyłu, gdzie też pojawił się problem. Z fotelem. Ale starała się nie myśleć o sprężynach wbijających się jej w siedzenie. Nawet się uśmiechnęła. Żyła. A to ważniejsze od sprężyn i wypadających drzwi. Żyła. To prawdziwe szczęście. Szczęście tak namacalne jak te wystające sprężyny.

## ROZDZIAŁ 368

Danuta i Beata siedziały w kawiarni na lotnisku już prawie godzinę i czekając na koleżanki, z którymi umówiły się podczas bardzo krótkiej i oschłej porannej rozmowy telefonicznej, gapiły się w telewizor. Nudziły się straszliwie, słuchając powtarzanych w kółko sensacyjnych wiadomości o złapaniu różnych szpiegów, do wyboru do koloru, z których praktycznie wszyscy byli naturalizowanymi obywatelami Wielkiej Brytanii. Danuta machinalnie przeniosła wzrok na gazetę, którą czytał siedzący obok mężczyzna. Na pierwszej stronie widać było zdjęcie olbrzymiego doga błękitnego, a obok niego skradziony poprzedniej nocy obraz Picassa, w którego obronie, jak twierdziła gazeta, bestia zagryzła złodzieja, wielkiego Chińczyka z mieczem. Zastanowił ją Chińczyk z mieczem. Nie miała jednak czasu na zgłębienie tematu, bo właśnie dostrzegła, że w ich stronę zmierza Jadwiga. Poczowała radość i ulgę. Wszystko wracało do normy. A one wracały do domu.

Powitały się radośnie, nie pamiętając rzuconych w złości słów.

- Gdzieś ty się podziewała? - zapytała po krótkiej chwili Danuta. Przyjrzała się podejrzliwie przyjaciółce, a potem nie wytrzymała. - Wyglądasz, jakbyś Conana spotkała!

Jadwiga uśmiechnęła się tajemniczo.



- Może spotkałam - oświadczyła. . . . Danuta nie do końca uwierzyła, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Jak dobrze, że wracamy już do domu. Po tych godzinach spędzonych na komisariacie naprawdę marzy mi się własne łóżko...

Siedziały dłuższą chwilę zamyślane, obserwując przechodzących podróżnych.

- Drogie panie, jaki jest morał tej historii? - odezwała się nagle Jadwiga.

Danuta parsknęła śmiechem.

- Nie ufać Kopciuszkom i królewiczom z bajki?

- Strzec się przebojowych cherubinków? - rzuciła Beata. Jadwiga z zadowoleniem spojrzała na twarze koleżanek.

- Żeby zawsze, choćby nie wiem co, zawsze trzymać się razem - powiedziała i wszystkie uśmiechnęły się z rozrzewnieniem, i pokiwwały głowami. - Lojalność, przyjaźń, żadnych kłamstw i interesów na boku...

Jej oscarowa mowa została przerwana przez okrzyk:

- Yo, matka!

Wszystkie odwróciły się odruchowo w stronę, skąd dobiegał.

Ku swojemu zdumieniu zobaczyły przedzierających się przez tłum podróżnych dwóch młodych chłopaków w dresach. Jeden zaciskał pięści na wielkiej torbie. Drugi na spodniach, które zwisały mu w kroku. Zatrzymali się tuż koło stolika KMS w postawie „baczość”.

Jadwiga rzuciła koleżankom nerwowe spojrzenie i uśmiech. Po chwili konsternacji i wymianie kilku grzecznościowych uwag odwróciła się do chłopców i syknęła:

- Co wy tu robicie? Umówiliśmy się przed wejściem. Dresiarz ze złotym zębem zrobił wielkie oczy.

- Przecież znaleźliśmy panią, to po co mieliśmy czekać przed wejściem? Proszę. - Wcisnęli jej do ręki torbę i kartkę z nazwiskiem i numerem telefonu. - Na lotnisku w Krakowie będzie czekał nasz odbiorca.

Widząc, że towarzyszące Jadwidze kobiety wpatrują się w nich z dziwnymi minami, wymienili jeszcze pożegnalne grzeczności, bo należeli do bardzo dobrze wychowanych młodych mężczyzn, którzy w dresach chodzą tylko dla komfortu, potem zauważyli, że pogoda się poprawiła, i sobie poszli.

Danuta spojrzała podejrzliwie na wypchaną torbę.

- Co tam jest? - zapytała.

Jadwiga z obojętną miną schowała torbę za plecami.

- Zegarki - mruknęła niechętnie. - Obiecałam, że pomogę im rozkręcić interes w Polsce. W Londynie kryzys...

Beata parsknęła śmiechem, a Danuta z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nie wpuszczą cię z tym nawet za bramki.

- Lecę prywatnym samolotem. Z Conanem - oświadczyła. Potem dodała szybko: - Muszę pędzić, spotkamy się jutro w biurze. - Pomachała im jeszcze i nie czekając na komentarz koleżanek, zniknęła w tłumie.

Z osłupienia wyrwał Danutę dopiero jednostajny głos pani mówiącej przez megafon:

- Uwaga, uwaga, ostatnie wezwanie pasażerów lecących do Krakowa. Pasażerowie Danuta Kołal, Bejata Romantowska, Jadłiga Kłecien i Kristina Stancyzyk proszone są o niezwłoczne udanie się do...

Beata i Danuta chwyciły walizki i podreptały w odpowiednią stronę. Kiedy nadały bagaż i skierowały się do bramek, Danuta zwolniła nagle. Miała dziwne wrażenie, że o czymś zapomniały. Beata najwidoczniej też, bo po chwili stanęła jak wryta i zapytała:

- A gdzie Krystyna?

## ROZDZIAŁ 371

Krystyna bez trudu rozpoznała dom.

Zapłaciła taksówkarzowi i szybko skierowała się do drzwi, które otworzyły się, zanim zdążyła zapukać. Stał w nich on. Jakby na nią czekał.

Poczuła, że wszystko wymyka się jej spod kontroli. Stała naprzeciwko niego i drżała. Było jej zimno, a jednocześnie coś paliło ją od środka. Płomień, o którym myślała, że wygasł już na zawsze. Dawno temu.

Fred podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Znieruchomiała. Jakaś uparta myśl w jej głowie pulsowała tuż nad skrońmi, starając się przebić na zewnątrz z krzykiem, że przecież to wszystko nie ma przyszłości.

A on przyciągnął ją mocno do siebie. Nagle myśli się rozwiały. Nie było już przeszłości. Ani przyszłości. Został tylko on. Poczuła ciepło szorstkiej skóry. Podniosła wzrok i w jego oczach zobaczyła pragnienie. Swoje pragnienie.

- Chcę spróbować tej... jazdy na rowerze w dół... bez trzymanki... - wyszeptała.

Nie zdołała powiedzieć nic więcej. Dała się porwać namiętności.

## CZTERY TYGODNIE PÓŹNIEJ

Kwatera główna KMS, Kraków

W biurze KMS w Galerii Krakowskiej panował spokój. Było już późno i pusto. Beata była na chorobowym, a Krystyna wyjechała na parę dni do Londynu. Znowu. Jolka zakładała właśnie nowy czerwony płaszcz, przyglądając się z zadowoleniem swojemu odbiciu w lustrze. Jadwiga zastanawiała się, czy ich sekretarka kiedykolwiek włożyła coś, co nie wyróżnia się nawet w ciemnościach. Jolka, gotowa do wyjścia, podeszła jeszcze do Danuty i położyła przed nią wydruk.

- Żeby nie zapomniała. Mamy nowe zlecenie - powiedziała. - Wprawdzie od razu powiedziałam tej kobiecie, że na pewno go nie zrealizujemy, ale zaczęła histeryzować i koniecznie chciała się umówić. To ją umówiłam na przyszły piątek.

Potem pożegnała się i wyszła.

Danuta wzięła kartkę do ręki i zaczęła czytać.

- Na szczęście jutro wraca Krystyna, bo ten jej ukochany system PA®UJ mnie wykończy... - Jadwiga westchnęła. Przeciągnęła się i spojrzała na Danutę, która obojętnie odłożyła wydruk na biurko i wyciągnęła z szafy płaszcz. - Co to za zlecenie? - zapytała.

- Kolejna zdesperowana matka, która nie rozumie naszej filozofii. Jej jedyna i, jak twierdzi, wyjątkowo piękna córka znalazła

sobie narzeczonego. Zamiast się cieszyć, że dziewczyna jest szczęśliwa, chce go wymienić. Narzeczonego się nie podoba, bo - podniosła kartkę pod oczy - cytuję: „Jest brzydki, rudy i niezgrabny. W dodatku biedny”. Chce, żebyśmy go wymienili. Na właściciela ubojni.

Prowincja Qinghai, Chiny

Igor siedział przy niskim stole obok Li i jego dziadka, pana Minga, starego Chińczyka, tak stereotypowego, jak tylko może być pomarszczony, skośnooki Azjata z białą brodą. Odpoczywali po posiłku, w milczeniu obserwując poletka ryżowe zasypywane powoli przez śnieg.

- *Xianzai yue lai yue gui* - powiedział pan Ming, przerywając ciszę i wydymając wargi.

Igor pokiwał głową i westchnął.

- *Mingnian hui genggui* - zaczął, ale poczuł na sobie wściekłe spojrzenie Li, więc zamilkł i więcej się nie odezwał.

Kiedy pan Ming w końcu wstał, pochylił głowę przed ołtarzykiem przodków i wolnym krokiem opuścił pomieszczenie, zza drzwi wysunęła się śliczna Chinka ubrana w tradycyjne qipao i podeszła do siedzących przy stole mężczyzn. Ukłoniła się, posyłając Li tak powłóczyście spojrzenie, że wściekłość w mgnieniu oka ulotniła się z jego twarzy. To była Jiang. Narzeczonego Li, która nie dość, że przez lata nieobecności narzeczonego opierała się licznym konkurentom, to jeszcze, czekając na jego powrót, zdobyła tytuł najpiękniejszej kobiety prowincji Qinghai. Pięć razy z rzędu.

- *M zhunbei hao qu shangyijie zhongwen ke le ma?* - zapytała łagodnym głosem.

Li przełknął ślinę. Z mądrą miną pokiwał głową. Potem nachylił się nad Igorem.

- Co powiedziała? - wyszeptał nerwowo.

- Że czas na lekcję mandaryńskiego - odszepnął Igor.

Spojrzenie Li wyraźnie ścielęcało. Powoli wstał, poprawił ubranie i - jakby ciągnięty przez Jiang na niewidzialnym sznurku - ruszył za nią do drzwi. Po chwili oboje zniknęli w głębi domu.

Igor uśmiechnął się, rozbawiony. Został sam. Zapatrzył się na padający za oknem śnieg, który wywołał w nim tęsknotę za domem. Za światem, który zostawił. Za białą Gwiazdką w Zielonej Górze.

Nagle świat zniknął, zasłonięty czymiś dłońmi. Igor uśmiechnął się i zapomniał o wszystkim. Chwycił miękkie dłonie, odsunął je od oczu i pocałował. A potem odwrócił się. Przed nim stała Alicja. Najbardziej ekscytująca przygoda, jaka miała go kiedykolwiek spotkać.

Wybrzeże atlantyckie, okolice Buenos Aires

Słońce wyglądało jak wielka pomarańcza zawieszona nad oceanem. Nie dało się tego inaczej określić.

Kowalski, jeszcze osłabiony po dramatycznych przejściach w Londynie, siedział na małym tarasie domu z widokiem na ocean i delektował się drinkiem. Kiedy zjawił się Szekspir, bez peruki, w której stanowczo było mu za gorąco, Kowalski wzniósł toast:

- Za życie, Szekspirze. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek smakowało lepiej - westchnął z zadowoleniem. - Może dlatego, że pijemy na rachunek wymiaru sprawiedliwości?

Szekspir wypił drinka, odstawił szklanekę na stół i oparł się o barierkę. Przez chwilę przyglądał się nielicznym domkom rozsianym po okolicy, a potem wskazał na najbliższy, taki sam jak ten, w którym mieszkali. Obserwując opalającą się na tarasie kobietę i starszego mężczyznę czytającego książkę, powiedział:

- Ciekawe, co to za ludzie?

Kowalski spojrział we wskazanym kierunku, przeciągnął się, a potem włożył słomkowy kapelusz.

- Może czas poznać sąsiadów?